



ILSA J. BICK

**Ilsa J. Bick**

# **Prochy**

*Asches*

*Przekład Agnieszka Zajda*

*Davidowi, teraz i na zawsze*

Mówię ci – przeszłość jest wiadrem popiołów...

Carl Sandburg Preria, przeł. Marek Skawarnicki

– Gdzie jesteś? – zażądała odpowiedzi ciotka Hannah, kiedy tylko Alex nacisnęła „odbiór”. – Co ty najlepszego wyprawiasz?

– Właśnie wjechałam do Michigan – odparła Alex, na początek wybierając łatwiejsze pytanie. Kiedy dostrzegła powitalną tablicę: „Wspaniałe jeziora! Wspaniała zabawa!”, ogarnęło ją uczucie, że coś się rozpoczyna, rozrasta, zupełnie jakby dotychczas podróżowała wśród wiecznej nocy samotną drogą, otoczoną gęstym, czarnym lasem, i dopiero teraz ujrzała pierwszy przebłysk słońca. – Musiałam zatankować. – To kompletnie nie miało nic do rzeczy.

– Michigan. A cóż takiego, do cholery, jest w Michigan? – Drugi mąż Hannah był Brytyjczykiem. Ale ona nie. Pochodziła z Sheboygan w Wisconsin (miejsca, które zdaniem Alex naprawdę nie istniało, dopóki nie napomknęli o nim Everly Brothers) i twierdziła, że „do cholery” jest o wiele lepsze od innych przekleństw, ponieważ dzięki niemu wszyscy znajomi – w większości luteranie – uważali ją za wprost czarującą: Och, ta Hannah. Więc ciotka powtarzała „do cholery” dosyć często, zwłaszcza w kościele.

– Mnóstwo rzeczy – odpowiedziała Alex. Stała o kilka stóp od toalet na stacji benzynowej, oblana łososiowo-różowym blaskiem zachodu. Po przeciwnej stronie szosy billboard proponujący odwiedzenie krainy amiszów walczył o palmę pierwszeństwa z drugim, który namawiał rodziny, by oddawały swoich staruszków do

hospicjum o nazwie Zorza Polarna („Boże światło w mroczną porę”), a jeszcze inny zalecał wizytę w Muzeum Górnictwa Rud Żelaza na północ od Orenu. – Po prostu potrzebowałam trochę czasu.

– Czasu? Na co? – Głos ciotki Hannah brzmiał surowo. – Myślisz, że to jakaś cholerna gra? Mówimy o twoim życiu, Alexandro.

– Wiem. Po prostu... – Bawiła się srebrnym gwizdkiem na łańcuszku, który nosiła na szyi. Gwizdek był podarunkiem od ojca przed ich pierwszą całonocną wędrówką, kiedy Alex miała sześć lat. „Kochanie, gdybyś kiedykolwiek wpadła w tarapaty, po prostu zagwizdź, a pojawię się w ułamku sekundy”. Było to jedno z jej nielicznych, wyraźnych, bezcennych wspomnień o nim. – Muszę to zrobić teraz, dopóki jeszcze mogę.

– Rozumiem. Więc oni są z tobą?

Alex wiedziała, o co – o kogo – ciotka pyta.

– Tak.

– Widzę, że brakuje również broni twojego ojca.

– Wzięłam ją.

– Rozumiem – powtórzyła ciocia Hannah, chociaż jej ton sugerował, że tak naprawdę wcale nie rozumie. – Naprawdę uważasz, że samobójstwo jest rozwiązaniem?

– To właśnie myślisz? – Gdzieś za swoimi plecami Alex usłyszała, jak otwierają się drzwi toalety, a chwilę później minęły ją dwie dziewczyny, Jasny Koński Ogon i Ciemny Koński Ogon, obie w błękitnych bluzach z napisem „Liceum Somerville” i odrysowaną według

szablonu tenisową rakieta w błysku bieli. – Myślisz, że mam zamiar się zabić?

Pożałowała tych słów, kiedy tylko padły z jej ust. Gapiąc się na nią, blondynka pochyliła się i szepnęła coś brunetce, a brunetka obrzuciła Alex ciekawskim spojrzeniem. Oba Końskie Ogony wykonywały rutynowy układ zerknięcie-szept-chichot przez całą drogę do leciwego szkolnego busa i zniekanego starszego okularnika o fryzurze Einsteina.

Alex odwróciła się do nich tyłem z płonącymi policzkami.

– W ogóle nie o to chodzi.

Chociaż faktycznie nie dawało się zaprzeczyć, że już kilka razy, po paru łykach jacka danielsa, wyciągała ojcowski pistolet i poważnie mu się przyglądała. Powstrzymywał ją głównie strach, że może jej drgnąć ręka i skończyłoby się na zafundowaniu sobie lobotomii, a to już zbyt żałosne. Oczyma wyobraźni widziała różne plotkary – takie jak Jasny Koński Ogon i Ciemny Koński Ogon – podniecające się potem podczas szkolnego lunchu: „Rany, ale dno”.

Ciotka Hannah powiedziała:

– Tak, ale gdybyś zamierzała wrócić, nie zabierałabyś ich.

– Nie. To tylko znaczy, że oni nie wrócą.

– Alexandro, nie musisz tego robić sama. Twoja mama była moją siostrą. – Głos ciotki stał się odrobinę łzawy. – Wiem, że ona nigdy by się na coś takiego nie zgodziła. To

nie było ich intencją.

– Więc chyba dobrze się składa, że skoro ich nie ma, nie mogą protestować?

W ciągu nanosekundy Hannah przeszła od wilgoci łez do pustynnej oschłości.

– Nie mów do mnie takim tonem, Alexandro. Masz dopiero siedemnaście lat. Jesteś ciężko chora i nie na tyle dorosła, żeby wiedzieć, co jest w tej sytuacji najlepsze. Upór i rozczulanie się nad sobą nie są żadnym rozwiązaniem.

Ta rozmowa prowadziła donikąd. Ciocia Hannah widziała jedynie sierotę z guzem mózgu wielkości piłki tenisowej, nastolatkę, która w końcu załamała się pod naporem stresu.

– Wiem. Masz rację. Smęcenie i wkurzanie innych niczego nie załatwiają.

– Dobrze. To żeśmy sobie co nieco wyjaśniły. – Ciotka głośno wytarła nos. – Kiedy wracasz?

Och... może nigdy?

– W pierwszym tygodniu października. Pewnie... ósmego?

Usłyszała, jak Hannah po cichu liczy.

– Dwanaście dni? Dlaczego tak długo?

– Tyle mi zajdzie na wędrowkę tam i z powrotem.

– Wędrowkę?

– Cóż, tam nie ma szos.

– Chyba nie mówisz poważnie? Nie jesteś wystarczająco silna.



– Oczywiście, że jestem. Od ostatniego cyklu minęły już trzy miesiące. Biegam, pływam, dźwigam. Znowu podskoczyła mi waga. Jestem bardzo silna.

– A co z nową terapią? Zaczynasz ją za trzy dni i...

– Nie zamierzam poddawać się już żadnym terapiom.

– Doktor Barrett jest przekonany, że ta metoda... – Ciotka nagle umilkła, kiedy dotarło do niej znaczenie słów Alex. – Co? Co przez to rozumiesz, że nie zamierzasz poddawać się żadnym terapiom? Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że musisz. Co mówisz?

– Mówię, że już po mnie, ciociu.

– Ale... ale ten nowy eksperymentalny lek... – wybełkotała Hannah. – I twoja kuracja, PEBBLE... [PEBBLE - akronim Probes Encapsulated By Biologically Localized Embedding, (ang.) pebble- kamyk (przyp. tłum.).]

– Dobrze wiesz, że nie zadziałają. – Tak jak nowy lek, PEBBLE – Nanosondy Wstawiane przez Biologicznie Umiejscowione Osadzenie – też były środkiem eksperymentalnym. Mikroskopijne granulki, wypełnione trucizną i pokryte specjalną światłoczułą substancją chemiczną, wstrzyknięte do jej krwiobiegu wędrowały aż do mózgu, gdzie przywierały do guza: upartego potwora, który, mimo wielu serii naświetlań i chemoterapii, nie chciał zniknąć. Aktywowane przez sondę optyczną granulki miały uwolnić swój śmiertelny ładunek. Jednak po czterech próbach nie uwolniły, chociaż lekarze łądowali jej mózg porcjami kamyków wystarczającymi na

kilka tuzinów automatów do gry we flipera.

– Musisz dać im trochę czasu, Alexandro.

Łatwo ci mówić. Ty masz czas.

– Ciociu Hannah, minęły już dwa lata, odkąd go wykryli. Jak dotąd nic nie zadziało.

– To prawda, ale guz rośnie stosunkowo powoli. Doktor Barrett powiedział, że jesteś w stanie trzymać się jeszcze przez kilka lat, a do tego czasu wynajdą nowe lekarstwa.

– Albo i nie. Ja po prostu już tak dłużej nie mogę. – Spodziewała się wybuchu, lecz w rozmowie nastąpiła nagła przerwa. Cisza przeciągała się tak długo, aż Alex pomyślała, że coś przerwało im połączenie. – Ciociu Hannah?

– Jestem. – Chwila milczenia. – Kiedy podjęłaś decyzję?

– W zeszłym tygodniu, po wizycie u Barretta.

– Dlaczego teraz?

Bo trzęsie mi się lewa ręka. Bo nie czuję żadnych zapachów. Bo w głowie siedzi mi pełno malutkich, malusieńkich kamyczków, które nie działają, co oznacza jeszcze więcej regularnej chemii i radioterapii, a ja mam już dość tracenia włosów i wyrzygiwania flaków na darmo, i odbywania lekcji w łóżku. I nie zamierzam trafić do jakiegoś hospicjum. Bo tym razem to ja dyktuję warunki.

Ale powiedziała tylko:

– Nie myślę, żeby miało być lepiej. Muszę to zrobić,

póki jeszcze mogę.

Znowu cisza.

– Przypuszczam, że szkoła będzie się o ciebie dopytywać. A doktor Barrett dostanie ataku apopleksji.

W głębi duszy Alex uważała, że Barrettowi być może ulży. Koniec z przymusem patrzenia na dobre strony choroby.

– Co zamierzasz im powiedzieć?

– Coś wymyślę. Zadzwonisz?

– Kiedy wrócę – obiecała, nie mając pewności, czy dotrzyma słowa. – To znaczy, kiedy wrócę do samochodu. Jak tylko znajdę się w Waucamaw, komórka straci zasięg.

– A co ja mam robić? Wywiesić latarnię na wieży? Obijać się beczynniami? Dziergać na drutach? – Alex nie odpowiedziała, więc ciotka ciągnęła: – Jestem w połowie zdecydowana zadzwonić na policję, żeby cię przywlekli z powrotem.

– A co mówi ta druga połowa?

– Że jesteś uparta. Że kiedy sobie coś postanowisz, nie ma z tobą dyskusji. – Na chwilę zamilkła. – I że nie jestem pewna, czy cię obwiniam. Co nie znaczy, że moim zdaniem postępujesz słusznie. Ale cię rozumiem.

– Dzięki.

– Drobiazg. – Ciotka Hannah westchnęła. – Och, Alex, uważaj na siebie, dobrze? Postarasz się wrócić cała i zdrowa?

– Nic mi się nie stanie. Przecież już wędrowałam z plecakiem.

– To nie twoje umiejętności podaję w wątpliwość. Rozpalić ogień, żyć z darów ziemi, wybudować dom z gałązek i gumy do żucia... zupełnie jak twój ojciec. W razie ataku cholernych zombie jesteś przygotowana.

– Dzięki – powtórzyła Alex wbrew łzom szczypiącym ją w oczy. Płacz nie był sposobem, w jaki chciała to zakończyć. – Chyba już muszę iść. Kocham cię, ciociu Hannah.

– Och, ty cholerny głuptasku – odparła ciotka. – Myślisz, że tego nie wiem?

Już nigdy więcej ze sobą nie rozmawiały.

# **Część I**

## **Góra**

# 1

Cztery dni później przycupnęła na zlodowaciałym skalnym występie i czekając, aż zagotuje się woda na kawę, ostrzyła wykałaczkę z olchowego patyka. Od północnego zachodu zawiewał silny wiatr, wilgotny i zimny. Daleko w dole Moss River lśniła w słonecznym blasku. Jak błyszcząca wstążka wiła się przez głęboką dolinę wśród bezlistnych drzew, srebrzystobłękitnych świerków, ciemniejszej zieleni gęstego szaleju i pierzastych sosen białych. Rześkie powietrze pachniało ostro – to znaczy, dla Alex w ogóle nie miało zapachu. Do czego zdążyła przywyknąć, bo już dobrze ponad rok temu straciła powonienie.

Zaskoczył ją ten chłód, ale też nigdy przedtem nie wędrowała po Waucamaw pod koniec września. Park stanowy Waucamaw Wilderness zawsze był letnią przygodą z rodzicami, kiedy to największy problem stanowiły dokuczliwe kuczmany, krwiożercze komary i upał zdolny roztopić człowieka w kałużę potu. Teraz każdego ranka pod nogami chrzęścił jej kruchy lód, a stopy ślizgały się na oszronionych korzeniach i gołej skale. Droga była zdradliwa. Każdy krok zapraszał do skręcenia nogi w kostce. Im dalej na północ i bliżej do Jeziora Górnego (nadal miała przed sobą dwa dni marszu i tylko zamgloną, purpurową smugę plamiącą horyzont), tym bardziej wzrastało ryzyko złej pogody. Na zachodzie

pod burą warstwą chmur Alex dostrzegła właśnie pierzaste, niebiesko-szare wiry deszczu, przewiewane ku południowi. Jednak nad nią rozciągało się błękitne niebo. Dzień obiecywał rześką, piękną pogodę i jeszcze coś, co z pewnością bardzo spodobałoby się rodzicom.

Gdyby tylko Alex mogła sobie ich lepiej przypomnieć.

Najpierw pojawił się dym.

Miała wtedy piętnaście lat i była sierotą; sytuacja raczej beznadziejna, chociaż minął już rok, żeby się pozbierać. Kiedy smród dymu nie ustępował, mimo że nigdzie się nie paliło, ciotka zdecydowała, że Alex cierpi na jedną z tych pourazowych historii, i wyprawiła ją do psychiatry, wypisz wymaluj niedoszłej gestapówki, która prawdopodobnie nosiła czarne szpilki i tłukła męża („Aha, dym? To powtórka z wypadku rodziców, prawda?”) Tyle że ta lekarka była autentycznie bystra i szybko skierowała Alex do neurochirurga, doktora Barretta, a on wykrył potwora.

Oczywiście, guz okazał się nowotworem złośliwym i nieoperacyjnym. Więc dostała chemię i naświetlania, wypadły jej włosy i brwi. Plus: nogi i pachy nigdy nie wymagały golenia. Minusem było to, że przeciwwymiotne leki nie działały – takie już jej szczęście – i rzygała mniej więcej co pięć minut, doprowadzając szkolne bulimiczki do lekkiego szaleństwa, bo była w tej dziedzinie totalną profesjonalistką. Pomiedzy kuracjami przestawała rzygać, a włosy, bujne i czerwone jak krew, znowu odrastały.

Chroniczny ból głowy szemrał jej w skroniach, ale jak mawiał doktor Barrett, od bólu jeszcze nikt nie umarł. To prawda, jednak czasami nie dawało się też zbytnio cieszyć życiem. W końcu zapach dymu zniknął – lecz wraz z nim zniknęły też wszystkie inne, ponieważ potwór nie skurczył się, ale nadal po cichu rósł i ją pożerał.

Nikt jej nie ostrzegł, że kiedy całkowicie traci się powonienie, wiele wspomnień wygasa. W jakiś sposób zapach sosny wyczarowuje w mózgu migawkę z choinkowymi świecidełkami, lampkami i błyszczącym aniołem albo gałka muskatołowa i maślany cynamon ukazują wam na mgnienie oka jasną kuchnię i mamę, która podśpiewuje pod nosem, wciskając do szklanego naczynia ciasto na tartę. Bez zmysłu węchu wspomnienia wypadają jak monety z rozdartej kieszeni, aż wreszcie przeszłość obraca się w proch i wasi rodzice stają się pustymi miejscami w pamięci – jak dziury w szwajcarskim serze.

Jakający się rytm – coś pośredniego pomiędzy kosiarką do trawników a karabinem półautomatycznym – zakłócił ciszę. Chwilę później Alex dostrzegła samolot. Biały jednośmigłowy samolot zadaniowy przelatywał nad doliną, kierując się na północny zachód. Sprawdziła czas: za dziesięć ósma. Punktualny drań. Po czterech dniach doszła do wniosku, że ta sama maszyna kursuje dwa razy w ciągu doby – każdego ranka trochę przed ósmą i każdego popołudnia około czwartej dwadzieścia. Według



tych przelotów można było niemal regulować zegarek.

Warkot zanikł i cisza jak szklany klosz znowu okryła las. Z odległej doliny nadpłynęło głuchoe stuk-puk dzięcioła. W sosnach zaskrzeczało trio wron, jastrzęb żłobił leniwą spiralę na niebie.

Alex siorbnęła kawę i usłyszała, jak ją przełyka. Napój nie miał zapachu ani smaku, był po prostu ciemny i gorący. I wówczas kątem oka coś zauważyła. Po prawej stronie mignął miękki, jasnobrązowy, niewyraźny kształt. Rzuciła szybkie spojrzenie, nie oczekując niczego bardziej ekscytującego niż wiewiórka albo pręgowiec.

Pies był więc, hm, swego rodzaju niespodzianką.

## 2

Zamarła.

Pies był chudy, ale muskularny, z szeroką klatką piersiową, czarną maską i ciemnym nalotem na płowej sierści. Wyglądał jak owczarek niemiecki, tylko o wiele mniejszy, może jeszcze nie w pełni wyrosnięty? Do grzbietu miał przyczepiony jasnoniebieski plecaczek, wokół szyi migotał łańcuch obroży.

Gdzieś niżej, ze ścieżki dobiegał słaby szelest liści. Pies zastrzygł uszami, jego ciemne ślepia nie odrywały się od Alex. Po chwili od strony zbocza przyplłynął męski głos:

– Mina? Znalazłaś coś, malutka?

Zwierzę wydało cichy skowyt, jednak nie ruszyło się z miejsca.

– Halo? – Gardło Alex było całkiem suche, więc okrzyk zabrzmiał dość ochryple. Oblizła wargi i spróbowała przełknąć ślinę mimo języka nagle tak szorstkiego jak papier ścierny. – Hm... czy mógłby pan zawołać swego psa?

Głos doleciał ją znowu:

– O Boże, przepraszam. Proszę się nie bać, ona nic złego nie robi... Mina, leżeć, malutka.

Mina natychmiast wykonała rozkaz i opadła na brzuch. Dobry znak. W tej pozycji nie wyglądała nawet w połowie tak przerażająco.

– Waruje? – zawołał nieznajomy.

A gdyby nie posłuchała? Wtedy co?

– Yhm.

– Doskonale. Momencik, już prawie jesteśmy... – Chwilę później na górę wygramolił się zarośnięty mężczyzna ze strzechą siwych włosów i laską w prawej dłoni. Ubrany był jak drwal, aż po czarny golf pod czerwoną flanelową koszulą. Siekiera w futerale dyndała przy stelażu plecaka.

Dziewczynka – jasne kucyki – trzymała się o krok czy dwa z tyłu. Miała różowy dziecięcy plecak Hello Kitty, dopasowaną do niego kolorem puchową kurtkę z kapturem i nadąsaną minę. Para białych słuchawek wciskała się w jej uszy, ale dźwięk był tak głośny, że Alex mogła uchwycić nawet najsłabsze basy.

– Witaj – zawołał starszy facet. Kiwnął głową w stronę zaparzarki do kawy. – Poczulem ten zapach już w połowie szlaku, więc postanowiłem pójść za swoim nosem. Tylko że Mina mnie wyprzedziła. – Wyciągnął rękę. – Jack Cranford. A to moja wnuczka, Ellie. Ellie, przywitaj się.

– Cześć – powiedziała dziewczynka bezbarwnym tonem. Alex uznała, że ma jakieś osiem-dziewięć lat i już o wiele za dużo tupetu. Głowa małej podrygiwała w rytm muzyki.

– Hej – odparła Alex. Nie uczyniła żadnego ruchu, żeby uścisnąć dłoń faceta, nie tylko dlatego, że ze swoją siekierą, psem i naburmuszonym dzieciakiem był jej kompletnie obcy. Po prostu sposób, w jaki Mina ich obserwowała, budził podejrzenie, iż z entuzjazmem chwyciłaby palce Alex jako pierwsza.

Starszy pan czekał. Jego uśmiech stał się trochę niepewny, a w oczach pojawiło się pytanie. Kiedy Alex nie zaoferowała niczego więcej, wzruszył ramionami, cofnął rękę i miłym tonem powiedział:

– Rozumiem. Gdybym był na twoim miejscu, też bym sobie nie ufał. I przepraszam za Minę. Zupełnie zapomniałem, że po Waucamaw włóczy się kilka sfor dzikich psów. Musiała napędzić ci stracha.

– W porządku – skłamała Alex i pomyślała: dzikie psy?

Milczenie przeciągało się. Dziewczynka podrygiwała ze znudzoną miną. Suka wywiesiła jęzor jak wilgotną,

różową wstęgę i zaczęła ziajać. Alex zauważyła, jak spojrzenie mężczyzny przeskakuje z jej twarzy na namiot i błyskawicznie wraca.

– Zawsze jesteś taka rozmowna?

– Och. No... – Jak to możliwe, że dorosłym uchodzi na sucho wygłaszanie uwag, które w jej ustach brzmiałyby impertynencko? – Nie znam pana.

– Jasne. Jak wspomniałem, mam na imię Jack. To jest Ellie, a to Mina. A ty jesteś... ?

– Alex. – Pauza. – Adair. – Miała ochotę samą siebie kopnąć. Odpowiedź była odruchem, podobnym jak nieignorowanie pytań nauczyciela.

– Miło cię poznać, Alex. Wydaje mi się, że masz w sobie coś irlandzkiego, z tymi oczami skrzata i rudą grzywką. W tutejszych okolicach nie spotyka się wielu Irlandczyków.

– Mieszkam w Evanston. – Jakby to coś tłumaczyło. – Hm... ale mój tata pochodził z Nowego Jorku. – Co ona najlepszego wyprawia?

Lewa brew starszego pana uniosła się.

– Rozumiem. Więc jesteś tu sama?

Na to pytanie postanowiła nie odpowiadać.

– Wcale nie słyszałam pańskiego psa.

– Och, nic dziwnego. Obawiam się, że to skutki jej tresury. Prawdę mówiąc, Mina nie jest moja. Formalnie należy do Ellie.

– Dziadkuuu... – Dziewczynka przewróciła oczami.

– Daj spokój, kochanie, powinnaś być z tego dumna –

powiedział Jack. A do Alex: – Mina to malinois, czyli w zasadzie owczarek belgijski. Jest psem wojskowym. Dawniej zajmowała się wykrywaniem bomb, ale teraz przeszła już na emeryturę. – Zdobył się na smutny uśmiech, który nie sięgnął oczu. – Należała do mego syna, Danny’ego... taty Ellie. Poległy w akcji. Irak, prawie rok temu.

Kąciki warg dziewczynki opadły, a skraj rumieńca sięgnął łuków jarzmowych, ale milczała. Alex poczuła leciutki przyptyw współczucia.

– To rzeczywiście fajny pies. – Słyszając własne słowa, poczuła się zażenowana. Wiedziała, jacy niezręczni bywają ludzie, kiedy się dowiadują, że straciliście rodziców. Cokolwiek mówią, brzmi, jakby z jakiegoś powodu to była wasza wina.

Spojrzenie jasnoszarych oczu ześlizgnęło się z twarzy Alex na ziemię.

– Ona jest tylko głupim psem.

– Ellie – zaczął Jack. Ugryzł się w język i nie dokończył tego, czego o mało nie powiedział. – Proszę natychmiast zdjąć słuchawki. Zachowujesz się niegrzecznie. A poza tym to jest zbyt głośne. Zepsujesz sobie słuch.

Znowu przewracając oczami – ale jednak – mała odkorkowała uszy i pozwoliła słuchawkom zawisnąć na szyi. Nastąpiła kolejna niezręczna chwila milczenia, po czym Alex impulsywnie zaproponowała:

– Właśnie zaparzyłam kawę. Macie ochotę się napić?

Ellie zerknęła na nią wymownie (jakby mówiła: zgłupiałaś, jestem dzieckiem, ), a Jack powiedział:

– O tak, ja bardzo proszę. Możemy nawet wnieść swój udział. – Mrugnął do dziewczyny. – Nie uwierzysz, ale zapakowałem trochę pączków Krispy Kreme.

– Dziadkuuu – wrzasnęła mała. – Oszczędzaliśmy je.

– W porządku. Dopiero co skończyłam śniada...

– Teraz będziemy jeść pączki. – W zdenerwowanym tonie Jacka słychać było ślady wielu dawnych sporów.

– Super, wspaniale – wyszczebiotała Alex tak ochoczo, że zabrzmiała jak kreskówkowy wiewiór Alvin na amfetaminie. – Uwielbiam pączki.

– Pewnie są czerstwe – mruknęła Ellie.

### 3

Pączki Krispy Kreme były czerstwe – nadal potrafiła wyczuć konsystencję – ale świetnie dawały się rozmaczać. Dla Alex miały smak wilgotnej papki.

– Zawsze biorę ze sobą zaparzarke, tylko tym razem zapomniałem zawczasu zemleć kawę. – Jack wsypał do swego kubka śmietankę w proszku i pomieszał. – Skończyło się na tłuczeniu ziaren siekierą.

Ellie oderwała kolejny kawałek czekoladowego pączka z posypką i wprawnie cisnęła psu, który złapał go w locie.

– Totalne uzależnienie, co?

Starszy pan spurpurowiał. Alex zrobiło się go żal.

– Postąpiłabym identycznie.

Dziewczynka posłała jej miażdżące spojrzenie, a Jack tylko zachichotał.

– Cóż, nie rekomendowałbym tej metody. Kawa była tak mocna, że cierpły mi zęby... Ellie, kochanie, Mina od tego ciastka zachoruje. Słodyczne nie służą psom.

– Nic jej nie będzie – burknęła Ellie i rzuciła kolejny kawałek pączka.

Alex zmieniła temat.

– A wy skąd jesteście?

– Z Minneapolis – odparł Jack. – Pracowałem jako reporter, zagraniczny korespondent „Tribune”. Ale odkąd zginął Danny, nie byłem w stanie napisać z sensem ani słowa. Mój naczelny rwie włosy z głowy, co zważywszy na fakt, że już jest łysy, stanowi prawdziwe wyzwanie. Ale to porządny facet.

Ellie parsknęła.

– To dlaczego nazywasz go idiotą za każdym razem, kiedy odkładasz słuchawkę?

Co było z tym dzieciakiem nie tak?

– Mój nauczyciel angielskiego twierdzi, że pisarz jest najgorszym sędzią własnej pracy – powiedziała Alex.

– Może. Ale rzecz w tym, że ja już niezbyt wierzę w to swoje pisanie. Ludziom nie zależy. Większość ma koncentrację uwagi na poziomie komara. Nic ich nie rusza. Na przykład te dyrdymały o zakończeniu działań bojowych w Iraku. Co za chrzanione bzdury. Wszystko

polityka. Czego nam nie mówią, to tego, że dla chłopców, którzy nadal tam są, zasady służby w niczym się nie zmieniły, że ciągle dochodzi do strzelaniny... – Jack przerwał, westchnął i przesunął dłonią po rozwichrzonych, śnieżnobiałych włosach. – Przepraszam. Ten temat sprawia, że wydaję się wściekły i zgorzkniały. Wcale taki nie jestem. Tylko...

– Właśnie trzeba, żebyś był wściekły – przerwała mu Ellie z nagłym żarem. – Mój tatuś został zabity i nikogo za to nie wsadzili do więzienia. Wyleciał w powietrze, a ja mam tylko głupiego psa. Dlaczego tak jest?

– Posłuchaj, Ellie, już o tym rozmawialiśmy. Na wojnie...

– Wojna? To coś wyjaśnia? – Dziewczynka rzuciła reszką pączka w Minę. Zaskoczony pies cofnął się o kilka kroków i z niepokojem zerkał na Jacka.

Alex nie wytrzymała.

– Powinnaś być dla dziadka trochę grzeczniejsza. On nie robi ci nic złego.

– A kogo obchodzi, co ty myślisz? Nie jesteś moją matką. Nie znam cię! – Ellie kopnęła turystyczną kuchenkę. Malutka kuchenka wywróciła się i zaparzarka do kawy runęła na kamienie, rozpryskując odłamki szkła i gorący napój. Mina ze skowytem uskoczyła z drogi. – Nikt ciebie nie pytał!

– Ellie! – Jack próbował schwycić wnuczkę. – Dosyć!

– Nienawidzę tego. – Ellie wyślizgnęła mu się z rąk. – Nienawidzę tego, nienawidzę ciebie, nienawidzę lasu.



Nienawidzę wszystkich! Zostaw mnie!

– Spokój! – Jack wreszcie stracił cierpliwość. – Idź się przejść i weź się w garść. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Świetnie! – rzuciła wściekle dziewczynka. Wepchnęła słuchawki do uszu i odmaszerowała w kierunku ścieżki, którą Alex szła poprzedniego dnia. Mina ruszyła truchtem za swoją panią, ale Ellie krzyknęła przez ramię: Zostań! Pies zawahał się, po czym zrobił kolejny, niepewny krok. Dziewczynka złapała gałąź i zamachnęła się nią jak kijem baseballowym.

– Zostań, ty głupi psie, zostań!

– Ellie! – ryknął Jack. – Nie waż się jej uderzyć! Mina, do nogi! – A kiedy suka przybiegła, zwrócił się do wnuczki: – Kochanie, koteczku, dlaczego musisz być taka okropna?

– A dlaczego nie? Dawniej byłam grzeczna i co? – Odwróciwszy się na pięcie, Ellie popędziła do lasu.

– Jej matka odeszła Bóg wie dokąd, a moja Mary umarła, więc ma tylko mnie. To bardzo ciężki rok – powiedział Jack. Zebrał pełną garść potłuczonego szkła. – Posłuchaj, chciałbym za to zapłacić.

– Nie, nie, nic się nie stało. Rozumiem – odparła Alex mimo irytacji. Jack wydawał się dość sympatyczny, ale ona miała własne problemy, a teraz w dodatku została bez zaparzarki. Dzięki Bogu, że spakowała też kawę rozpuszczalną.

Wzięła się do oględzin kuchenki i omal nie jęknęła. Wążek gazowy był podejrzanie poskręcany, dwie nóżki wygięte. Ze swoim szczęściem będzie musiała tłuc metal kamieniem, może się wyprostują.

– Niech pan uważa, żeby się nie pokaleczyć.

– Och, jak na takiego starego piernika jestem dość odporny. To znaczy, z wyjątkiem serca. Jakies pół roku temu dostałem nowy rozrusznik. – Jack wrzucił szkło do pustej torby po pączkach. – Kto mnie martwi, to Ellie. Ona jest małą bombą z opóźnionym zapłonem. Miałem nadzieję, że jeśli zdołam z nią gdzieś wyskoczyć, trochę połowić ryby... Ludzie chcą dobrze, ale zbyt wiele współczucia przekracza wytrzymałość małej dziewczynki.

Alex doskonale rozumiała. Każdemu zawsze było tak przykro. A w rzeczywistości używa się tego zwrotu, bo brzmi uprzejmiej niż: Och, całe szczęście, że to ty, a nie ja.

– A gdzie jest jej mama?

Jack odchrząknął.

– Cholera wie. Odeszła w rok po urodzeniu Ellie. Powiedziała, że potrzebuje czasu, żeby zebrać myśli i odnaleźć się. Zgubić się, bardziej by pasowało. Od tego czasu jej nie widziałem. Świat jest naprawdę pokręcony. Zmuszają cię, żeby uzyskać licencję, jeśli chcesz hodować psa, a każdemu durniowi pozwalają mieć dziecko. – Westchnął. – Wiele z tego jest moją winą.

– Co pan przez to rozumie?

Jack kiwnął ręką w stronę Miny, która wylegiwała się

na brzuchu i drzemała.

– To mój pomysł. Kiedy wojskowe psy przechodzą na emeryturę – bo są zbyt poobijane, żeby dalej pracować albo zwyczajnie stare – armia pozwala adoptować je rodzinom ich opiekunów. Jeśli tylko zechcą. Minę poranił ten sam wybuch, który zabił Danny’ego, więc myślałem, że Ellie poczuje się lepiej, jeśli będzie ją miała. Tak jakby nadal była przy niej jakaś część ojca. On kochał tego psa, ale Ellie go nienawidzi. W rzeczywistości nie jest złym dzieckiem. Przez większość czasu bywa na tyle skłonna do współpracy, na ile można tego oczekiwać od smutnej i naprawdę rozgniewanej ośmiolatki.

– To nie brzmi zbyt budująco.

– Kwestia przyzwyczajenia. Myślałem, że dobrze jej zrobi, jeśli wyjmie słuchawki z uszu, wyjedzie na świeże powietrze, spędzi trochę czasu z Miną... – Jack skwitował resztę machnięciem ręki. – Ale dosyć o tym. A jaka jest twoja historia?

– Moja? – Alex dała sobie spokój z próbami pokonania siłą nóżek kuchenki. – Po prostu muszę rozwiązać pewne problemy.

– Dokąd wędrujesz?

– Na Mirror Point.

– Nad Jeziorem Górnym? To cholernie daleko. Nie pozwoliłbym, żeby moja córka szła tam sama. Nie wiadomo co się może zdarzyć.

Wiedziała, że Jack chciał dobrze, ale jednym z plusów śmiertelnej choroby jest to, że można łamać różnego

rodzaju konwenanse. Więc przeszła do ofensywy.

– Nie potrzebuję pana zgody i nie pytałam o pana opinię.

– Co nie znaczy, że jej nie wygłoszę. Wy, dzieciaki, macie się za niezniszczalnych, ale po tych lasach grasują dzikie psy i różnego rodzaju świry.

Nie mówiąc o dziadkach, którzy wściubiają nos w cudze sprawy. Jednak to zabrzmiałoby już zbyt kądzielnie. Alex czuła, że Jack czepia się jej, bo nie potrafi pomóc Ellie. Skupiła się więc na demontowaniu palnika, pozwalając, by zapadło milczenie. Po chwili Jack ścisnął ją za ramię.

– Przepraszam. Wiem, że ze mnie stary zrzęda.

– Doceniam pana troskę – odparła zirytowana zarówno kuchenką, jak i tą rozmową – ale naprawdę...

Niespodziewanie palce mężczyzny zacisnęły się tak mocno, że aż zabolą. Ze zdziwieniem podniosła wzrok. Kiedy jednak spojrzała na Jacka, wszystko co zamierzała powiedzieć, wyparowało jej z głowy.

– Ja... – Jego twarz krzywiła się w nagłym ataku bólu. Obiema dłońmi z całych sił chwycił się za skronie. – Ja... czekaj, czekaj...

– Jack! – Zaniepokojona, próbowała go podtrzymać... i wtedy zauważyła psa. Mina była kompletnie sztywna. Mięśnie jej dygotały, sierść na grzbiecie miała zjeżoną jak w irokezie. Czarne wargi kurczyły się, odsłaniając dwa błyszczące rzędy bardzo ostrych i bardzo białych zębów, a z gardła wydobywało się warczenie.

Alex poczuła ukłucie strachu.

– Proszę pana, Mina...

Jack wydał zdławiony odgłos – głuchy, chrapliwy bulgot – i po chwili strumień jasnoczerwonej krwi buchnął mu z ust, obryzgując lodowate kamienie. Dziewczyna przeraźliwie krzyknęła, a jednocześnie rozległ się wysoki psi skowyt...

W sekundę później ból dopadł również Alex.

## 4

Ból był żywym ogniem, laserem, który przypiekał jej mózg. W uszach buzował gwałtowny metaliczny terkot, wzrok zaćmiła najpierw czerwień, a potem oślepiająca biel. Alex zatoczyła się, stopy jej się zaplątały i upadła. Z gardła wytrysnęło coś mokrego, gorącego i skapywało po podbródku.

Jack był w równie złym stanie, może nawet w gorszym. Skórę miał tak kredowobiałą, że na jej tle krew wyglądała całkiem sztucznie, jak podróbka na Halloween. Nogi ugięły się pod nim i zaczął się osuwać, jedną ręką szarpiąc klatkę piersiową, a potem po prostu runął na ziemię jak marionetka, której przecięto sznurki. Uderzył ciężko, waląc głową o skałę. Okulary spadły mu z twarzy. Ich szkła iskrzyły się w blasku słońca.

Kompletnie ogłuszona Alex mogła tylko bezwładnie leżeć niczym zepsuta lalka. Zaczęła kasłać, bo w gardle

miała kałużę krwi, a przed oczyma wirowało jej wszystko jak woda, która kotłuje się, wpadając do odpływu. Dziwny metaliczny zgrzyt nadal był bardzo głośny i jakby bryzgał z nieba. Co to takiego? Oszołomiona bólem drażącym mózg jak świder, dźwignęła głowę i z całych sił starała się skoncentrować. W pierwszej chwili pomyślała, że chyba traci przytomność, bo niebo stawało się coraz czarniejsze. Jednak zaraz uświadomiła sobie, że ta czerń się porusza.

Ptaki. To były ptaki. Nie kilka czy nawet stado, ale setki, tysiące. Wszelkich gatunków, wszelkich kształtów, wszelkich rozmiarów. Ptaki były wszędzie na niebie. Ekspłodowały z doliny ku górze niczym poruszający się ruchem spiralnym, rozwrzeszczany komin chmur. Nie leciały w sposób zorganizowany, nie podążały wybranym szlakiem jak robi to stado, tylko wpadały jedno na drugie. Może dlatego, że było ich tak wiele, a może ból, który trzymał ją w żelaznym uścisku, dopadł również zwierzęta.

Coś uderzyło Alex w nogi. Cofnęła się z piskiem przerażenia i zdychający kruk przekoziółkował na skałę. Jedno z masywnych skrzydeł miał nienaturalnie wygięte do tyłu, a czarny dziób obłamany jak grafit w ołówku. Dookoła lunął z nieba deszcz martwych i konających ptaków.

Nagle rozległ się donośny nieludzki wrzask. Drgnąwszy gwałtownie, zerknęła przez ramię, w samą porę, by dostrzec, jak na wzgórzu wpadają trzy jelenie. Dotarły na krawędź zbocza, uniosły się na tylnych nogach

i zaczęły z łoskotem młota pneumatycznego młócić skałę kopytami. Jedno ze zwierząt – wielka łania – wydało chrapliwy, podobny do mokrego kaszlu ryk, po czym krew buchnęła mu z pyska szkarłatnym pierścieniem. Łania znowu stanęła dęba, jej przednie nogi pedałowały. Dwa pozostałe jelenie też zaczęły ciąć kopytami powietrze. Potem gwałtownie rzuciły się do przodu, jakby jakaś niewidzialna ręka ciągnęła je w przepaść.

Nie, nie, nie. Myśli Alex napływały w poszarpanych urywkach. Nie, ty tego... tego nie widzisz. One nie mają zamiaru... nie mogą...

Ale mogły.

Wystrzeliły z grani w pustą przestrzeń.

Przez moment trwały zawieszony pomiędzy duszącym się od ptaków niebem a ciemniejszą paszczą doliny i Alex przypomniał się latający renifer...

Ale realny świat znowu przejął władzę. Grawitacja zacisnęła dłoń w kułak.

Jelenie runęły w przepaść. Przeraźliwy ryk pociągnął się za nimi jak ogon komety. I już ich nie było.

## 5

Ułamek sekundy później trzasnęło jej w głowie. Poczowała niemal fizyczne szarpnięcie, jakby to coś, co trzymało ją za kark, nagle puściło. Imadło wokół czaszki rozluźniło zacisk i żołądek natychmiast odmówił

posłuszeństwa. Alex zwymiotowała na ziemię. Nawet kiedy była pewna, że nie ma już czego zwracać, zwisała wyczerpana na czworakach. Musujące mrowienie rozplątywało się po żyłach i szczypało skórę. Miała uczucie, że całe ciało było pogrążone we śnie i dopiero teraz mózg wykombinował sposób, by się znowu podłączyć. Serce jej waliło. Wnętrze głowy wydawało się rozmiękle i poobtłukiwane, jakby ktoś wetknął do środka łyżkę i solidnie zamieszał. Alex dygotała niczym po zalewającej organizm olbrzymiej dawce chemii. Coś sączyło się i powoli ściekało z prawej strony szyi. Przeciągnęła palcami po skórze. Były pokryte krwią.

O mój Boże. Zacisnęła powieki w obronie przed atakiem ostrej paniki, która wydzieraa się z jej piersi i chwyciała za gardło. Uspokój się, uspokój...

– Dziadkuuu?

Skrajem lasu na rękach i kolanach pełzła Ellie. Plama krwi barwiła jej górną wargę.

– Dziadkuuu? – Głos małej zamarł na moment, po czym podniósł się o stopień wyżej. – Dziadkuuuuuuu?

– Ellie. – Alex odepchnęła się od ziemi i usiadła, ale zbyt gwałtownie. Świat znowu się rozkołysał. Kiedy żołądek podszedł jej do gardła, musiała walczyć z kolejną falą mdłości.

– Gdzie jest mój... – Ellie wpatrywała się w jakimś punkt za plecami Alex, a potem oczy dziewczynki rozwarły się szeroko, ukazując białka wokół okruchów



srebrzystoszarych tęczęwek. – Dziadku?

Alex powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem. Jack leżał bez ruchu, twarzą do ziemi. Jezioro krwi oblewało go jak czerwona otoczka.

– Dziadku. – Mała zaczęła się czołgać. Otarła się ręką o zdechłego ptaka i odskoczyła z krzykiem. Lepka kreza pokrwawionych piór przywarła do wierzchu jej dłoni. Dygocząc na widok straszliwego chaosu, Ellie otwierała i zamykała oczy. Słowa rwały się jej wraz z oddechem: – Zrób coś... z... z... zrób coś...

Zrobić coś? Ale co? Alex знаła zasady udzielania pierwszej pomocy. Matka lekarka już tego dopilnowała. Ale Jack wyglądał na kompletnie martwego, a poza tym był stary i miał wszczepiony rozrusznik, a zastosowanie metody usta-usta wobec konkretnego człowieka, który niedawno wymiotował krwią... Żołądek dziewczyny po raz kolejny zafalował. A gdyby jednak przywróciła Jacka do życia albo gdyby wyczuła u niego puls, to co wtedy? Nie mogła wezwać pomocy i była oddalona o kilka dni od swego samochodu.

No dalej, weź się w garść! Po prostu sprawdź i skończ z tym wreszcie, nakazała sobie w duchu.

Dotknięcie nieruchomego ciała przyprawiło ją o dreszcze. Skrzywiła się, słysząc mlaszczący chłupot, który wydało, kiedy przetaczała je na plecy. Krew pokryła twarz Jacka śliską maską, nadal tak ciepłą, że jeszcze parowała.

– Prochy Od uderzenia o skałę przednie zęby, na górze i na dole, roztrzaskały się w garstkę umazanych,

prawie kwadratowych kawałeczków wyglądających jak klawisze. Zbierając siły, Alex przycisnęła palce do jego szyi i zaczęła szukać tętna. Krew Jacka była lepka. Dziewczyna z trudem zdusiła łkanie: No dawaj, poradzisz sobie. Nie pękaj... – powtarzała jak mantrę.

W jej ramię wczepiła się dłoń Ellie.

– Zrób coś. Proszę.

Wtem pod opuszkami palców uchwyciła szybkie motyle trzepotanie i o mało bezmyślnie czegoś nie palnęła, zanim zdała sobie sprawę, że to jej własny puls. Zmusiła się, by dla pewności odczekać jeszcze kilka sekund, ale wiedziała już, że Jack nie żyje. Powinna była się zmartwić, jednak poczuła tylko ulgę, bo wreszcie mogła zabrać rękę.

– Przykro mi, Ellie. – Wysychające czerwone smugi i ciemniejsze półksiężycy tworzyły obwódki wokół jej paznokci. Nagle Alex rozpaczliwie zapragnęła wziąć prysznic, wykapać się – cokolwiek, byle tylko się pozbyć odrażającego uczucia, o jakie przyprawiała ją krew Jacka. I czy nie należało poszukać czegoś, żeby przykryć zwłoki? Może miał coś w plecaku? – Myślę, że twój dziadzio umarł.

– Nie. – Ellie pociągnęła krwawiącym nosem. Zęby miała pomarańczowe, a krok w jej dzinsach był poplamiony i ciemny. – Nie, nie, kłamiesz!

– Nie kłamię. – Boże, jedyne czego chciała, to zejść z tej obłąkanej góry i dostać się do swego samochodu. Właściwie co się stało? A gdyby... – strach złapał ją za

gardło – gdyby to się znowu zdarzyło?

Muszę stąd uciekać, pomyślała. W jej nosie nasilał się fetor krwi Jacka, wilgotny i miedziany. Teraz poczuła również Ellie – ostry zapach amoniaku – i już wiedziała, że mała zmoczyła się w majtki. Od skóry dziewczynki biła jeszcze bardziej smrodliwa woń, jakby Ellie zapomniała umyć zęby. Uciekać, dotrzeć do samochodu. Może strażnik przy wejściu będzie...

I wtedy Alex nagle pomyślała: Zaraz, zaraz... co?!

## 6

Zastygła w kompletnym bezruchu.

Nie.

Myliła się. Musiała się mylić.

Przecież nie miała powonienia. Nowotwór pożarł ten zmysł.

A jednak.

A jednak to była krew. Wąchała krew Jacka. Ellie się zsiusiała i ona, Alex, to czuła. Teraz, dokładnie w tej sekundzie.

Niemożliwe. To musiała być wyobraźnia, ból, szok albo... albo coś innego.

A jeśli nie?

Niemal bała się spróbować jeszcze raz. Ale spróbowała; musiała wiedzieć. Jakkolwiek okropny byłby ten moment, pochyliła się nad Jackiem i celowo

wciągnęła długi, powolny oddech, nadal myśląc: Ostrożnie, to omamy, po prostu jeden z tworzonych przez mózg fantomów.

Nie, nie miała halucynacji. Znowu dobiegł ją odór niemal tak materialny, że aż zakręciło się jej w nosie. Czują – szukała po omacku czegoś dla porównania – ... tak, zapach mokrych miedziaków.

Ułamek sekundy później w płatach jej mózgu strzeliła maciupka lampa błyskowa i nagle Alex wyraźnie ujrzała swój mały, czerwony wózek, ten, który kiedyś w czasie deszczu zostawiła na dworze. Z zaskoczenia aż się wzdrygnęła. Czerwony wózek... ile miała wtedy lat? Sześć? Nie, nie, siedem, bo teraz nastąpiła cała seria błyskawicznych wybuchów jak migotanie fajerwerków: ceglane patio, białe róże pnące się po kracie, leniwe brzęczenie pszczół, a potem pojawiła się mama, jej mama, jej własna piękna matka, która stała obok taty, a tata mówił: „Myśleliśmy, że mając siedem lat, jesteś wystarczająco duża, żeby wiedzieć, jak trzeba dbać o swoje rzeczy”.

Tata. Alex gwałtownie wciągnęła oddech. Powietrze wdarło się do jej ust i owiało język. Odnotowała coś kwaskowatego... wyraźną gorycz... i słodycz. Kawa... to był smak kawy i... pączka. Zwymiotowała je, a teraz czuła ich smak. Mogła poczuć zapach.

I Alex pomyślała: Och. Mój. Boże.

Doktor Barrett rozmawiał z nią o końcu: to utrata tej

funkcji, to obumieranie tamtej. I jeszcze być może potrzeba zarządzania bólem, co w lekarskim żargonie oznacza odurzanie narkotykami, dopóki pacjent spokojnie nie zaśnie na wieki.

Jednak Barrett nie miał pewności nawet w tej sprawie, bo koniec mógł nastąpić bardzo szybko. Guz robił się coraz większy, zaczynało mu brakować miejsca. Przy wystarczająco silnym ucisku w ograniczonej przestrzeni groziło, że mózg wytryśnie z podstawy czaszki jak pasta z tubki. A wtedy wszystko, co podtrzymywało przy życiu ziemską powłokę Alex – serce, płuca – po prostu przestałoby działać.

Barrett nie twierdził nic stanowczo z tej racji, że każdy jest inny. Nie mógł powiedzieć jej, czego ma się spodziewać, ponieważ, no cóż... sam jak dotąd nie umarł. Zgoda, w porządku. Ale jednego Alex była absolutnie pewna: doktor nigdy, przenigdy nie mówił, że w ostatnich chwilach, mogłaby naprawdę odzyskać to, co utraciła.

Na przykład powonienie.

I smak.

Swego tatę. Swoją mamę.

A teraz czuła zapach krwi Jacka. I pojawiły się te zagubione wspomnienia o czerwonym wózeczku, białych różach i matce. Usłyszała głos ojca. Czuła w ustach cierpką obwódkę wymiotów. I była przytomna. Nie śniła.

Może coś takiego ludzie mają na myśli, kiedy twierdzą, że w momencie śmierci życie przelatuje człowiekowi przed oczami? Nie wiedziała. Nigdy

specjalnie nie wypytywała o to Barretta. I prawdę mówiąc, wcale nie była pewna, czy chciałaby wiedzieć. Oczywiście, słyszała o doznaniach zbliżającego się końca. Oglądała *Ducha* i знаła historie o tym, jak wszyscy kochani bliscy, którzy odeszli wcześniej, czekają na was, aż przejdziecie do światła. Ale to idiotyzm. Coś, w czym ludzie pokładają nadzieję, że się zdarzy, a nie to, co się zdarza rzeczywiście. Alex miała wystarczającą wiedzę z nauk ścisłych i mnóstwo własnych doświadczeń. Mózg to pokrecony narząd. Zabijcie w sobie zmysł powonienia, zmiażdźcie zdolność odczuwania smaku, a większość waszych wspomnień też zostanie pochłonięta. Więc może wystarczy odciąć dopływ krwi do mózgu, pozbawić komórki tlenu i białe światło jest tym, co się widzi, odchodząc. Kto wie? Z pewnością nie ona. Nie miała pojęcia, czego oczekiwać.

Chyba że to było właśnie to.

Chyba że to był jej koniec i właśnie go przeżywała.

## 7

Pies stęknął.

– Popatrz. – Głos Ellie był zawzięty i zdławiony. Usmarkana krwawa smuga połyskiwała nad jej górną wargą. – Koło twego namiotu.

Nie, nie, odejdz, zostaw mnie, prosiła w myślach. Igły strachu przeszły serce Alex. Jeśli nie będzie uważać, czy

te wszystkie zapachy, wspomnienia znowu się jej nie wymkną? Chciała tylko przycupnąć gdzieś sama, w ciszy i skupić się na tym, co się z nią działo.

– Co? – zapytała, ale w tej samej chwili dostrzegła, że pies próbuje dźwignąć się z ziemi, i musiała stłumić jęk. Wyglądał kiepsko, był zamroczony. Krew jak gęsty syrop kapiała mu z rany na łbie. Ciężko dysząc, Mina powlokła się do ciała Jacka. Brodziła wśród zdechłych ptaków, znaczyła drogę krwawymi odciskami łap. Alex czujnie napięła się, kiedy zwierzę obwąchiwało zwłoki. Nie miała żadnych doświadczeń z psami. Czy przypadkiem niektóre nie odmawiają ruszenia się z miejsca, kiedy ich właściciel umarł? Boże, co ona zrobi, jeśli...

Mina zaczęła szczekać. Zjadle, bardzo głośno. Alex zaskoczona aż drgnęła.

– Zamknij się, ty głupia! – Ellie przyciskała zakrwawione dłonie do uszu. – Zamknij się, zamknij!

– Cicho, ciii. – To ujadanie było nie do zniesienia. Jak strzały. Dziewczyna ruszyła przed siebie, nie mając wyraźnego pomysłu, co zamierza zrobić. Chciała tylko, żeby pies zamilkł. Wyciągnęła do niego rękę. – Malutka, ej.

Warcząc i szczerząc zęby, Mina szarpnęła łbem. Alex z cichym okrzykiem cofnęła dłoń i właśnie wtedy, dosłownie po chwili, doleciał ją odór wilgotnego futra – i jeszcze czegoś. Dziki, silny, pierwotny.

Co to? Poczowała, jak włoski jeżą się jej na karku. Zapach był przemożny, bił od psa falami. Alex na pewno

nigdy w życiu czegoś takiego nie wahała.

– Dobrze – powiedziała. Tętno na szyi waliło w szalonym tempie. – Już dobrze, malutka. – Nie rozglądając się wokół, dała krok do tyłu, poczuła pod stopą coś elastycznego i usłyszała chrup-chrzęst-trzask. Rozdeptała ptaka. Do jej nozdrzy napłynął, wijąc się jak dym, smród zmiżdżonych wnętrzości, a spomiędzy zębów usiłował się wyrwać stłumiony jęk obrzydzenia.

Zostaw tego psa. Niech Ellie sobie z nim radzi, powtarzała w myśli. Mimo chłodu kark ociekał jej potem. Usta wypełniała metaliczna cierpkość, która przebijała skwaśniały smak wymiotów. Od Alex załatywało słonym ciepłem i zimnym strachem. Zabieraj swoje manatki, zabieraj dzieciaka i rusz się z tej góry, dopóki jeszcze możesz.

Obojętnie, co mówiła i jak głośno, Ellie nie zamierzała ustąpić. W końcu Alex, zdenerwowana, z cierpliwością w strzępach, chwyciła dziewczynkę za nadgarstki.

– Ellie, posłuchaj mnie. Musimy stąd iść.

– Nie. – Mała wyrwała się i znowu przycisnęła dłonie do uszu. Dzieciak był nienormalnie silny. – Nigdzie z tobą nie pójdę!

– Nie możesz tu zostać.

– Owszem, mogę. Nie będziesz mi mówić, co mam robić.

– Ellie, przykro mi z powodu twego dziadka, ale on nie żyje, a my musimy się stąd wydostać. Musimy kogoś



zawiadomić, co się stało. – I w nagłym natchnieniu dodała: – Dziadek chciałby, żebyś była bezpieczna.

– Nie pójdę.

Czy ten bachor robił cokolwiek, o co się go prosiło? Miała ochotę potrząsać dziewczynką, aż zagrzechoczą jej zęby.

– Nie mogę cię tutaj zostawić.

– Dlaczego? Potrafię dać sobie radę. Wiem, jak rozbić obóz.

Bardzo w to wątpiąc, Alex postanowiła wypróbować psychologiczną metodę, o której kiedyś czytała.

– Posłuchaj, na szlaku będę potrzebowała twojej pomocy. To długa, ciężka wędrówka, więc potrzebuję kogoś, kto ze mną pójdzie.

Mała zmrużyła jedno oko i zerknęła z ukosa.

– Dokąd?

– Zaczekaj, zaraz ci pokażę. – Alex zaczęła grzebać w swoim plecaku. Przerzucała jego zawartość, dopóki nie znalazła mapy, o którą jej chodziło. – Widziałaś kiedyś mapę topograficzną?

Błysk zaciekawienia przemknął po twarzy Ellie.

– Jaka?

– Zobacz, jest naprawdę szczegółowa. Dobrze zrobiona, pokazuje prawie wszystko: strumienie, rzeki, stare kamieniołomy, tory kolejowe, jak wysokie są góry i jak strome. Czerwone linie to drogi. Mocna zieleń oznacza las... – Przesuwała palcem, aż trafiła na czarny kontur klockowatego domku z flagą na szczycie. – Tego

właśnie potrzebujemy.

– A co to jest?

– Strażnica rangersów [W tym wypadku chodzi o strażników leśnych]. Oni już będą wiedzieli co robić. Mogą przez radio wezwać pomoc.

Ellie chwilę rozważała tę informację.

– To chyba daleko. I wysoko.

Strażnica była bardzo daleko – dobre dwadzieścia pięć mil na wschód – i o wiele wyżej. Sąsiadowała z przeciwpożarową wieżą obserwacyjną, wznoszącą się na stromych urwiskach, które otaczały małą fasolkę jeziora. Jednak wędrówka do strażnicy była lepszym pomysłem niż cofanie się tą samą trasą przez cztery dni. Jeśli przyjmą forsowne tempo, powinny dotrzeć do rangersów w ciągu półtorej doby, może nawet szybciej.

– Na pewno dasz radę.

Twarz dziewczynki zasepił dobrze znany gniewny grymas.

– Ale wygląda trudno. Z dziadkiem szliśmy tylko sześć mil dziennie.

Uua. Alex poczuła ukłucie niepokoju. Sześć mil dziennie? Jak oni to robili? Czołgali się? Wędrując w tym tempie, będą miały z Ellie poważniejsze problemy. Na przykład skończy im się jedzenie. Okej, jeszcze nie panikuj. Jack musiał mieć jakieś zapasy, pocieszała się w myślach. Na głos powiedziała:

– Mogę się założyć, że potrafisz o wiele więcej. Wydajesz się bardzo silna.

Ellie rzuciła jej spojrzenie, które dobitnie mówiło, że Alex dużo tam wie.

– Co to jest? – Dziewczynka przelotnie zerknęła na mapę i dźgnęła palcem mały znaczek w lewym dolnym narożniku: ----<

– Być może jakaś stara kopalnia na południowy wschód stąd. Albo jaskinia.

– To tutaj są kopalnie? I jaskinie?

– No pewnie. To dawny górniczy region. Więc są tu stare, opuszczone szyby i...

– A niedźwiedzie?

– W jaskiniach? Jeszcze nie. Będą szukać kryjówek, dopiero kiedy zrobi się naprawdę zimno. Ale czarnymi niedźwiedziami nie musimy się przejmować, dopóki zachowujemy ostrożność. Więc nic się nie martw...

– A co z wilkami?

Dobra, były na fali.

– Tak, w okolicy są wilki. Słyszałaś je po nocach, prawda? I to jest kolejny powód, żeby się stąd galopem zabrać. Wszystkie te martwe ptaki przyciągną różne zwierzęta: kojoty, szopy, wilki i... – Zbyt późno odczytała wyraz grozy na buzi Ellie i uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała.

– Chcesz pozwolić, żeby wilki znalazły dziadka?

– Nie, nie, miałam zamiar...

– One go zjedzą! – Łzy zalewały policzki dziewczynki. – One go znajdą!

– Ellie...

– Nie! – Z dłońmi zaciśniętymi w pięści Ellie kopnęła mapę, czubkiem buta zaczepiając o linię zagięcia. Papier wydał odgłos jak przetarte płótno, rozdzierane na dwoje. – Nie pójdę, nie pójdę, nie pójdę!

– Ellie! – Alex dała nura po mapę. – Przestań! Potrzebujemy jej.

– Ale ja nie potrzebuję ciebie! – Mała cofała się, potykając, ślizgając się na zdechłych ptakach i plamie krwi Jacka. Nigdzie z tobą nie idę!

– Świetnie! Wobec tego ty i twój głupi pies możecie tu zostać. Ale robi się późno. – Wstając, Alex podciągnęła rękaw, żeby zerknąć na zegarek. – Przede mną kawał drogi. Nie mam czasu na...

Przerwała, bo mózg zawiesił się jej w pół słowa.

Chwileczkę. Wpatrywała się w tarczę. Coś się nie zgadza.

## 8

Był to starszy model Casio Iron Man, jedyny zegarek, który nosiła podczas pieszych wypraw ze względu na jego wytrzymałość, wodoodporność i niską cenę. Miała go już prawie dziesięć lat i w tym czasie musiała zmieniać baterię może ze dwa razy. Dotychczas, nigdy jej nie zawiódł, nie sprawiał kłopotu nawet przez ułamek sekundy.

Teraz jednak szary ekranik był pusty.

Czyżby upadając, grzmotnęła nim o ziemię? Uważnie obejrzała zegarek. Dostrzegła tylko te wgniecenia i zadrapania, które dobrze знаła. Nie, była pewna, że casio świetnie działał. Prawdę mówiąc, zawsze pamiętała o sprawdzaniu czasu.

No cóż... dobra, więc jej zegarek dokonał żywota. Zbieg okoliczności.

Tak, ale Jack umarł. I coś sprawiło, że ptaki oszalały. I te jelenie. Coś przepaliło jej mózg jak wstrząs elektryczny – nie, bardziej jak błyskawica – tak mocno, że o mało nie zemdląca. A teraz powrócił jej zmysł powonienia.

Więc... może to nie był zbieg okoliczności.

Palce jej się trzęsły, kiedy wyciągała swego iPoda. Nacisnęła kciukiem przycisk. Potem znowu i jeszcze trzeci raz, ale iPod pozostał tak samo martwy.

Spróbowała z telefonem komórkowym. Na próżno. Nie chodziło o zwykły brak zasięgu – tego się spodziewała – ale komórka w ogóle nie chciała się włączyć.

Podobnie radio. Zmiana baterii nic nie pomogła. Zanim dotarło do niej, że dwie latarki typu LED też padły, pozostawiając ją na łasce starej swiss army, którą ojciec kupił chyba z milion lat temu, była już ostro wkurzona.

Jedno elektroniczne urządzenie wysiada – to się może zdarzyć.

Dwa – to już pech.

Ale wszystkie?

Bacne spojrzenie Alex powoli przesunęło się na Ellie i słuchawki, które nadal zwisały jej z szyi.

– Twój iPod działa?

– Nie. – Szare oczy dziewczynki podniosły się niechętnie. – Zrobił się gorący.

– Co?

– Zrobił się gorący. – Jej ton sugerował, że Alex najwyraźniej jest nie tylko kompletnie tępa, ale również całkowicie głucha. – Słuchałam go i wtedy zrobił się bardzo gorący.

– Gorący.

– Tak że sparzył mnie w rękę, rozumiesz? A potem przestał działać i...

– Masz latarkę? – Alex przerwała jej.

– No jasne.

– Mogę ją zobaczyć?

Znowu naburmuszona mina.

– Nie.

Nie należało naciskać. Wzrok Alex padł na nadgarstek małej.

– Która godzina?

– Zobacz na swoim.

Poczuła nieprzepartą chęć, żeby zepchnąć tego bachora z urwiska.

– Możesz mi po prostu odpowiedzieć?

Mała ciężko westchnęła.

– Dziewiąta... jedenaście.

To wprowadziło Alex w zakłopotanie. Jednak po chwili

przyszło jej na myśl, że ośmioletni dzieciak może nie umieć odczytywać godziny, a ona z pewnością nie zamierzała w to wchodzić. Równie dobrze 9. 11 mogła być 9. 55, co wydawało się prawidłową odpowiedzią. I znaczyło, że zegarek Ellie...

– Twój zegarek chodzi?

Ellie niemal uśmiechnęła się szyderczo.

– No pewnie. To mickey mouse. Kiedyś był tatusia, a teraz jest mój. Codziennie go nakręcam, tak jak nauczył mnie dziadek.

Nakręcany. Czyżby chodziło tylko o baterie? Nie, stara latarka taty świeci. To musi być coś innego. Mimo całej tej krwi widziała zegarek na prawym nadgarstku Jacka, ale stała zbyt daleko, żeby mieć pewność. Nie chciała znowu dotykać zwłok. Zresztą Mina mogła jej do nich nie dopuścić.

– Czy zegarek twego dziadka nadal działa?

– Nie wiem. Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?

– Proszę, czy mogłabyś sprawdzić? Nie sądzę, żeby Mina mi pozwoliła...

– Nie chcę go dotykać – wypaliła Ellie.

– Aha. – Alex świetnie ją rozumiała. – Dobrze, a możesz przytrzymać Minę? Boję się, że się wkurzy, a muszę coś sprawdzić. – Przez moment sądziła, że Ellie odmówi, ale po chwili dłoń dziewczynki prześlizgnęła się w okolicę obroży.

Nie spuszczać psa z oka, Alex posuwała się do przodu. Jednocześnie wlepiła wzrok w zegarek Jacka.

Wskazówka godzinowa znieruchomiła na dziewiątce. Minutowa twierdziła, że są trzy minuty po, a sekundnik widniał pomiędzy dwudziestką a kreseczką – i nie poruszał się. Alex wpatrywała się w tarczę z takim skupieniem, że gdyby była cyklopem, mogłaby wypalić w niej dziurę na wylot. Gapiła się tak długo, aż oczy zaszły jej łzami. Ale sekundnik ani drgnął.

Oba zegarki, iPody, radio, latarki z diodami LED – wszystko padło. Jack też... Zamyślona powoli przesunęła spojrzenie na twarz zmarłego. Coś, co jej powiedział, było bardzo ważne: „Jak na takiego starego piernika jestem dość odporny. To znaczy, z wyjątkiem serca”.

Oczywiście! Jack miał rozrusznik. To jedyne wytłumaczenie, dlaczego umarł, a one nie. Wiedziała, że rozruszniki zawierają maciupkie komputerowe chipy, które synchronizują uderzenia serca z tym, czego ciało potrzebuje w danym momencie. Rozrusznik Jacka musiał mieć zwarcie i to stało się przyczyną śmierci. Ale jakim cudem? Co mogło sięgnąć w głąb klatki piersiowej, przepalić rozrusznik, wykończyć cały sprzęt elektroniczny i dopaść wszystkich?

Bo każdy to odczuł: Ellie z krwotokiem z nosa i bólem głowy, pies, który wył z bólu, oszalałe ptaki i jelenie.

A do niej znowu zaczęły docierać zapachy: krwi, żywicy iglaków, własnego potu. I psa – nie tylko sierści, ale również czegoś nieokreślonego, parującego z samej głębi zwierzęcia.

Jednak Ellie wróciła już do normy, co w jej przypadku



oznaczało stan pomiędzy marudzeniem a niegrzecznością. Pies... cóż, kto to mógł wiedzieć? Przynajmniej nie atakował. Alex szybkim spojrzeniem omiotła niebo. Dostrzegła jastrzębia szybującego z prądem powietrza, a potem, jeszcze wyżej, trzy sępniki różowogłowe, które powoli zataczały spiralne pętle. Wyglądało na to, że również ptaki zachowywały się znów normalnie.

Więc jeśli zmysł węchu nie wyparował, to tylko jej mózg uległ jakiejś modyfikacji. Ze wszystkich tylko ona się zmieniła.

Ale jakim cudem? I czy nadal coś się z nią działo? Czy ten proces dobiegł już końca?

A może to był dopiero początek?

## 9

Dobra wiadomość była taka, że Ellie współpracowała wystarczająco długo, by wyciągnąć z plecaka niebieską przeciwdeszczową pelerynę, którą przykryły zwłoki. Zła wiadomość: Ellie doszła do wniosku, że już się dość napomagała, a pies nie dopuszczał Alex do rzeczy swego pana. Za każdym razem, kiedy dziewczyna się zbliżyła, szczyrzył zęby, aż wreszcie dała spokój. Uznała, że po prostu muszą zostawić całą żywność i butelki z wodą, jakie Jack miał w plecaku. Trudno. Ellie mogła zjeść większość jej zapasów. Gdyby tylko udało się przekonać dzieciaka, żeby nie stawiał oporu, byłyby w drodze nie

dłużej niż dwa dni. Trzy, przy wyjątkowym pechu. Jakoś by to przeżyła.

Składając namiot, Alex znów przez chwilę rozważała pomysł powrotu na parking. Czy skoro wysiadła większość urządzeń, jej auto w ogóle ruszy? Na samochodach znała się mniej więcej tak jak na chińskim – to znaczy wcale – ale wiedziała, że większość z nich ma skomplikowaną elektronikę i jakiś komputerowy chip albo i dwa. Więc powrót na parking odpadał.

Zapięła biodrowy pas plecaka. Tym razem bagaż miała większy niż zwykle, bo oprócz awaryjnego zestawu na trudne warunki zabrała czarną, miękką torbę, której nie otwierała przez prawie trzy lata, od tamtego tygodnia po śmierci rodziców. Torba była ciężka – niemal dwanaście funtów – i w pewnym sensie należała do niej, a w pewnym nie. Hannah nie robiła sekretu z jej zawartości; powiedziała siostrzenicy, żeby się nie krępowała i zaglądała do środka, kiedy tylko zechce. „Może poczujesz się trochę lepiej”, tak to ujęła, chociaż nigdy nie wyjaśniła, dlaczego miało to działać pocieszająco.

Torba zawierała wspomnienia. A te początkowo były zbyt bolesne, żeby w ogóle o nich myśleć, a tym bardziej utrwać w pamięci. Przez pierwszy rok Alex nie miała nad nimi żadnej kontroli. Mogło je wyzwolić dosłownie cokolwiek: urywek piosenki, nagłe zawodzenie policyjnego radiowozu, nieznajoma o włosach tak podobnych do włosów mamy, że sam ich widok zapierał dech. Każde wspomnienie przynosiło ból, ostry,

niespodziewany, gwałtowny, jakby ktoś wbijał nóż między żebra i mocno nim obracał. Potem, kiedy potwór urósł, a jej zmysł węchu przestał działać, wyzwalacze stawały się coraz mniej liczne, a obrazy przeszłości coraz trudniejsze do wywołania, zupełnie jakby próbowała odzyskiwać pliki z uszkodzonego twardego dysku. W pewnym sensie nawet jej to odpowiadało, czego nigdy nie powiedziała ciotce Hannah. Czasami posiadanie dzikiego lokatora – potwora pożerającego wspomnienia, ścierającego je na proch – było niemal ulgą. Mózg nie należał już całkiem do niej, ale przynajmniej myśli nie wymykały się jej spod kontroli.

Nagle Alex uświadomiła sobie, że ukradła ciotce tę torbę nadaremnie. Nie było mowy, żeby teraz dotarła do Mirror Point. Powody jej wyprawy do Waucamaw właśnie poszły z dymem.

Prawdziwa ironia, zważywszy na to, co było w torbie.

– Ja już ruszam – powiedziała do Ellie. – Myślę, że lepiej, żebyś ze mną poszła.

– Nie. Nienawidzę cię.

Dobra, dobra.

– Okej, posłuchaj: idę krótszą drogą, tą, która biegnie prosto do doliny. Pokazywałam ci ją na mapie. Kiedy zdecydujesz się przyjść...

– Nigdy nie przyjdę.

– Nie zapomnij swoich rzeczy. I nie zapomnij przypiąć Minie jej plecaczka...

Ellie zatkała uszy.

– Wcale cię nie słucham.

– ... bo ja nie mam psiego jedzenia. Gdybyś też mogła przeszukać plecak dziadka i zabrać dla nas trochę...

– La, la, la, la – śpiewała Ellie. – La, la, la, la.

– ... trochę jedzenia i wody, byłoby świetnie.

Prawdę mówiąc, nie czuła najmniejszej ochoty, żeby ten dzieciak albo jego pies do niej dołączyli, ale Ellie miała zaledwie osiem lat. Alex nawet nie pamiętała, jak to jest być taką małą.

Wyciągnąwszy z plecaka glocka taty, włożyła do pistoletu pełen magazynek, odciągnęła zamek do tyłu i załadowała nabój do komory. Standardowy glock nie miał zewnętrznego bezpiecznika. Była to jedna z przyczyn, dla których jej ojciec gliniarz tak lubił tę broń. Po prostu celuj i strzelaj. Jednak kiedy Alex odziedziczyła pistolet, zainstalowała dodatkowy bezpiecznik spustu. Bez żadnego specjalnego powodu; działało się to jeszcze, zanim potwór zaczął wysyłać swoje dymne sygnały. Może już wówczas podświadomie czuła, co się święci. Biorąc pod uwagę, jak często ona i glock znajdowali schronienie w piwnicy ciotki Hannah, czas potrzebny do pchnięcia małego przycisku i zwolnienia blokady prawdopodobnie wyjaśniał, dlaczego Alex nadal żyła. Ten ułamek sekundy był wystarczająco długi, żeby człowiek zmienił zdanie.

Teraz, po dwukrotnym sprawdzeniu bezpiecznika, przełożyła pistolet do kabury i przypięła ją przy prawym biodrze.

Ellie przestała śpiewać.

– Dlaczego to zakładasz?

Bo Jack nie żyje, wszystkie nasze urządzenia elektroniczne wysiadły, a ja czuję twój zapach, Ellie. I zapach krwi. I psa.

– Nigdy dosyć ostrożności.

– Czyj to?

– Mego taty. A teraz mój.

– Dziadek mówi, że pistolety zabijają ludzi.

Nie zamierzała w to wchodzić.

– Nie zwlekaj za długo. Teraz wcześnie robi się ciemno.

– Idź sobie. – Ellie wepchnęła do uszu słuchawki. – Nic mnie to nie obchodzi.

Alex już miała jej wytknąć, że iPod i tak jest przepalony, ale pomyślała, że byłoby to złośliwe.

– Zacznie cię obchodzić, jak ciemności zaskoczą cię na tej górze.

– Nie przyjdę.

– Do zobaczenia.

– Nie, nie do zobaczenia.

– Dobra, w porządku. – Ruszyła, nie oglądając się za siebie. Ale mimo to czuła na plecach wzrok dziewczynki.

## 10

Szlak okazał się o wiele gorszy, niż sobie wyobrażała. Zbocze było stromą, śliską od zdechłych ptaków,

łuskowatą skałą: miękkim, łupliwym szarym wapieniem. Stulecia erozji, powodowanej deszczem i roztopami, pozostawiły górę porytą mnóstwem głębokich rynien i lejów, do których zsypywały się różne szczątki – odłamki skalne, powalone drzewa – zanim zostały zmiecione do doliny.

Po godzinie marszu uda i kolana dawały o sobie znać, twarz była tłusta od potu, usta lepkie, a koszula kleiła się do łopatek. Zatrzymawszy się na łyk picia, Alex rozebrała się do bluzy, przytroczyła kurtkę do plecaka, ściągnęła czapkę i pozwoliła chłodnym palcom powietrza prześlizgiwać się po głowie. Potem odkorkowała jedną z dwóch butelek, które miała w torbie, i ochlapała twarz, wciągając oddech, żeby się nie przeziębic. Woda była luksusem. Normalnie Alex bardziej by oszczędzała, ale ponieważ zamierzała spędzić noc nad strumieniem i miała dobry filtr o wydajności siedemdziesięciu uncji, uznała, że może sobie pozwolić na drobną rozrzutność. Owszem, potrzebowała więcej wody, ale jeszcze nie teraz. Wiedziała, że kiedy minie strumień, nie będzie żadnych szans, by uzupełnić zapasy, dopóki piętnaście mil dalej nie dotrze nad rzekę. A później znowu nic aż do samej strażnicy.

Z przyzwyczajenia trzymała picie w prawej ręce, tej, która się nie trzęsła. Nagle zawahała się, po czym – zanim zdążyła stchórzyć – przełożyła butelkę do drugiej dłoni i zbierając wszystkie siły, zacisnęła palce.

Lewa ręka była jak skała. Żadnych dygotów. Przez

kilka ostatnich miesięcy, dzięki różnym liftingowym ćwiczeniom Alex wzmocniła mięśnie ramion, ale na trzęsawkę nic to nie pomogło. A teraz drzenie samo ustąpiło. Czowała się silniejsza. Mocna. Jakby potrafiła chwytać i naprawdę trzymać.

To jakiś obłąd. Nadal była kompletnie ogłupiała, ale jej dziwna poprawa miała się nijak do wyobrażeń o tym, co dzieje się z człowiekiem, kiedy umiera. Chociaż – zaraz – może jednak? Czy nie krążą opowieści o ludziach wychodzących ze śpiączki na tak długo, że zdążą się pożegnać z bliskimi? Jakby mózg resztką sił nagle się mobilizował, wyciskając ostatnie soki, by jeszcze ten jeden jedyny raz wszystko zaskoczyło? Cóż, może po prostu powinna cieszyć się tym, dopóki jest w stanie.

Przysunęła butelkę do nosa. Wciąż jeszcze nie dowierzała swemu zmysłowi powonienia. Wciąż jeszcze sądziła, że mógłby zniknąć. Ale woda miała zapach, czysty i bardzo zimny, który sprawił, że Alex doznała kolejnych przebłysków: siedzi u ojca na barana. Silne dłonie oplatają jej kostki, kiedy tata brodzi po Jeziorze Górnym i śpiewa *Stary Dan ze mną wtór, z gardłami suchymi jak wiór i duszami, które błagają o wodę... chłodną, czystą.*

Pozwoliła, by woda spłynęła jej po języku, i rozbeczała się, smakując każdą cząsteczkę, każdy cudowny atom, każdy drogocenny okruch wspomnień.

Pomyślała: Cóż, przynajmniej jest mokra.

I to sprawiło, że płakała jeszcze bardziej, bo tata też

tak zawsze mówił.

Spoglądając na szlak, którym tu przyszła, wytarła oczy, najpierw lewe, potem powoli prawe. Jej uwagę przyciągnął oślepiający błysk. Czyżby Ellie? Miała plecak ze stelażem? Nie, plecaczek Hello Kitty był mały. Pewnie starczało w nim miejsca tylko na odrobinę ciuchów i szczoteczkę do zębów. I może jeszcze na książkę, chociaż szczerze mówiąc, Ellie nie robiła wrażenia zamiłowanej czytelniczki. W jej przypadku w grę wchodziło raczej nintendo DS i to cegła, taka jak dziecięcy iPod. Chwilę później Alex ujrzała, że błysk zmienił się w słoneczne światło, odbijające się od skał. A więc to nie Ellie.

Dziewczyna westchnęła. Co się stało? Po raz któryś z rzędu wałkowała w myślach ostatnie wydarzenia. Powinna móc to zrozumieć. Bóg jej świadkiem, że ze wszystkich sił próbowała. Fizyka nie była jej mocną stroną, ale z biologii miała świetne oceny, toteż wiedziała, że elektryczność skutecznie oddziałuje na mózg – podobnie jak na większość organów.

A tego ranka jej mózg coś przepaliło. Szlag trafił całą elektronikę, wszystko na półprzewodnikach. I jeszcze te jelenie, ptaki, pies. Ptaki były naprawdę ważne, coś w związku z tym, jak leciały... Pole magnetyczne?

Następna sprawa: już nie dygotała jej ręka. W ogóle Alex czuła się silniejsza. Po przeszywającej błyskawicy bieli i gorąca ból głowy – nieustanny cichy pomruk – kompletnie ustąpił. Co i rusz wystrzeliwały powracające



do życia wspomnienia, bo odzyskała zmysł węchu, a wraz z nim smak.

Tyle że to nie było zwyczajne powonienie, prawda? Łamała sobie nad tym głowę, cofając się w myślach do momentu, kiedy zbliżyła się do Miny. Jak Mina zareagowała? Wyszczерzone zęby, stulone uszy. Sądząc tylko z wyglądu, można by pomyśleć: rozwścieczony pies.

Ale potem pojawił się niesamowity, dziki fetor i słowem, które wówczas wskoczyło Alex do głowy, był strach. Odbierała zapach psa i zapach tego, co czuł. Mina była śmiertelnie przerażona.

A Ellie? Alex przypomniała sobie amoniakowy smród moczu i miedziany krwi. I jeszcze jeden – bardziej kwaśny – kryjący się tuż pod tamtymi. Czyżby ta mieszanina porannego oddechu i zsiadłego mleka była zapachem strachu dziewczynki?

Ale co to wszystko znaczyło? Jak do siebie pasowało?

Po paru sekundach poddała się. Miała tylko garść faktów, kilka teorii i masę problemów, na przykład, żeby wreszcie zejść z tej cholernej góry i przed zmierzchem dotrzeć do wody.

Swoją drogą, na ile dziennego światła mogła jeszcze liczyć? Rzuciła krytycznym okiem na słońce. Żeby określić godzinę, trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie jest północ, ale za cholere nie pamiętała, jak to się robi. Coś jeszcze w związku z czasem było ważne. Tylko co? Poszturchiwała to niejasne wrażenie w taki sam sposób,

jak w dzieciństwie miała zwyczaj dręczyć chwiejący się ząb z nadzieją, że wyskoczy ze swego gniazdka. Coś naprawdę ważnego w sprawie czasu...

Z doliny niosła się nikła woń spalenizny. Ognisko? Nie, ten zapach był dziwny. To nie płonące drewno. Wydawał się sztuczny, niemal słodki. Znała go. Co to takiego?

Kątem lewego oka zauważyła jakiś ruch. Gdzieś wyżej. Szybkim spojrzeniem obrzuciła zbocze i wyteżyła wzrok. W oddali mignęła różowa plama.

Nareszcie.

Najsensowniej było zwolnić kroku, zrobić kolejny postój na picie, jednym słowem pozwolić, by Ellie ją doganiała, nie zdając sobie sprawy, że w rzeczywistości Alex na nią czeka. Lepiej niech mała uważa, że to jej pomysł.

Przez następne pół godziny Alex wlokła się jak raczkujące niemowlę, ale dzieciak był już blisko. Słyszała ślizganie się i szuranie butów na skalnym rumowisku. Z tych odgłosów mogła wywnioskować, że Ellie schodzi odrobinę za szybko. Po lewej stronie stoku osypała się lawina kamyków. Grzechotały jak muszelki wleczone przez cofającą się falę. Trafiwszy do skalnej rynny, nabrały prędkości i sunęły pędem w dół zbocza. To było niebezpieczne. Gdyby mała źle stąpnęła, poleciałaby na łeb na szyję i z pewnością mocno się potłukła.

Pora na przerwę. Z wystudiowanym, niedbałym

wzruszeniem ramion Alex zdjęła plecak i upuściła go sobie pod nogi. Potem wyciągnęła z biodrówki butelkę, odkorkowała, przechyliła do ust i dopiero wtedy pozwoliła oczom prześlizgnąć się spojrzeniem po stoku.

Nadal oddalona o dobre pięćdziesiąt jardów Ellie pospiesznie schodziła na dół. Dzielącą je przestrzeń porastały krzaki i sękaty sosny, które sterczały pod dziwacznym kątem. Teraz, kiedy stanęła twarzą w stronę góry, Alex widziała o wiele wyraźniej miejsce, gdzie sunący po zboczu skalny gruz skręcał do rynn. Na tej wysokości ścieżka wiła się ostrymi zakosami spory kawałek od osypiska, toteż wydawała się dość bezpieczna. Ale Ellie szła na skróty, ścinając zakręty i posyłając w dół nieustający grad kamieni.

Sama.

Nie do wiary. Czym innym było to, że Alex zrezygnowała – lubiła wszystkie swoje palce, więc wielkie dzięki – ale co za dziecko zostawia własnego psa?

– Hej, spokojnie – zawołała poirytowana. – Ja zaczekam.

Była zbyt daleko, żeby widzieć minę małej, jednak najwyraźniej Ellie znów się dąsała.

– Nie trzeba – odwrzasnęła. – Nie jestem zmęczona.

– To akurat mało mnie martwi. Spychasz nogami pełno kamieni, a gdybyś nie zauważyła, jestem pod tobą. Wołałabym nie dostać w głowę.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Jeśli już, to szła szybciej. Z gniewnym parsknięciem Alex odsunęła się na

bok. O, ludzie! Nadal ściskając butelkę w lewej ręce, drugą złapała plecak i dźwignęła na prawe ramię. Ten bachor naprawdę szukał guza...

Strzały rozległy się ostro, niespodziewanie i bardzo wyraźnie: pah-pah-pah-pah-pah!

Ktoś strzela? Poczowała pustkę w głowie, ale po chwili szybko przycupnęła, gorączkowym wzrokiem przeczesując dolinę. Znowu – ale teraz inne, bardziej suche, mocniejsze. Pomyślała: Sztucer? Co do diabła?

Ellie była już tak blisko, że do uszu Alex dobiegł cichy, stłumiony okrzyk trwogi, a potem ślizg, chrzęst butów zjeżdżających po skalnym gruzie. Dzieciak chybotął się, młócąc rękami powietrze i hamując piętami po zboczu. Alex zrobiła unik, kiedy wokół jej głowy i ramion sypnął grad kamyków.

– Usiądź! – zawołała – nie stawiaj oporu.

– Usiądź!

Za późno. Już przedtem mocno rozchwiany środek ciężkości Ellie właśnie się przesunął.

– Nie! – Nie myśląc, co robi, Alex wyprostowała się. Absolutnie niewłaściwy ruch. Butelka wyfrunęła jej spomiędzy palców, szeroko rozpryskując wodę, i odbiwszy się rykoszetem od skały, zniknęła z zasięgu wzroku. Balansujący tylko na skraju ramienia, niezabezpieczony plecak ześlizgnął się dziewczynie po prawej ręce niczym saneczkarz po oblodzonym stoku i przeleciał przez nadgarstek. Nie, nie! Gwałtownie próbowała pochwycić go w locie – kolejny błędny ruch,

który pociągnął ją za linię spadku zbocza, a i tak niczego nie zmienił. Plecak koziółkował łożyskiem skalnego leja, aż wpadł do rynny. Tam nabrał prędkości i ciągnąc za sobą lawinę kamieni, stoczył się w przepaść.

Chwilę później było już po wszystkim.

Alex zdążyła pomyśleć: o cholera. Jednak tylko tyle, bo też straciła równowagę. Zachwiała się, buty wpadły w poślizg na luźnych kamieniach. Zaczęła zjeżdżać. Rzuciła się w stronę zbocza i próbując zahamować, drapała skałę. Ostry gruz kaleczył jej palce, wbijał się w dłonie. Wreszcie grzmotnęła o ziemię, z lewą nogą podwiniętą niemal w linii poziomej jak ostrze niedomkniętego scyzoryka. Kolano zawyło z nagłego bólu, ale przynajmniej przestała spadać.

Krzyk. Błyskawicznie uniosła oczy, akurat w porę, by dostrzec, jak but Ellie wylatuje w górę. Taka przesadna wersja gagu z poślizgnięciem się na skórce od banana. Ciągłe krzycząc, mała runęła na bok i zjeżdżała prosto do skalnej rynny.

– Ellie! – zawołała Alex. – Przeturlaj się! Na brzuch. Słyszysz, na brzuch!

Dziewczynka najwyraźniej robiła, co mogła. Różowa kurteczka pomarszczyła się w wałki, gdy siła tarcia podciągnęła materiał. Ellie zwolniła, jednak nie zahamowała.

No dalej, rusz się, rusz się! – dopingowała małą w myślach Podeszwy Alex ślizgały się na kamieniach, kiedy krok po kroku sunęła w prawo. Skalna rynna oddalona

była o jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt stóp, ale tylko dwanaście stóp dalej sterczała ze zbocza pokręcona sosenka, której można się było chwycić. Spadając w stronę rynny, Ellie musiała minąć drzewko, więc gdyby Alex dotarła do niego na czas...

Strumień zmieszanych z ziemią odłamków smyrgnął w dół, rozpryskując się dziewczynie nad głową. Usłyszała grzechot kamyków, które pędziły do skalnego leja; widziała, jak wałę o stok i wypryskują w powietrze. Teraz Ellie leżała już całkiem na grzbiecie, z rękami wyciągniętymi niemal pionowo, bo plecaczek podciągnął się jej na ramionach.

Zapierając się czubkami butów i kolanami o zbocze, Alex lewą dłonią chwyciła sosenkę. Dłoń zaprotestowała, kiedy chropowata kora przeorała już i tak poranioną skórę.

Ellie! Tutaj! Złap się mnie, złap się mnie!

Wyciągnęła rękę i po chwili małe palce zacisnęły się wokół jej nadgarstka. Gdyby zbocze było choć odrobinę bardziej strome, to potężne, niemal wyrywające ramię ze stawu szarpnięcie mogło pociągnąć ją za sobą i obie posłać do skalnej rynny na złamanie karku.

Ellie zsunęła się jeszcze kawałek, zwolniła... i przestała spadać.

Z trudem przetykając ślinę, Alex zamknęła oczy. Poprzez łomot serca słyszała, jak mała płacze i krzyczy:

– Mówiłam ci, że to głupi pomysł!

W nieco mniej niż dwie minuty uratowała dzieciaka,

którego szczerze nie lubiła, i w tym czasie straciła plecak, cały sprzęt, kurtkę, żywność.

W dodatku – o tak – jakiś szalenciec strzelał gdzieś w pobliżu.

Były kompletnie załatwione.

## 11

Cztery batoniki energetyczne.

Pięć opakowań rozpuszczalnej galaretki w proszku: dwa limonkowe, jedno pomarańczowe, jedno cytrynowe i jedno wiśniowe.

Ratunkowy koc termoizolacyjny.

Mała brązowa buteleczka bardzo starych tabletek jodyny.

Jedna butelka wody. Kluczyki do samochodu z działającą miniaturową latarką. Zapasowy magazynek do glocka z kulami 9 milimetrów.

Zestaw higieniczny z samolotu – plasterek mydła, składana szczoteczka do zębów i mała, maciupieńka tubka pasty – widocznie zachomikowany po jakiejś podróży.

W metalowym pudełku, które zawsze nosiła w biodrówce, znalazła prawdziwe skarby: żyłkę i ciężarki do wędki, piłę drutową, zapalki wodoodporne, kilka plastrów z opatrunkiem, dwa małe ostrza X-Acto, parę agrafek, torebeczkę wacików, minitubkę wazeliny, cztery foliowe opakowania chusteczek higienicznych nasączonych

alkoholem. I miniaturowy kompas.

To – łącznie z glockiem i nożem – stanowiło cały ich dobytek, wszystko co Alex posiadała. Oczywiście Ellie nie przyniosła ze sobą niczego, poza różowym plecaczkiem. Pomijając składaną wędkę, małe pudełko przynęt i starą latarkę (dzięki Bogu czynną), wypełniały go wyłącznie dziecięce klamoty: trochę przyborów toaletowych, kupa ciuchów, butelka z trzema łykami wody. Połatany, brudny pluszowy miś, bardziej zużyty niż wszystko pozostałe.

Dobra, może nie były kompletnie załatwione. Czterema filarami przetrwania są ciepło, schronienie, woda i żywność. Alex potrafiła rozpalić ognisko, czego zdecydowanie potrzebowała, bo z ubrania zostało jej tylko tyle, co na grzbiecie. Bez trudu mogła też zbudować szałas. Filtr spakowała do plecaka, to kiepsko, ale zachowała jedną pełną butelkę i wiedziała, gdzie znaleźć wodę. Miała kompas, słońce, z grubsza orientowała się, którądy iść i jak daleko jeszcze do celu. Mogła więc poradzić sobie bez większego kłopotu.

Problem stanowiło jedzenie. Co prawda ocalał glock, jednak oprócz zapasowego magazynka pozostała amunicja – całe pudełko – przepadła razem z innymi rzeczami. Zresztą Alex nie miała pojęcia o polowaniu z pistoletem ani ochoty, by na próżno tracić naboje. Mogła spróbować sideł. Rzecz stosunkowo prosta, ale wszelkie pułapki oznaczały, że trzeba zastawiać je kilkakrotnie i nie ruszać się z miejsca. To w żadnym razie jej nie



odpowiadało. Oczywiście, było czym łowić ryby. Wędrowały z Ellie w kierunku rzeki, a strażnica rangersów leżała tylko parę dni drogi stąd. Najwyżej. Gdyby musiała, Alex potrafiłaby tam dojść, jedząc po pół energetycznego batonika dziennie.

– Po co ci galaretka w proszku?

Spojrzała na Ellie. Dziewczynka kuliała się przy zwałonym, pokrytym mchem pniu. W dolinie było gęsto od opadłych liści i martwych drzew, które leżały jak wyszczerbione wykałaczki, całe w chłodnych plamach porostów. Na jednym z pni Alex wypatrzyła kilka zwiędłych guzowatych kapeluszy. Żołdaki siarkowe, nazywane leśnymi kurczakami, jeśli się nie myliła. Wielka szkoda, bo akurat wiedziała, że to grzyby jadalne. Jednak o tej porze roku było na nie o wiele za późno. Za późno i za zimno. Wszystko choć trochę zdatne do spożycia – paprocie, owoce wirginijskiej czeremchy, pałki, strzałki szerokolistne – albo już zwiędło, albo nie dawało się zdobyć. Mogła poszukać orzeszków hikory lub buka. Łatwiejszym rozwiązaniem były żołędzie, ale one zdaje się wymagały moczenia. Przez ładnych kilka dni, o ile dobrze pamiętała. Pewnie dlatego Odżibwejowie uważali je za żywność na czas głodu, coś co się jada tylko w ostateczności. Szczęśliwie to nie ten etap. Jeszcze.

– Galaretka? Żeby szybko nabrać energii. Mieszasz ją z wodą i pijesz, zanim zastygnie.

Ellie skrzywiła się.

– Fuj.

– Przystaniesz tak gadać, jak zgłodniejesz. – Alex wzięła głęboki oddech i wypuściła go wraz z westchnieniem. W miarę upływu dnia powietrze stało się bardzo zimne, ale nadal przenikał je dziwny fetor spalenizny. – Czujesz to? Pachnie jak sfajczona guma czy coś podobnego.

– Nie. – Ellie skubała dolną wargę. Słuchawki iPoda zwisały jej wokół szyi. Wyglądała na małą i nieszczęśliwą. Teraz zalatywało od niej już tylko moczem i potem. – Wiesz, ja nie spadłam specjalnie.

Co, uznała Alex, zabrzmiało prawie jak przeprosiny, które zamierzała z małej wydobyć.

– Nikt cię nie obwinia. – Kompletne kłamstwo, ale nie było sensu się kłócić. – To się mogło przydarzyć każdemu.

Dziewczynka spojrzała na nią zamyśloną. Najwyraźniej rozważała jej słowa.

– Dlaczego do nas strzelają? – zapytała po chwili.

– Chyba nie do nas – odparła Alex z roztargnieniem. Zastanawiała się, czy jednak nie powinna obejść podnóża góry i rozejrzeć się za plecakiem. W żadnym razie nie mogła dokładnie prześledzić jego toru spadania, ale gdyby zdołała możliwie precyzyjnie ustalić, gdzie wtedy była na zboczu, istniała niewielka szansa, że jeszcze znajdzie swoje rzeczy. – Pierwsze strzały były z pistoletu, a następne ze sztucera. Ten ze sztucercem pewnie ma celownik optyczny, więc gdyby chodziło mu o nas, już byśmy o tym wiedziały.

– No to do czego strzelali?

– Nie mam pojęcia. – Sztucery zwykle oznaczają myśliwych. Psy też. Czy poluje się z psami na jelenie? Nie sądziła, ale sezon na jelenie jeszcze oficjalnie się nie zaczął, a poza tym większość myśliwych nie używa pistoletów. Teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, przypomniała sobie, że te pierwsze strzały – więcej niż trzy, może nawet pięć? – padły gwałtownie, jeden po drugim. A więc raczej nie myśliwy polujący z zimną krwią, ale ktoś wystarczająco wkurzony, żeby posłać dużo pocisków.

Jacyś obłąkańcy: tylko tego nam potrzeba, pomyślała.

Ellie nic nie groziło, dzięki różowej kurtce – nie sposób było pomylić ją ze zwierzyną – ale Alex miała czarną bluzę. Równie dobrze mogła nosić tarczę strzelniczą jak jelen w rysunkowych dowcipach Gary’ego Larsona.

– Skąd tyle wiesz o strzelbach i pistoletach?

– Tata mnie nauczył.

– Po co?

– Pewnie chciał, żebym była na wszystko przygotowana.

– To dlatego dał ci ten pistolet?

– Uhm. – Nie życzyła sobie o tym mówić. Zaczęła przepakowywać swój zestaw na sytuacje awaryjne. – Posłuchaj, teraz przedrzemy się kawałek u podnóża góry, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Jeśli nie jest zbyt niebezpiecznie, warto by sprawdzić, czy damy radę

odnaleźć mój... – Alex zatkało.

Ellie trzymała w rękach czarny pakunek.

– Uau, naprawdę ciężkie. – Jej palce gmerały przy suwaku. – Może to jedzenie...

– Nie! – Alex wyrwała torbę zaskoczonej dziewczynce. – To... to nie jedzenie.

– Jejku, zwariowałaś?

– Nie... – Wepchnęła torbę do swojej biodrówki i starannie zasunęła zamek. – To jest coś prywatnego.

– Wszystko jedno. Ja tu zostaję.

– Ellie, powinnaś pójść.

– Nie chcę.

– No dobrze... – Coś mignęło. Alex dostrzegła to kąciakiem oka. Gwałtownie odwróciła głowę w prawo i czujnym spojrzeniem przeczesła las. Z tyłu, niemal tuż za jej plecami, leciutko drżały liście. Zerknęła akurat w porę, żeby jeszcze pochwycić ukradkowy ruch. Ciemny kształt przemknął przez zarośla, a po chwili dobiegł ją smród, dziksz niż strach Miny i nawet jeszcze bardziej pierwotny. Jakieś zwierzę, ale jakie? W tych lasach żyły kojoty. I wilki. Nie potrafiła zgadnąć. Niepokoił ją ten fetor. Analizowała go na wszystkie strony, próbując z czymś skojarzyć.

Jak ja to robię? Człowiek nie przypomina psa, a mnie się wydaje, że łapię zapachy, których normalni ludzie nie czują. Ellie nie czuje słodkawego odoru spalenizny – i idę o zakład, że tego smrodu też nie, główkowała.

Jakby na zawołanie, dziewczynka rozejrzała się ze

zniechęceniem.

– Co się stało?

– Nic. – Nie, nie знаła go. Nie potrafiła nawet znaleźć dla niego odpowiednich słów. Gdyby nie ten zapach, Alex mogłaby uwierzyć, że to, co widziała, było tylko grą światła. – Wydawało mi się, że coś zobaczyłam i tyle.

– Ja niczego nie widzę.

– Bo już znikło. Pewnie nic takiego, ale nie wiem, czy powinnaś zostawać tu sama.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz. – Ellie miała ponurą minę. Przez dziurę w nogawce dżinsów widać było rozbite kolano. Różowa kurtka podarła się i sztuczne wypełnienie wyłaziło z niej białymi kłakami. – Jestem zmęczona, nie lubię cię i nigdzie stąd nie pójdę.

Cóż, to wydawało się przebijać argumenty Alex.

– Świetnie. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, głośno krzycz.

– Ciebie nie potrzebuję.

– Wrócę najpóźniej za kwadrans.

Ellie wepchnęła do uszu słuchawki.

– Mam to w nosie, możesz w ogóle nie wracać.

Po dwudziestu minutach przedzierania się przez kolczaste kępy zarośli i stosy połamanych gałęzi Alex była już mocno rozdrażniona. Las napierał na nią pazurami i kłami, chwycił za włosy, smagał po twarzy, szarpał za kostki. Przystanęła, ocierając pot z czoła, żeby przeanalizować problem jak dowód geometryczny.

Gdyby miała dużo czasu...

Gdyby nie musiała martwić się o tego dzieciaka...

Istniałaby spora szansa, że odnajdzie swoje rzeczy.

Jednak, sądząc z rumowiska, które do tej pory napotkała, plecak najprawdopodobniej był podarty w strzępy, a jego zawartość rozsypała się po zboczu jak szczątki rozbitego samolotu.

Zatem, trudno, jej plecak przepadł na amen.

Wracała tą samą drogą, próbując odgrzebać w pamięci to, co widziała na mapie. Gdyby się pospieszyły, może zdołałyby wycisnąć z siebie jeszcze ze cztery, pięć mil, zanim zapadnie zmrok. Tyle chyba powinno wystarczyć, żeby dotarły do pola kempingowego, gdzie Alex planowała nocleg. Kemping znajdował się około ćwierci mili od głównego szlaku i zapewne miał gotowe do użytku miejsce na ognisko, a to już coś. Przy pewnej dozie szczęścia mogły też znaleźć tam jakieś schronienie.

Między drzewami mignął obłoczek rozmazanego różu. Odwrócona tyłem Ellie wpatrywała się w ziemię. Po chwili Alex dostrzegła rzeczy ze swego awaryjnego zestawu leżące na kupie. Co? Przecież były spakowane, doskonale to pamiętała. Zostawiła biodrówkę, bo zamierzała zaraz wrócić, więc...

– Hej! – Rzuciła się przez zarośla. – Co ty tam robisz? Na dźwięk jej głosu dziewczynka drgnęła zaskoczona.

Spojrzała przez ramię i wyraźnie nie spodobało jej się to, co zobaczyła, bo kiedy Alex wypadła z lasu, była już

na nogach i cofała się z podniesionymi rękami.

– Tylko patrzyłam!

Alex opuściła wzrok i serce jej zamarło.

Czarna torba była otwarta.

## 12

Nie chciałam niczego ukraść – oznajmiła Ellie. Jej wymowa była trochę kleista, oddech przesiąknięty szczyptą cynamonu. – Próbowałam pomóc.

– Pomóc? – Ochryply głos dziewczyny rwał się z gniewu. – Zjadłaś cały batonik energetyczny.

– Byłam głodna. – Ellie usiłowała odpowiedzieć wyzywającym spojrzeniem, przez co, nie wiadomo dlaczego, wyglądała jeszcze żałośniej. Perełka łązy lśniła jej na policzku.

Alex miała ochotę udusić tego dzieciaka. I nie chodziło tylko o batonik.

– Zżarłaś całą dzienną porcję...

– Jeden jedyny batonik...

– I chciałaś zobaczyć, co mam w tej torbie! To prawdziwy powód, że myszkowałam w moich rzeczach.

– Prochy – No i co z tego? – wrzasnęła Ellie, tupiąc. Oczy jej płonęły. – Wielka mi sprawa! Tam jest tylko Biblia i jakieś dwa woreczki. A w ogóle, po co taszczysz takie głupoty?

– To nie są głupoty. – Biblia ciotki Hannah leżała na

ziemi. Gruba księga nie do końca stanowiła element strategii, ale była wystarczająco solidna, żeby zabezpieczyć przed wstrząsami dwa spore plastikowe worki.

Ellie wygrzebała też list „Alexandro Bethany” ciągnęło się stylowym fioletowym atramentem przez całą kopertę, a papier pachniał – bardzo leciutko – lawendowo i korzennie. Alex wsunęła list do tomu na chybił trafił, nie myśląc o żadnym szczególnym fragmencie. Nigdy nie traktowała Biblii jak tabliczki ouija, [ouija - plansza lub tabliczka z literami i znakami, używana podczas seansu spirytystycznego. ]ale jakimś zrzędzeniem losu list trafił na słowa Księgi Hioba: „Stąd odwołuję, co powiedziałem, kajam się w prochu i w popiele”. [Księga Hioba 42: 6, Biblia Tysiąclecia, Pallotinum, Poznań 2003 (wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z tego wydania).]

– To do ciebie? – spytała Ellie.

Alex zignorowała ją. Obróciwszy kopertę w palcach, przekonała się, że skrzydełko na odwrocie jest nienaruszone. Wsunęła list z powrotem do Księgi Hioba i ułożyła Biblię równo na dnie czarnej torby. Potem ostrożnie ujęła w obie dłonie większy z plastikowych worków. Sporo ważył, pewnie koło ośmiu funtów, i mógł łatwo się podrzeć, ale jej czujne oczy nie wypatrzyły żadnej dziurki ani pęknięcia. Zawartość była szara, grudkowata. Przesypywała się w rękach jak piasek i Alex o mało nie pozwoliła sobie na myśl, że to tylko proch i pył.



– Dlaczego – zdziwiła się Ellie – dźwigasz tę ziemię?

## 13

Zatrzymamy się niedługo? – Nie słysząc odpowiedzi, Ellie spróbowała znowu: – Robi się ciemno. Zatrzymamy się...

– Tak – odparła Alex. Nie zmieniła frontu. Wędrowały już bez przerwy około dwóch godzin i przez cały czas praktycznie w milczeniu. Słońce prześlizgiwało się tuż za drzewami i światło z każdą chwilą było coraz słabsze. Popołudnie zaczęło niepostrzeżenie przechodzić w wieczór. Ochłodziło się jeszcze bardziej. Baldachim wysokich, gęstych sosen zatrzymywał ziąb, a gruby dywan sosnowych igieł tłumił dźwięk kroków tak skutecznie jak warstwa śniegu.

Przed sobą, na pniu dębu Alex dostrzegła obdrapany znak. Zwisiał na jednym zardzewiałym gwoździu, przechylony w lewo:

MOSS KNOB 9, 7 MILI  
←  
FIRE MOUNTAIN 13, 7 MILI  
→  
LUNA LAKE 32 MILE  
↑

Poczuła skurcz żołądka. Ponad trzydzieści mil do jeziora? To dalej niż jej się wydawało. Gdyby tylko miała swoje rzeczy – a zwłaszcza mapy – byłaby w stanie wykombinować krótszą trasę.

Tak, ale nie masz, więc przestań doprowadzać się do szaleństwa. Spokojnie. Potrafisz sobie z tym poradzić, dopingowała samą siebie.

Kolejna strzałka, przechylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni i wskazująca północny zachód, uczynnie zawiadamiła, że za trochę mniej niż ćwierć mili mogą zatrzymać się na polu kempingowym w Spruce Valley. Okej, to wyglądało nieźle.

– Jeszcze około piętnastu minut i jesteśmy na kempingu – powiedziała Alex. – Tam przenocujemy.

– Na dworze?

– Może jest jakaś wiata.

– Ale nie ma wody. Nic nie ma.

– Woda się znajdzie. Według mapy w pobliżu powinien być strumień.

– Strumień? Ale... gdzie ja pójdę do ubikacji? Nawet nie mamy namiotu. Nie chcę zostać w lesie. W lesie jest strasznie.

Czy ona też tak koszmarne marudziła, kiedy była dzieckiem?

– Posłuchaj, Ellie, będzie jak będzie. Śpimy w lesie. Pijemy to, co możemy oczyścić. Dzielimy się jedzeniem.

– Przerwała na chwilę – tak, dla utrwalenia – po czym ciągnęła dalej: – Przy dużej dozie szczęścia za kilka dni

dotrzemy do strażnicy rangersów. Też nie uważam tego za szczyt dobrej zabawy, ale tak właśnie jest. Lamentuj, ile chcesz, to niczego nie zmieni. W porządku?

– Nie, nie w porządku! – Znowu z tupaniem, chociaż tym razem, dzięki sosnowym igłom, zabrzmiało ono bardziej głucho. Jeśli ten dzieciak miał jakieś wyrzuty sumienia z powodu, hm, kradzieży, było jasne, że szybko mu przeszło. – Nie chcę tu zostać. Nie chcę spać w lesie. Nawet nie mam śpiwora.

– Pokażę ci, jak zrobić...

– Chcę do łazienki. Chcę wziąć prysznic. Chcę umyć głowę.

– Ellie. – Musiała zacisnąć pięści, żeby powstrzymać się od krzyku. – Jesteś w środku lasu. Tak czy inaczej, tutaj nie weźmiesz prysznic. Gdybym miała mój sprzęt, mogłybyśmy się umyć...

– Ale ja nim pachnę! – Dziewczynka obiema rękami chwyciła się za włosy. – Wszędzie na sobie mam dziadka! Mam jego kre... krew pod paznokciami i we włosach... – zaczęła szlochać.

Gniew Alex ulotnił się. W tym momencie ujrzała Ellie taką, jak była naprawdę: pochłapaną krwią, zmiętoszoną, padającą ze zmęczenia. I bardzo, bardzo małą. To oczywiste, że panikowała. Nie dalej niż pół doby temu straciła dziadka, zostawiła psa swego zmarłego ojca, o mało nie spadła w przepaść, a teraz była skazana na niemal równie wystraszoną, kompletnie obcą osobę. Która wściekała się z powodu, no cóż, kupki prochu i listu od

zmarłej kobiety.

– Hej, naprawdę mi przykro. Nie pomyślałam o tym. – Alex wyciągnęła rękę, żeby uspokajająco uścisnąć ramię dziewczynki. – Coś wykombinujemy...

– Nie! – Ellie gwałtownie się uchyliła. – Nie dotykaj! Nienawidzę cię! Daj mi święty spokój!

– Zaczekaj. – Ale mała już się odwróciła i z tupotem popędziła przed siebie. Ciężko westchnąwszy, Alex ruszyła za nią. Ellie kierowała się we właściwą stronę, więc nie mogła pobiec zbyt daleko. Zupełnie jak dzieciak, który ucieka z domu, a kończy wyprawę na piwnicznych schodach. Mimo wszystko jej usta drgnęły w uśmiechu. Czy przypadkiem kiedyś...

Nagle zatrzymała się, marszcząc nos. Dziwne. Znowu ten podejrzany zapach spalenizny, teraz nawet intensywniejszy. I osobliwie słodki. Może nasilał się już od jakiegoś czasu, ale ona była zbyt zaabsorbowana, by to zauważyć, albo po prostu do niego przywykła. Tylko że teraz wychwytywała – czuła – coś jeszcze. Odetchnęła głęboko, pełną piersią i aż wzdrygnęła się, kiedy uderzył ją w nozdrza jakiś obrzydliwy, jakby obcy, fetor.

O Boże, co to takiego? – spanikowała.

Cuchnęło tak, że żołądek podszedł jej do gardła: trupi, zastały, musujący odór padliny, która przez wiele dni rozkładała się w dzikim upale. Smród był tak silny, że zapychał jej usta duszącym kłębem. Splunęła, ale nie mogła pozbyć się smaku, który pokrywał jej język.

Na wprost przed sobą dostrzegła różową kurtkę. Mała

kuliła się przycupnięta przed gęstą plątaniną zarośli. Alex już miała krzyknąć, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by słowa zamarły jej na wargach. I w tej samej chwili uświadomiła sobie coś jeszcze.

Znowu zwęszyła zapach Ellie. Z odległości jakichś dwudziestu jardów? Może trzydziestu? Był też mocny, choć niewystarczająco, żeby zagłuszyć smród padliny. Jednak zawierał tę samą mieszaninę, którą czuła już przedtem, na górze: ostrą woń skwaśniałego mleka i nieświeżego oddechu.

Strach. Ellie się bała. Nie, ona była śmiertelnie przerażona. W powietrzu kłębił się natłok zapachów: strach Ellie, słodki smród spalenizny, jej – Alex – własna, szczególnie woń potu i niepokoju. I jeszcze ten trupi fetor, który snuł się po lesie jak przesiąknięty popiołem, szary dym.

Ellie nie obejrzała się. Przyciskając dłonie do ust, wpatrywała się w coś za gęstą zasłoną gałęzi.

Na co patrzyła? Alex ogarnęło przeczucie, że w rzeczywistości wcale nie chce tego wiedzieć. Tchórzliwy głos w jej mózgu krzyczał: uciekaj, uciekaj, uciekaj! Ale przecież nie mogła zostawić dzieciaka, nie w ten sposób. To byłoby świństwo.

Powoli, ostrożnie opadła na kolana. Chłód od ziemi szczypał ją przez turystyczne spodnie. Ellie nawet nie drgnęła. Bez słowa Alex podążyła wzrokiem za pełnym grozy spojrzeniem dziewczynki. I wtedy krew zamarła jej w żyłach.

Nie, pomyślała. Nie, Boże, proszę, ja nie widzę tego naprawdę.

## 14

Namiet jednocześnie spłonął i się stopił. Jego resztki twardymi, czarnymi skrzepami lepiły się do osmalonych aluminiowych słupków niczym skamieniałe mięso do żeber prehistorycznego dinozaura. Przewrócony garnek wyrzygał jakąś brązową maź, której bryzgi zastygły na kamieniach paleniska albo wsiąkły w ziemię. Stado kruków obskakiwało rozsiane wokół ptasie szczątki. Na oczach Alex jeden pochylił się, dźgnął z całej siły martwego dzięcioła i wywłókł coś niebieskiego, włóknistego, co z kłapnięciem dzioba wciągnął do gardła.

W pobliżu zimnego paleniska kręciło się dwoje ludzi: chłopak i jasnowłosa dziewczyna, ubrana w jasnoniebieską bluzę z napisem „Szkoła średnia Somerville” i rysunkiem rakiety tenisowej na białym tle.

O Boże. Już gdzieś tę dziewczynę widziała. Ale gdzie? Oczywiście, kiedy zrobiła sobie postój, żeby zatankować i zadzwonić do cioci Hannah.

Jasny Koński Ogon.

Chłopaka nie rozpoznawała, chociaż pewnie też był w tamtym szkolnym busie. Wysoki i chudy, głównie nogi z podestem ramion na głowę. Miał identyczną jasnoniebieską bluzę z napisem, ale u niego zamiast

rakiety widniała piłka do kosza.

W innym życiu mogliby być parą, która urządziła sobie piknik.

Tylko że te dzieciaki nie pałaszowały kanapek.

Na polu kempingowym znajdowała się jeszcze jedna osoba. Kobieta, typ pocziwej babci. Leżała bezwładnie, z głową odrzuconą do tyłu, z obwisłą szczęką. Okulary na łańcuszku wały się po ziemi. Sądząc ze strużek krwi zaschniętych na prawym policzku, po tej stronie nie miała już oka.

Gardła zresztą też.

Skóra na szyi zwisała w strzępach. Gruzłowata rurka tchawicy opadła na zewnątrz jak mięsisty tasiemiec. Krew – cała masa zakrzepłej krwi – niczym rdza szerokim ślimakiem pokrywała klatkę piersiową. Z tego, jak poszarpane były ręce, Alex wywnioskowała, że kobieta umierając, musiała kurczowo zaciskać je na brzuchu. Co w niczym nie pomogło, zważywszy że teraz jej jelita wywalały się ciemną płataniną przypominającą rozmiękle spaghetti.

Młodzi ludzie jedli. A właściwie opychali się. Bryzgi krwi plamiły im usta, ściekały po brodzie jak rozmazany makijaż klauna. Chłopak, pochrzäkując, zanurzył dłoń we wnętrznościach kobiety i chwilę gmerał, zanim wyciągnął ociekającą garść pełną czegoś czerwonobrazowego, na tyle miękkiego, że słychać było chlupot, kiedy mięsisty kawałek przelewał mu się przez zaciśnięte palce.

O. Mój. Boże. W piersi Alex narastał cichy jęk.

Przycisnęła rękę do ust, żeby go zdławić. Przed oczami rozkwitły jej czarne róże, w głowie wirowało.

Piszcząc, blondynka usiłowała zdobyć smakowity kąsek, ale Koszykarz z ostrzegawczym pomrukiem odtrącił jej rękę. Nadąsana wydeła wargi – jest wściekła, pomyślała obłąkańczo Alex. Dziewczyna podrzuciła głową tak mocno, aż zatańczył jej paskudny koński ogon, odwróciła się do chłopaka tyłem i dźgnąwszy dwoma sztywnymi palcami, wydłubała trupowi lewe oko. Triumfalnie pomachała śliską, zakrwawioną kulką, wyraźnie drwiąc z kompana, ale on nie zwracał uwagi, tylko pożerał swoją zdobycz. Znów targnąwszy głową, panna Jasny Koński Ogon wsunęła gałkę oka do ust jakby to było winogrono.

Na ten widok Ellie bardzo cichutko – a jednak bardzo wyraźnie – jęknęła.

Serce o mało nie wyskoczyło Alex z piersi. Ellie, nie, zamknij się, zam... – błagała małą w myślach.

Chłopak i dziewczyna zamarli w bezruchu.

Nie, nie, nie... Sparaliżowana grozą, Alex patrzyła, jak Jasny Koński Ogon sztywnieje, unosi do góry nos i węższy. Badanie powietrza, kontrola obcych zapachów, próba złapania tropu – Alex zrozumiała to od razu. W końcu ona też wyczuła martwą kobietę, spalony namiot, strach małej.

Obie z Ellie musiały się stąd wydostać. Może należało rzucić się biegiem? Było jeszcze na tyle jasno, że Alex widziała szlak. Gdyby po prostu wyrwała z kopyta i



pędziła, mogłaby ich zostawić w tyle. Nie męczyła się tak łatwo. Od czasu porannych wydarzeń czuła się nadal roztrzęsiona, ale dzięki Bogu ostatnią chemię przeszła całe miesiące temu i miała dość siły. Tylko że tamci uprawiali kiedyś sport, a teraz funkcjonowali, no cóż, jak zwierzęta. Prawdziwe zwierzęta. Więc pewnie byli niesamowicie szybcy i nawet gdyby ona potrafiła im uciec, nie sądziła, żeby udało się to Ellie.

Nagle Alex uświadomiła sobie, że całkiem bezwiednie sięgnęła po glocka i odblokowała spust. Czy mogłaby to zrobić? Dotychczas strzelała tylko do tarczy, nigdy do żywego celu. Jej świadomość stawiała opór: Nie, to dzieciaki. One są w moim wieku. Nie umiałabym ich zabić.

Koniec końców, nie musiała tego sprawdzać.

Uratował je kruk, bardzo wielki i bardzo głupi. Ośmielony brakiem reakcji na swoją obecność, postanowił spróbować szczęścia. Podskoczył do Koszykarza, na moment się zawahał, a potem złapał z ziemi bezpieczną grudkę mięsa o kolorze wątroby.

Chłopak z szybkością węża chwycił go za szyję. Zaskoczony kruk przeraźliwie zaskrzeczał. Na ten dźwięk reszta stada rozwrzeszczaną czarną gromadą poderwała się w powietrze. To rozproszyło uwagę Jasnego Końskiego Ogonia. Dziewczyna odwróciła się i ujrzała, jak jej towarzysz walczy z opornym ptaszyskiem. Kruk był bardzo silny. Wykręcił się i ciął szponami twarz swego prześladowcy. Charcząc z bólu, chłopak zwolnił

uścisk. Ptak runął na ziemię w chmurze wyrwanych piór. Jedno skrzydło zwisało mu przekrzywione, ale poruszał się szybko, podskakując i podrywając się w powietrze na drugim, zdrowym.

Prawie udało mu się uciec.

Obróciwszy się na pięcie, panna Koński Ogon dała susa jak do woleja po przekątnej. Faktycznie, była – co Alex teraz widziała – niesamowicie szybka.

Ptak zaczął głośno, ochryple krakać. Blondynka wrzasnęła z podniecenia.

– Spadamy – szepnęła Alex do Ellie nalegającym tonem. – Nie oglądaj się, tylko idź aż do szlaku i dalej biegiem!

Dziewczynka bez słowa rzuciła się do ucieczki, hałasując w zaroślach tak bardzo, że Alex aż się wzdrygnęła. Nie spuszczając ręki z glocka, spojrzała z niepokojem przez ramię, jednak albo wrzaski kruka zagłuszyły tupot Ellie, albo panna Jasny Koński Ogon zbyt dobrze się bawiła.

Zacisnęła dłonie na szyi ptaka i brutalnie ją przekręciła. Szyja trzasnęła z suchym chrupnięciem jak wróżebna kość w Święto Dziękczynienia, a wtedy Jasny Koński Ogon, wydając radosny wrzask, oderwała krukowi głowę.

Alex nie czekała, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Odwróciła się i umknęła.

Alex?

– Hm?

– Wszystko będzie dobrze?

– Pewnie. – Alex mocniej przytuliła dziewczynkę, nie ze szczególnej sympatii, tylko dla doraźnych korzyści. Im mniejsza wolna przestrzeń, tym cieplej. Liściane legowisko poskrzypywało jak suchy celofan. Szalas, niejako uwięziony pod grubą na trzy stopy stertą liści, okazał się zaciszny i niemal zbyt gorący od ich ciał. – Damy sobie radę. Jeszcze tylko kilka dni i dotrzemy do rangersów. A oni już będą wiedzieli, co robić.

Biegły, kiedy niebo płonęło niesamowitym, krwawoczerwonym zachodem, przywodzącym Alex na myśl słynny obraz, na którym jakaś postać stoi na moście i przeraźliwie krzyczy. Nie przestawały biec, gdy dziwna zorza zgasła, a potem biegły jeszcze trochę, potykając się przy świetle latarki, aż wreszcie jedynymi zapachami, jakie Alex mogła pochwycić, były woń lasu i ich własnych ciał. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, wśród drzew zalegała ciemność. Dalsza ucieczka stała się zbyt niebezpieczna.

Ellie nie chciała jeść. Prawdę mówiąc, Alex nie miała o to specjalnych pretensji. Ją też mdliło – prawie jak po chemii – i skręcało od nadmiaru przeżyć tego koszmarnego dnia. Ściskając kurczowo bezużytecznego

iPoda, dziewczynka przyglądała się, jak jej opiekunka buduje naprędce szałas z sosnowych gałęzi i opadłych liści. Gdzieś po drodze Ellie zwymiotowała. Alex użyła swojej koszuli, żeby jako tako wyczyścić dziecku buzię i kurtkę. Jakimś cudem zdołała nakłonić małą do żucia wilgotnej wewnętrznej kory na cienkiej gałązce sosny wejmutki: „Smakuje jak cytrynowe dropsy. Słowo”. Sosny to też pożywienie na czas głodu. Odżibwejowie ucierali ich wysuszony miąższ na mąkę. Alex przez chwilę rozważała ten pomysł, ale go odrzuciła. Nie należało zatrzymywać się dłużej niż to konieczne.

Natomiast czekał je poważny problem, gdyby nie zdołały znaleźć wody. I to szybko. Od strumienia przy kempingu już się oddaliły, a nie wchodziło w grę, żeby zawrócić tą samą drogą. Nie przy tych małolatach. Pozostawało nie tracić nadziei, że jeszcze jakiś inny strumień przecina szlak, bo do rzeki były nadal ze trzy dni marszu. Niedobrze.

– A co będzie z jedzeniem? – Ellie znowu się odezwała.

– Mamy galaretki w proszku i batoniki energetyczne.

– Ale ja jeden zjadłam.

– Nie szkodzi. Byłaś głodna, wszystko w porządku.

– Ukradłam go.

Alex postanowiła zmienić taktykę.

– Kiedy dotrzemy nad rzekę, napełnimy butelki i złowimy kilka ryb.

– Przecież mówiłaś, że łowienie ryb nas zatrzyma.

– Niekoniecznie. Jeśli się wzmocnimy, pójdziemy szybciej. Masz wędkę i przynętę, prawda?

– Yhm. – Głos Ellie brzmiał tak beznamiętnie, że był przejrzysty jak szkło.

– No to postanowione.

– A jeśli nie będą brać?

– Będą. – Alex coś się przypomniało: – Na tę wędrówkę dziadek zwolnił cię ze szkoły, tak? Kiedy miałaś być z powrotem?

– W szkole? Hm... we wtorek.

Była sobota.

– Znaczy, że powinnaś wrócić najpóźniej w poniedziałek. Czy ktoś jest u was w domu?

– Tylko pani Pierce. Ona mieszka po sąsiedzku, odbiera naszą pocztę i robi te hece z zapalaniem światła.

– No proszę. Kiedy nie pojawicie się do poniedziałku, pani Pierce zacznie się o was martwić. Pewnie zadzwoni do rangersów, którzy pilnują wejścia, albo nawet do strażnicy. Nie byłabym zdumiona, gdyby wiedzieli już o tobie, zanim tam dotrzemy.

– A o ciebie nikt się nie będzie martwił?

– Pewnie, tylko że jeszcze nie teraz. – Alex przyszło do głowy, że bez zegarka łatwo może stracić poczucie upływających dni. Kolejna sprawa, którą trzeba mieć na uwadze. Może by robić nacięcia na patyku?

– A jeśli pani Pierce wcale się nie zaniepokoi? Albo dopiero później?

– Niewiele pomoże, jak będziesz się martwić, że ona

nie będzie się martwić. Daj spokój. Lepiej spróbuj trochę się przespać.

– Nie mogę. – Szelest. To Ellie zaczęła się wiercić. – Te liście kłują.

– Spróbuj.

– A jeśli... jeśli ta dziewczyna... jeśli oni... ?

– Nie przyjdą tu. Wszystko będzie dobrze.

– Ale skąd wiesz?

– Bo biegliśmy bardzo długo. Nie dopadli nas, a teraz jest ciemno. Gdyby chcieli się za nami uganiać, dawno by to zrobili.

Chwila milczenia.

– Dlaczego oni to robili? Dlaczego... ?

– Nie wiem. – Może elektrouderzenie naruszyło im mózgi, tak samo jak jeleniom i ptakom. Ale przecież ptaki powróciły do zwykłego stanu. Podobnie Ellie. A pożeranie ludzi wykraczało daleko poza normę. Już sama myśl o tym przyprawiała o gęsią skórkę i szczękościsk. Czy oni zabili tamtą kobietę? Najwyraźniej tak. Wyglądała dość staro, na jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt lat, więc pokonanie jej mogło być całkiem łatwe. Alex niemal widziała to oczami wyobraźni, niczym na jakimś filmie z Animal Planet: nastolatki atakują, rzucają się na swoją ofiarę, cisną się dookoła, rozpruwają jej brzuch, szarpią zębami gardło.

Boże, zupełnie jak zwierzęta. Przeszedł ją dreszcz. A co to za historia z tym smrodem? Zalatywało jakby... nie miała pewności... padliną, tak, ale też czymś naprawdę

starym. Nie, stary to nieodpowiednie słowo.

Te dzieciaki pachniały... dziko. Były dzikie. Były jak zombie, tylko że żywe, a nie powstające z grobu. A jeśli umarły i potem... ? Nie, nie, przecież to niemożliwe. Prawda? Boże, nie wiedziała. Wiedziała tylko, że cała ich elektronika wysiadła. I tak samo coś w ich głowach. Elektrouderzenie w mózg poraziło wszystkich: zwierzęta, tamtych małolatów, ją, Ellie. Do tej pory sądziła, że tylko w niej zaszła jakaś zmiana – głupie założenie, ale po prostu nie miała na czym się oprzeć. Do diabła, cały czas brała pod uwagę, że ten kataklizm mógł objąć większy teren: nie tylko górę, ale też dolinę. Góra została jakieś pięć mil za nimi? Więc jeśli pole rażenia jest kołem, powiedzmy o promieniu pięciu mil, to podniesione do kwadratu i razy pi... o Boże. Zaparło jej dech. Osiemdziesiąt mil kwadratowych? Waucamaw miało olbrzymią powierzchnię, prawie czterysta mil kwadratowych. Gdyby Alex się nie myliła, elektrouderzenie załatwiłoby jedną piątą tutejszych lasów. Spory teren. A ilu ludzi? Tak daleko na północy szczyt sezonu złotej jesieni minął dobry tydzień temu, co oznaczało, że setki turystów już się tędy przewaliły. i co z tymi nastolatkami? Zmienili się kompletnie inaczej niż ona.

Albo i nie. Przypomniała sobie, jak panna Jasny Koński Ogon zaczęła węszyć. A jeśli ich zmysł powonienia też się wyostrzył? Jeśli tak to się zaczyna?

Wzburzone myśli Alex zboczyły do tajemniczych

strzałów. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że może pytanie nie powinno brzmieć: do czego ci ludzie strzelali, tylko do kogo.

Czy jej też miało się to przytrafić? Boże, pierwszej wpakowałaaby sobie kulę w łeb. A jeśli nie zauważy i potem będzie już za późno? Albo jeszcze gorzej – jeśli nie zechce powstrzymać tych zmian? Jeśli będzie jej wszystko jedno?

– Alex? – Głos Ellie przyplłynął w ciemnościach. – Czy nam robi się to, co tamtym?

Słyszając, jak jej własne myśli padają z ust małej, Alex poczuła się kompletnie zaskoczona.

– Nie – zaprzeczyła automatycznie. – Minęło zbyt dużo czasu. To stałoby się od razu.

Kłamczucha, cichutko, jakimś wewnętrznym szeptem, wionęło jej w głowie. Przecież nie wiesz na pewno. Zmieniłaś się. Nadal się zmieniasz. Potrafisz wywęszyć różne zapachy i wiesz, co one znaczą. Elektrouderzenie było dopiero dziś rano, a popatrz, jak daleko od tej pory zaszłaś. Zobacz, jak szybko zmieniły się tamte małolaty. Może to, co stało się z nimi, ciebie jeszcze nie dopadło.

Odejdź! – próbowała odpędzić złe myśli. Nie mogła teraz tym się martwić. Nie chciała martwić się tym kiedykolwiek. Jedyne, o czym marzyła, to zamknąć oczy i nie śnić; obudzić się we własnym łóżku i stwierdzić, że to wszystko było tylko nocnym koszmarem.

– Daj spokój – powiedziała. – Śpijmy. Jutro czeka nas długi dzień.



– Boję się iść spać – odparła Ellie. – A jeśli nie obudzę się jako ja?

– Nic nam nie będzie.

– Skąd wiesz? Może umrzemy.

– Nie umrzemy. W każdym razie nie dzisiaj. – Kolejna automatyczna odpowiedź z odrobiną wisielczego humoru (albo trzeźwego realizmu), który przyswoiła w ciągu ostatnich dwóch lat. – Ani nie jutro.

Chwila milczenia.

– Tak mi przykro, że Mina została. Nie chciała iść. Nie dała się zmusić.

– Zrobiłaś, co mogłaś – stwierdziła Alex, chociaż mocno wątpiła, czy tak się sprawy miały. Dzieciak nienawidził tego psa.

– Myślisz, że nic jej nie będzie?

– Nie wiem, Ellie. Wygląda na bystrego zwierzaka.

– Może zostanie dzikim psem.

– Może. Nie mam pojęcia, jak szybko psy dziczeją. – Jeśli głodują, to pewnie bardzo szybko. Teraz to był jej własny wewnętrzny głos, nie ten cudzy szept.

– Dziadek mówił, że w Waucamaw jest pełno dzikich psów. Mówił, że ludzie zostawiają je tutaj, bo myślą, że jak wypuszczą je na wolność, to zrobią tym psom wielką frajdę. Tylko że wiele z nich głoduje, a niektóre nie chcą żyć dziko.

– Zamartwianie się o Minę nic jej nie pomoże.

– Och. – Cisza. – Chciałabym to zrobić od początku.

– Co zrobić?

– Wszystko. Szkoda, że nie byłam miłsza dla dziadka – szepnęła żałośnie Ellie. – I dla Miny. Może gdybym była lepsza, moja mamusia by nie odeszła.

Alex nie bardzo wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

– Dziadek mówił, że twoja mama odeszła bardzo dawno temu. Nie mogło chodzić o nic, co zrobiłaś. Byłaś jeszcze malutka.

– Może. Tatuś miał kilka zdjęć, ale nie lubił na nie patrzeć, bo go smuciły. – Ellie na chwilę przerwała. – Ja już nawet nie pamiętam, jak on wyglądał. Całkiem mi się zamazuje. Tatuś też mnie wkurzył.

– Dlaczego?

– Bo wyjechał, chociaż go prosiłam. Powiedział, że musi, bo to jego praca.

Alex dobrze wiedziała, jak to jest.

– Czasami, kiedy człowiekowi jest smutno, łatwiej jest się rozzłościć.

– A ty się wściekasz na swoich rodziców? – zapytała dziewczynka.

Alex poczuła gulę w gardle.

– Cały czas – odparła.

Niedługo potem Ellie zasnęła. Jednak Alex, mimo wielkiego zmęczenia, nie potrafiła się odprężyć. W głowie kłębiły się myśli, była niespokojna, spięta, nogi podrygiwały nerwowo. To uczucie przypomniało jej czasy, kiedy doktor Barrett wypróbowywał lek, który miał sprawić, że nie rzygałaby podczas chemii. Reglan, chyba

tak się nazywał? Już nie pamiętała. Przez ostatnie dwa lata zażyła dość różnych medykamentów, żeby utrzymać w branży małą armię farmaceutów. Problem z lekarstwami był tylko taki, że nawet te łagodzące efekty uboczne miały swoje efekty uboczne. Jak reglan, po którym dręczyły ją niepokój i okropne uczucie mrowienia w całym ciele. Była w totalnym amoku i nadal ją mdliło, jednym słowem – beznadzieja.

Z oddali dobiegł dźwięk przypominający pisk zardzewiałych zawiasów: wycie kojota. Może jednak powinna czuwać. W końcu po lesie grasują różne zwierzęta i tych dwoje odmóżdżonych kanibali. Kto wie, co – kogo – zaplanowali sobie na deser. Tak, przydałby się szybki obchód obozowiska. To lepsze niż leżeć tu, o mało nie wyskakując ze skóry. Sięgnęła po glocka, którego kaburę zdjęła przed pójściem spać razem z torbą-biodrówką, i aż się skrzywiła, słysząc ostry, przenikliwy szelest liści. Ale Ellie nawet nie drgnęła.

Alex przytuliła pistolet. Jego masywność dodawała otuchy, podobnie zapach: olej do broni, słaba metaliczna woń spalonego prochu. Kabura pachniała wygodnymi butami, z leciuteńkim powiewem potu – nie jej, tego była pewna.

Och, tato, powiedz mi, co robić, prosiła w myślach. Poczowała ucisk w gardle. Czy ojciec by zrozumiał, że musiała użyć glocka? A mama? Bo gdyby zaszły kolejne zmiany – gdyby istniała groźba, że stanie się taka jak tamci – musiałyby wziąć sprawy w swoje ręce i działać,

zanim będzie za późno. Tak czy inaczej, już przedtem myślała o pozabawieniu się życia. Jakkolwiek obłądnie by to brzmiało, samobójstwo było sposobem na przejęcie kontroli i walkę z potworem, obcym najeźdźcą, którego nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie uznała za część siebie. Zabić się, zanim on dokończy robotę, znaczyło pokrzyżować mu plany, pozbawić go ostatecznego zwycięstwa. Ale teraz ona i potwór mogli stać się tym samym, a to zmieniało wszystko.

Przeistoczę się w potwora. Jeśli użyję broni, już nie załatwię jego. Zamorduję siebie, pomyślała.

Potem naszły ją inne, jeszcze straszniejsze myśli. A jeśli to nie ona się zmieni, tylko dziecko? Czy potrafiłaby zastrzelić Ellie?

Boże, to wszystko było takie popaprane! Mrugając, żeby powstrzymać piekące łzy, szybko wygrzebała się z kryjówki. Po ciepłe szłaśasu uderzenie zimnego leśnego powietrza aż ścisnęło jej zęby. Stała przez kilka minut, trzęsąc się w ciemnościach, i z trudem przełykała ślinę. Zgrzyt własnego oddechu wydawał się bardzo głośny. Przycisnęła dłoń do rozdygotanych warg, żeby stłumić łkanie. Przestań, przestań! – uspokajała się. Musiała wziąć się w garść. Musiała dać radę. Bo tylko ona mogła. Ellie była za mała, więc do Alex należało wyciągnięcie ich z tego. Po prostu nie miała czasu na uzalanie się nad sobą...

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Czas. Samolot. Tamten samolot. To właśnie dręczyło ją przez cały dzień; mżyło jak ból zęba, coś w związku z

czasem. Samolot nie wrócił, a zawsze przelatywał o tej samej porze. Codziennie.

Nie słyszała powracającego samolotu.

Odfajkowała poszczególne ewentualności. Może w ogóle nie poleciał. A może po prostu go przegapiła. W końcu tyle się działo. Może silniki nie doniosły go do doliny albo zmienił ścieżkę lotu. Może w sobotnie wieczory nie wracał na macierzyste lotnisko. Może wracał dopiero w niedzielę.

A jeśli był w powietrzu, kiedy to się stało? Czy rozbiłby się? Sięgnęła myślami do ostatniego poranka. Samolot przeleciał jej nad głową o 7. 50. Elektryzacja nastąpiła o 9. 20, mniej więcej dziewięćdziesiąt minut później. Gdzie mógłby wtedy być? To zależało od jego prędkości, prawda? Może zdążył już wylądować. A może nie. Gdyby spadł, czy coś by usłyszała? Wątpliwe.

Jednak jeśli przyjąć, że mogła usłyszeć oraz że samolot a) nie rozbił się i b) w sobotnie popołudnia miał regularną trasę, to albo w tym zamieszaniu go nie zauważyła, albo nie był w stanie lecieć. Co oznaczałoby, że katastrofa objęła obszar o wiele większy niż osiemdziesiąt mil kwadratowych.

Były dwa sposoby, aby to sprawdzić. Mogła odłożyć sprawę do rana, ustawić się w odpowiednim miejscu i czekać na odgłos silników. Jeśli samolot przeleci nad doliną lub gdzieś w pobliżu, usłyszy go. Gdyby nie usłyszała, to niekoniecznie znaczyłoby coś złego, ale nadal by miała mnóstwo wątpliwości.

Albo...

Jedną z konsekwencji prawdziwego oddalenia od ludzi i wielkich miast jest przestrzeń nieskażona sztucznym światłem. W tych warunkach nawet w księżycową noc powinno się dostrzegać samoloty; i to lecące wysoko. Ale najpierw trzeba było znaleźć przerwę między koronami drzew. Ponieważ oczy Alex przywykły już do mroku, bez trudu dostrzegała najbliższe otoczenie: łataninę wyliniających plam szarości u swoich stóp, czarniejsze sylwetki drzew wystrzelających z leśnej ziemi, przebłyски księżycowego światła w dziurach baldachimu gałęzi niczym wytarte srebrne monety. Światło księżyca wydawało się jakieś nikłe. Nie tak jasne, jak się spodziewała. Zbyt szare. Dziwne. W ciągu czterech dni jej wędrówki księżyc był między nowiem a pełnią. Kiedy ostatnio zwróciła na to uwagę, do pełni brakowało mu, powiedzmy, jednej czwartej. Cóż, może właśnie zachodził.

Na prawo migotała plama srebrnosiwego blasku. To oznaczało duży prześwit. Alex ruszyła w tamtą stronę, powoli, jedną ręką osłaniając oczy przed nisko rosnącymi gałęziami. Przystawała co kilka kroków, żeby nadstawić uszu, wzdrygała się przy każdym leśnym szmerze i szeleście. Dwukrotnie nawet – chociaż czuła się głupio – węszyła. Zarejestrowała zimne, gnijące liście i mokre drewno, ale nie poczuła smrodu padliny. Niczego, co odczytałaby jako dzikie lub niebezpieczne. To dobrze.

Przerwa między drzewami była wielka jak dom. Alex

stanęła pośrodku, zadarła głowę i uniosła lewą dłoń, żeby zasłonić księżycowe światło sączące się zza woalu sosen. Gwiazdy były jakieś odjechane: nie twarde i szkliste, takie jak jesienią i zimą, ale bardziej zamglone, letnie. To dziwne. O tej porze roku zawsze wydawały jej się jaśniejsze, nie tylko z powodu innego otoczenia, ale także dlatego że chłodne powietrze nie zawierało aż tyle wilgoci, a Ziemia odwracała się od Drogi Mlecznej. Przy mniejszej liczbie widocznych gwiazd te, które pozostawały w zasięgu wzroku, sprawiały wrażenie wyraźniejszych, jaskrawszych. Ale tym razem niebo było jakieś rozmazane, a gwiazdy zamiast lśnić lodowato, wyglądały jak zwiewne, srebrne zadziory.

Co się z nimi stało? Znowu rozległo się chrapliwe wycie kojota, jednak prawie nie zwróciła na nie uwagi. Zamiast tego, marszcząc brwi, obróciła się powoli. Jej wzrok prześlizgnął się po nocnym niebie, po tych dziwnych gwiazdach – aż w końcu padł na tarczę księżyca.

Nie. Serce Alex szarpnął gwałtowny, bolesny skurcz. Otwarta usta. Czowała się tak wstrząśnięta, że zapomniała oddychać. Nie, to niemożliwe, powtarzała w myślach.

A jednak było możliwe. Księżyc miał kolor niebieski.

# **Część II**

**Tom**



## 16

Do wtorkowego popołudnia – trzy dni po tym, co zaczęła nazywać w myślach Elektrouderzeniem – nie zobaczyła ani nie usłyszała żadnego samolotu. Księżyc nadal był ciemnoniebieski, a im zostały już tylko dwie torebki galaretki w proszku i połowa energetycznego batonika. Z głodu i braku kofeiny Alex łupało w głowie. Żołądek skurczył się do rozmiarów rodzyнки, myśli stały się mętne, niemrawe i przytępione. I tak chuda, zdecydowanie straciła jeszcze na wadze. Bez przerwy musiała podciągać spodnie, a w pasku Ellie wywierciła kolejną dziurkę, żeby džinsy nie spadły małej do kostek.

Podczas postoju na odpoczynek Ellie tylko siedziała i patrzyła, dopóki Alex nie przekonała jej, że znów trzeba się ruszyć. Chociaż wydzielały sobie po pół kubka wody dziennie, w butelce zostały już tylko dwa łyki. Rzeka nadal była odległą przyszłością, a w dodatku pojawił się nowy kłopot.

Bo dotarły do cholernego rozwidlenia drogi.

Przez kilka sekund Alex stała kompletnie zbита z tropu. Szlak przez dolinę wyznaczały niebieskie płomyki, tak wyblakłe, że przebijająca przez nie kora barwiła je na szaro. Jak dotąd, z wyjątkiem pierwszego zniszczonego znaku, dziewczynki nie natrafiły na żaden drogowskaz. A teraz to: rozwidlenie i wyblakłe, niebieskie płomyki na obu szlakach, z których każdy był gęsto porośnięty

chwastami. Żadna ze ścieżek nie sprawiała wrażenia, że ktoś nią przemierzał w ostatnim czasie.

– Którędy idziemy? – zapytała w końcu Ellie.

Z głębin pamięci Alex nagle wyskoczyły znajome słowa. Tata miał na to sposób, więc i ona powiedziała jak on dawniej:

– Kiedy droga się rozgałęzia, zaakceptuj to.

– Co to znaczy?

– Taki żart – odparła. Jednak wspomnienia podsunęły jej pewien pomysł.

Ellie zaniepokoiła się.

– Co ty robisz?

– Chwileczkę... poczekaj. – Zamknawszy oczy, Alex wciągnęła powietrze. I poczuła samą siebie. A to ci niespodzianka. Kolejne dni duszenia się we własnym pocie pozostawiły na skórze swędzącą szadz. Policzki były sztywne od zastygłej soli, usta lepkie, a język tak spuchnięty, że z trudem przełknęła galaretkę w proszku, którą jadła na sucho, żeby oszczędzić wodę. Był tam też charakterystyczny zapach Ellie i natłok leśnych aromatów: ostra, żywiczna woń sosen, sucha, pikantna opadłych liści. Aż wreszcie wychwyciła to: ledwie dostrzegalny powiew wilgoci.

Otworzyła oczy.

– Tędy – powiedziała, wskazując ścieżkę biegnącą w lewo.

– Jesteś pewna?

– Na tyle, na ile można. Strażnica znajduje się na

północnym wschodzie. Słońce mamy za plecami, po lewej stronie. Gdybyśmy poszły w prawo, skierowałybyśmy się na południe, a to błąd.

Szły, aż dzień zaczął gasnąć i zachodzące słońce rozpało niebo dziwnym, krwistoczerwonym światłem. Wilgotny zapach nasilił się, chociaż może były to tylko pobożne życzenia. Alex wędrowałyby dalej, ale zanim zapadł zmrok, Ellie potykała się już z wyczerpania, a ostatnia rzecz, jakiej im było potrzeba, to połamanie nóg.

Odpiąwszy torbę, podała małej butelkę z resztką wody.

– Śmiało, bierz. A ja przygotuję dla nas nocleg.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie chce mi się pić.

– Pij, Ellie. – Alex rozgrzebywała liście. – Jutro dotrzemy do rzeki. Jesteśmy już naprawdę blisko.

– Ale dla ciebie nic nie zostanie.

– Poradzę sobie – odparła, chociaż był to raczej odruch, a nie rzeczywiste przekonanie. Właśnie wstawiała z klęczek, trzymając naręcze liści, kiedy wydała stłumiony okrzyk, bo nagle zakręciło jej się w głowie.

– Alex?

– To nic takiego. – Akurat. Była odwodniona i ciągnęła ostatkiem sił. Twarz lepiała jej się od potu, ciało było roztrzęsione i słabe. Czekwała, dopóki nie nabrała pewności, że nie zemdleje, po czym powlokła się w stronę konstrukcji z gałęzi, którą już wcześniej ustawiła u stóp sosny. Zrzuciwszy liście na jedną kupę, zaczęła wpychać

je do szałasu. – Po prostu jestem zmęczona. No już, wypij to.

Dzieciak miał niepewną minę, ale wlał resztkę wody do ust. Ten widok, ten wspaniały płynny dźwięk, ten zapach wywołały ból tak silny, że przeniknął Alex aż do szpiku kości. Odwróciła się i wpełzła do szałasu przygotowywać posłania z liści.

Jutro będzie woda, pomyślała z furją. Po prostu skup się na...

Z dworu dobiegło ciche szlochanie. Alex zmarszczyła brwi.

– Ellie?

– Ja... – krztusiła się płaczem Ellie. – Ja...

Zaniepokojona Alex wygramoliła się na zewnątrz.

– Co się stało?

– Ja... bardzo przepraszam. Za wszystko. – Jej twarz skurczyła się, ale dziewczynka była zbyt odwodniona na porządny płacz. – To wszy... wszystko mo... moja wina.

– To niczyja wina. Obie staramy się najlepiej, jak możemy.

– Ale ja wcale nie! Uk... ukradłam twoje je... jedzenie, a ty mi da... dajesz swoją wodę. Nie umiem nic ważnego. A ty ro... rozpalasz oogień i mówisz, któ... którą drogą mamy iść. Wszystko potrafisz!

Alex wprawiła w zdumienie samą siebie.

– Wobec tego musimy to zmienić. Chodź, nauczę cię, jak się rozpała ogień, poczynając od zera.

Przełykając łzy, Ellie z zaskoczeniem podniosła

wzrok.

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę. – Co powiedziała ciocia Hannah? „To nie twoje umiejętności podaję w wątpliwość”. Operatywność była najskuteczniejszą linią obrony przed potworem. Może dawała tylko iluzję siły, ale lepsze to niż codzienne poczucie bezradności. Alex leciutko szturchnęła Ellie: – Chodź, musimy znaleźć coś na podpałkę.

Dziewczynka posłusznie się poderwała. Nabrała takiego entuzjazmu, że przywlokła małą obumarłą sosnę – całe cholerne drzewo, jak powiedziałyby ciotka Hannah. Sosenka była jeszcze zbyt świeża, zbyt zielona, jednak Alex pohamowała odruch wytykania błędów. Zamiast tego pokazała Ellie, jak zebrać z drzewka wszystko, czego mogły użyć – suche igły, cieńsze gałązki – a potem, jak podzielić opał i ułożyć w stos.

– Podstawa jest naprawdę ważna. Jeśli nie ułożysz jej prawidłowo, tylko zmarnowałaś czas. A teraz najlepsza część. – Alex rozerwała torebkę z dezynfekcyjnym gazikiem, po czym krzywiąc nos od ostrego zapachu alkoholu, prawie do końca wyciągnęła wilgotny kwadracik. Kazała Ellie chwycić go przez foliowe opakowanie, podczas gdy sama zapaliła jedną z wodoodpornych zapalek. – Dobra, trzymaj mocno za sreberko – powiedziała, podsuwając płomień pod gazik. Gazik zajął się z cichutkim puh. Wystrzelił mały, jakby płynny płomyk, świetlisty i błękitny.

– Uau. – Ellie wydała stłumiony okrzyk – Pewnie, że uau. Jest świetny, bo wytrzymuje dużo dłużej niż zapałka, ale teraz musisz go użyć do rozpalenia ogniska. – Obserwowała, jak Ellie przybliżył gazik do podpałki, która się od niego zajmuje, jak rozkwita żółtopomarańczowy płomień, a potem niemal całkiem gaśnie. – Popatrz. – Delikatnie dmuchnęła na migoczącą iskierkami podpałkę, która natychmiast rozjarzyła się, tak gorąca i szkarłatnoczerwona jak tamte krwawe zachody słońca. – No teraz ty, tylko nie za mocno.

Ogień zgasł dwukrotnie: raz, bo Ellie dmuchała zbyt energicznie, a drugi, bo niewystarczająco. Przy trzeciej próbie zapłonął i się utrzymał.

– Zrobiłam to! – wrzasnęła radośnie. Alex nie mogła powstrzymać się od śmiechu, kiedy Ellie, podskakując i machając w powietrzu pięściami, wykonywała taniec zwycięstwa. – Zrobiłam to! Zrobiłam!

– Tak, zrobiłaś – powiedziała, przytulając dziewczynkę. – Jesteś super.

Przez kilka następnych godzin siedziały, podsycając ogień i grzejąc się przy nim. Ellie nie chciała go zostawić, jednak Alex twardo obstawała, że muszą się przespać.

– Ale wtedy zgaśnie. Całkiem.

– Nie, jeśli go właściwie przechowamy. Spójrz. – Używając długiej, solidnej gałęzi, Alex pokazała małej, jak rozgarnąć palące się drewno, żeby ograniczyć dopływ powietrza. – Właśnie teraz popiół odgrywa naprawdę ważną rolę – powiedziała i zaczęła ostrożnie nabierać

garściami zimny popiół, którym posypywała płomienie. – Jest jak kocyk. Osłoni rozżarzone węgielki przez całą noc. Jutro rano musimy tylko wpuścić powietrze i dorzucić rozpałkę.

– Ale jeśli zostaniemy, żeby znowu palić ognisko – buzia Ellie zmarszczyła się z niepokoju – czy to nas nie opóźni?

– Nie, takie ćwiczenia są potrzebne. Damy sobie radę.

Kiedy już wreszcie wpełzły do szałasu, Alex czuła się lepiej niż w ciągu ostatnich dni. Nadal męczył ją głód, jednak to potrafiła znieść. Znajdowały się blisko wody i wkrótce miały dotrzeć do strażnicy rangersów. Nie było tak źle. Gdyby koniecznie musiały, mogły się zatrzymać na krótko, powiedzmy gdzieś nad rzeką. To chyba sensowny pomysł. Szybszy kontakt z rangersami dla Jacka już niczego nie zmieniał, a należało pamiętać o Ellie. Może, pomyślała sennie, powinny tu posiedzieć, złowić trochę ryb...

– Alex?

Alex z trudem przytomniała.

– Uhm?

– Dzięki.

– Uhm – zamruczała znowu i ziewnęła. – Nie ma za co.

– Nie chodzi mi tylko o ognisko. Dzięki, że mnie nie zostawiłaś.

To ją całkiem rozbudziło. Czy wiele z tego wszystkiego nie było przypadkiem jej winą? Nie śmierć

Jacka, oczywiście, ale gdyby tak nie wariowała, gdyby miała trochę więcej cierpliwości, mogłyby się teraz znajdować w o wiele lepszej sytuacji, zaopatrzone w jedzenie, zapas wody, mapy. A tutaj Ellie jeszcze jej dziękuje.

– Nie powinnam była wtedy odejść – powiedziała. – Nie byłaś gotowa, a ja za bardzo się wściekałam, żeby to zauważyć.

– Ale znowu sobie nie pójdziesz?

– Nie. – I naprawdę nie zamierzała.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Zgięła najmniejszy palec. – Przysięgam na mały palec.

Po chwili wahania Ellie zaczepiła o niego swoim małym palcem.

– Nie zapomnisz?

– Nigdy – odparła Alex i pomyślała, że może właśnie wyszły na prostą. Nazajutrz dotrą do rzeki, do wody i ryb, najgorsze dni będą już za nimi.

Akurat!

## 17

W jednej sekundzie była głęboko pogrążona we śnie, a już w następnej przeskoczyła do stanu przytomności, pełnego pogotowia, pewna że coś jest nie tak. Szalas wypełniało szare światło. Przez dach z sosnowych gałęzi



prześwitywały skrawki bieli. Z dworu dobiegał poranny ptasi gwar. Zasypiając, Alex otuliła głowę kapturem bluzy, ale teraz twarz miała skostniałą, nos jak bryłkę lodu. Słyszała szum wichru w koronach drzew, a na skórze czuła powiew niosący obietnicę wody.

Chwileczkę.

Uniosła się na łokciach i wtedy zobaczyła, dlaczego było jej tak zimno. Dlaczego wiało jej prosto w twarz.

Liście, którymi starannie zasypała wejście, znikły. Ujrzała dzienne światło i... Była sama. Obok leżała jej torba biodrówka, ale plecaczek Ellie i pistolet też gdzieś wcięło.

Alex wyczołgała się na zewnątrz w takim tempie, że po drodze zwała poprzeczkę szałas. Szybki rzut oka dookoła. Ognisko wyglądało tak, jak je zostawiły. Więc dzieciak nie próbował go na własną rękę rozpalać.

– Ellie? – zawołała. A po chwili głośniejsze: – Ellie?

Rezultat był zgodny z oczekiwaniami, czyli żaden. Ale znowu wyczuła wilgoć i zrozumiała, że wiatr zmienił kierunek. Co więcej, uświadomiła sobie, że znajdowały się znacznie bliżej rzeki, niż początkowo sądziła.

Trzy sekundy później przypasała biodrówkę i ruszyła biegiem w tamtą stronę.

Dobiegło ją bulgotanie kipieli na skałach. Następnym dziesięć kroków przez gęstą kępę osik i ujrzała rzekę, burzącą się, spienioną na biało. Widok takiej ilości wody o mało nie przyprawił Alex o szaleństwo. Chciała podbiec

i zamoczyć twarz. Nie, chciała zanurkować i zacząć pić haustami.

Spokojnie, wyluzuj, uspokajała się w myślach.

Odkręciła butelkę, napełniła ją wodą i wrzuciła środek odkażający, potem znowu zakorkowała i porządnie nią potrząsnęła. Za siedem minut miały mieć pełno picia.

Rzeka była szeroka – jakieś sześćdziesiąt-siedemdziesiąt stóp – z szeregiem skalnych progów i wodospadów, który ciągnął się przez dobre pięćdziesiąt jardów, po czym przechodził w skalistą płyciznę. Od strony Alex, gdzie brzeg był o wiele bardziej stromy i niepewny, leżały w poprzek nurtu trzy splątane osiki. Powalone drzewa pełniły funkcję tamy, tworząc głębokie rozlewisko – nie dokładnie pośrodku, ale z prawej strony. Po lewej wodę przepuszczała naturalna skalna śluza. Czwarte drzewo pochylało się nad rzeką. Prawie dokładnie w połowie swojej wysokości. Jego pień rozwidlał się w szerokie V i grubszy, solidniejszy koniec tego rozgałęzienia sterczał nad rozlewiskiem.

Tam właśnie była Ellie. Ściskając wędkę w obu dłoniach, kulila plecy i ramiona przed zimnem. Stopy dziewczynki dyndały piętnaście stóp nad wodą. Otwarte pudełko z przynętami tkwiło w kępie mniejszych gałęzi po jej lewej stronie. Glock – w kaburze – spoczywał na prawo.

Na widok opiekunki mała rzuciła spojrzenie, które łatwo dawało się odczytać: Proszę, nie wściekaj się. Ku własnemu zdumieniu Alex nie czuła gniewu, tylko z

niepokojem myślała, jak ją ściągnąć na brzeg, żeby obie nie skończyły w kąpiel. Przesuwanie się nad wodą nie stanowiłoby problemu, gdyby drzewa nie były śliskie od szronu i mroźnego chłodu. Alex czuła, jak mięśnie jej ud zjeżdżają po zlodowaciałej korze. Nie dałaby też głowy za stabilność osiki. Każde uderzenie i potrącenie, każde drgnięcie działało jej na nerwy. Ciągle czekała na wielki trzask.

Zatrzymała się jakieś pięć stóp od miejsca, gdzie siedziała Ellie.

– Naprawdę myślisz, że będą brały? Jest okropnie zimno.

– Dziadek mówi, że ryby też są głodne. – Jakby dla udowodnienia tej tezy, dziewczynka szarpnęła wędką, nawinęła żyłkę i skontrolowała małą pomarańczową bryłkę na haczyku.

– Co to takiego? Nie wygląda jak dżdżownica.

– Ikra.

– Prochy – Naprawdę? – Wszystko, co Alex wiedziała o wędkowaniu, dałoby się zapisać na pudełku zapalek: zdecydowany brak w jej traperskiej edukacji. – Znaczą coś w rodzaju sushi?

Na buzi Ellie pojawił się wyraz namysłu.

– Tak jakby. Ale nie sądzę, żebyś chciała to zjeść. – Mała rzuciła zaniepokojone spojrzenie. – Nie ukrywałam tego przed tobą ani nic w tym rodzaju.

– Wiem. – Alex odkorkowała butelkę i wlała odrobinę wody do ust. Napój był tak zimny, że igiełki mrozu

przeszyły jej mózg. A po chwili aż ją zatchnęło, kiedy wypalił drogę przez klatkę piersiową i eksplodował w żołądku. Nigdy w życiu nie kosztowała czegoś równie wspaniałego, więc mimo bólu przełknęła kolejny haust, a potem jeszcze jeden. Mogłaby w ogóle nie przestawać, gdyby nie Ellie. Jakkolwiek by na to spojrzeć, oddanie butelki było aktem silnej woli.

– Teraz ty. Zanim stąd odejdziemy, jeszcze ją napełnimy.

– Dziękuję – powiedziała Ellie z wdzięcznością. Pociągnęła dwa ogromniaste łyki, niemal osuszając butelkę do dna, po czym ze strachem zerknęła na Alex.

– Śmiało. Nie krępuj się. Mamy tu całą rzekę, prawda?

– Tak. – Dziewczynka dokończyła. – Dzięki.

– Nie ma za co – odparła Alex. – Jak ci idzie? Miałaś w tym pudełku przynętę?

– Yhm. W porządku.

– A skąd wiesz, że to dobre miejsce?

– Dziadek mi mówił.

– Z powodu tego rozlewiska?

– Yhm. Mówił, że zawsze trzeba zarzucać wędkę poniżej schronienia ryb, a nie dokładnie im nad głową... – paplała Ellie. Alex słuchała jej tylko jednym uchem, bo już wybiegała myślą naprzód, próbując wykombinować, w jaki sposób podjąć drażliwy temat: kiedy następnym razem postanowisz wyruszyć na wędrówkę, bądź uprzejma mnie o tym powiadomić. A przy okazji: nie wolno dotykać pistoletu.

– A potem zjadasz je – z werwą zakończyła dziewczynka.

Zjadasz je. To przyciągnęło uwagę Alex. Ślina napłynęła jej do ust, żołądek ścisnął skurcz. Gdyby naprawdę udało się złowić jakąś rybę albo dwie... Nieomal głośno jęknęła.

– Wiesz, jak je upichcić?

– Pewnie. A ty nie wiesz? Przecież twój tata uczył cię wszystkiego.

– Tego akurat nie.

– Aha. Musisz je oskrobać z łusek. Nożem. Rozciąć im brzuchy i wyciągnąć flaki.

– Fuj. – I tak właśnie myślała.

– To nic wielkiego – oznajmiła nonszalancko Ellie. – A te flaki można zużyć potem na przynętę.

– Robiłaś to kiedyś? – Alex była autentycznie poruszona.

– No. – Mina małej graniczyła z najwyższym samozadowoleniem. – Potem wpychasz im do pyska gałęzie, tak żeby wyszły drugą stroną, i pieczesz nad ogniskiem, i jesz zupełnie jak kolby kukurydzy... Hej? Co ci jest?

– Nie... – zaczęła Alex, ale wtedy ten zapach znów się pojawił, ostry podmuch wywołujący na rękach gęsią skórę.

– Co... – Wzrok Ellie zawędrował do jakiegoś punktu ponad ramieniem Alex i oczy zrobiły się jej okrągłe. – Och.

Alex domyślała się, w czym rzecz. Później uznała, że całe to gadanie o jedzeniu było winne dalszym wypadkom. Że gdyby nie rozproszyły jej marzenia o smażonej rybie, sprawy potoczyłyby się inaczej. Może.

Z bijącym sercem odwróciła się, wiedząc już, co zobaczy.

Psa.

## 18

Kilka stóp od prawego brzegu rzeki stał collie, wyszargany, chudy, zabłocony i żałosny. Kawałek wystrzępionego sznurka zwisał mu z przetartej obroży. Pies zauważył, że Alex na niego patrzy. Brudny ogon kilka razy trzepnął to w jedną, to w drugą stronę, a potem rozległo się skomlenie.

– Och – niemal bezdźwięcznie szepnęła Ellie. – Chyba przegryzł sobie linkę. Albo ktoś go zgubił. Musi być okropnie wystraszony i głodny.

Alex pomyślała, że dziewczynka ma rację. Po rozmowie o włóczących się psach, którą odbyły poprzedniego wieczoru, w pierwszej chwili przeraziła się, że collie jest zdziczały. Ale wyglądał mniej więcej tak niebezpiecznie jak Lassie.

– Hej, malutka. – Nie miała pojęcia, czy to ona, czy on, ale uznała, że collie nie będzie w tej sprawie grymaśny. – Jak się masz? Co ty tu robisz?

Ogon powachlował w powietrzu. Pies zrobił krok do przodu, po czym się cofnął.

– Och, popatrz. Ona jest ranna. – Alex poczuła, jak drzewo się kołysze, kiedy Ellie przesuwała się, żeby lepiej zobaczyć. – Krew.

Tak było. Na zadzie zwierzęcia widniała zaschnięta, rdzawa plama.

– Ktoś ją postrzelił. – Odłożywszy wędkę dziewczynka odwróciła się i zaczęła zjeżdżać na siedzeniu w kierunku Alex. – Musimy jej pomóc. Chodź tu, psinko. Wszystko będzie dobrze, nie skrzywdzimy cię. Wszystko będzie dobrze.

Ruch był prawie niezauważalny. Może to kwestia wspomnienia sprzed czterech dni, kiedy coś brunatnego przemknęło chyłkiem i znikło w lesie, bo wzrok Alex błyskawicznie pobiegł w lewo, do gęstych zarośli tuż za collie – i serce jej zamarło.

W gęstwinie jeżyn drugi pies z brzuchem przy ziemi czaił się do skoku. Brudnobrązowy, bardzo duży kundel o wielkim, klinowatym łbie. Naprawdę duży.

Zapach, który przechwyciła, mówił: niebezpieczeństwo.

Może collie dostrzegł zmianę w jej oczach i wyczuł, że coś się popsuło, bo zdobył się na krótkie, niemal wesołe poszczekiwanie.

Ellie roześmiała się.

– Ona chce się bawić.

Teraz, gdy już wiedziały, czego szukają, przerażone

oczy Alex lustrowały las na prawo i lewo. I wypatrzyły w krzakach dwa kolejne psy: ciemnego, łaciatego ogara i wynędzniałego wilczura z lewym uchem zwisającym w strzępach.

Cztery psy. Cztery. Nie minął jeszcze tydzień, odkąd zaczął się ten koszmar, a żaden ze zwierzaków nie sprawiał wrażenia, jakby kiedykolwiek do kogoś należał.

– Co ty robisz? – zawołała Ellie, kiedy Alex niespodziewanie na nią napała. Potem rozległ się krzyk małej i coś plusnęło. – Przez ciebie strąciłam moje pudełko...

– Zawracaj! – przerwała jej Alex z takim naleganiem, na jakie tylko potrafiła się zdobyć bez podnoszenia głosu. – Tam jest więcej psów, Ellie. Cofnij się, cofnij!

– Co? Nic nie... – Alex usłyszała, jak dziewczynka gwałtownie wciąga powietrze.

– Szybciej. – Poczula, że mała zaczyna się przesuwać, I ruszyła za nią, nadal obejmując nogami pień, chwytając się oblodzonej kory i ani na chwilę nie spuszczać oka z psów. Obserwowała, jak pozostałe trzy wyslizgnęły się z płataniny kolczastych gałęzi. Collie już nie machał ogonem. Filuterny wyraz mordki zastąpiła niemal wściekła mina. Psy zeszywniały, nadstawiły uszu, z rozszerzonymi nozdrzami sondowały zapachy. Ich zapachy.

– Uciekajcie. – Głos Alex załamał się. Pomyślała: Boże, już brzmię jak ofiara. Spróbowała jeszcze raz, dodając trochę stalowych tonów: – Dalej! Wynocha stąd,



no już!

Psy ani drgnęły, tylko zerkały jeden na drugiego. Alex niemal słyszała, jak się zastanawiają; czuła w powietrzu energię ich myśli. Po chwili cztery pary błyszczących ślepi znów obróciły się w jej stronę i ogar z ogromnym kundlem zaczęły obwąchiwać brzeg rzeki.

– Co one robią? – zapytała Ellie cieniutkim głosem.  
– Pójdą sobie?

– Nie. Szukają przejścia.

– Dlaczego?

– Żeby nas zejść z obydwu stron.

Kundel i ogar ostrożnie szły wzdłuż brzegu, ślizgając się na mokrych liściach. Alex miała nadzieję, że spadną do wody, może któryś złamie łapę albo chociaż przemokną, zniechęca się i dadzą spokój. Ale te psy nie wyglądały na takie, które się poddają. Wtedy przypomniała sobie zaschniętą krew na zadzie collie i pomyślała: broń.

– Ellie. – Wyciągając szyję, zerknęła w bok, ponad wzniesieniem ramienia. – Ellie. Pistolet. Podaj mi go.

Twarz małej była blada jak chusta. Dziewczynka w milczeniu płakała, wielkie łzy toczyły się po policzkach. Oczy rozszerzyły jej się jeszcze bardziej, ale skinęła głową – gwałtowne szarpnięcie jak u marionetki – i zaczęła cofać się podrzutami bioder, chwiejnie niczym dziecko sunące po równoważni. Każde takie odbicie wyrywało z piersi Alex zduszony okrzyk.

– Nie tak szybko – syknęła. – Mamy jeszcze trochę

czasu. Uważaj.

– Już prawie jestem! – jęknęła Ellie. Udało jej się dotrzeć siedzeniem do rozgałęzienia w kształcie litery V, ale zamiast się obrócić, machnęła prawą rękę do tyłu, żeby dosięgnąć do broni, która leżała w kolebce gęstych gałęzi...

Alex spojrzała tuż przed tym, co się wydarzyło.

– Ellie, nie, stój!

Za późno.

Ręka Ellie walnęła w pistolet, solidnym ciosem posyłając go do rzeki. Dziewczynce wyrwało się przeraźliwe „nie!” Próbowała pochwycić glocka, ale jej ciało przesunęło się i znowu wrzasnęła, tym razem rzucając się do przodu i oplatając ramionami drzewo. Alex patrzyła w niemej grozie, a pistolet koziółkował – kolba, lufa, jeden obrót, drugi, trzeci – aż wreszcie uderzył o wodę z głuchym, mokrym plum, dźwiękiem, który słyszała wiele razy w dzieciństwie, kiedy z rozbujanej huśtawki-opony ciskała kamieniami do stawu. Teraz, bezsilna i zrozpaczona, obserwowała, jak nurt pochłania glocka. Pochłania jej tatę.

– Przepraszam. – Ellie pokazała zęby w napiętej, przerażonej imitacji uśmiechu i mocniej objęła drzewo. – Przepraszam, straciłam równowagę. Przepraszam, ja...

Musiało istnieć coś jeszcze, czego mogła użyć jako broni. Wzrok Alex przesuwiał się po pniu w poszukiwaniu tego czegoś, czegokolwiek. Zauważyła, że psy właśnie przepływają się w bród przez rzekę. Ostrożnie szły po

kamieniach, nie spuszczać oka ze swoich ofiar, a jednocześnie pilnując, dokąd zmierzają. Musiała się pospieszyć.

– A twój nóż? – Głos Ellie tłumiała groza. – Możesz go użyć?

– Za mały zasięg. – Nóż miał ostrze niezbyt długie, więc gdyby zwierzę zrobiło unik, mogłoby chwycić ją za nadgarstek i byłoby po wszystkim.

Skakać? Alex dobrze pływała. Zmierzyła wzrokiem rzekę, przyjrzała się jej mirtowi. Był naprawdę silny, skały śliskie, woda głęboka i pewnie niesamowicie zimna. Mimo to Alex mogłaby sobie poradzić, jednak wątpiła, czy Ellie by zdołała – nie w ciężkich butach, kurtce i tych wszystkich ciuchach, które pociągną ją na dno. A poza tym psy też umieją pływać, wiedziała o tym dobrze. Więc nawet gdyby się odważyła, wystarczy jeden błąd, psy je dopadną i po sprawie.

Obmacując pień od spodu, natrafiła dłonią na gałąź grubości nadgarstka. Pociągnęła. Gałąź zgięła się, zaskrzypiała. Alex szarpnęła mocniej, usłyszała trzask, potem odgłos pęknięcia i gwałtownie złapała powietrze, bo drewno poddało się tak szybko, że wpadła w poślizg. Kurczowo trzymając gałąź, zacisnęła uda wokół pnia. Uderzyła podbródkiem w drzewo. Poczowała ból, czerwony i gorący jak płomień, kiedy zęby wbiły się w język.

– Alex!

– Nic mi nie jest – odparła, przełykając banieczkę krwi. Usta pulsowały bólem, palce rozpaczliwie zaciskały

się na kiju. – Cofnij się drogą, którą wchodziłaś. Po tym ogromnym konarze, tym gdzie łowiłaś ryby. I pospiesz się. – Alex zaczekała, aż Ellie zaczęła chybotliwie przelazić z głównego pnia na konar, i dopiero wtedy ruszyła w jej ślady, z zapartym tchem wsłuchując się w trzeszczenie gałęzi. Boże, proszę, pozwól nam się tam dostać, modliła się w myślach.

– Alex, jak... jak daleko mam jeszcze wejść?

Alex zerknęła. Konar był gruby i solidny, w obwodzie miał tyle co Ellie, a mała znajdowała się dopiero w połowie drogi. Uginał się leciutko, łagodnie, ale się nie kołysał, więc uznała, że jest wystarczająco mocny. – Dobrze, zostań tam. Już nadchodzę.

– Ale co teraz zrobisz? Co zrobimy?

Nie odpowiedziała. Nie potrzebowała wspinać się bardzo wysoko, byle psom pozostała tylko jedna droga ataku. Lej prowadzący do rynny, jak na zboczu tamtej góry. Jeśli dostatecznie się oddali od rozgałęzienia w kształcie V, napastnicy będą musieli przedostawać się do niej pojedynczo, a w takiej sytuacji potrafiła się obronić. Dotarła do rozwidlonego miejsca, mocno chwyciła się konara i zrobiła wymach, żeby przerzucić lewą nogę. Rozległo się solidne łup, kiedy bok jej buta walnął o drzewo. Alex podciągnęła biodra, myśląc: Nigdy nie byłam dobra na równoważni.

– Już prawie jesteś – zachęcała ją Ellie. – Rusz do góry tyłek.

Ruszyła. Opadła na brzuch z takim impetem, że

poczuła, jak uderzenie pulsuje wzdłuż kręgosłupa. Pod jej ciężarem potężna gałąź zaskrzypiała i wygięła się niczym naciągany łuk. Alex wstrzymała oddech w oczekiwaniu na dźwięk pękającego drewna, trzask, kamienne ostrze skały rozcinające jej potylicę...

Konar kołysał się, trzeszczał niczym schody w nawiedzonym domu, ale się nie złamał.

Co za ulga.

– Ellie, możesz mi zrobić trochę miejsca?

– Tak. – Dzieciak zaczął przesuwać się do tyłu. Alex poczuła, że gałąź w jej objęciach dygocze, a po chwili ujrzała, jak kora marszczy się i ugina. Tym razem konar zaprotestował głośnym wizgiem, który przywiódł jej na myśl otwieranie siłą w upalny dzień wypaczonych od wilgoci drewnianych drzwi.

– Wystarczy. – Może to było za daleko, ale teraz miała przynajmniej jakieś pole manewru. Spojrzała w lewo. Wielki kundel już przedostał się na drugi brzeg i mierzył wzrokiem pień osiki. Potem obróciła głowę w prawo, a wtedy niespodziewany, szokujący widok przyprawił ją o mdłości. Ogar był już w pół drogi do rozgałęzienia konarów, jakieś dwadzieścia stóp od niej.

– Trzymaj się, Ellie... naprawdę z całej siły.

– Alex? Co ty chcesz zrobić?

Alex nie miała czasu na wyjaśnienia. Oplówszy nogami konar, zahaczyła jedną stopę o drugą. Lewą ręką mocno objęła drzewo, prawej pozwoliła opaść, zaciskając dłoń na prowizorycznej maczudze.

Dziesięć stóp niżej, w rozwidleniu osiki, pies się zawahał. Z tej odległości widać było, że ma brunatne oczy z czerwonymi białkami. Uniósł czarne wargi, warcząc i szczerząc poźółkłe zęby. Potem podpełznął krok do przodu i jeszcze jeden, i jeszcze...

Alex zamachnęła się.

Kij ze świstem przeciął powietrze. Ogar ujrzał, jak nadlatuje, spróbował pochwycić go zębami, ale się zachwiał i było już za późno. Obłamany sęk trafił napastnika w zębra wystarczająco mocno, żeby ich gałąź cała się zatrzęsała. Pies zawył. Ryjąc pazurami korę, zmykał po oślizgłym pniu, a potem, nadal skowycząc, stoczył się z drzewa i – zupełnie inaczej niż kot – runął do rzeki z potężnym pluskiem, który posłał w niebo gejzer wody w lodowatym diademie.

Hura! Dreszcz euforii rozpląwał się po jej ciele jak krew. Przekręciwszy się Alex zerknęła przez ramię. Czarny łeb ogara, gładki i ceratowo lśniący, wyskakiwał nad powierzchnię wody. Jednak nurt był porywisty, więc psa zniosło już dobry kawałek i nadal nabierał prędkości. Za swoimi stopami dostrzegła skapujące krople. To ociekała Ellie.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Na buzi dziewczynki odbijała się nadzieja zmieszana ze śmiertelnym strachem. – On nie żyje? Utonie?

– Nie. – Alex obserwowała, jak pies walczy, żeby dopłynąć do brzegu. W kilka sekund później wygramolił

się na mieliznę po prawej stronie. Woda lała mu się strumieniem z obu boków, a potem bryznęła dookoła szeroką aureolą, kiedy się otrząsnął. Po chwili sadził już susami pod górę, żeby wydostać się na skarpe. – Właśnie wra...

– Alex! Popatrz w lewo!

Wilczur usiłował przedostać się do drzewa, podczas gdy collie obserwował te zabiegi z bezpiecznego stałego gruntu. W tej samej chwili Alex dostrzegła jakiś ruch na prawo. To był ten ogromny kundel. Postawił niepewnie łapę na pochyłym pniu. Zrobił krok, potem następny.

Nie. Psy nacierały z obu stron, a ona wiedziała, że nie wytrzyma już długo. Gdyby Ellie nie upuściła glocka, mogłyby...

Coś wypadło pędem pomiędzy drzew. Coś bardzo szybkiego szarżowało w takim tempie, że Alex zdołała dostrzec tylko brązową, niewyraźną plamę. Jednak po chwili, wzdrygając się, stwierdziła, że to następny pies.

Nie, nie, nie jeszcze jeden. A potem dobiegł ją zapach i pomyślała: Zaraz. Czy to przypadkiem nie...

– Mina! – krzyknęła Ellie. – Mina!

## 19

Ogar wyczuł, że dzieje się coś złego. Próbował zawrócić, ale było już za późno.

Mina skoczyła na niego. Uderzenie masywnego ciała

odrzuć psa, kompletnie zwałając go z nóg. Skomląc, fiknął niezdarnie i wylądował na grzbiecie – łapy młóćące powietrze, szyja odsłonięta. Pysk Mina zanurkował z szybkością węża i skomlenie ucichło, kiedy szczęki owczarka zacisnęły się na gardle przeciwnika. Z przegryzioną tchawicą ogar nie mógł już wydać głosu, jego łapy podrygiwały i pedałowwały. A po chwili jednym gwałtownym szarpnięciem Mina rozerwała mu gardło. Z psiej szyi buchnęła ogromna fontanna krwi...

– Uważaj! – rozległ się pisk Ellie.

Przerażona Alex błyskawicznie się odwróciła, właśnie w momencie, gdy zamajaczył przed nią czarny potwór. Kundel-olbrzym z szeroko otwartą paszczą rzucił się do przodu i gdyby Alex zabrakło kilku sekund, żeby unieść prawą rękę, byłoby już po wszystkim. Zdążyła, ale pies złapał zębami za kij i wściekle szarpnął.

Ze stłumionym okrzykiem Alex puściła swoją maczugę i poczuła, że zjeżdża. A potem świat się przechylił. Jak szalona jeszcze ostatni raz próbowała złapać się pnia – znowu usłyszała krzyk Ellie – ale nie była wystarczająco szybka.

Runęła do rzeki. Siła zderzenia wybiła jej z płuc powietrze z okropnym świstem. Hucząca woda, tak zimna, że aż parzyła, zamknęła się nad Alex. Po chwili biały błysk mignął dziewczynie przed oczami, kiedy walnęła głową w twardą skałę. Oszołomiona całkiem bezwiednie spróbowała złapać oddech. Strumień zimnej wody zalał jej usta. W wirze grozy poczuła, że mięśnie



gardła ściskają się, zakleszczają, stawiają opór. Napływ wody do płuc został odcięty jak za przekręceniem kurka. Alex przestała się dławić.

Za to się dusiła.

Krwawoczerwone plamy zaćmiły jej wzrok. Z płonącymi płucami, w dzikiej panice tłukła spienioną wodę. Po chwili rzuciła się ku odległemu przebłyskowi, który uznała za światło. Kopała rozpaczliwie, nawet wtedy gdy nurt chwycił ją za ciężkie buty, chciwie łapał za ubranie i próbował pociągnąć na dno.

Wreszcie przedarła się na powierzchnię. Poczowała, jak ostre powietrze siecze skórę. Zanosząc się kaszlem, odchyliła głowę, szeroko otworzyła usta i ze świstem złapała oddech. Krew huczała jej w uszach, ale wzrok nabrał ostrości. Zdała sobie sprawę, że obrócona jest głową w dół rzeki i nadal się porusza, bo rwący nurt niesie ją w zawrotnym pędzie. Nagle na jej drodze zamajaczyło ogromne zwalisko skał i rumoszu, pędziło prosto ku jej twarzy. Za późno, żeby przerzucić się na plecy, za późno!

Rzeka cisnęła nią o głazy. Alex odczuła zderzenie jak wybuch w lewym ramieniu, który zaiskrzył elektrowstrząsami aż po czubki palców. Jednak w tej samej chwili uświadomiła sobie jeszcze dwie rzeczy.

Wepchnięta pod skały w pozycji niemal poziomej, zorientowała się, że chociaż nurt zasysa ją i zagarnia, znalazła się na mieliźnie, w wodzie nie głębszej niż na stopę. A potem zobaczyła nad sobą niebo...

I ogromnego kundla.

## 20

Boki ociekały mu wodą. W rozcięciu na barku pieniała się krew. Widocznie uderzył o kamienie albo nadział się na jakąś gałąź. Ale był tu, jak najbardziej żywy, i właśnie z błyskiem kłów, białym i śmiercionośnym, sięgał do twarzy Alex.

Krzycząc przeraźliwie, przycisnęła się plecami do skały i jedyną sprawną ręką – prawą – zasłoniła twarz. Działała wyłącznie instynktownie, ale to uratowało jej życie. Przewrócona na grzbiet, niezdolna poderwać się z ziemi, czuła, że pies się szykuje, czekała sparaliżowana strachem, kiedy zaciśnie na niej szczęki i pogruchocze kości... Może potem rzuci się do gardła albo nawet wepchnie ją pod wodę i przytrzyma, by utonęła. Ale nie złamał jej ręki. Dziewczyna uświadomiła sobie, że pies źle oszacował i jedyne, co złapał, to wielki kęs przemoczonej bluzy. Zacisk wokół ramienia zelżał na chwilę, bo napastnik rozwarł szczęki i przesunął pysk, szykując się, żeby lepiej chwycić...

I wtedy przed oczami Alex przemknęła Mina. Kundel natychmiast puścił swoją zdobycz i odwrócił się niezwykle szybko jak na takiego olbrzyma. Psy wpadły na siebie – kły przeciwko kłom, warczące kłębowisko futra i mięśni.

Rusz się, wstawaj, wstawaj, wstawaj! – dopingowała

się w myślach. Otrząsnąwszy się z kompletnego bezwładu, Alex zaczęła gramolić się na czworakach po śliskiej skale, szukając jakiegoś oparcia. Zdołała uklęknąć na jednym kolanie, podniosła się i o mały włos znowu nie upadła. W ustach miała krew, w głowie dzwoniło jej z bólu, lewa ręka zwisała bezwładnie. Spieniona woda chwytiała ją za nogi i próbowała z powrotem pociągnąć w głąbinę.

Ellie wydała przeszywający krzyk grozy. Półprzytomna z przerażenia, nadal oszołomiona po upadku Alex ujrzała, że wilczur dotarł już do rozwidlenia osiki. Podczas gdy patrzyła, zwierzę zrobiło ostrożny krok, potem następny. Przy trzecim wpadło w poślizg i wywijając ogonem, walczyło, żeby utrzymać się na pniu.

Spadnij, pomyślała wściekle. Spadnij! Ale pies nie spadł.. W ciągu sekundy odzyskał równowagę i Alex pojęła, że ona w żaden sposób nie zdąży dotrzeć do dziewczynki.

Zerknęła do tyłu na walczące psy, które właśnie się rozdzieliły. Mina ziajała, jej klatka piersiowa poruszała się jak miechy. Z rany na szyi spływała krew. Kiedy suka odskoczyła, Alex dostrzegła, że kuleje, osłaniając lewy bok. Kundel też krwawił, ale był większy, muskularniejszy. Wyglądało na to, że w tej walce Mina jest na straconej pozycji.

Ellie znowu wrzasnęła. Przez cenny, decydujący ułamek sekundy uwaga Mina osłabła. Suka gwałtownie odwróciła głowę w stronę, skąd dobiegał głos jej pani...

I wtedy kundel dostrzegł swoją szansę.

Spuściwszy łeb, ruszył do ataku i staranował Minę, waląc barkiem w jej pierś. Suka wywinęła kozła w powietrzu. Wykręcając ciało, daremnie próbując się obrócić, z potężnym pluskiem wylądowała na grzbiecie. Zanim zdążyła poderwać się na nogi, kundel był już przy niej. Kły miał zakrzywione jak brzeszczoty bułatów. W ostatniej sekundzie Mina zaczęła młócić powietrze wyprostowanymi łapami, ale olbrzym zmienił pole ataku. Potężne szczęki złapały lewą przednią łapę przeciwniczki. Rozległ się głośny zgrzytliwy chrzęst. Mina zawyła wysokim, upiornie ludzkim głosem, a po chwili była już na nogach i okulała walczyła, żeby utrzymać równowagę.

– Nie! – krzyknęła Alex. Uczucie obezwładnienia znikło. Zacisnęła palce na kamieniu rozmiaru jej własnej pięści i z całych sił rzuciła.

Kamień uderzył olbrzyma w żebra. Z cichym skowytym – bardziej zdumienia niż bólu – pies odwrócił się, by stawić czoło nowemu napastnikowi.

Boże. Alex poczuła, jak jej wnętrzności zmieniają się w galaretę. Po omacku sięgnęła po następny kamień, nie ośmielając się oderwać oczu od rozjuszonego zwierzęcia. Jeśli zaatakuje, jeśli chybię... – pomyślała gorączkowo...

W następnej chwili nozdrza dziewczyny wypełnił tak intensywny, tak zdumiewający smród, że aż jej dech zaparło.

Ujrzała, jak kundel wzdrygnawszy się, zastyga, a potem obraca topornym łbem to w jedną, to w drugą

stronę. I już wiedziała, że pies też coś zwęszył. Stulone uszy przywarły mu do czaszki, ogon wcisnął się pod zad. Olbrzym dał krok do tyłu, potem drugi, a po sekundzie już pędził z pluskiem przez mieliznę, wzniecając fontanny wody.

Alex nie mogła się poruszyć. Balansująca na trzech łapach Mina zeszywniała. Futro zjeżyło jej się na grzbiecie. A potem spojrzała w lewo, uniosła wargi, obnażyła zęby i warknęła.

Znam ten zapach, uświadomiła sobie Alex. Poczwała, jak wypełnia ją groza. O Boże, ja go znam.

Smród – gorący, upalny – przywodził na myśl lato: cuchnął smolistym asfaltem i padliną, wzdętą od rozkładu. Był gęsty jak mgła; dręczący fetor gnijącego ciała i zmiżdżonych bebechów, tak silny, że rósł jej w ustach i oblepiał język.

Alex powoli powiodła wzrokiem w lewo.

I wtedy właśnie zobaczyła tego mężczyznę.

## 21

Stał wśród drzew, niemal w tym samym miejscu, gdzie przedtem pojawiły się psy. Włosy miał bardzo krótkie, ścięte po wojskowemu na jeża. Wyglądał obrzydliwie: ubranie w strzępach, skóra umazana ziemią i krwią. Cuchnął śmiercią i rozkładem.

Psy były przerażone. Alex wyczuwała ich strach.

Kundel czmychnął do lasu, ale collie zastygł na wysokim brzegu, jakieś dwadzieścia stóp od mężczyzny. Z opuszczonym łbem i wyszczerzonymi zębami pies cofnął się w stronę rzeki, jednak dalej nie miał już dokąd uciekać. A na pniu osiki, zaledwie parę kroków od Ellie, zamarł wilczur.

Ellie odezwała się pierwsza:

– Pomocy! Proszę, pomóż nam!

Mężczyzna otworzył usta i przez jedną szaloną sekundę Alex myślała, że może naprawdę wszystko dobrze się skończy. Płonne nadzieje.

Z ust nieznajomego wydarł się bezładny wrzask, dźwięk tak pierwotny, że jeżył włosy na karku. A potem mężczyzna ruszył do ataku, z rozpostartymi ramionami, palcami wygiętymi w szpony i tym dzikim rykiem, który trwał bez przerwy.

Alex miała tylko tyle czasu, żeby pomyśleć: Boże, nie, Ellie!

Mężczyzna szarżował prosto na psa collie. Był szalenie szybki i zwinny jak pantera. Collie natychmiast uskoczył w prawo, ale znalazł się zbyt blisko krawędzi. Jedna z tylnych łap zadyndała nad urwiskiem i pies wpadł w poślizg. W następnej sekundzie ręka mężczyzny wystrzeliła do przodu i ucapiła pełną garścią skołtunioną sierść. Collie wydał z siebie wysoki, mrozący krew w żyłach skowyt i stracił grunt pod łapami. Napastnik rozkołysał bezradne zwierzę, po czym zaczął obracać się z nim wokół własnej osi, wykorzystując ciężar swojej ofiary

w taki sposób, jak lekkoatleta buduje prędkość przy pchnięciu kulą.

Aż wreszcie z okropnym łup walnął psem o drzewo. Collie zaprotestował daremnym jękiem i runął na ziemię, bezwładny niczym worek ziarna. Tocząc pianę z ust, szalenciec sterczał przez chwilę nad ogłuszonym stworzeniem. Potem sięgnął do jego łba, wczepił się dłońmi w obie szczęki i rozwarł je jednym, brutalnym szarpnięciem. Rozległ się chrzęst kości, trzeszczący dźwięk jakby ktoś rozdzierał materiał. Z rozszarpanego pyska wyrwało się głębokie, gardłowe wycie.

Ellie wrzasnęła.

Lodowate palce przerażenia zacisnęły się wokół serca Alex. Ujrzała, jak mężczyzna pochyła się nad zamroczonym ciałem. Przez moment wydawało się, że chce je pocałować. Jednak pochwycił psa w potężny, niedźwiedzi uścisk – dosłownie z całych sił przytulił go do piersi – i zmiażdżył.

Wśród serii trzasków i chrupotów pękały żebra zwierzęcia. Wielkie bańki szkarłatnej krwi kipiały mu z mordy, a jednak collie nie wydał żadnego odgłosu, nawet nie zaskomlał. Bo nie mógł. Szalenciec zduszał w nim życie, wyciskając powietrze ze zniszczonych płuc.

Niewiarygodne, ale śmiał się przy tym. Triumfalny, obłąkany dźwięk, od którego po plecach Alex przebiegły ciarki. Nie przestając rechotać, potwór sięgnął do psiego pyska i wyrwał język.

– Alex? – Dygocząc, Ellie próbowała obrócić się na

swoim siedzisku. – Alex?!

Alex nie mogła jej odpowiedzieć – nie ośmieliła się. Przytulona do niej Mina trzęsła się całym ciałem. Obie patrzyły, jak mężczyzna wgryza się w grubą, ociekającą krwią warstwę mięśni, odrywa spory kawał i żuje – a potem równie szybko wypluwa.

Ellie wydała okrzyk wstrętu i grozy. Nie, nie, kochanie, bądź cicho, błagała ją w myślach Alex.

Wilczur na drzewie nagle oprzytomniał. Zaczął się cofać, ale w panice poruszał się zbyt szybko. Alex dosłyszała głośny chrobot pazurów orających drewno i pies ześlizgnął się na bok. Spadając, odbił się od garbu pobliskiego głazu, po czym widowiskowo rąbnął brzuchem o wodę. Chwilę później psi łeb gwałtownie wyłonił się z głębin. Wilczur z furją pruł fale, kierując się do odległego brzegu, ale nurt znosił go w stronę Alex.

Donośny plusk sprawił, że mężczyzna podniósł oczy. Na klatce piersiowej rozpościerał mu się czerwony wachlarz, umazany podbródek błyszczał od krwi. Dziewczyna zamarła. Teraz już rozumiała, dlaczego króliki tak nieruchomieją. Nie zobacz mnie, nie zauważ mnie, zaklinała go w myślach. Dostrzegła spojrzenie, jakim szalencie obrzucił wilczura, który tymczasem wygramolił się na brzeg, niecałe dziesięć stóp od niej. Mina ostrzegawczo warknęła i Alex poczuła ukłucie niepokoju. Ale wilczur zainteresowany był tylko ucieczką. Kompletnie je zignorował, wdarł się na nadbrzeżną skarpe i zniknął im z oczu.



Alex wróciła spojrzeniem do poprzedniego punktu – i zrobiło jej się ciemno przed oczami. Mężczyzna był już na nogach. Nadal kurczowo uczepiona drzewa Ellie chyba wreszcie odebrała ostrzeżenie. Skuliła się – mała, różowa, nieruchoma – ale nie miało to już sensu. On wiedział, że dziewczynka tam jest. W przebłysku olśnienia Alex zrozumiała, że szaleniec zamierza dopaść Ellie.

Nie było już czasu, by wdrzeć się na skarpę. Facet znajdował się zbyt daleko, by trafić go kamieniem. Więc zrobiła jedyne, co mogła.

– Hej! – Chlupocząc w płytkiej wodzie, dobiegła do lewego brzegu i zaczęła wdzierać się po jego pochyłości. – Hej, tutaj, hej!

Zadziałało. Nieznajomy obrócił obłąkane, przekrwione oczy. Znów wionęło trupim, upalno-letnim smrodem. Twarz szaleńca wykrzywiła się, a po chwili ruszył pędem w stronę Alex – rozdziawione usta, krzepnące plamy krwi, pasma mięsa zwisające spomiędzy zębów.

Suka minęła ją pędem, szybciej niż można by się spodziewać po psie na tylko trzech zdrowych łapach, i w mgnieniu oka zaatakowała. Skoczyła, wgryzając się w prawą rękę napastnika. Z przeraźliwym rykiem mężczyzna szarpnął Minę, bądź co bądź niemałe zwierzę, i zwałił z nóg. Nadal rycząc, zakręcił nią najpierw w jedną stronę, potem w drugą, ale trzymała się kurczowo. Jej ciało miotało się tam i z powrotem jak flaga na silnym wietrze. Mężczyzna zamachnął się lewą pięścią do wściekłego uderzenia z półobrotu. Celował w łeb, ale pies

zauważył zbliżający się cios i puścił. Gdy tylko tylne łapy dotknęły ziemi, Mina odbiła się jednym, niemal bezbłędnym ruchem, po czym zmieniawszy taktykę rozwarła pysk, rzuciła się na lewą rękę wroga i zmiażdżyła mu zębami nadgarstek. Rozległ się wyraźny, zgrzytliwy chrzęst.

Szaleniec wrzasnął głośno, chrapliwie i zaczął cofać się, wpadając na drzewa, kręcąc się i obracając, wirując w jakichś dzikich podnieconych płasach.

W następnej chwili Alex usłyszała niemożliwy do pomylenia dźwięk odryglowywania zamka, a potem ostry rozkaz:

– Zawołaj swego psa!

Zza rzeki.

Ujrzała, jak spomiędzy drzew wyłania się kolejny facet. I unosi strzelbę. Był dużo młodszy od tamtego, bardziej w jej wieku. Na twarzy miał smugi brudu, przethuszczzone brązowe kędziory kleiły mu się do czoła.

– Zawołaj go! Natychmiast! Szybciej!

– Mina! – krzyknęła Alex, a potem zdesperowanym tonem: – Mina, wracaj, wracaj!

Nie do wiary, ale udało się. Mina zawróciła wielkimi susami. Zakręciła się i przywarła do nóg dziewczyny, jakby chciała zatarasować do niej drogę napastnikowi. Osunąwszy się na kolana, Alex mocno objęła psa, wpijając palce w jego kark.

– Dobra sunia, zostań, zostań!

Szaleniec ryknął. W wykrzywionej, zalanej krwią

twarzy oczy płonęły jak latarnie: nieuczczko, wściekle.

– Jim! – wrzasnął chłopak ze strzelbą. – Jim, tutaj, tutaj!

Mężczyzna – Jim – odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Fetor śmierci i obłędu buchał zeń wszystkimi porami, spowijając szaleńca w gęsty, dławiący smród, tak wyraźny jak dym. Odrzuciwszy głowę, Jim zawył. Dziwny, upiorny skowyt przeszył mózg Alex: tego dźwięku miała nigdy nie zapomnieć.

– Boże, przebacz – jęknął chłopak i nacisnął spust.

Kula wwiertła się Jimowi między oczy i wyleciała w mgiełce krwi, tkanki mózgowej i kości. Ręce opadły mu wiotko, bezwładnie na boki, jakby był marionetką, którą nagle upuścił lalkarz, a potem nogi ugięły się pod ciężarem ciała i mężczyzna runął z wysokiego brzegu. Uderzył głową o głaz, a potem pochwycił go prąd i porwał ze sobą. Rzeka mogła znieść zwłoki na mieliznę, ale zaklinowały się stopą w zwalisku kamieni i tam utknęły. Kilka chwil później wodę zboczyły kręte smugi burgundowej czerwieni, które rozrosły się w czarną gardziel wiru, a potem obraz przed oczami Alex zaczął blednąć, mózg odmówił posłuszeństwa.

– Alex? – Głos Ellie dochodził z bardzo daleka. – Alex, wszystko w porządku?

Nie, nie wydaje mi się, pomyślała ledwo żywa. Alex czuła, że się osuwa. Wir zasysał ją, ciągnął na dno. Chyba umieram...

Kiedy się ocknęła, nie było już widno. Panowały ciemności, ciężkie i gorące, a jej pękała głowa. Alex nie mogła się poruszyć, nic nie widziała. Pomyślała, że to już koniec; z pewnością dostała wylewu i zaraz umrze. I wyrwał jej się cichy jęk.

– Alex? – Metaliczne kliknięcie, włócznia białego światła, a potem drobne ramiona otoczyły jej szyję. – Alex?

– Ellie – westchnęła z ulgą. Jej własne ręce zaplątały się w skłębionej, za dużej flanelowej koszuli, a poza tym sporej pracy wymagało wyłuskanie się ze śpiwora. Od ruchu bardziej łupało ją w czaszce, jednak nie dbała o to. – Hej. – Mocno przytuliła dziewczynkę. – Nic ci się nie stało?

– Nie. – Dziecięca buzia przesunęła się i Alex poczuła na szyi kropelki łez. – Tak okropnie... okropnie się bałam, że może uma... umarłaś...

– Nie martw się. Będzie dobrze. – Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że pomijając koszulę i majtki, jest naga, a skórę ma śliską od potu. W kącie jarzyło się matowoczerwone oko katalitycznego grzejnika. Namiot. Jestem w namiocie, pomyślała.

Wtedy wszystko powróciło: sfera dzikich psów, rzeka, ten dławiący smród śmierci, Jim i ...

– Ellie, gdzie my jesteśmy?

– W namiocie Toma. Nie pamiętasz?

– Nie... Zaraz, pamiętam chłopaka ze strzelbą...

– To właśnie Tom.

– Tom?

– No, Tom Eden. Wyniósł cię stamtąd i opatrzył cię. Powiedział, że w wojsku człowiek uczy się różnych rzeczy.

– Moja... – Przesuwając dłonią po włosach, Alex natrafiła na szorstki czworokąt gazy, pod którym wymacała kłujące koniuszki: szwy. Musiała być naprawdę nieprzytomna, żeby nie poczuć czegoś takiego. – Ile czasu spałam? Jaki dziś dzień?

– Czwartek. Przespałaś wczoraj i dzisiaj.

– Dwa dni?

– Uhm. Tom powiedział, że masz wstrząs mózgu. I że to cud, że dużo wcześniej nie zemdlałaś. On teraz jest na dworze i szykuje obiad, a ja tylko zajrzałam zobaczyć, czy już oprzytomniałaś.

– Gdzie moje ubranie?

– Tutaj. – Ellie skierowała światło w prawo. Turystyczne spodnie i damska bielizna należały do Alex, ale reszta – golf w kolorze leśnej zieleni, komplet czarnej bielizny z długimi rękawami i nogawkami, para wełnianych skarpet ułożona na jej butach – na pewno nie. Flanelowa koszula, którą miała na sobie, też była własnością chłopaka, co oznaczało całą masę innych rzeczy – a wszystkie one sprowadzały się do tego, że to Tom musiał Alex rozebrać, hm, kompletnie. o czym

nawet nie chciała myśleć, a tym bardziej nie próbowała sobie przypomnieć.

– Okej – odparła. – Powiedz mu, że zaraz wyjdę.

Mina zauważyła ją pierwsza. Zaczęła grzmocić ogonem i dźwigać się z ziemi. Na lewej łapie miała łubki, ale w radosnych płasach ruszyła na powitanie. Alex uklękła i przytuliła psa.

– Dobra sunia – powiedziała. – Dobra, kochana.

– Witaj ponownie. – Podniosła wzrok. Tom stał przy ognisku i dziobał w czymś skwierczącym na żeliwnej patelni. – Jak się czujesz?

Miała dziesiątki pytań na końcu języka, ale w tej samej chwili poczuła woń smażonego mięsa, pryskającego tłuszczu i słowa utonęły w napływającej do ust ślinie.

– O Boże, jak wspaniale pachnie. Co to takiego?

– Szop i biała fasola. A tu jest herbata.

– Szop?! – Dostrzegła, jak Ellie podnosi dłoń do ust, żeby stłumić chichot, a potem znowu spojrzała na Toma.

– To znaczy upolowałeś go?

– Jedno jest pewne, nie został przysłany Fed-Exem. Poza tym pies potrzebuje mięsa... Posłuchaj, lepiej usiądź, zanim upadniesz.

– Ellie mówiła, że twoim zdaniem mam... miałam wstrząs mózgu. Czy nie jest tak, że wtedy nie powinno się spać?

– Cóż, chyba wpadłaś na inny pomysł – odparł, a Alex

uznała, że uśmiech Toma Edena wygląda bardzo miło, zwłaszcza ten niewielki dołeczek w lewym policzku. Chłopak nie był od niej tak dużo starszy. Mógł mieć... dziewiętnaście lat? Dwadzieścia? Zastanawiała się, czy jest jakiś elegancki sposób, żeby się tego dowiedzieć, a potem zastanawiała się, dlaczego w ogóle się nad tym zastanawia.

– A jak tam twoja głowa? – zapytał Tom.

– Jakby ktoś potraktował ją cegłą.

– Wierzę. Mam trochę ibuprofenu, ale najpierw musisz wrzucić coś do żołądka. – Wskazał nożem. – Apteczka jest w tej płóciennnej torbie, o tam. I możesz skorzystać z tej kurtki. Będzie trochę za duża, ale i tak lepsza niż nic. Przykro mi z powodu twojej bluzy. Była kompletnie poszarpana, więc użyłem jej do łubków psa.

Kurtka była o wiele lepsza niż nic: grafitowoszara i tak długa, że kończyła się w pół drogi pomiędzy siedzeniem a kolanami. Materiał wydzielał piżmową woń kojarzącą się z bezpieczeństwem, jakby się było otuloną silnymi ramionami i miało pewność, że nigdy cię nie puszcza.

Teraz Tom trzymał kubek i aluminiowy kempingowy talerz naładowany z czubem.

– Wiem, że jesteś głodna, ale jedz powoli, dobrze? Byłoby miło, gdyby to pozostało w żołądku.

Ellie już pochłaniała swoją porcję. Kiszki Alex skręcały się z głodu, ale dziewczyna nie wykonała żadnego ruchu, żeby wziąć jedzenie.

– Posłuchaj, nie chcę wydawać się niewdzięczna. Wiem, że zastrzeżyłeś tego faceta...

– Miał na imię Jim i był moim naprawdę bliskim przyjacielem. I nie ma za co.

– Och. Tak mi przykro. Dziękuję. Znaczący za to, że nas uratowałeś. – Alex nie wycofywała się. – Ale nie znam cię i nie pamiętam, co się działo po tym, jak... zastrzeżyłeś swego przyjaciela.

– Cóż, ty zemdlałaś. Ciut bliżej rzeki i musiałbym się za tobą uganiać w wodzie. Kiedy się upewniłem, że oddychasz... Ellie, co było dalej?

– Pomogłeś mi zleźć z drzewa – odparła Ellie. Podbródek błyszczał jej od tłuszczu. Promiennie uśmiechnęła się do Alex. – Tom pozwolił mi nieść swoją strzelbę.

– Co wykonałaś wczoraj – dodał Tom.

– Bo ty musiałeś nieść Alex, a jej okropnie lała się krew z głowy.

– Tak było. – Znowu spojrzał na dziewczynę. – Następnie założyłem ci szwy, rozbiłem obóz, wyciągnąłem Ellie z mokrych ciuchów, a potem razem z Ellie wyciągnęliśmy z mokrych ciuchów ciebie, a potem... Naprawdę chcesz, żebym mówił dalej?

– Nie... tak. – Objęła się ramionami. – Jesteś, eee, nie wiem, pielęgniarzem? Albo po jakiejś medycznej szkole? Skąd to wszystko umiesz?

– W wojsku poznajesz podstawy medycyny polowej, a potem możesz się trochę nauczyć, jeśli pałaszujesz wśród



lekarzy i masz ochotę coś przyswoić.

– No dobra. Ale skoro służysz w wojsku, to skąd się wzięłaś tutaj?

– Jestem na urlopie z Afganistanu. Biwakowaliśmy – ja, Jim, jego wuj Stan i ojciec Jima Earl. Jim był dowódcą mojej drużyny i... nie, nie mogę ci powiedzieć, gdzie dokładnie przebywaliśmy, bo potem musiałbym cię zabić.

Alex usiłowała powstrzymać uśmiech.

– To niespecjalnie zabawne.

– Nie, chyba nie.

– Gdzie jest Stan? I Earl?

– Posłuchaj, chętnie odpowiem ci na wszystkie pytania, ale po jedzeniu. – Nadal tkwiła bez ruchu, więc odstawił kubek i talerz na ziemię. – Przynajmniej usiądź.

– Dlaczego?

– Bo kiedy znowu zemdlejesz i wpadniesz do ogniska, nie chcę być zmuszony gasić twoich włosów. A poza tym mam pewną słabość do tego golfa.

Teraz już się uśmiechnęła. I usiadła po turecku.

– Lepiej?

– O wiele. – Ukazał się dołeczek. W blasku ogniska skóra Toma pałała pomarańczowo. – Ellie wspominała, że jesteś nieco uparta.

– O, naprawdę? – Alex posłała małej spojrzenie pełne udawanego oburzenia. – A mówiła coś o sobie?

– Podobno uważałaś, że jest nie do wytrzymania.

– Cóż – odparła Alex, sięgając po swój talerz – była.

– Halo, ja tu jestem. – W głosie Ellie brzmiało

prawdziwe zadowolenie.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, naprawdę mamy prawo do paru złych dni – powiedział Tom.

Alex nabrała pełną łyżkę mięsa z fasolą. Pachniało tak wspaniale, że o mało nie zemdląca.

– A ty wiesz, co się dzieje?

– Najpierw zjedz. Potem porozmawiamy.

Mimo ostrzeżeń Toma nie potrafiła się hamować, kiedy żołądek wydrapywał dziurę w brzuchu. Szop okazał się twardy i trochę skruszały, ale była zbyt głodna, żeby zwracać na to uwagę. Ładowała do ust kęs za kęsem, popijając haustami herbaty, dopóki łyżka nie szcęknęła o metal i kubek się nie opróżnił. Leżąc obok Mina żałośnie zaskomlała, więc Alex podetknęła jej talerz do wylizania.

– Proszę. Nie mów, że nigdy ci nic nie dałam.

– Ten pies zje jak koń. – Tom ponownie napełnił jej kubek. – Jeśli masz dość siły, jutro rano możemy znowu ruszyć w trasę. Ellie mówiła, że szłyście do strażnicy rangersów?

Kiwając głową, pociągnęła łyk. Pozwoliła, by napój rozlał się po języku, rozkoszowała się słodczą i wyrazistym smakiem. Rosyjska, czy jakaś inna? – pomyślała. Matka Alex była wielką miłośniczką herbaty.

– To jedyne, co zdołałam wymyślić. Oczywiście, oprócz powrotu na parking. Ale nie wydaje mi się, żeby mój samochód mógł ruszyć.

– Tak, powiedziałbym, że to pewne jak w banku.

– Wiesz, co się stało?

– Z Jimem czy w ogóle?

– Słucham? – Próbowwała uznać to za żart, ale zaraz pomyślała, że w tej sytuacji nie ma niczego, co można uważać za choć odrobinę zabawne. Ellie podeszła, żeby się przytulić, więc mocno objęła małą. Tymczasem Mina uporowała się z talerzem i położyła się przy lewym udzie Alex.

Tom rzucił szybkie spojrzenie na Ellie, jakby rozważał, co powiedzieć.

– Widzisz, mam jedynie parę pomysłów, w dodatku nie wszystkie trzymają się kupy, zwłaszcza jeśli chodzi o... – Machnął ręką w stronę własnej głowy. – No, rozumiesz. O to, co stało się z Jimem i jego ojcem.

W blasku ognia oczy chłopaka – Alex nagle przypomniała sobie, że przy świetle dziennym miały dziwny kolor przydymionego błękitu – wydawały się czarne. Na jedną zatrważającą chwilę powrócił do niej obraz trupa z okularami na łańcuszku i pustymi oczodołami. Chciała zagadnąć o Jima, ale nazbierało się jej tyle pytań, że sama nie wiedziała od czego zacząć.

– Odczułeś to? No wiesz, Elektrouderzenie?

– Tak je nazywasz?

Skinęła twierdząco.

– Tu nisko, w dolinie, też się coś działo?

– O tak. Myślałem, że mi głowa eksploduje.

Fakt, nie brzmiało to dobrze. Góra znajdowała się około dwudziestu mil stąd. Mimo bólu głowy Alex

zmusiła się do wykonania obliczeń i zaraz tego pożałowała. Jeżeli, jak zakładała, Elektrouderzenie rozeszło się po okręgu, to musiało objąć cały park stanowy i okolice.

– Wasze urządzenia elektroniczne też padły?

– Wszystko na półprzewodnikach, tak.

– Co to mogło spowodować?

– Hm. – Tom wpatrywał się w ogień, a po chwili znów podniósł wzrok i pochwycił spojrzenie Alex. – Nie jestem pewien. Rzecz w tym, że znajdujemy się w środku lasu i nie mamy żadnego sposobu, żeby zdobyć informacje. Ale znam wojsko i wiem, że przez cały czas testuje się różne rzeczy. Więc, opierając się na tym i kilku innych sprawach, o których słyszałem – po prostu składając to wszystko do kupy – myślę, że to był IEM, impuls elektromagnetyczny. Zapewne więcej niż jeden. Pojedynczy IEM nie powinien tak porazić ludzi. W zasadzie myślę, że to niemożliwe, nawet gdyby odpalono ich dwadzieścia. Przynajmniej teoretycznie. Nikt z tym dotąd nie eksperymentował.

– A co IEM powoduje?

– *Oglądałaś kiedyś Ocean's Eleven: Ryzykowną grę?* Sięgnęła myślami wstecz.

– Z Bradem Pittem i Clooneyem? Straszne starocie.

– Moja mama to lubi. Właściwie lubi George'a Clooneya. W każdym razie, to jak w tym filmie. Pamiętasz generator plazmy?

Alex przypomniała sobie Dona Cheadle'a

osłaniającego krocze.

– Pamiętam, było coś o promieniach Rentgena.

– Tak, prawdziwy generator plazmy może tak zadziałać: wyzwolić silny wybuch promieniowania X. Ale pobiera o wiele więcej mocy, niż było pokazane. I jest o wiele za duży, żeby się zmieścić do furgonetki. W tym filmie wcale nie promienie rentgenowskie wywołały przerwę w dostawie prądu. To był IEM: impuls elektromagnetyczny.

– Masz na myśli jakąś wielką falę energii? To właśnie się nam przydarzyło?

– Tak mi się wydaje. Tylko takie rozwiązanie ma sens. Skumuluj większą ilość IEM, wywołaj wybuch wystarczająco wysoko i pozwól im się rozejść wzdłuż linii ziemskiego pola magnetycznego, a porazisz wszystkie urządzenia oparte na półprzewodnikach. Poza tym załatwisz sieć energetyczną, radary... Po prostu Elektrouderzenie, jak powiedziałaś.

Ludzie uważają, że mają tyle sposobów zabezpieczenia swojego sprzętu, ale jak widać, to tylko teoria. Z tego samego rodzaju, co budowanie schronów przeciwoatomowych w nadziei, że takie konstrukcje pomogą przetrwać wojnę nuklearną. A przecież nigdy nie sprawdzono, czy to prawda.

– To dlatego mój iPod tak się nagrzał? – zapytała Ellie.

– Prawdopodobnie. Z tej samej przyczyny latarki LED wysiadły, a te staroświeckie działają. Nawet gdyby udało

nam się znaleźć radio lampowe – to znaczy jakąś starą ciężarówkę czy samochód z radiem – mogę się założyć, że nikt nie nadaje żadnych programów, a przynajmniej nie w tej okolicy. Jeśli to była wiązka IEM, nie ma elektryczności, a wszystkie komputery padły. Satelity niskoorbitowe też mogły się upiec.

– Zaraz, zaraz. – Alex przycisnęła palcem wiertło bólu w prawej skroni. – Dlaczego to musi być wszędzie? Możliwe że jest tak, jak mówisz, ale tylko w Waucamaw. To i tak ogromny teren, jednak...

– Widziałaś jakikolwiek samolot od czasu tego... – Tom machnął dłonią – tego Elektrouderzenia?

Alex zacisnęła usta.

– Nie. Ale to o niczym nie świadczy. – Bujda, Waucamaw to miejsce odosobnione, jednak przed Elektrouderzeniem widywała całą masę koronkowych, białych śladów, którymi samoloty na dużych wysokościach przesywały błękit nieba.

– Pamiętacie jedenastego września?

– Ja nie – odezwała się Ellie. Jej głos był stłumiony i trochę się załamywał, więc Alex mocniej ją przytuliła. – Jeszcze się wtedy nie urodziłam.

– Byłam niewiele starsza niż Ellie teraz. Pamiętam tylko to, co zobaczyliśmy w telewizji, i naszego dyrektora zwołującego specjalny apel – dodała Alex.

– A ja miałem dziesięć lat i pamiętam też mniej więcej tyle – powiedział Tom. – Ale kiedy to się stało, mój tata był za granicą. Zaraz potem wszystkie samoloty w

Stanach zostały uziemione. W ciągu ładnych kilku dni żadnego, obojętnie skąd, nie wpuszczono w naszą przestrzeń powietrzną. Mój tata utknął. Nie mógł dotrzeć do domu jeszcze przez następny tydzień.

– Więc?

– Więc, jak mówię, nie widzieliśmy ani jednego samolotu. Elektrouderzenie miało miejsce sześć dni temu. Albo samoloty nie dostały zezwolenia, albo nie są w stanie latać.

– Ktoś nas zaatakował? – Myśli Alex pomknęły do cioci Hannah, całkiem samej w ich domu, w pobliżu jeziora Michigan, Zaczekaj, jeśli to się stało tylko tutaj, nic jej nie grozi, uspokajała się w myślach. – Jak jedenastego września?

Tom skinął głową.

– Albo jakaś wielka katastrofa. Wojsko przez cały czas testuje różne systemy broni. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Przez to księżyc zrobił się niebieski? – zapytała Ellie. – Alex mówiła, że niebo nie wygląda tak jak powinno. To dlatego?

Tom z zainteresowaniem uniósł brwi.

– Co zauważyłaś?

– Tylko tyle, że gwiazdy są trochę niewyraźne. – Żałowała, że Ellie w ogóle o tym napomknęła. Wystarczająco trudno jej było ogarnąć to, co sugerował Tom. Jednak po pośpiesznych objaśnieniach niechętnie dodała: – Zachody słońca też są jakieś dziwne. Zbyt

czerwone. Mogłaby coś takiego wywołać wiązka IEM?

Tom uniósł ręce w geście bezradności.

– Twoje przypuszczenia są równie dobre jak moje. Jedne rzeczy pasują, inne nie. Na przykład zachody słońca? W Iraku i Afganistanie też są bardzo czerwone, ale to przez ten cały pył i piasek.

Czy pył tłumaczyłby też przymglenie gwiazd? To miało sens. Ale co mogło wzbić w niebo takie ilości zanieczyszczeń? Dla niej jedenasty września pozostał bardziej wrażeniem niż wspomnieniem. Była jeszcze bardzo młoda, więc atak nie odcisnął się na jej psychice. Obrazy rozpadających się wieżowców i słupy dymiącego popiołu to niemal wszystko, co potrafiła sobie przypomnieć. Popiół i dym... Nagle pożałowała, że nie może odpalić komputera i zobaczyć wyników wyszukiwania dla haseł „zachód słońca”, „dym” i „czerwony”.

– Więc niczego nie wiemy na sto procent – powiedziała głośno.

– Bez dodatkowych informacji, nie – przyznał Tom. – Wiem tylko, że impuls elektromagnetyczny wytworzony na odpowiedniej wysokości i nad geograficznym środkiem Stanów Zjednoczonych wystarczy, żeby załatwić Amerykę Północną.

– Jeden?

– To by wyjaśniało, dlaczego nie widać samolotów i nie działają urządzenia elektroniczne.

– Co mogło go spowodować?



Tom miał nieszczęśliwą minę.

– Znam tylko dwie możliwości. Albo broń nuklearna zdetonowana na dużych wysokościach...

– Nuklearna? – Alex pomyślała o grzybie na horyzoncie, wielkich pożarach i chorobie popromiennej. O popiele i dymie. – Gdyby nad Waucamaw faktycznie wybuchła bomba atomowa, to czy nie powinno być grzyba?

– Zależy, gdzie została zdetonowana – odparł Tom. – Gdyby eksplodowała wystarczająco wysoko, nie zobaczylibyśmy nawet błysku.

– To mi się nie podoba – odezwała się drżącym głosem Ellie. – A jaka jest druga możliwość?

– Bomba E, specjalnie przeznaczona do wyzwolenia impulsu elektromagnetycznego.

Żadna z opcji nie brzmiała dobrze. Zupełnie jak wtedy, kiedy Barrett przedstawił Alex plusy i minusy naświetlania: „Jest ryzyko większych oparzeń albo zniszczenia pnia mózgu, ale przynajmniej szpik kostny pozostanie nienaruszony”.

– I jak myślisz, która to?

Tom wzruszył ramionami.

– Którakolwiek? Obie? Nie wiem. Korea Północna ma bomby, Iran produkuje broń nuklearną, Izrael już ją wyprodukował. No i jest jeszcze Rosja. Bombę E też nie tak trudno wytworzyć. Możesz poszukać schematów budowy w Internecie. Jestem pewien, że nasze wojsko już te bomby ma. Ale z dostarczeniem ich do celu może być

taki sam problem, jak w przypadku broni atomowej. Jeśli mowa o czymś na dużą skalę, to oznacza pociski raketowe. Ale wtedy ryzyko, że cię dostrzegą, jest wysokie. Odpowiedzą kontratakami, zanim będzie za późno. Jeśli atak okaże się wystarczająco groźny, rzucają wszystko, co mają. To się nazywa wzajemnie zagwarantowane zniszczenie. Czyli innymi słowy, scenariusz sytuacji bez wyjścia. Wy nas atakujecie, a my was łupniemy do epoki kamienia łupanego i razem ze sobą zniszczymy świat.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała Ellie. – Nie możesz tego wiedzieć.

Nagle Tom zaczął wyglądać na zmęczonego.

– Wiem wystarczająco dużo. Jestem specjalistą od usuwania amunicji zawierającej materiały wybuchowe.

– Co to znaczy? – chciała wiedzieć Ellie.

– To znaczy – odparł Tom Eden – że jestem tym facetem, którego posyłają, żeby się upewnić, że bomby nie wybuchły.

– No to masz pracę naprawdę do kitu – stwierdziła Ellie i się rozplakała.

## 23

Tom się pomylił. – Ellie miała spuchnięte oczy i czerwony czubek nosa, ale reszta twarzy w świetle latarki wydawała się ściągnięta i zbyt blada. W namiocie było

wystarczająco ciepło, a jednak dziewczynka nie mogła przestać dygotać, chociaż pies, zwinięty w kłębek, grzał jej bok. Podciągnęła śpiwór pod brodę. – On tego nie wie.

Alex gwałtownie szukała jakichś słów pociechy, podejrzewając, że jej własne dreszcze nie są wyłącznie wynikiem wstrząsu mózgu. W końcu odgarnęła małej wilgotne włosy z czoła i powiedziała:

– To tylko przypuszczenia.

W głębi duszy musiała przyznać, że to, co mówił Tom, miało pewien sens, nawet jeśli IEM wszystkiego nie tłumaczył. Chyba że było ich więcej albo może duża liczba impulsów w połączeniu z czymś jeszcze, ale z czym?

– A te dzieciaki, które żeśmy widziały? Czy te... te...

– Impulsy elektromagnetyczne?

– Tak. Czy mogły to zrobić, jeśli było ich dużo naraz?

– Nie wiem, Ellie.

Oczy dziewczynki błyszczały jak dwie latarnie.

– Kiedy spałaś, Tom mówił, że teraz nie byłoby bezpiecznie wracać do domu, zwłaszcza do miast. Mówił, że jeżeli to była naprawdę wielka katastrofa, to nie ma tam elektryczności ani wody i nie da się dostać jedzenia, bo nic nie działa. Ludzie są przerażeni i mogą robić innym krzywdę.

Alex otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale właśnie wtedy rozległ się dźwięk, jaki wydaje przy rozpinaniu zamek błyskawiczny, i po chwili do namiotu wetknął głowę Tom.

– I jak się miewamy?

– Pomyliłeś się – odpowiedziała bez większego przekonania Ellie.

– Właśnie o tobie rozmawialiśmy – dodała Alex.

– Wiem, paliły mnie uszy. – Chłopak wepchnął się do środka. Namiot był dwuosobowy i bardzo ciasny. Alex poczuła Toma przy swoich plecach. Chwytała też jego zapach: woń dymu z ogniska i piżma tak intensywnej, że aż ją trochę oszołomiła. – A co się stało? – zapytał.

– Zastanawialiśmy się... – zaczęła. Kiedy odwróciła się, żeby zerknąć przez ramię, ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. Cynamonowe włosy Toma, gęste i falujące, były potargane, a policzki zarumienione, jakby pojawił się prosto z narciarskiego stoku. I tak przyjemnie pachniał. Jej tętno podskoczyło, szarpnięte potężną siłą przyciągania. – Ellie mówiła, że uważasz, że nie powinniśmy wracać.

Tom spojrzał na małą i szybko odwrócił wzrok.

– Pogadamy o tym rano. Wiesz, kiedy Ellie trochę odpocznie.

Alex zrozumiała.

– Jasne.

– Nie wychodźcie – zawołała dziewczynka, kładąc dłoń na ramieniu Alex. – Ja nie chcę spać.

Odpowiedział jej szeroki uśmiech Toma.

– Żadnych kłótni, kotku. Jutro musimy wcześniej wyruszyć. Mina tu zostanie, a my będziemy na dworze, tuż obok, dobra? Nie odejdziemy stąd na krok. Mam ze

sobą mój winchester, a Alex dam mossberga. Nic się nam nie stanie.

– Jeśli nic się wam nie stanie, to po co wam broń?

Tom miał tak skonsternowaną minę, że Alex omal nie parsknęła śmiechem.

– Naprawdę, Ellie, wszystko będzie dobrze. Broń jest tylko na wszelki wypadek.

– To może ja też powinnam mieć.

– Nie sądzę. Strzelby są dosyć Ciężkie. Masz za małe ręce – wyjaśniła dziewczyna z ulgą, że przynajmniej tym razem nie musi kłamać. – Będziemy cię z Tomem strzec.

– Obiecujesz?

– Przysięgam na mały palec. Jeśli kiedykolwiek wpadniesz w kłopoty, musisz tylko krzyczeć, a my cię usłyszymy.

– Ale ja nie mam bardzo silnego głosu – powiedziała Ellie.

– Wiem, jak to załatwić. – Alex zanurzyła rękę pod koszulą i wyłowiła srebrny gwizdek, jeszcze ciepły od jej ciała. – Wystarczy, że w niego dmuchniesz, a stawiam dziesięć dolców, że usłyszają cię w sąsiednim stanie.

Przesunęła jej przez głowę łańcuszek, podczas gdy Ellie przytrzymywała w górze włosy. Potem dziewczynka ujęła gwizdek w obie dłonie tak ostrożnie, jakby to było jajko.

– Kto ci go dał?

Nagle przełknięcie śliny okazało się bardzo, bardzo trudne. Alex czuła na sobie spojrzenie Toma.

– Rodzice. Byłam wtedy trochę młodsza niż ty. Podarowali mi go na moim pierwszym biwaku.

Ellie oznajmiła z powagą:

– Masz bardzo mądrych rodziców.

– Wiesz, Tom ma rację. Już jest naprawdę późno – odparła po chwili Alex. – Chodź. Otulę cię do snu.

## 24

Na dworze, przy ognisku, Tom powiedział:

– Całkiem nieźle. , Próbowwała przywołać uśmiech, który ciągle ześlizgiwał się jej z warg.

– Ellie po prostu się boi. – Zamilkła na chwilę. – Ja też.

– No to jest nas już troje – odparł i wziął ją za rękę w sposób naturalny i spokojny, wcale nie prowokujący. Alex ani drgnęła, chociaż serce znowu zrobiło jej małe łup-łup-łup. Dłoń Toma była stwardniała, ale skórę miał ciepłą, a uścisk mocny. Dziwne, że przy tak małej różnicy wieku z jakiegoś powodu wydawał się jej o wiele starszy. Może tak się dzieje, kiedy ktoś walczy na wojnie. – Więcej wiary w siebie. Gdyby nie ty, Ellie już by nie żyła.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale to ty nas uratowałeś.

– Fakt. Ale ja miałem strzelbę.

– A my szczęście.

– Jak Stan i Earl. To już połowa sukcesu.

– Możesz mi wyjaśnić, co się właściwie stało?

Tom przez chwilę się wahał.

– Nadal tego wszystkiego nie ogarniam. Kiedy zdarzyło się to... Elektryzacja, Stan padł trupem. Po prostu padł.

– Chcesz powiedzieć, że tak jak dziadek Ellie? Chłopak pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Stan był zdrowym czterdziestokilkuletnim facetem. Oczywiście, mógł mieć rozrusznik albo coś innego mechanicznego, ale szczerze mówiąc, wątpię. Earl dopiero co skończył sześćdziesiąt pięć lat. Wiem, bo Jim mówił, że po powrocie z Afganistanu chce urządzić ojcu dużą imprezę.

– Czy on krwawił?

– Jim? Tak, ale ja też. I Earl.

– Jak Earl umarł? – Jednak miała wrażenie, że zna odpowiedź. – To Jim...

Westchnąwszy, Tom lekko uścisnął jej rękę i opowiadał dalej:

– Na początku Jimowi nic nie było, ale potem powróciły bóle głowy, gorsze niż w czasie samego Elektryzacji, i zaczęły się zaniki pamięci. Na przykład następnego ranka nie mógł sobie przypomnieć, do czego służy łyżka. Trwało to zaledwie chwilę, ale było naprawdę upiorne. A później już nie chodziło tylko o łyżkę. Chodziło o wszystko. Jakby w jego pamięci zrobiło się pełno dziur.

Boże, to brzmiało zbyt znajomo.

– Ile czasu minęło, zanim... – zająknęła się – zanim się

zmienił?

– Pod koniec drugiego dnia zaczęło się piekło. Rozbiliśmy obóz, głównie dlatego że Jim przestał mówić i tylko się gapił, jak ludzie w szoku po wybuchu improwizowanego ładunku IED albo tacy, którzy widzieli zbyt wiele osób wylatujących w powietrze. Wyczerpanie walką, wstrząs psychiczny od ognia artyleryjskiego... no wiesz. Poszedłem po wodę i wtedy usłyszałem strzały. Kiedy wróciłem, było już po wszystkim. Posłałem dwie kule z winchestera, ale to nie poprawiało sytuacji.

Głos mu uwiązł w gardle. Alex czekała.

– Myślę, że Earl zginął, bo się zawahał albo może strzelał na oślep. Jim był szybki, jeszcze zanim się zmienił, a potem sama widziałas. Obląkany i szybki. Pewnie Earl nie potrafił uwierzyć, że atakuje go własne dziecko. Po tym nie mogłem tak po prostu odejść. Przez cały czas miałem nadzieję, że Jim się z tego otrząśnie. Wytropienie go zajęło trochę czasu. Kimkolwiek się stał, nadal częściowo był Jimem. Potrafił się wymykać. W tym nas szkolili. Potem zacząłem znajdować zwierzęta. Było widać, że coś je dopadło. Wiesz, o czym mówię? – Pokiwała głową, a on dokończył: – A potem usłyszałem Ellie i... – Rozłożył ręce. – Resztę znasz.

– Przykro mi, że musiałeś zastrzelić przyjaciela.

Tom odwrócił wzrok, ale zdążyła jeszcze dostrzec nagły błysk w jego oczach.

– Wiesz, czego nie rozumiem? Dlaczego nie ja ani nie Earl? Dlaczego Stan umarł? I dlaczego z nas wszystkich



tylko Jim?

– Ale to nie tylko Jim – odparła Alex.

– Tak, Ellie mówiła mi o tych dzieciakach. Nadal nie widzę sensu.

– A jeśli jest jakiś związek z wiekiem?

– To znaczy?

Ponieważ ta myśl dopiero co przyszła jej do głowy, Alex nie była pewna, czego po omacku szuka.

– Ja mam siedemnaście lat, no, prawie osiemnaście. Ty... ?

– Dwadzieścia. W grudniu skończę dwadzieścia jeden.

– Jim był starszy czy młodszy od ciebie?

Tom się zastanowił.

– Niewiele, ale starszy. Miał może... dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat?

– A jeśli im kto starszy, tym później zachodzi zmiana?

– Może. – Tom podrapał się w głowę. – Ale to nie wyjaśnia śmierci Stana. Ty i ja jesteśmy młodszy niż Jim, ale te dzieciaki, którym padło na mózg, to przecież były nastolatki. Więc to nie może być wyłącznie kwestia wieku, bo z nami jest wszystko w porządku. Tak samo z Ellie.

Jak do tej pory. Tego nie dodał, ale równie dobrze mógł dodać. Alex przez chwilę milczała. Ogień trzaskał. Deszcz iskier wybuchał i gasł. Zapach Toma – ta złożona, pizmowa woń – poruszyła coś w głębi jej piersi. I dawała do myślenia.

Psy zwęszyły Jima. Ja też. Ja poczułam zapach tych

małolatów, a Ellie nie. Co to znaczy? – rozważała w myślach.

– A zapach? – zapytała.

Tom spojrział na nią zdezorientowany.

– Zapach?

– Tak. Czy Jim... czy skarżył się na dziwny zapach, zanim, no wiesz, zmienił się?

– Nie – odparł Tom. – Nie sędzę.

Tej nocy księżyc był zielony.

## 25

Usłyszeli ten dźwięk dwa dni później, kiedy od strażnicy dzieliło ich jeszcze kilka mil. W pierwszej chwili Alex pomyślała, że to jakiś dzięcioł – prawdopodobnie duży dzięcioł smugoszyi – wali w drzewo. Jednak gdy podeszli bliżej, zorientowała się, że dziwny odgłos nie ma związku z żadnym zwierzęciem. Dźwięk brzmiał jak bardzo szybkie, zacinające się uderzenia kafara: łup-łup, łup-łup.

Pies, balansując na trzech zdrowych łapach, czujnie zastrzygł uszami.

– Co to takiego? – zapytała Ellie. Kilka mil wcześniej była już bardzo zmęczona, ale Tom nalegał, żeby iść dalej. Kiedy nie chciała ruszyć się z miejsca, chwycił ją na rękę i bez słowa skargi taszczył prawie pionową, krętą

ścieżką pod górę. Teraz dziewczynka wywinęła mu się z ramion. Jej buzię rozjaśnił uśmiech od ucha do ucha. – To jakaś maszyna. Tom, to silnik!

– Ćśś. – Chłopak przechylił głowę i nadśłuchiwał. – Myślę...

– Ona ma rację – szepnęła Alex z zapartym tchem. Zastygła nieruchomo. Każdy jej nerw dygotał niczym pies, który złapał trop, i całe zmęczenie – ostatnich sześć mil pod górę – znikło. – Boże, brzmi jak generator. Tom, może jakimś cudem wszystko naprawili, nie tylko tutaj, ale wszędzie.

– Widzisz? Widzisz? – Ellie promieniała triumfem. – Pomyliłeś się.

– Wcale mi się to nie podoba. – Tom się nie uśmiechał. – Nie każdy generator ma sterowanie komputerowe, co oznacza, że ktoś musiał uruchomić go ręcznie. Ale minął już kawałek czasu: osiem dni od Elektrouderzenia.

– No to co? – zapytała Ellie.

– To, że działałby bardzo długo, a większość generatorów nie jest w stanie pracować bez tankowania ponad cztery godziny.

– Może są dobrze przygotowani i mają zapas paliwa. A może uruchomili generator dopiero parę dni temu albo nawet przed chwilą. Co za różnica? – odezwała się Alex.

– Jeszcze jest mocne dzienne światło – odparł Tom. – Po co uruchamiać generator bez potrzeby?

Nie potrafiła podać sensownych wyjaśnień.

– Ktokolwiek by to był, ma prąd. Więc... – Ujrzała, jak na twarzy Toma pojawia się nagle wyraz skupienia. – Co się dzieje?

– Nie słyszysz?

Ellie zmarszczyła brwi.

– Ale czego?

– Posłuchajcie uważnie mimo tego silnika. – Tom zamknął oczy. – O, znowu jest.

Starając się skoncentrować, Alex opuściła powieki. I wtedy pochwyciła nowy dźwięk: niski, dudniący, rytmiczny. Nie mechaniczny, ale...

– Jakiś śpiew? – Ellie złapała oddech. – Muzyka.

Okej, Alex musiała przyznać, że to jednak dziwne.

Ograniczone zasoby prądu jednorazowo na cztery godziny, a ktoś marnuje go, słuchając płyt? Jeśli teoria Toma o impulsie elektromagnetycznym była słuszna, to musiała być płyta winylowa. Odtwarzacz CD nie działałby, ale gramofon starego typu tak. A magnetofon?

Ale Tom mógł się mylić albo może oni w jakiś sposób zabezpieczyli te odtwarzacze.

– Jeśli mają muzykę – zauważyła Ellie – to znaczy, że się pomyliłeś.

– Mam nadzieję, Ellie – odparł Tom cierpliwie. – Naprawdę mam nadzieję. Ale coś mnie w tym wszystkim niepokoi. Jak wiesz, nie działa elektryczność, a tu ktoś reklamuje się, że ją ma? Zużywa prąd, puszczając muzykę?

– Tom – powiedziała Alex – to rangersi. Może w ten

sposób usiłują zwrócić na siebie uwagę. Rozumiesz, poinformować ludzi, że strażnica jest czynna.

– A jeśli to nie oni? – wahał się Tom. – Jeśli ten ktoś, kto tam jest, usiłuje zwrócić na siebie uwagę, tylko że w złych zamiarach?

Wszyscy troje wymienili się spojrzeniami. Po czym Ellie zapytała:

– Chcesz powiedzieć, że to pułapka?

W tej samej chwili Alex stwierdziła:

– Absurd. – Ale jednocześnie pomyślała: Jeżeli Jim pamiętał swoje szkolenie, czemu rangersi nie mieliby pamiętać, jak włączyć gramofon? Albo magnetofon? Albo generator?

Tom milczał.

Wszyscy, łącznie z Miną, wsłuchiwali się w pyr-pyr generatora, a w chwilach przerwy pomiędzy tymi odgłosami w nierozpoznawalną linię melodii. Ellie wierciła się niespokojnie.

– Idziemy?

– Tak – odparł po chwili Tom. Ujął pas winchestera i przerzucił strzelbę z pleców na prawe ramię, żeby móc szybko po nią sięgnąć. – Dalej musisz już iść sama, dobrze? Wiem, że jesteś zmęczona i mamy pod górę, więc nie będziemy się spieszyć. Ale potrzebne mi wolne ręce.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Alex do Ellie, ruszając w drogę. Jednak przepuściła dziewczynkę i psa przed siebie, a kiedy Ellie nie patrzyła, umieściła mossberga na prawym ramieniu i ponownie sprawdziła

bezpiecznik. Na wszelki wypadek.

Wieki później Alex przesunęła się bliżej do Toma i zapytała:

– Co teraz?

Tylko pokręcił głową. Zapadła noc. Plejada przymglonych gwiazd wyglądała jak cekiny na czarnym aksamicie. Księżyc miał nie wschodzić jeszcze przez kilka godzin. To dobrze, bo ta nieprzyjemna zielona barwa przypominała stary siniak i naprawdę ją przerażała. Przy braku księżyca mogli też być pewni, że są niemal niewidzialni, chociaż czaili się niecałe sześćdziesiąt jardów od ciężkiej konstrukcji przeciwpożarowej wieży obserwacyjnej. Wieżę otaczały ciemności.

Strażnicę nie. Usytuowany na skalistym płaskowyzu niski budynek cały jaśniał. W każdym oknie płonęło światło. Wydłużone maślanożółte prostokąty rozlewały się po ziemi. Alex dostrzegła sterczący róg fotela i stos książek na niskim stoliku do kawy. Przez otwarte okna sączyła się muzyka. Wysłuchali, jak Mick Jagger dawał upust swoim niezaspokojonym pragnieniom, po czym ustąpił miejsca Robertowi Plantowi wrzeszczącemu o czerwono jarzących się oczach. Było tyle światła, że aż lśniły szyby pobliskiej budowli, od strażnicy na prawo. Pewnie garaż, domyśliła się Alex, a potem dostrzegła zwirowany zakręt.

– Popatrz na psa – szepnął jej Tom do ucha.

Spojrzała. Mina wpatrywała się w strażnicę z

wyraźnym zaciekawieniem, ale nie wyglądała na zaniepokojoną. Zupełnie inna reakcja niż u tamtych dzikich psów, kiedy zwęszyły Jima, pomyślała Alex. Po czym – chociaż czuła się trochę głupio i miała nadzieję, że Tom niczego nie zauważy – wciągnęła ostrożny, próbny niuch. Jedyłą wonią, którą wykryła, był zapach drzewnego dymu i kreozytu. Kominek albo miejsce na dworze do rozpalania ogniska, ale to wszystko. Żadnego trupiego fetoru, chociaż mogło to niczego nie oznaczać. Zamieniła się w psa myśliwskiego czy co?

– Skoro Mina się nie niepokoi, to chyba wszystko w porządku – powiedział Tom. – Pozwól, że sprawdzę.

– Zaczekaj. – Powstrzymującym gestem Alex położyła mu dłoń na ramieniu. – Powinnam z tobą pójść.

– Nic mi nie będzie. Nieraz chodziłem na rekonesans.

– I nie miałeś kogoś, kto by pilnował tyłów? Jeżeli tu zostanę, będę zbyt daleko, żeby trafić z mossberga.

– Uwierz mi, skoro musisz strzelać do ludzi, będę szczęśliwy, jeśli zostaniesz tak daleko ode mnie, jak to tylko możliwe.

Najeżyła się.

– No, nie obrażaj mnie. Myślisz, że nigdy nie miałam broni w ręku?

– Mówię tylko, że jest nikłe prawdopodobieństwo, żebyś miała do czego strzelać.

– Jeśli nikłe, to dlaczego w ogóle dyskutujemy?

– Zawsze jesteś taka trudna?

– Tak, zawsze – wtrąciła Ellie.

– Hej – obruszyła się Alex.

– To nie Irak ani Afganistan. Po prostu sprawdzę, jak się sprawy mają. Poza tym ktoś musi zostać z małą.

– Dobrze, ale przynajmniej weź psa.

– Alex ma rację – powiedziała Ellie. – Na wojnie Mina szukała bomb.

– Wy, dziewczyny, oglądacie za dużo filmów. Tam nie będzie żadnych bomb – burknął Tom. Ale zabrał psa.

Patrzyły, jak ciemność pochłania najpierw Minę, a potem Toma. Robert Plant przestał wycić o tym, jak marzy tylko o muzyce, po czym gładko przeszedł do gitary bluesowej i zwierzeń na temat szefa. Alex nie znała tej piosenki. Tak bardzo natężyła wzrok, żeby dostrzec jakikolwiek ślad ruchu – na dworze czy w domu – że oczy o mały nie wyskoczyły jej z orbit.

– Alex?

Nie odrywała spojrzenia od Toma, który przemknął na prawo i trzymając się z dala od fali żółtego światła omywającej skałę, kierował się w stronę garażu.

– Co?

– Przepraszam.

– Za co?

– Że powiedziałam, że zawsze robisz problemy. Naprawdę tylko czasami.

– Patrzcie państwo, przyganiał kocioł garnkowi.

– Co?

– Nic, nic. – Odwróciła się, żeby posłać dziewczynce



szeroki uśmiech, którego pewnie i tak w ciemnościach nie było widać. – Wszystko w porządku.

– Ja tylko nie chciałam zostać sama... Och, spójrz, on tam jest, on tam jest!

Tom wynurzył się z mroku na lewo od nich. Przyczał się tuż przy ziemi, z głową dobrze poniżej linii framug. Mina była jedynie ciemnym cieniem, ledwie widocznym, kiedy oboje przemykali pod najdalsze okno. Alex obserwowała, jak chłopak unosi głowę, żeby zerknąć do środka, znów daje nura w dół, a potem pędzi zakosami w stronę drzwi. W napięciu czekała na huk wystrzału. Ale nic się nie wydarzyło. Chwilę później chłopak i pies wpadli do budynku. Teraz widziała Toma wyraźnie. Wślizgnął się do pokoju po swojej lewej stronie, przystanął pogapić się na książki, a potem sięgnął do czegoś ręką. Po sekundzie Billy Joel umilkł i słychać było już tylko warkot generatora. Minęła kolejna minuta, a wydawało się, jakby dwadzieścia. Ciemne sylwetki – ludzka i psia – znowu pojawiły się w drzwiach. Tom pomachał.

– Idziemy – zakomenderowała Alex, chwytając Ellie za nadgarstek, kiedy dziewczynka wyrwała do przodu. – Najpierw ja.

– Dlaczego?

Alex niemal słyszała, jak mała wywraca oczami, ale nie uśmiechnęła się.

– Bo zawsze robię problemy. W razie gdyby Tom coś przegapił, nie dopadną cię, zanim nie przedrą się przeze

mnie.

Strażnica była opuszczona i zimna.

– Ktokolwiek tu mieszkał, wyniósł się w pośpiechu – powiedział Tom. Wskazał na stół do kawy. Koło książek stały dwa talerze pokryte skorupą skamieniałego spaghetti i trzy kubki do połowy wypełnione mętną cieczą. Na wciśniętym w kąt czerwonym drewnianym wieszaku zostały dwa kożuchy z owczej skóry – średniego rozmiaru męski i mały damski – oraz rangerski kapelusz khaki. Przed kamiennym kominkiem leżał pleciony dywanik. Z szarego popiołu wystawały zwęglone resztki kilku polan.

– Jejku, ale brudasy – skrzywiła się Ellie.

– Dokąd oni poszli? Dlaczego? Nie rozumiem. – Alex czuła się nieswojo. Całe ciało mrowiło ją z niepokoju. W chacie unosiła się mieszanina zapachów: zepsute jedzenie, popiół, płyn do zmywania, metalicznie piekący ślad błota, nawet ostra miętowa woń gumy do żucia, pewnie zachomikowanej w kieszeni któregoś z kożuchów. Ale na szczęście żadnego smrodu padliny, żadnego trupiego odoru. Jednak coś tu było nie tak. Spojrzenie Alex przemknęło po biblioteczce pełnej tanich wydań. Obok, na rozchwianym sosnowym stoliku, wśród stosów kaset balansował staroświecki magnetofon z głośnikami. Pewnie miksy, uznała, sądząc po kasecie, która nadal tkwiła w odtwarzaczu. Po tylu nocach jedynie przy blasku latarki lub ogniska elektryczne światło wydawało się zbyt

jasne, wręcz napastliwe, i raziło ją w oczy. Dźwięk generatora przycichł do stłumionego terkotu.

– To jedzenie jest stare, ale generator nadal pracuje. Oprócz światła co on jeszcze zasila?

– Niewiele – odparł Tom. Kiedy odwrócił się, żeby wskazać coś z tyłu, drewniana podłoga zatrzeszczała. – Lodówkę, o ile się orientuję. Magnetofon. W kuchni stoi telewizor, więc na dachu mają pewnie antenę satelitarną. To zresztą bez znaczenia, teraz i tak nie działa. Za to w kuchni jest piec na drewno, jeden z tych naprawdę starych, żeliwnych, z piekarnikiem, i ręczna pompa. Toalety ani prysznic nie widziałem. Musi tu być jakaś przybudówka.

– Nie ma prysznic? – spytała Ellie wyraźnie zaniepokojona.

– Tylko drewniana balia koło pieca i duża staroświecka gąbka. Uszy do góry, dzieciaku. Amisze jakoś z tego korzystają.[ amisze - konserwatywna wspólnota protestancka w USA, nieakceptująca nowoczesnej techniki.] Na sto procent, że mieszkańcy pobliskiego Orenu teraz właśnie moczą się w baliach.

– Ale ja nie jestem amiszem ani nie jesteśmy w Orenie – grymasiła Ellie.

– A co z ogrzewaniem? Elektryczne kaloryfery ciągną masę prądu.

– Och, słusznie. W sypialniach nie ma kominków, ale są gniazdka. Więc gdzieś muszą być przenośne grzejniki. Za to nie widziałem żadnej pralki ani suszarki.

– To oni prali swoje rzeczy ręcznie? – zdziwiła się mała. – Ręcznie?

– Najwyraźniej. – Tom podrapał się w głowę. – Wszystko jest trochę dziwne. Ta strażnica jest dosyć odcięta od świata.

– Nie ma nawet radia? Żeby, no wiesz, powiedzmy wezwać pomoc? – Kiedy Tom pokręcił głową, Alex już miała zauważyć, że to raczej kiepsko jak na strażnicę rangersów, ale powiedziała tylko: – Więc po co zostawiać włączony generator, skoro się odchodzi?

– Może chcieli trafić tu z powrotem – odparła Ellie. – Jest naprawdę ciemno.

– Musieli znać drogę, skarbie – odezwał się Tom.

– Więc może zostawili światła, żeby mieć pewność, że ludzie tacy jak my trafią tu i wejdą do środka.

Tom i Alex wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Jezu, w ogóle o tym nie pomyślałem.

Oczywiście wyobraźni Alex ujrzała nagły błysk, któremu towarzyszył huk eksplozji. Wyluzuj, to nie Afganistan.

– Sprawdziłeś, prawda? Nic tu nie ma? Ani na dworze?

– Tak mi się wydaje.

– A co z garażem?

– Zerknąłem tylko przelotnie. Jest tam cała kupa narzędzi, zdaje się jeden czy dwa skutery śnieżne. Ale z pewnością widziałem dżipa i... jeśli pamięć mnie nie myli...

– Co?

Tom dziwnie na nią spojrział.

– I ładną, starą ciężarówkę.

– Czekaj, czekaj. Czy nie mówiłeś, że stare wozy mogą być na chodzie? – A kiedy chłopak skinął głową, Alex dokończyła: – Więc dlaczego jej nie zabrali?

– Może nie mieli paliwa – próbowała zgadnąć Ellie.

– Nie, koło garażu jest dystrybutor.

– Więc? Może nie mogli napełnić baku.

– Albo ona nie jest taka stara, jak mi się wydawało. Widziałem ją tylko przez moment. – Tom namyślał się kolejne pół sekundy, po czym powiedział: – Słuchajcie, gdyby to była pułapka, cokolwiek miałyby się stać, już by się do tej pory stało. Prawie każda bomba-pułapka zaopatrzona jest w druty, które ją uruchamiają. Zresztą już wiemy, że sygnał komórki tu nie zadziała. Poza tym kontrolnie otwierałem wszystkie drzwi, szafy, spizarkę. Z drugiej strony...

– Co?

Tom wskazał głową otwarte okna.

– Cel należy oświetlić i można to zrobić właśnie w taki sposób. Ale przypuszczam, że do tej pory już by nas wystrzelali.

Alex nie uznała tego za szczególną pociechę.

– Tam, na dworze, nikogo nie ma.

– To się dopiero okaże.

– Może oni wyszli tylko na chwilę? – zastanawiała się Ellie. Siedziała na podłodze po turecku, z Miną przytuloną do nóg.

– Mina by wiedziała – odparła Alex. I pewnie ja też, dodała w duchu.

Ellie wzruszyła ramionami.

– Może sprawdzają, czy ktoś złapie przynętę.

– Słuszna uwaga – powiedział Tom, przesuwał dłoń po włosach. – Przy tym co wiemy, wyłączenie generatora byłoby swego rodzaju znakiem.

– A może on ma wybuchnąć, kiedy ktoś spróbuje go wyłączyć – zasugerowała Ellie.

– Dałoby się to sprawdzić? – zapytała Alex.

Tom skinął głową.

– Zastanawiam się, czy w ogóle powinniśmy tu zostać.

– Mamy stąd wyjść? Na dwór? – Jasne, ostre światło zabarwiało skórę Ellie na żółto. Smugi brudu na jej policzkach, szyi i uszach wydawały się niebieskawoszare. Blond włosy były zmatowiałe i oblepione leśnymi śmieciami, a niegdyś różowa kurteczka Hello Kitty – prawie czarna. Alex pomyślała, że ona sama pewnie wygląda równie źle, i nagłe pragnienie długiej, gorącej kąpieli o mało nie pozbawiło jej przytomności. – Nie chcę wracać do lasu – zaprotestowała dziewczynka.

– Nie musimy odchodzić daleko. Moglibyśmy nawet zostać na tej wieży obser... – Oczy Toma rozszerzyły się. – O, cholera.

Tym razem Alex nalegała, żeby zostawił jej winchester: Nie ma mowy, żeby pies wdrapał się z tobą na górę, a winchester ma celownik optyczny. – Tak, ale zanim zobaczysz błysk lufy, ja już będę trupem. Jednak

Tom nie miał żadnych lepszych pomysłów, więc w końcu uznał, że ta wieża to niewiele więcej niż zadaszona platforma, i zrezygnował.

Wreszcie doszli do wspólnego wniosku. Że niepotrzebnie nawzajem się straszili. Jedynym środkiem ostrożności, jaki podjęli, było wyłączenie generatora, czego dokonał Tom, podczas gdy Alex, Ellie i pies czekali w bezpiecznej odległości. Nie rozległo się żadne donośne bum. Tak długo radzili sobie bez prądu, że teraz uwolnienie się od hałasu i ostrego sztucznego światła odczuli jak prawdziwą ulgę.

Mimo zmęczenia byli zbyt podekscytowani, żeby zasnąć, więc wzięli się do doprowadzenia strażnicy do ładu. Alex wygrzebała skądś latarnie sztormowe, a Tom przyniósł całe naręcza drewna, które znalazł starannie ułożone w dwa wielkie stosy w przybudówce na tyłach domu. Rozpalił kuchenny piec. Mina natychmiast padła obok i zasnęła. Napompowawszy wody do kilku wielkich garów, Alex postawiła je na piecu. Zanim woda się podgrzała, obie z Ellie zebrały brudne naczynia i dołożyły do tych, które już piętrzyły się w zlewie. Podczas gdy dziewczynka penetrowała sypialnie, Alex przeprowadziła szybki przegląd lodówki i spiżarni. W lodówce oprócz owoców – pomarańczy i jabłek – znalazła jajka, karton mleka, masło, różne warzywa i jako premię: dwa opakowania mielonej wołowiny, jeszcze świeżej, a do kompletu sznur parówek. Steki i pieczeń oraz dwa kartony

lodów – czekoladowych i czekoladowych z bakaliami – leżały w zamrażalniku. Spizarnia była tak dobrze zaopatrzona w jedzenie jak przybudówka w opał, zapchana po brzegi różnymi puszkami, pudełkami suszonych owoców, mleka i jajek w proszku, paczkami suszonej wołowiny, torebkami cukru, mąki i sody oczyszczonej, jak również pojemniczkami z proszkiem do pieczenia, kartonami płatków owsianych, kaszy kukurydzianej i jęczmiennej. Alex wypatrzyła też suszoną fasolę, dwa worki ziemniaków, cebulę, czosnek i oczywiście zapas dań gotowych do spożycia. Było tam tyle jedzenia – i taki wybór – że poczuła lekki zawrót głowy.

Siedziała na taborecie-schodkach, przeczesując półkę zapełnioną pudełkami świec i zapalek, kiedy w drzwiach pojawiła się Ellie.

– Znalazłam pełno ciuchów i mydło, i szampon, i rę...  
– Promień jej latarki przesunął się po wnętrzu spiżarni i dziewczynce o mało nie wyszły oczy z orbit. – Uau. Możemy tu mieszkać do końca życia.

– Aż tak długo to chyba nie – odparła Alex. – Ale faktycznie wygląda, że rangersi byli zabezpieczeni na zimę.

– Hej, hej! – Ellie dostrzegła coś na górnej półce. Zrobiła nalot i znalazła torebkę wiórków czekoladowych.  
– Możemy upiec ciasteczka?

Buzia małej jaśniała takim entuzjazmem, że Alex nie mogła powstrzymać śmiechu.



– Pewnie. Ale już nie dzisiaj, okej? Teraz musimy się umyć, potem wykombinujemy coś do jedzenia. A jutro możemy pomyśleć o ciasteczkach. Pokaż mi, co znalazłaś.

– Och, o mało nie zapomniałam – zawołała Ellie, wychodząc z kuchni, gdzie zostawiły śpiącą Minę. W pokoju dziennym minęły Toma, który wybierał popiół z kominka. – Znalazłam piwnicę.

Tom zamarł z szufelką w jednej ręce i miotełką w drugiej.

– Jaką piwnicę? Gdzie? Niczego takiego tu nie widziałem.

– W sypialni – wyjaśniła Ellie, ledwie powstrzymując się od pogardliwego pff. Pociągnęła Alex za rękę. – Chodźcie, to wam pokażę.

Hm, dosyć dziwne miejsce na piwnicę – stwierdził Tom. Znajdowali się w mniejszej z dwóch sypialni, skupieni wokół dywanika, który po złożeniu odsłonił klapę na zawiasach zamykającą wejście do piwnicy. Ellie pociągnęła za metalowe kółko, umocowane równo z poziomem podłogi. – A ty odkryłaś ją w jaki sposób?

– Usłyszałam – odparła dziewczynka. – Kiedy tu stąpałam, drewno zaskrzypiało, więc odsunęłam dywanik i ona tam była.

– Nie mogę uwierzyć, że to przegapiłem.

– Może mam lepsze uszy – pocieszyła go.

– Jesteś cięższy – powiedziała Alex. – Wszystko tu skrzypi. Naprawdę, nie do wiary, że nie znalazłeś tego

wejścia. – Wycelowwała promień latarki w ciemną gardziel. Światło załamało się na wąskich drewnianych schodkach i ścianach z cegły. Na samym dole mignął lany beton. Z tej odległości wyraźnie czuła powiew podziemnego chłodu. Powąchała: mokry kamień, wilgotna ziemia i ...

Gwałtownie wciągnęła oddech.

– Co się stało? – zapytał Tom.

Fetor był niemal niezauważalny, ale niemożliwy do pomylenia. Chociaż już teraz pewnie nikogo tam nie ma; jest zbyt słaby, myślała zdenerwowana. Mimo wszystko nie podobało jej się to.

– Nie jestem pewna, czy powinniśmy tam schodzić.

Czoło Toma przecięła zmarszczka.

– Dlaczego?

– Ja już byłam na dole – oznajmiła Ellie.

Tom wytrzeszczył na nią oczy.

– Zszłaś na dół bez...

– Ludzie, to tylko bardzo wielki pokój z paroma pudełkami i takim dużym metalowym... no wiecie, pudłem. – Na widok skonsternowanej miny Toma Ellie westchnęła. – Tylko patrzyłam. Niczego nie dotykałam. Chodźcie, pokażę wam.

– Ellie! – zawołali chórem, kiedy dziewczynka ruszyła po schodach.

– Zaczekaj, Ellie. Pozwól, że pierwszy...

– I ty mówiłaś, że to ja jestem uparta – powiedziała Alex.

– Nie, mówiłem, że jesteś trudna. – Chłopak obrócił

się na pięcie i wybiegł na korytarz. – Idź z nią. Ja tylko wezmę strzelbę. Niczego nie dotykajcie.

– Nie jestem głupia – mruknęła, ale już go nie było.  
I nadal czuła ten smród.

Ellie czekała u stóp schodów.

– Widzisz? – powiedziała, kiedy Alex zeszła na dół. – Pusto, tylko te pudła.

A jednak nie było całkiem pusto. Światło latarki prześlizgnęło się po stole do pracy stojącym pod prawą ścianą. Przy jednym końcu miał zamocowane zardzewiałe żelazne imadło. Na blacie stała pułapka na myszy, ale nigdzie nie było widać narzędzi. Z kołków na ścianie zwisał tylko cienki zwój drutu. Chaotyczny stos tekturowych pudeł piętrzył się pod ceglany murem na prawo od stołu. Na jednym z kartonów było nabazgrane czarnym pisakiem: „ozdoby choinkowe”. Drugie miało naklejkę: „sprzęt na ryby”. Jeszcze inne stało otwarte i Alex zauważyła jęzor czarnego materiału. Tu, na dole, trupi fetor nie wydawał się silniejszy. Pomyślała, że przecież Ellie coś by napomknęła o jednym czy dwóch martwych ciałach.

W górze zaskrzypiały stopnie pod krokami Toma i włócznia światła przeszła ciemności, kiedy skierował latarkę na schody.

– Co tam widzicie? – zawołał.

– Jest tak, jak mówiłam – odkrzyknęła Ellie.

– Stół do pracy, pudła. – Celując promieniem latarki,

Alex zbombardowała mrok na lewo od siebie i zamarła.

Metalowa szafka była ciemnozielona, szeroka. Stała niemal dokładnie naprzeciwko schodów i miała uchylone drzwi. Niewiele, może sześć cali, ale wystarczająco, żeby światło latarki, którą poruszyła Alex, wydobyło błysk metalu, zamigotało na celowniku optycznym.

– Alex?

– Tom – powiedziała, uśmiechając się. – Tom, tu jest sejf z bronią!

– Co? – Od strony schodów dobiegł ją szybki tupot nóg. – Zaczekaj...

– Mamy więcej broni? – zapytała Ellie. – To dobrze, prawda?

– Też tak myślę. – Alex dopadła do sejfu i zacisnęła dłoń na metalowej klamce. – Całe szczęście, że jest otwarty. Inaczej musielibyśmy znaleźć kombina...

Za jej plecami rozległ się krzyk Toma:

– Alex, nie, stój!

Coś walnęło ją w plecy, kiedy jaskrawopomarańczowy błysk wytrysnął z ciemności i strzelba zagrzmiała.

## 26

Huk był ogłuszający, tak głośny, że Alex miała wrażenie, jakby pękała jej głowa i w uszach piszczalo z bólu. Tam, gdzie stała jeszcze sekundę wcześniej, powietrze rozdarł świst kuli. Od dławiącego smrodu

prochu, przypalonego materiału i gorącego metalu czuła ucisk w gardle. Usta wypełniła ślina, oczy łzawiły. Pod biodrami czuła lodowaty beton. Wydawało się jej, że słyszy krzyk Elhe, ale dźwięk był jakby przytłumiony watą; praktycznie straciła słuch i z trudem łapała oddech. Tom rąbnął ją w plecy, przewracając na ziemię, ale teraz jego ciało leżało rozciągnięte na niej. Bez ruchu.

– Tom? – Nie słyszała własnego głosu, jednak poczuła to słowo w krtani. Nadal na wpół ogłuszona eksplozją, usiłowała się obrócić. Boże, błagam, daj, żeby on nie umarł. – Tom? – Chwilę później jego dłoń zacisnęła się na jej palcach i zalała ją fala ulgi. Alex usłyszała ciche brzęczenie głosu chłopaka, ale nie potrafiła rozróżnić słów. – Co?

– Bomba pułapka. – Miała jego usta tuż koło ucha. – Nic ci się nie stało?

– Nie, chyba nie. A tobie?

– Wszystko w porządku.

Ciężar na jej plecach zelżał, a dzwonięcie w uszach przycichło do cienkiego popiskiwanego na tyle, że słyszała, jak w sypialni nad ich głowami szczeka pies. Kiedy usiadła, ciemności zawirowały. Potwornie bolała ją głowa.

Tom skierował na Alex swoją latarkę.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. – Podniosła rękę, żeby osłonić oczy przed światłem, i wtedy dostrzegła Ellie. Dziewczynka kucała kilka kroków od niej, bezgłośnie poruszała szeroko

otwartymi ustami, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Alex, nic ci się nie stało? – krzyknęła, nie przestając płakać. – Nic ci się nie stało?

– Nic jej się nie stało. – Tom objął małą i mocno przytulił. – Skarbie, ćśś, uspokój się.

– Ale jej omal nie zabiło! – łamiącym się głosem wrzasnęła Ellie. Złapała w obie garście koszulę Toma i dalej ryczała. – To ja omal jej nie zabiłam! Gdybym nie była taka wścibska, gdybym na was zaczekała, ona by nie...

– Niczemu nie jesteś winna, Ellie – przerwał jej Tom. – Przecież nie ruszałaś sejfu. To Alex. Ty nic nie zrobiłaś. I widzisz? Alex dobrze się czuje.

Dobrze czy nie, Alex uznała, że miała dużo szczęścia. Teraz, gdy wstrząs eksplozji przekrzywił osłonę z koca, wyraźnie było widać, że strzelba została zaklinowana pomiędzy dwoma pudłami i skierowana lufą w stronę sejfu. Od płomienia wylotowego zajął się materiał, który nadal śmierdział przypaloną wełną. Wiedząc już, czego szuka, bez trudu wypatrzyła drut przymocowany dość luźno do spustu i stamtąd przeciągnięty do pułapki na myszy. Osobny drut, który odcięto z tego samego zwoju, ciągnął się od – teraz już zamkniętej – pułapki w górę po ceglanej ścianie, przez nagie belki stropu, a potem znowu w dół, do górnego zawiasu drzwi w sejfie. Kiedy Alex pociągnęła je, otwierając na oścież, drut naprężył się i odblokował pręt podtrzymujący ramkę pułapki, a ta zatrzasnęła się z siłą zupełnie wystarczającą, żeby

szarpnąć za spust.

Dziewczyna poczuła na ramieniu dłoń Toma. Odwróciła się i powiedziała:

– Co wy na to, żebyśmy teraz poszli na górę i uczcili fakt, że żyjemy?

Zanim dziewczyny wróciły do kuchni, Tom już przygotował ucztę: hamburgery prosto z patelni, ze wszystkimi dodatkami, wielką sałatkę i smażone ziemniaki.

– Uau – powiedziała Alex. – Myślałam, że jedyne, co umiesz przyrządzić, to szop. Gdzie się nauczyłeś gotować?

– Jeśli chcesz wiedzieć, uwielbiam to. – Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Moja mama jest fantastycznym kucharzem. Tata tak samo.

– Ale deseru chyba nie zrobiłeś?

– Faktycznie. – Tom wydobyl z za pleców pudełko czekoladowych ciasteczek Oreo. – Ta-dam! Gwizdnąłem je ze skrytki za workiem psiego żarcia. Jest tam jeszcze jedno pudełko i paczka czekoladek Mallomar. Ktoś nie chciał się podzielić.

– Mieli psa? – zapytała Alex i pomyślała: Co się z nim mogło stać?

– To bardzo ładnie z twojej strony, Tom – cicho odezwała się Ellie. Była okropnie blada. Żadna ilość zapewnień nie skutkowało, mała obwiniła się za wydarzenia w piwnicy. Praktycznie przez cały czas milczała, kiedy Alex ściągała z niej ubranie, szorowała w

drewnianej balii, którą zataszczyli do tylnej sypialni, i ubierała w damską flanelową koszulę i podwinięte do łydek dżinsy. – Ale chyba nie jestem za bardzo głodna.

– A ja umieram z głodu. – Alex padła na krzesło i pochwycając bułkę z hamburgerem, nałożyła na nią wielką porcję majonezu.

Tom uśmiechnął się szeroko.

– Nic tak nie poprawia apetytu jak niewielkie otarcie się o śmierć. Ellie, jeśli masz na coś ochotę, nie krępuj się.

– Nie jestem głodna – powtórzyła Ellie. Popatrzyła niepewnie na Minę. Pies poderwał się na widok miski, którą Tom postawił na podłodze, i teraz niemal galopem pochłaniał suchą karmę. – Może po prostu powinnam się położyć.

– Dobrze, skarbie. – Nakrywszy hamburgera listkiem sałaty i plastrem pomidora, chłopak wycisnął na to spiralę keczupu. – Zrób tak, jak wolisz. Alex, możesz mi podać majonez?

– Jasne – odparła Alex, a jej usta zadrgały od powstrzymywanego uśmiechu. Jednak na widok ostrzegawczego spojrzenia Toma przybrała minę tak kamienną, jak tylko zdołała. Alex wiedziała, kiedy ma do czynienia z psychologią odwróconą; nie na darmo spędziła tyle czasu, gapiąc się w dywan swego psychiatry. Kiedy przerzucała widelcem burgera na stertę sałaty, dostrzegła, jak Ellie wślizguje się na krzesło.

– Poproszę musztardę – rozległ się cichutki głosik. – I sos warzywny.



– Jedną łyżkę czy dwie? – zapytał Tom.

– Dwie.

Tom nałożył małej porcję sosu.

– I pozwól, że dodam ci trochę pomidora... Proszę, teraz jest dobre. Spróbuj. Mamy tego jeszcze pełno.

Jedli w milczeniu, niewymuszonym i niemal łamiącym serce, bo takie to było normalne. Alex pomyślała, że Tom miał rację. Jedzenie jest sprawą fundamentalną. Po tak długim czasie delektowania się nim tylko w pamięci rzeczywista ucztą – ze wszystkimi aromatami i buzującymi na języku smakami – wydawała się prawdziwym świętem.

Dzięki temu, że milczeli, mogła też poważnie zastanowić się nad ostatnim wydarzeniem. Pomijając fakt, jaką okazała się idiotką – wizja większej liczby broni pozbawiła ją resztek zdrowego rozsądku – ten trupi fetor, nawet jeśli słaby, oznaczał jedną z dwóch rzeczy. Albo rangersi ulegli przemianie, albo jakiś porażony impulsem szalenciec szperał tam na dole. Obie wersje wyjaśniały pospieszne zniknięcie mieszkańców strażnicy.

Ale dlaczego ktoś zastawił pułapkę? Ugryzła hamburgera i wolno przeżuwała, rozważając ten problem na wszystkie strony. Eksplodująca pułapka, taka jak ta, miała sens, tylko jeżeli ofiara potrafiła znaleźć sejf. Tom przegapił piwnicę, Ellie znalazła ją przypadkiem. Więc przypuszczalnie jedynie rangersi mogli wiedzieć o sejfie i w ogóle o istnieniu piwnicy.

Zakładając hipotetycznie, że było ich dwoje i jedno z

nich się zmieniło, a drugie nie – czy normalny rangers zainstalowałby pułapkę w nadziei, że zabije tego odmienionego? Albo...

Chwileczkę. Tom mówił, że Jim – kiedy oszalał – nadal był częściowo sobą. A jeśli rangers, który się zmienił, zmontował to wszystko, żeby ukatrupić tego drugiego, nadal normalnego?

– Smakuje ci? – zapytał Tom.

– Co? – Alex podniosła wzrok i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że przestała jeść. – Pyszne – pochwaliła z pełnymi ustami. I przełknęła.

Jednocześnie pomyślała: te porażone impulsem małolaty stały się potworami już pierwszego dnia. Jim był starszy, więc chwyciło go dopiero drugiego, ale efekt był identyczny. No i – co bardzo możliwe – jest jeszcze któreś z dwojga rangersów, a to daje nam już czworo odmienionych.

Hm, właściwie było ich pięcioro. Bo ona też się zmieniła. Tylko że nie tak jak tamci.

Jeszcze nie.

## 27

Tom podniósł wzrok znad dużego zlewu, w którym właśnie zmywał naczynia. Umieszczona na parapecie lampka gazowa Colemana, sycząc, rzucała jaskrawobiałe światło.

– Zasnęła?

– Jakieś trzydzieści sekund po tym, jak oświadczyła, że już nigdy nie będzie spać – odparła Alex. Wzięła ścierkę do naczyń, odebrała od Toma ociekający talerz i zaczęła wycierać. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czyby się uspokoiła, gdyby nie Mina i twój pomysł, żeby przeciągnąć materace i urządzić posłania naprzeciwko kominka. Skąd masz taką wprawę w obchodzeniu się z dziećmi?

– Dwanaście lat w towarzystwie czterech młodszych sióstr. – Tom wyłowił z mydlin pełną garść widelców, wyszorował i wrzucił do czystej wody, żeby się opłukały.

– Czterech? Uff. Za co cię tak pokarało?

Chłopak wręczył jej mokre sztucce.

– Rodzice rozeszli się, kiedy miałem osiem lat. Potem tata po raz drugi się ożenił i do spółki z moją macochą zaczęli taśmowo produkować dzidziusie. I super. Dzieciaki są słodkie.

– Gdzie jest teraz twoja rodzina? – zapytała Alex.

– Nie tam, gdzie byłoby dla nich dobrze.

– To znaczy?

– Mieszkają w Maryland, niedaleko Waszyngtonu. – W świetle gazowej lampki jego twarz wydawała się płaska i wyprana z kolorów, oprócz cieni ciemniejących po oczami. – Czyli w pobliżu epicentrum wybuchu, jak sama rozumiesz.

– I ty twierdzisz, że ja oglądam za dużo filmów. Tom, robisz tyle przypuszczeń, a naprawdę nie wiemy, co się

stało.

– Masz rację. – Chłopak ciężko sapnął. – Poobijasz się na wojnie wystarczająco długo i już zawsze zakładasz samo najgorsze. Przykro mi. A... twoi rodzice?

Alex dotychczas nie przestała się zastanawiać, jak tę odpowiedź złagodzić.

– Nie żyją.

Mina mu zrzęła.

– Och, przepraszam.

– Nie ma za co. Nie wiedziałeś.

– Jak długo jesteś sama?

To ją zdziwiło. Po pierwszym momencie szoku i zakłopotania – nigdy nie rozumiała, dlaczego wszyscy czuli się zakłopotani; chyba że to jedna z tych odruchowych reakcji: lepiej ty niż ja – zwykle padało pytanie, co się stało. Sposób, w jaki je zadawano, zawsze ją niepokoił, wydawał się przejawem jakiegoś, hm, głodu złych wiadomości. Podobnie jak wtedy, kiedy ludzie przystają, żeby popatrzeć na wypadek albo gapią się w zoo na karmienie lwów.

– Parę lat. Ale wcale nie jestem sama. Mieszkam z ciocią pod Chicago. – Zawahała się. – Naprawdę uważasz, że w miastach jest niebezpiecznie?

– To zależy. – Tom przez chwilę milczał, wpatrując się bezmyślnie w brudną wodę, po czym powiedział: – Chyba wiem, jak możemy to stwierdzić.

Jednostajny, lodowaty północno-zachodni wiatr z

Kanady hulał wśród słupów i wsporników – wieży obserwacyjnej z taką siłą, że metal aż brzęczał. Alex, opatuloną w ciężki rangerski kozuch, ten metaliczny jęk na równi z zimnem przyprawiał o dreszcze. Szmaragdowe światło księżyca w ostatniej kwadrze zalewało krajobraz wilgotną zieloną szarością, przywodzącą na myśl staw w środku lata, kiedy kwitną algi.

Na samym szczycie wieży, siedemdziesiąt stóp nad ziemią, kwadratową kabinę obiegał balkon. Wewnątrz ujrzeli sięgający do pasa stół, a na nim jakieś dwa urządzenia: jedno w plastikowym futerale, drugie w metalowym prostokątnym pudle z sześcioma zatrzaskami, którego wygląd mgliście kojarzył się Alex z wojskiem. Pod plastikową osłoną krył się cyfrowy, zasilany baterią radiotelefon CB, równie martwy jak cała elektronika. Dziewczyna skierowała promień latarki na metalową skrzynkę, a Tom wziął się do forsowania skrzypiących, poplamionych rdzą zatrzasków.

– Nie chciałem nic mówić przy Ellie – powiedział, podważając ostatnią klamrę. – Już niemal się zdecydowałem zaczekać do jutra, kiedy będzie jasno. W dzień prawie wszystko wygląda lepiej. Chociaż teraz pora jest równie dobra jak każda inna.

– Co to takiego? – Obudowa była jasnoszara, ale przednią ściankę urządzenie miało ciemniejszą, szarozieloną, usianą przełącznikami. Jedne wyglądały na pstryczki, które przesuwają się w prawo i w lewo, inne przypominały okrągłe pokrętki przy gazowej kuchence

ciotki Hannah. Na środku znajdowała się wielka gałka, sprawująca kontrolę nad czarną tarczą z białymi cyframi i rzędem kreseczek. Alex przeczytała pogrubiony, srebrzysty napis: „Heathkit”. Nad nim w małej ramce widniało SB-101.

– Stary odbiornik dla radioamatorów, jak mi się wydaje. Widziałem facetów, którzy używali czegoś takiego w domkach myśliwskich. – Tom wskazał na kłęb przewodów ciągnących się od stołu do samochodowego akumulatora. – Jedyne, czego nam potrzeba, to inwerter, żeby mieć pewność, że nie przepalimy radia. I gotowe.

– Będzie działać?

– Powinno. To leciwy okaz, co oznacza, że sprzed epoki półprzewodników. W środku ma lampy, nie tranzystory. Oczywiście, należy założyć, że istnieje ktoś, kto cokolwiek nadaje.

– Niemożliwe, żebyśmy byli jedynymi zwykłymi ludźmi, którzy zostali na Ziemi – odparła. – Gdzieś muszą być inne stare radia, takie jak to, i jeśli nawet samochody wysiadły, to nadal jest pełno akumulatorów. Poza tym w najgorszym wypadku – gdybyś miał rację i rzecz dotyczy całej Ameryki Północnej – są jeszcze inne kraje. Przecież ktoś gdzieś musi być.

Radio działało. Tom wyzerował częstotliwość, a potem z delikatnością kasiarza, który nasłuchuje wymownego kliknięcia zamka, powoli zaczął poruszać dużym pokrętelem. Nie odezwał się żaden głos – używali wspólnie jednych słuchawek – chociaż dźwięk został tak

podkreśniony, że trzaski zakłóceń przypominały ulewę bijącą o blaszany dach. Faktycznie, zakłócenia były bardzo silne; zbyt silne, uznał Tom, zwłaszcza jak na bezchmurną noc, więc musiały się wiązać z poważnymi zaburzeniami atmosferycznymi.

– Ale co to oznacza?

– Ćśś. – Chłopak manewrował pokrętłem, lekko przytrzymując je w dwóch palcach. – Myślę, że...

Poprzez szumy dobiegł jakiś cichy pomruk, a potem jedno słowo: ... kontrola...

– Zaczekaj, zaczekaj! – krzyknęła Alex. – Tutaj!

– Mam, mam... chwileczkę. – Rozległy się piłujące trzaski. – Jest – oznajmił Tom. – Myślę, że...

– ... *wielkie pożary* – wykrztusiło radio. – ... *wybrzeżu... lantyku...*

– Co?

– ... *uszkodzeń systemu ... naziemny ... skutki uboczne... atomowego...*

– O Jezu – szepnął Tom.

– Co atomowego? Co to znaczy? Zrozumiałeś, co on mówi?

– Chyba tak.

– Więc?

– Momencik. – Wolną ręką odnalazł lodowatą dłoń Alex i uścisnął. – Rozumiem, że chcesz wiedzieć wszystko w tej sekundzie, ale zobaczmy, ile się jeszcze da z tego wydobyć, dobrze? Jeśli ten facet nadaje, nie może być jedyny. I są ludzie w innych krajach. Będziemy mieć

lepszy obraz.

Obraz? Czego? Jak koniec świata może lepiej wyglądać? Faktycznie, nie chciała czekać; musiała poznać odpowiedź natychmiast. Jednak zacisnęła zęby i skupiła się na wylapywaniu informacji.

– ... w wieku poniżej... dzieci... panika...

Kolejne słowa przerywane zakłóceniami skapywały przez słuchawki, słowa-widma, utkane z powietrza, snujące sieć koszmaru. Kiedy ten sygnał zanikł, trafili na następny, tym razem z Anglii, a potem jeszcze jeden z jakiegoś miejsca w Afryce.

Gdy dobrnęli do końca, oczy Alex były nadal suche, ale ręka Toma ścisnęła jej dłoń tak mocno, że aż bolało.

– Więc dlatego księżyc jest zielony. – W kuchni, koło pieca, Alex kurczowo trzymała kubek, z którego dawno uciekło już ciepło. Dwie godziny temu objadali się czekoladowymi ciasteczkami, a teraz świat stanął w płomieniach. W zasadzie połowa kraju, ale to całkiem wystarczające. – Coś mi się przypomniało. Na historii powszechnej uczyliśmy się o Krakatau. Po wybuchu zachody słońca były krwawe, a księżyc niebieskozielony z powodu popiołu w powietrzu. Nauczycielka mówiła nam, że niebo na tym obrazie z krzykiem, chyba Muncha, no więc, że on namalował je w taki sposób, bo naprawdę to widział po erupcji tamtego wulkanu. – Spojrzała na siedzącego naprzeciwko Toma. – Teraz jest tak samo, nie uważasz?



– Może. – Tom się zawahał. – Jeśli to, co słyszeliśmy jest prawdą. A przecież może nie być.

– Tom, usłyszeliśmy to parę razy z ust różnych osób w różnych krajach. To musi być prawda.

– Chyba że ludzie powtarzają jakąś historyjkę.

– Jednak ta historyjka trzyma się kupy. Za pomocą wiązki bomb E można całkowicie unicestwić elektryczność i komunikację. Bums. Nie ma prądu, nic nie działa. Facet z Anglii mówił, że jest tego na świecie dosyć, żeby zniszczyć prawie wszystkie kraje.

– Ale to mogą być tylko plotki. Ludzie panikują. Nie sposób niczego stwierdzić na sto procent bez pomocy satelitów.

– Które zostały zniszczone. Sam powiedziałeś, że tak musiało się stać. Wiesz, to oznacza, że nie ma już Stacji Kosmicznej. Skoro komputery są martwe, oni nie mogą tu wrócić, a u nich też nic nie działa. Więc albo się udusili, albo zamarзли i teraz orbitują w tej swojej wielkiej puszczy. Będą tam w górze, dopóki nie zaczną spadać, a wtedy spłoną.

– Mimo wszystko to nie musiało zdarzyć się wszędzie – odparł z uporem Tom. – Złapaliśmy tylko pięć programów.

– Mieliśmy szczęście, że aż tyle. Poza tym mówiłeś o tym już kilka dni temu. Jak to nazywałeś? Wzajemnie zagwarantowane zniszczenie? No cóż, miałeś rację, fachowa robota.

– Dobrze wiesz, że wolałbym się mylić.

– Może, ale przypadło. – Alex roześmiała się gorzko. – Wykrakałeś to.

– Nie wszystko. – W świetle gazowej lampki twarz Toma była trupio blada. Usta wyglądały jak czarna rana. – Nie myślałem o bombach E ani że ktoś wybierze na cel ataku magazyny odpadów radioaktywnych.

– Lepszy efekt małym kosztem.

– Nie, te magazyny nie mogły eksplodować jak bomby atomowe.

– Żadna różnica. Nie jesteś jedynym mądralą na świecie. Miałam bardzo dziwnego fizyka, który naprawdę bzikował na punkcie Sądnego Dnia. Zwłaszcza po tym trzęsieniu ziemi w Japonii, kiedy reaktory atomowe w Fukushima znalazły się w stanie krytycznym. Poza tym to nie takie trudne do zrozumienia. Wystarczy zdetonować bombę nad takim obiektem, woda chłodząca *zużyte*, pręty reaktora wyparowuje, pręty topią się i uwalniają radioaktywną parę, a potem bum! Niczym w latach osiemdziesiątych w Czarnobylu.[ W 1986 roku w Czarnobylu (wówczas ZSRR) miała miejsce największa na świecie katastrofa elektrowni atomowej.] Wiesz, ile trwało, zanim przegrzał się tam rdzeń?

– Nie.

– Zaledwie kilka sekund od chwili, kiedy spróbowali wyłączyć reaktor. – Oczy ją piekły, w piersiach paliło uczucie paniki. – Już ci mówiłam, facet był maniakiem. Czarnobyl zajął nam całe dwa dni. Wystarczyło około czterdziestu sekund, żeby temperatura podskoczyła i

ciśnienie pary radioaktywnej doszło do punktu, w którym nastąpił pierwszy wybuch. Czterdzieści sekund. Pożar trwał kawał czasu i wyzwolił jeszcze większe promieniowanie. Coś takiego teraz właśnie gdzieś się dzieje, tylko w zwielokrotnieniu i tysiąc razy bardziej destrukcyjnie, bo obiekty są większe. Daj spokój. Przecież jesteś specjalistą. Nie muszę ci mówić o pożarach i fali uderzeniowej po eksplozji nuklearnej. Wszystko topi się albo paruje. A to dopiero początek.

– Alex...

– Bo bez zasilania nie ma sposobu na wychłodzenie żadnego z pozostałych reaktorów ani prętów reaktora w obiektach, które nie zostały zaatakowane...

– Alex, uspokój się.

– Co oznacza, że też wybuchną: każda elektrownia atomowa i każdy magazyn odpadów w całym kraju, na całym świecie, wszędzie.

– Hej. Stop. – Zerwał się z krzesła. – To nie prowadzi do niczego dobrego.

– Mam to w nosie! Księżyc jest zielony, Tom. Zielony! – Wydawało jej się, że krzyczy, słowa cięły gardło jak nóż, ale z ust wydobywał się tylko pełen udręki, chrapliwy szept. – Świat się skończył! Powietrze jest pełne jakiegoś cholerstwa, pyłu i śmieci, ludzie pomarli, po prostu padli trupem, kiedy eksplodowały te bomby E. A ci, którzy jeszcze żyją, i tak niedługo umrą. Zagłoda się na śmierć albo dostaną choroby popromiennej, albo pozabijają się nawzajem. A te

małolaty? I Jim? Nadal nie mamy pojęcia, co im się stało ani czy inni ludzie też się zmienili, ani kiedy my...

– My nie. Żyjemy, nie zmieniliśmy się i nie zmienimy.

– Tego nie wiesz.

– Owszem, wiem. – Uklękawszy złapał ją za rękę. – Popatrz na mnie. I posłuchaj. Nie wierzę w Boga, ale wierzę w przeznaczenie.

– A co to...

– Ucisz się i słuchaj. Przeżyłem takie walki, że nawet byś nie uwierzyła. Nie masz pojęcia, jak często byłem pewien, że już po mnie, myślałem: Świetnie, zaraz zginę. Ale dotarłem do domu. Dotarłem tutaj. – Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej karku. – Dotarłem na czas, żeby uratować ciebie i Ellie.

– Po prostu miałyśmy szczęście.

– To było przeznaczenie. Znalazłem się dokładnie we właściwym miejscu o właściwym czasie. Nie uwierzę, że przeszliśmy przez to wszystko tylko po to, żeby teraz umrzeć – powiedział gwałtownie. – Popatrz, żyjemy. Jesteśmy bezpieczni. Nie pozwolę, żeby coś złego stało się tobie albo Ellie. Obiecuję.

Przeznaczenie czy nie, tej obietnicy nie potrafisz dotrzymać, pomyślała. W mojej głowie mieszka potwór, który może mieć inne pomysły. Och, bardzo chciała Tomowi wierzyć. Dygotała na całym ciele. Głębokie, sięgające wnętrzości dreszcze były tak silne, że bała się rozpaść na kawałki.

– Ale dokąd mamy pójść? Nie możemy wrócić.

Dokąd?

– Teraz nie musimy się stąd ruszać. Coś wymyślimy. No uspokój się, jestem przy tobie. – Jakoś ściągnął ją z krzesła i obydwójce znaleźli się na podłodze, i Alex – każdy mięsień napięty niczym zwinięta sprężyna – kurczowo się go uczepił, a Tom przytulił ją do piersi tak jak przedtem Ellie i zaczął się z nią kołysać. – Wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie – powtarzał, mocno ją obejmując. – Uspokój się, Alex, jestem przy tobie.

Rozszlochała się. Płakała nad Jackiem i Ellie, nad biedną, wierną Miną, nad swymi zmarłymi rodzicami, utraconymi na zawsze, i nad ciocią, której nigdy już nie miała zobaczyć. Płakała nad Tomem, a zwłaszcza nad jego małymi siostrzyczkami mieszkającymi w pobliżu Waszyngtonu, co faktycznie nie oznaczało niczego dobrego. I nawet nad astronautami, którzy krążyli po ginącej orbicie pod odmienionym księżycem.

Płakała również ze strachu. Już było źle, a sądziła, że może być dużo gorzej.

Bo skoro na świecie pojawili się Jim, panna Jasny Koński Ogon, Koszykarz, mogli też pojawić się inni – i nikt nie wiedział, czy to któreś z nich nie będzie następne.

## 28

Minął tydzień, potem drugi i trzeci. Odpoczywali, robili remanent swoich zapasów i dobrze się odżywiali –

nawet pies. Czas mijał im na lekturze książek z pokaznego zbioru rangersów, krótkich wyprawach w okolicy strażnicy i rzucaniu frisbee Minie, której łapa najwyraźniej powracała do zdrowia. W ogóle nie uruchamiali generatora. Hałas działał im na nerwy, a po rangersach zostały lampy sztormowe i pełno świec. Pierwszego ranka porozmawiali z Ellie o tym, czego dowiedzieli się z radia. Alex była zdumiona, jak spokojnie mała przyjęła te informacje. Może kiedy nie ma się do kogo wracać, łatwiej jest znieść, że świat idzie z dymem. Albo też dziewczynka uznała, że to oni teraz stanowią rodzinę, co nie było takie dalekie od prawdy.

Sypiali przed kominkiem w pokoju dziennym, z Ellie wciśniętą pomiędzy nich. Nocami na zmianę trzymali wartę. Tom i tak mało spał – nie mógł albo nie chciał. Zwykle jeszcze długo po tym, kiedy budziła się na swoją zmianę, Alex widziała go, wspartego na poduszce pod oknem, jak nadal czuwał z Miną u boku. Co jakiś czas ciemny zarys jego głowy odwracał się w ich stronę. Tom spoglądał na nie, jego zapach uspokajał i dawał pewność, że bez względu na wszystko mogą się czuć bezpieczne. A jednak często gwałtownie się zrywał, co przywodziło Alex na myśl zasłyszane historie o tych, którzy wracali z wojny z mózgiami pełnymi koszmarów. Nie pytała go o nic. Wolała wierzyć, że wyłącznie dlatego, iż szanuje jego prywatność.

Ale okłamywała samą siebie. Raz, kiedy Tom i Ellie byli na dworze, otworzyła swoją czarną torbę, żeby

popatrzeć na plastikowe worki, Biblię i nierozpieczętowany list. Nie miała pojęcia, co powinna teraz z tym wszystkim zrobić. Wyglądało na to, że miała taszczyć tę torbę do końca życia, co wcale nie musiało oznaczać, że jeszcze długo. Mogła powiedzieć Tomowi o guzie, pewnie nawet powinna była. Ufała mu, wzajemnie na sobie polegali. Sądziła, że facet, który walczył na wojnie – który rozbrajał bomby – okaże zrozumienie dla koszarów i potworów. Jednak za każdym razem, kiedy już chciała zacząć, czuła znajome ukłucie lęku. Na wieść o nowotworze ludzie się zmieniali. Byli zakłopotani, gwałtownie odwracali wzrok i mogła wyczuć ulgę, z jaką umykali. Gorzej, dokładnie wiedziała, co myśleli: Całe szczęście, że to ona, a nie ja.

Powstrzymał ją strach, ale chodziło o coś jeszcze. To prawda, że Tom znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie, ale jego rodzina mieszkała w Marylandzie. Sam powiedział, że miał się stawić na służbę z powrotem w grudniu. Więc czemu pojechał aż do Michigan biwakować ze swoim dowódcą? Nie widywał go wystarczająco często w Afganistanie? To się nie trzymało kupy. Czy ktoś, kto ma wkrótce znowu walczyć, nie woli spędzić czasu z rodziną?

I dlaczego nie mógł spać? Z powodu tego, co widział, kiedy zamykał oczy? Nie pytała, ale po sposobie, w jaki na nią patrzył, w jaki czasami brał ją za rękę albo dotykał ramienia, w jaki traktował małą – z taką wielką troską i cierpliwością – poznawała, że się bał. Utraty jej albo

Ellie? Może. O ile te lęki nie były dużo głębsze, sięgające czegoś, co już stracił. Przy całej twardości, zaradności i odwadze Tom miał swoje tajemnice.

Jednak bywało też inaczej: kiedy ich oczy spotykały się i jego zapach nabierał skomplikowanych odcieni, od których serce Alex wywijalo koziołka. Czasami wyobrażała sobie dotyk ust na swoich wargach. Czasami posuwała się nawet dalej, rozważając, jak by to było naprawdę pójść na całość – i czy on miewa podobne myśli.

A mimo to niczego w tej sprawie nie zrobiła. Niczego nie powiedziała. O nic nie zapytała. W jej głowie tkwił potwór. Milczenie nie wydawało się uczciwe ani słuszne, ale przecież żaden chłopak nie chciałby jej, gdyby wiedział. Nawet Tom.

Więc zapięła suwak czarnej torby, upchnęła ją z powrotem w swoim bagażu i postanowiła więcej o tym nie myśleć.

Do końca pierwszego tygodnia listopada – przez sześć tygodni po Elektrouderzeniu – żadne z nich się nie zmieniło, ale pogoda tak. Tom, tupiąc, wszedł z naręczem drewna na opał, żeby podzielić się nowiną, którą Alex potwierdziła, kiedy wyszła za próg i spojrzała na północ. Dzień był szary, wietrzny, więc pochwyciła przyjemną woń – jak ostrze chłodnego aluminium – i zmierzyła wzrokiem zbitą warstwę chmur, siwych i pękatych.

Tym razem obeszło się bez jej specjalnego szóstego



zmysłu.

– Śnieg.

– Yhm. I to raczej wcześniej niż później – powiedział Tom. – Musimy podjąć decyzję.

– Ruszać w drogę czy zostać? – Zamyśliła się. Do kuchni dobiegał głos Ellie, która w pokoju dziennym składała pranie i przemawiała do Miny. – Tom, nie mam pojęcia. A gdybyśmy zostali? Jak dotąd nikt nas tu nie zaczepiał, a wiemy, że w miastach jeszcze nie jest bezpiecznie.

Co wieczór siadywali wspólnie przy starym radioodbiorniku na szczycie wieży obserwacyjnej, próbując zgromadzić tyle informacji, ile tylko się da. Najczęściej trafiali jedynie na zakłócenia, ale z kilku transmisji, które zdołali złapać, wiedzieli, że obydwie wybrzeża są praktycznie martwą strefą, płonąca lub radioaktywna. Albo jedno i drugie. Wszędzie indziej panował chaos i nie wydawało się, żeby ktoś nad tym zapanował, przynajmniej w ich kraju. Usłyszeli wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że Stan nie był jedyną osobą, która nagle padła trupem. Mnóstwo ludzi – dziesiątki milionów – umarło w ciągu tych kilku pierwszych chwil. Ze szczątkowych pogłosek o kanibalach, szalonych zombie i nastolatkach popadających niespodzianie w obłęd wiedzieli, że dzieje się coś jeszcze. Faktycznie, nastolatki wymieniane były często.

– Jesteśmy zaopatrzeni w opał – dodała. – W wodę i

jedzenie też.

– Tak, ale zanim nadejdzie wiosna, żywność się skończy.

– Możemy polować. W piwnicy jest pełno amunicji. Mamy teraz więcej strzelb i jeszcze łuk.

– Kiedyś jednak wyczerpią się inne zapasy. Wtedy albo nauczymy się produkować świece, mydło, pastę do zębów i odzież, albo opuścimy strażnicę i wyruszymy na poszukiwania. A one mogą wymagać bardzo, bardzo dużo czasu. Pojawi się też nie najmniejszy problem z zebraniem wystarczającej ilości rzeczy i przetransportowaniem ich tutaj. I tylko pomyśl, co by było, gdyby któreś z nas poważnie zachorowało?

– A twoje przeszkolenie z medycyny polowej?

– To nie to samo co być lekarzem, dobrze o tym wiesz. Zresztą tak czy inaczej potrzebowałbym leków. Więc musimy stąd odejść. Pytanie tylko: kiedy. Przywarujemy tu i przeczekamy do wiosny czy wyruszymy teraz, dopóki jeszcze możemy i zanim różni ocalańcy nie zaczną się pojawiać, żeby odebrać nam to, co mamy.

– Jak dotąd, żadni się nie pojawili.

– Ale mogą. Ludzie są zdesperowani. Mogą nadejść tymi lasami, tak jak my tu dotarliśmy. A wtedy jak sobie poradzimy? Będziemy walczyć? Wpuścimy ich?

– Tom, jeśli stąd odejdziemy, nie wiadomo, co nas czeka. Nie ma władzy, nikogo, kto by kontrolował sytuację, może tylko armia. Ale co oni teraz robią? –

Przyszła jej do głowy pewna myśl. – Chwileczkę, przecież ty służysz w wojsku. Gdzie jest najbliższa baza?

– Południe. Wisconsin. Tutaj, w Yooper, była baza Sawyer Air Force. Zamknęli ją już jakiś czas temu i przerobili na malutkie lotnisko i dość fajne muzeum. Głównie naziemna ekspozycja z paroma samolotami. Większość oryginalnych zabudowań została, jednak żadnego żołnierza już tam nie zastaniesz.

– Więc może powinniśmy spróbować przedrzeć się na południe?

Pokręcił głową.

– Wojsko będzie o wiele bardziej zainteresowane ochroną własnych interesów niż udzielaniem pomocy. Uwierz mi. Mają mnóstwo broni i facetów, którzy nie wahają się jej używać.

– Nie jesteś za bardzo przekonany do wymarszu.

– Tego nie powiedziałem. Uważam, że powinniśmy stąd odejść, ale myślę, że trzeba ruszyć... – Przerwał na chwilę. – W kierunku północnym.

– Na północ? Tom, lada moment zacznie padać śnieg. Już tutaj jest przeraźliwie zimno.

– Właśnie, o to chodzi. Ludzie będą się przemieszczać na południe i zachód, nie na północ. Pójdą tam, gdzie będzie cieplej.

– Tom, bardziej na północ od nas jest tylko Jezioro Górne.

– Nie, jeśli dostaniemy się do Minnesoty.

Na moment odebrało jej mowę.

– Do Minnesoty? Mamy iść do Minnesoty? To są setki mil.

– Według mapy rangersów do granicy jest około pięciuset.

– Granica. Rozumiem, że z Kanadą? Kompletne szaleństwo. Chcesz przedostać się dalej na północ, do Kanady, na początku zimy? Po co?

– O wiele mniej ludzi. Dla tych, co przeżyli, większe tereny do rozprzestrzenienia się. Będziemy mieć ryby w jeziorach i mnóstwo dziczyzny. Byle trzymać się z dala od gór. A wiosną zaczniemy coś uprawiać.

– Przyjmujesz całą masę założeń, co możemy, a czego nie możemy robić. A ja nie mam pojęcia o rolnictwie i idę o zakład, że ty też.

– Nie rozmawiamy o hektarach pszenicy czy kukurydzy. Mówiłem tylko, że znajdziemy sobie bezpieczne miejsce i będziemy uprawiać coś na nasze potrzeby. To potrafimy. Ludzie postępują tak od wieków. Moi rodzice zawsze mieli ogród. Alex, jeśli sprawy rzeczywiście mają się tak, jak słyszeliśmy, nikt już nie będzie jeździł po zakupy do lokalnego warzywniaka. Musimy nauczyć się radzić sobie na własną rękę. Nie twierdzę, że będzie łatwo. Pewnie nawet trudniej niż nam się wydaje. Ale unikanie problemu w niczym nam nie pomoże.

– Wiem – odparła, teraz już trochę zirytowana. – Okej, założmy, że masz rację. Nawet jeśli to dobry pomysł – a wcale nie jestem tego pewna – musimy myśleć o Ellie.

My dwoje może i dalibyśmy radę, ale nie możesz oczekiwać, że dziecko przewędruje taką odległość, nocując w śniegu. Po rangersach zostały nam tylko dwie pary rakiet śnieżnych i biegówek, a i tak żadna nie pasuje na Ellie. To oznacza, że będziemy musieli ją nieść albo wykombinować jakieś sanki. Przy najlepszym z możliwych scenariuszy na taką wędrowkę potrzebujemy przynajmniej dwóch miesięcy – nawet gdyby nie spadł śnieg. I nie ma mowy, żeby nie skończyła nam się żywność.

– Alex, zginęło strasznie dużo ludzi – powiedział cicho Tom. – Umarli kilka tygodni temu, w pierwszych minutach po Elektrouderzeniu.

– Zakładając, że te pogłoski są prawdziwe.

Puścił to zastrzeżenie mimo uszu.

– To oznacza wiele opuszczonych domów i mnóstwo zapasów, o ile ktoś nie dopadł ich już pierwszy.

– Tak czy inaczej, do Kanady jest naprawdę daleko. Pomyśl, ile czasu zajęło nam, żeby dostać się tutaj. – Zauważyła, jak twarz mu się zmienia. – Co takiego?

– Możemy mieć transport.

Opadła jej szczeka.

– Co?

– Ta ciężarówka w garażu. Wygląda dość staro. Jest szansa, że działa. Po prostu... – przerwał, wzruszając ramionami.

– Boże – szepnęła Alex. – Sądysz, że moglibyśmy pojechać? Dlaczego nic nie mówiłeś?

– Z kilku powodów. Jeśli spadnie ponad osiem cali śniegu, no, powiedzmy – stopa, jesteśmy bez szans, nawet gdyby wóz miał łańcuchy, bo nie będzie pługów śnieżnych. Pozostaje też kwestia paliwa. Tutaj trochę zostało, ale dystrybutory działają w oparciu o pompy elektryczne. Nie ma prądu, nie sposób wydobyć z nich benzyny.

– Na drogach stoi pełno porzuconych samochodów, prawda? Wyciągniemy z nich, co potrzeba. Tom, ciężarówką pięćset mil to prawie nic. Moglibyśmy tam dojechać w ciągu dziesięciu, dwunastu godzin. Moglibyśmy dojechać wszędzie.

– W normalnych warunkach, tak. Ale o ile chcesz się założyć, że szosy wyglądają teraz jak parkingi? Wszystko zamarło w jednej chwili. Jeśli to, co słyszeliśmy w radiu, jest prawdą, cała masa ludzi skonała na miejscu. Tak jak Stan. To oznacza ciała, mnóstwo ciał. A tam gdzie leżą trupy, nadciągają padlinożercy. I nie mówię tylko o dzikich psach. W grę wchodzi jeszcze szopy, oposy, lisy, wilki, może niedźwiedzie. Poza tym przy takiej liczbie samochodów połowę czasu spędzimy, odblokowując drogę. W końcu pewnie trafimy na coś zbyt dużego i trzeba będzie iść pieszo.

– A gdybyśmy się trzymali z dala od głównych dróg?

– Jasne, ale pamiętasz *Wojnę światów* Spielberga? Pamiętasz, co się działo, kiedy próbowali przejechać koło tych wszystkich, którzy nie mieli swoich czterech kółek?

O mało ich nie zabito, stracili furgonetkę i zostali z

niczym. Właśnie takie jest prawdziwe życie, Alex. I to nam się przydarzy, jeśli weźmiemy samochód. Nie ma już niczego, co choć w przybliżeniu uważasz za cywilizowane. Wszystko się zmieniło.

Rozumiała jego punkt widzenia, naprawdę. Poza wszystkim też widziała ten film.

– Jeśli tak paranoicznie boimy się stąd ruszyć, to w czym to miejsce jest lepsze od więzienia?

Tom przez chwilę milczał.

– A co będzie, jeśli spotkamy więcej takich?

Wiedziała, o kim mówił.

– Może do tego czasu już powymierali. Jest strasznie zimno. Pewnie pozamarzali na śmierć. – Potem pomyślała: Tak, ale skoro rangers z mózgiem porażonym impulsem zainstalował strzelającą pułapkę, to oni mogą być o wiele bystrzejsi, niż wyglądają.

Hipotetycznie w okolicy grasowały hordy młodocianych kanibali. Co prawda panikarskie doniesienia radiowe, podsycane pogłoskami, to nie były fakty. Ale przecież uwierzyli we wszystko pozostałe. Więc dlaczego nie w to?

– Jim – przypomniał jej Tom – potrafił mi zwiać na ponad dwa dni. Jeśli jest więcej takich szaleńców, dzieciaków i dorosłych, raczej brałbym ich pod uwagę.

– Cóż – odparła – może samych siebie też powinniśmy wziąć pod uwagę.

– Może. Ale ze słów tych radiowców wynika, że ludzie, którzy przetrwali, potwornie boją się małowiatów.

Boją się takich jak my. Co oznacza, że dla nich jesteśmy wrogiem. Potencjalnym niebezpieczeństwem. Będziemy mieć dużo szczęścia, jeśli nie zastrzelą nas bez ostrzeżenia.

Ellie nie zmartwiła się tak bardzo, jak obawiała się tego Alex. Tom posadził dziewczynkę i wyjaśnił jej, że kiedy spotkają innych ludzi, sprawy mogą różnie się potoczyć. Dla Ellie Tom był żołnierzem, tak jak jej tata. Już raz ją uratował, więc mógł uratować znowu.

Przez następne dwa dni Alex ponownie przeprowadzała remanent ich zapasów, decydowała, co powinni zabrać i gdyby do tego doszło – gdyby stracili wóz albo ugrzęźli w śniegu – kto co musiałby nieść. Tom zajmował się ciężarówką, a Ellie nie odstępowała go na krok, towarzysząc mu jak cień i podając narzędzia. Kiedy uruchomił rozrusznik, nagrodziła ich seria ostrych stukotów i zakrzuszeń, aż wreszcie samochód zaczął ochryple turkotać. Tom i Ellie przybili sobie piątkę.

– Mamy wóz! – mała wrzasnęła do Alex Tego wieczoru, już po grillowanych stekach i pieczonych ziemniakach, chłopak spytał:

– Co wiesz o polowaniu, zastawianiu wnyków i tym podobnych rzeczach?

Alex podała mu talerz do wycierania.

– Hm, potrafię strzelać. Strzelałam do glinianych rzutków. Umiem zrobić zatraskową pułapkę.

Skrzywił się.



– Super, jeśli nie przeszkadza ci siekane mięso. A polowanie z tukiem? – Kiedy pokręciła głową, oznajmił: – Jutro pójdziemy poćwiczyć. Umiesz zmienić oponę? A prowadzić samochód z ręczną skrzynią biegów?

– Dlaczego w ogóle o tym wszystkim rozmawiamy?

– Bo – otworzywszy szafkę, odłożył na miejsce suche talerze – jeżeli coś mi się stanie albo z jakiegoś powodu zostaniemy rozdzieleni, musisz to wszystko umieć.

Wpatrywała się w niego przez długą chwilę.

– Nic ci się nie stanie. – Prawdę mówiąc, istniało o wiele większe prawdopodobieństwo, że coś stanie się jej. Znowu zastanawiała się, kiedy mu powie.

– Wierz mi, też wolałbym was nie opuszczać, ale chcę, żebyście miały jak największe szanse.

– Więc logicznie rzecz biorąc, należałoby nauczyć Ellie obchodzenia się z bronią. Skoro coś może przytrafić się tobie, to równie dobrze nam obojgu. A wtedy mała zostanie sama. – Widziała, że nie jest tym pomysłem zachwycony, w jednak dodała: – Nie musi jej przy sobie nosić, ale powinna umieć używać.

– W porządku. Mamy tu sportowego browninga buckmarka. Będzie dobry na początek. No to jak? – Starannie złożył ściereczkę do naczyń. – Ruszamy za dwa dni?

Alex skinęła głową.

– Brzmi jak konkretny plan.

Ale przecież ja mam nóż – powiedziała Alex. Był wczesny ranek, dwa dni później. Niebo, nadal bardzo ciemne, na północy – gdzie musiał już padać śnieg – przybrało barwę niemal kobaltowego błękitu. Znajdowali się w pokoju dziennym. Rzeczy i prowiant mieli już załadowane na pakę forda. Alex patrzyła z góry na Toma, który klęcząc, majstrował przy jej cholewce. – Nie będę o nim pamiętać.

– Urok takiego noża tkwi w tym, że nikomu nie przychodzi do głowy, żeby go szukać, dopóki nie podwiniesz portek albo nie wetkniesz ich w buty, czego nie rób. – Tom mocno obciągnął prawą nogawkę jej turystycznych spodni. – No i jak?

– Jakby coś mi się przyczepiło do buta. Tom, mam mossberga i baretę z sejfu. Ty masz winchestera i SIG-a. A są jeszcze browning i łuk.

– Z którym, nawiasem mówiąc, bardzo dobrze sobie radziłaś.

– Jak Uryu – powiedziała Ellie, pojawiając się w drzwiach z naręczem zielonej wełnianej tkaniny: kocami dla psa.

– Co? – zdziwił się Tom.

– Kto – poprawiła Alex. – To Quincy. Anime?

– I manga – dodała Ellie.

– Aha. Znam *Hellsing*.

– Powinieneś – stwierdziła Ellie. – Oni tam wszyscy używają pistoletów. Oprócz Alucarda. On lubi pistolety, ale też urywa ludziom głowy.

– Cóż mogę powiedzieć? Facet w moim typie.

– Super. – Alex wywróciła oczami. – Tom, ja nie potrafię walczyć nożem.

– I przy odrobinie szczęścia nie będziesz musiała. Prawdopodobnie koniec końców zostałabyś zabita, więc ci go nie polecam.

– No to jaki w tym sens?

– Spytaj bandziora, którego dźgniesz, kiedy najmniej się tego spodziewa.

– Przed chwilą powiedziałeś, że i tak zginę.

– Nie, jeśli pierwsze pchnięcie będzie tak udane, że nie będziesz musiała go powtarzać. – Wstał. – Spokojnie, wyluzuj. Żartowałem.

– Ona się nie śmieje – wtrąciła Ellie.

– To tylko na wszelki wypadek.

– Powtarzasz się.

– Bo tak myślę. – Tom ogarnął Alex krytycznym spojrzeniem i pokręcił głową. – Nadal czegoś brakuje – oznajmił, klepiąc się po kieszeniach. – Daj mi jeszcze sek... aha, jest... – Wyciągnął pistolet w kaburze. – Wiedziałem, że z jakiegoś powodu go noszę.

Domyśliła się, co to, jeszcze zanim trzęsącymi się palcami pochwyciła broń. Brakowało magazynka, ale niechybnie był to ten sam glock.

– Mojego taty... Tom, gdzie... jak... ?

– Hej, super, naprawiłeś go! – ucieszyła się Ellie. – Tom kazał mi obiecać, że ci nic nie powiem. Wróciliśmy po niego rano, następnego dnia po... no wiesz. Tom powiedział, że tak szybko się nie obudzisz i Mina będzie cię pilnować, więc pokazałam mu, gdzie mi spadł.

– Weszłaś do wody? – zapytała Alex z niedowierzaniem.

– Ja nie – odparła dziewczynka. – Było za głęboko i okropnie zimno. Tom go znalazł. Już za czwartym razem.

– Nie chciałem nic mówić, dopóki nie udało mi się go rozebrać, wyczyścić i doprowadzić do porządku. Ellie wspomniała, że należał do twoich rodziców. Więc pomyślałem, że chciałabyś go odzyskać. A poza tym to świetna broń. Proszę. – Podał jej magazynek. – Dodatkowy masz nadal w biodrówce, a jeszcze parę pudełek amunicji upchnąłem w naszym bagażu.

– Dziękuję. – Ostrożnie wsunęła magazynek na miejsce. – Naprawdę jestem ci wdzięczna.

– Wiem. – Przez długą chwilę patrzył jej w oczy, po czym powiedział: – Lepiej, zanim tego swego glocka zabezpieczysz, od razu załaduj nabój do komory.

– Na wszelki wypadek – podsumowała.

– A ja też dostanę nóż? – chciała wiedzieć Ellie.

Tom i Alex wymienili się spojrzeniami.

– Znowu zaczynasz – westchnęła Alex.

– Dobra, już dobra – uległ Tom. – Możesz mieć nóż, Ellie, ale normalną, klasyczną finkę.

– Co? – krzyknęła dziewczynka. – To

niesprawiedliwe. Dlaczego ona dostała nóż do buta, a ja nie?

– I masz nosić tę finkę przy pasku, w futerale, zapiętym przez cały czas.

– Nawet nie mogę jej używać? – Ellie miała bardzo nieszczęśliwą minę. – To po co mi ona?

– Kiedy będziesz musiała obedrzeć ze skóry królika albo zaostrzyć haczyk na ryby, wtedy ci pokażę. Tak jak pokazałem, w jaki sposób obchodzić się z bronią. Na wszelki wypadek.

– Akurat – dąsała się Ellie. – Jeśli wszystko jest tylko na wszelki wypadek, to dlaczego wy dwoje wyglądacie, jakbyście szli na wojnę?

Na to żadne z nich nie miało dobrej odpowiedzi.

Upchnęli się w kabinie ciężarówki, z Ellie pośrodku. Tom wsadził kluczyk do stacyjki i znieruchomiał.

– Jeszcze nie jest za późno na zmianę decyzji.

– Nie, jedźmy. – Mała odwróciła się i zerknęła przez tylne okienko. – Jesteście pewni, że Mina ma tam dobrze? Nawet w tej skrzyni musi strasznie marznąć.

– Z tyloma kocami i takim futrem? Nic jej nie będzie.

– Okej. Czy nie powinniśmy zamknąć drzwi na klucz?

– Zostawmy tak, jak jest – odparła Alex, podnosząc wzrok, żeby zerknąć Tomowi w oczy. – Może trafi tu jeszcze ktoś, kto będzie potrzebował schronienia.

– A może wrócą rangersi – dodała Ellie.

– Może.

– Zatem w drogę. – Tom przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik ciężarówki zakrztusił się i ryknął ochryple. Chłopak wrzucił pierwszy bieg. – Powiedz: do widzenia, domku.

– Do widzenia, domku – krzyknęła Ellie. Odczekała sekundę, po czym dodała: – Więc... daleko jeszcze?

Alex i Tom spojrzeli na dziewczynkę, potem na siebie – i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Była to ostatnia szczęśliwa chwila.

# **Część III**

## **Zmiana**

Żwirowany trakt pożarowy był porznięty koleinami. Ciężarówka przechylała się, zapadała. Kamyki chrzęściły pod oponami i siekły o podwozie. Posuwali się z żalosną prędkością. W ciągu godziny pokonali zaledwie dziesięć mil. Trzy mile dalej dotarli do utwardzonej drogi dojazdowej i wreszcie ruszyli szybciej. Opony zaszurały na asfalcie, kiedy skierowali się na wschód. Po kolejnych dwudziestu milach Tom oznajmił:

– Zbliżamy się do parkingu. To tu zostawiłaś samochód? – A kiedy Alex skinęła głową, zapytał: – Mam się zatrzymać? Może chcesz coś zabrać.

Na końcu języka miała odpowiedź, że z dawnego życia nie chce w ogóle niczego. Oprócz cioci Hannah. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poprosić Toma, żeby jednak zawrócił na południe. Mógł to dla niej zrobić, ale biorąc pod uwagę nawet tę odrobinę informacji, którą zdołali zgromadzić, już wyjazd poza granice Waucamaw był wystarczająco niebezpieczny. Wzięcie kursu na główne miasto w stanie tak napakowanym elektrowniami atomowymi i magazynami odpadów równało się próbie samobójczej. Nie na darmo nazwano go Nuklearnym Illinois. To przecież w Chicago, na korcie do gry w squasha, pod trybunami uniwersyteckiego stadionu Stag Field, został umieszczony pierwszy na świecie reaktor jądrowy. I właśnie wtedy Fermi ukuł termin *scram*. [ *scram*



[ang. spadaj!] - procedura wygaszania łańcuchowej reakcji rozszczepienia w reaktorze jądrowym. Określenie użyte dla awaryjnego wyłączenia reaktora podczas eksperymentów z Chicago Pile-1, pierwszym na świecie reaktorem jądrowym, uruchomionym w 1942 r. na nieczynnym stadionie Alonzo Stagg Field przez zespół uczonych pod kierunkiem Enrico Fermiego (przyp. tłum.).]

Jednak tylko skinęła głową.

– Pewnie.

– Uau – zawołała Ellie, kiedy Tom ostrym łukiem z lewej mijał budkę strażnika przy wejściu do parku. Budka była kamienna, z panoramicznym oknem od frontu. W bocznej ścianie miała przesuwaną szybę, przypominającą okienko do wydawania zamówień w McDonalddie. Panoramiczne okno zostało rozbite, drzwi stały otworem, obie flagi – amerykańska i stanowa – walały się na trawniku, u podnóża wielkiego masztu. Linki do wciągania flag znikły. – Ktoś się wkurzył.

– Albo szukał czegoś, co mu było potrzebne. – Objechali zakręt i znaleźli się na parkingu. – Właśnie tego się obawiałem.

Pod koniec sezonu nie mogli się tu spodziewać zbyt wielu samochodów. Było ich tylko sześć – wśród śmieci i rozbitego szkła. Wszystkie auta ograbiono: strzaskane szyby, powyrywane drzwi, rozdziawione schowki, zdewastowane bagażniki, pogięte błotniki.

– Chyba za wiele nie znajdziesz – powiedział Tom. –

Który jest twój?

Alex pokazała mu. Jej toyota stała po lewej stronie, w samym rogu parkingu, koło wiaty z trzema rozwalonymi automatami do sprzedaży słodyczy i napojów. Toyota była wrakiem, bagażnik ktoś otworzył siłą, zapasowa opona sterczała oparta o tylny błotnik.

– Hej – szepnęła nagle Ellie, celując palcem w prawo.  
– Tam, w ubikacji. Popatrzcie!

Wysoki, szczupły mężczyzna z szopą siwych włosów wysunął się z bocznego wejścia, oznaczonego napisem: „Toaleta damska”, co w innych okolicznościach wydałoby się dziwne. Był dość stary – mniej więcej w wieku Jacka – przyodziany w brudne dżinsy i poplamioną oliwkowozieloną kurtkę. W dłoni ścisnął kij do baseballu. Facet wyglądał podejrzanie znajomo, jednak Alex nie skojarzyła go, dopóki nie wcisnął okularów na grzbiet nosa.

– Och, ja go znam – powiedziała, wychylając się do przodu, żeby lepiej widzieć. Opowiedziała Tomowi o szkolnym busie. – To jeden z nauczycieli. Jestem prawie pewna. – Zauważyła, że mężczyzna nieśmiało podnosi rękę. – Zatrzymamy się?

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Ellie:

– Oczywiście, że tak. Zostawili go. – A kiedy jej opiekunowie wymienili się spojrzeniami, dodała: – Musimy mu pomóc.

– Nie, nie musimy – odparł Tom. – Już o tym rozmawialiśmy, Ellie. Na pewno natkniemy się jeszcze na

wielu ludzi, którzy będą chcieli tego, co mamy. Nie możemy dzielić się ze wszystkimi.

– Proszę.

Tom wahał się przez sekundę, po czym wrzucił bieg na luz, zaciągnął ręczny hamulec i powiedział do małej:

– Zaczekasz tu. – A kiedy otworzyła usta, żeby się kłócić, dokończył: – Jedno słowo i odjeżdżam.

– Dobra – odburknęła, po czym przesadnie dramatycznym gestem przycisnęła dłoń do ust. – Ups.

Tom starał się zachować poważną minę, ale nie wytrzymał. Po chwili przeniósł spojrzenie na Alex, przeskakując wzrokiem do jej talii. Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi, sięgnęła po glocka i kciukiem pchnęła skrzydełko bezpiecznika.

Dopiero kiedy otworzyła drzwi, pochwyciła charakterystyczny trupi fetor. Włoski zjeżyły się jej na karku. Z paki ciężarówki dobiegło trwożne skomlenie.

– Tom, zaczekaj.

Tom z winchesterem w ręce był już prawie poza kabiną.

– Co?

– Mina coś zwęszyła. To ten... – Alex znów pociągnęła nosem, nie przejmując się, jak to musi wyglądać. W powietrzu zdecydowanie unosił się smród padliny; niezbyt silny, ale miała wrażenie, że dobiegający z małej odległości.

– Nie czujesz?

– Ale... ?

– Niech mnie diabli. – Męski głos. Odwróciła się i ujrzała nauczyciela. Biegł w ich stronę. Długie, siwe włosy rozwiewały się jak u starotestamentowego proroka. Na nosie niepewnie tkwiły okulary w drucianych oprawkach. Prawe szkło podjechało wyżej, co nadawało starszemu panu wygląd roztargnionego profesora. – Jezu, to... to dzieciaki. O Boże, nie wierzę. Kiedy usłyszałem samochód, myślałem, że mam halucynacje. – Wyciągnął brudną rękę. Kłykcie palców, spuchnięte i sękaty, były pocierane do krwi, czarne półksiężycy otaczały paznokcie. Na szyi miał smugi popiołu. Jak dla Alex, pachniał dymem, rozpaczą i czymś, czego nie potrafiła skojarzyć. To nie od niego bił smród padliny, a jednak czuła jego strach i jakby ostre szczypanie rozpuszczalnika.

Ten człowiek coś ukrywa. Słowa same wskoczyły jej do głowy. I bardzo się martwi.

Dlaczego tak pomyślała?

– Larry Mathis. – Spojrzenie mężczyzny podryfowało od winchestera do glocka, po czym znowu przemknęło po twarzach Toma i Alex. – Nie macie pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że was widzę. Sprawiliście sobie psa. Mądrze, naprawdę mądrze. Wiedziałem, że to niemożliwe, że nie każdy dzieciak, próbowałem wyjaśnić Marlene, ale ona...

– Hola, hola – przerwał mu Tom. – Wolniej. O czym pan opowiada? Każdy dzieciak? Mądrze jest mieć psa?

– Słuchaj, co mówię. – Larry zacisnął usta i zrogowaciałą dłonią potarł spękane wargi. – Przepraszam. To przez to, że jestem sam, chyba że akurat ktoś tędy

przechodzi. Nie widziałem żywego ducha już, Boże, pewnie już ze dwa tygodnie?

– Jak długo pan tu jest? – zapytał Tom.

– A który dziś?

– Dziesiąty listopada – odparła Alex.

– A atak był pierwszego października. Właśnie tak długo tu jestem. – Larry machnął kijem w stronę toalet i dopiero wtedy Alex zauważyła coś, co mogło być tylko wielką plamą zaschniętej krwi, która wsiąkła w drewno. – Mieszkam w damskiej toalecie. Czyściej niż w męskiej. Znalazłem też parę przyzwoitych namiotów i śpiworów. Chociaż jakieś ćwierć mili stąd jest budka dozorczy, więc teraz, kiedy się ochłodziło, myślałem, żeby się tam przenieść, ale... – Wzruszył ramionami. – Nie byłem w stanie podjąć decyzji.

Wybór między damską toaletą a namiotem nie wydał się Alex szczególnie konkurencyjny. Jednocześnie poczuła, że szczypiący odór się zaostrzył. Co to takiego? Mieszanina oleju do konserwacji broni i rozpuszczalnika, pomyślała.

Facet kłamie. Nie potrafiła uwolnić się od tego skojarzenia. Z bliżej nieznanego powodu kombinacja jego zapachów uruchamiała sygnały alarmowe. A może coś pomija. Ale co?

– Miał miejsce atak? – znowu przerwał mu Tom. – Wie pan na pewno? Jakiego rodzaju?

– Wiem na pewno tylko tyle, co widzę na własne oczy i co mi mówią inni ludzie, rozumiecie? Słyszałem o

impulsach elektromagnetycznych i domyślałam się, że na miasta zrzucono bomby atomowe, ale niektórzy twierdzą, że to tylko IEM, a potem elektrownie jądrowe i magazyny już same eksplodowały. Nie sądzę, żeby ktoś wiedział cokolwiek na sto procent, ale gwarantuję wam, że panuje straszliwy chaos. Nie ruszam się stąd, bo za bardzo się boję.

– To z czego pan żyje? – zapytała Alex.

– Z tego, co zwędze. Miałem trochę własnych zapasów i na początku były jeszcze automaty z tymi różnymi głupotkami. Szczęśliwie dotarłem tu, zanim starsi ludzie zaczęli wyłazić z lasu, bo nic by już dla mnie nie zostało. To znalazłem w budce. – Uniósł kij do baseballu. – A któryś z rangersów widocznie lubił łowić, bo trafiła mi się też wędka. Więc chodzę na ryby. Poza tym, hm, jak już mówiłem, jakieś dwie mile na zachód jest pole kempingowe. Byłem tam parę razy. Masa namiotów, śpiworów i zapasów, tylko wybierać, o ile nie przeszkadzają wam ciała, ale padlinożercy już się nimi w dużym stopniu zaopiekowali. Jakoś sobie radzę.

– Ciała? – powtórzył Tom.

– Tak. Sami zresztą wiecie. Większość wygląda na trzydziestkę, czterdziestkę albo ciut więcej. Niezbyt wiele tych zwłok, bo było już po sezonie, ale...

Alex przerwała mu:

– Nie mamy pojęcia, o czym pan mówi.

– Jezu. – Spojrzenie krótkowzrocznych oczu przeskakiwało od jednej twarzy do drugiej. – Dzieciaki,

wy naprawdę nie wiecie?

– Na litość boską, niech pan nam wreszcie wyjaśni – warknął chłopak.

Więc im wyjaśnił. Kiedy skończył, Alex miała wrażenie, jakby po przerwie wrócił jej oddech. Przez szum w uszach przedarły się słowa Toma:

– Niemożliwe. Wszyscy? Bez wyjątku?

– Cóż, zważywszy na was dwoje, widocznie są jakieś wyjątki. Synu, mówię tylko, co słyszałem. Pogłoski mogą być nieprawdziwe, ale wówczas tę samą nieprawdę powtarzałyby każdy, kto tędy przechodził. Nie więcej niż trzydzieści osób, więc potraktujcie te wieści z rezerwą. Ale na podstawie tego, co widziałem i słyszałem, ja w nie wierzę. Ci, którzy padli natychmiast, to w większości dorośli, od dwudziestu paru lat w górę. Swego rodzaju granica wydaje się przebiegać około wieku sześćdziesiąt-sześćdziesiąt pięć, ale mogę się założyć, że niektórzy naprawdę starzy ludzie też pomarli. Pomijając mnie samego, was i tę małą w ciężarówce, najmłodsza osoba, jaką tu dotąd spotkałem, to sześćdziesięciosześciolatka. Jej mąż był młodszy, miał pięćdziesiąt dziewięć. Przekreślił się w ciągu pierwszych paru minut. – Larry strzelił palcami. – Raz, dwa i po wszystkim.

– A ile pan ma lat? – zapytał Tom.

– Sześćdziesiąt dwa i serce, dzięki Bogu, wciąż tyka. – Mężczyzna przyjrzał się Tomowi. – Byłeś z kimś starszym, kiedy to się stało?

– Z dwoma facetami. Jeden skonał na miejscu. Miał pewnie ze czterdziestkę. Drugi właśnie skończył sześćdziesiąt pięć i po ataku nic mu nie było. Ale mój przyjaciel... – Głos mu się załamał.

– W twoim wieku?

– Parę lat starszy.

– Wystarczająco blisko. – Larry zmrużył oczy. – Zmienił się, prawda? Zaczął tracić poczucie rzeczywistości, wyglądał na zagubionego?

Tom niechętnie przytaknął.

– A potem... potem zwariował.

– Zaczął szaleć jak dziki – dokończył za niego Larry pozbawionym emocji tonem. – Coś ci powiem. Masz szczęście, że twój przyjaciel nie zmienił się w ciągu pierwszych paru minut, bo pewnie teraz byś tu nie stał. Z tego, co słyszałem od wszystkich osób, które tędy przechodziły, młodzi ludzie w twoim wieku i poniżej zmieniają się szybko.

– Ale właśnie o to chodzi. Ja się nie zmieniłem, z Alex też się nic nie stało, więc... – Tom przerwał. – Ludzie panikują. To tylko plotki.

– Nie, zaczekaj. Pan Mathis był z grupą nastolatków – powiedziała Alex, po czym zwróciła się do starszego mężczyzny: – Widziałam was w Quik-Marcie, tuż przed granicą Michigan.

– Tak, to byliśmy my – odparł. – Uczę... uczyłem biologii. Pojechaliśmy w ramach naszego jesienno-zimowego bloku ekologicznego: ja, moja córka,



ośmioro uczniów i troje dodatkowych opiekunów. – Wzrok Larry’ego gwałtownie uciekł w bok, żeby po chwili skupić się na jakimś miejscu pod nogami. – Marlene. Nauczycielka chemii. Mniej więcej w moim wieku. Przeżyła jako jedyna z nich.

– A co się stało z pozostałymi? – zapytał Tom.

Larry’emu stanęły łzy w oczach. Z trudem przełknął ślinę, aż podskoczyło mu jabłko Adama.

– Przecież ci powiedziałem. Wyglądasz na bystrego chłopaka. Myślisz, że czemu noszę ze sobą ten kij?

– Wszystkie dzieciaki się zmieniły – powiedziała Alex. Głos był piskliwy i napięty. Brzmiał tak nawet w jej własnych uszach.

– Tak. – Larry gwałtownie zamrugął. – To znaczy, nie wszyscy naraz.

– Naprawdę? – Alex i Tom wymienili spojrzenia, po czym dziewczyna zapytała: – A ilu później?

– Troje. Dwójka zmieniła się natychmiast, z pozostałymi zaczęło się może pół dnia później. Jedno dziecko nie miało żadnych oznak przez prawie dwie doby.

– Czy była jakaś prawidłowość? – nie ustępowała Alex. – Na przykład wiek albo... ?

– Nie. Ci pierwsi zabili Harriet... uczyła biologii dla zaawansowanych. Miała trochę ponad sześćdziesiątkę, jak mi się wydaje. Jej mąż, Frank, już wtedy nie żył.

– I co się potem stało? – zapytał Tom.

Larry wyglądał niemal gniewnie.

– A co sobie wyobrażasz? Wialiśmy jak diabli, ja,

Marlene i cała reszta. Zajęło nam ładnych parę dni, żeby wydostać się z tych lasów. Ci szaleńcy śledzili nas i dorwali jednego nastolatka, który nie zmienił się tego pierwszego wieczoru. To było straszne. Nie mogliśmy... nic się nie dało zrobić. – Larry’emu załamał się głos. – Moja córka, Deidre, jako jedyna z dzieciaków przetrwała, ale kiedy dotarliśmy wreszcie do busa, Marlene uciekła. Po prostu wgramoliła się do środka, zablokowała drzwi i gaz do dechy. – Pokręcił głową. – Ten bus był tak stary, że pewnie jeszcze sam jako uczeń nim podróżowałem. Tylko dlatego umiała go uruchomić. A zawsze mówiła, że cięcia budżetowe w naszym okręgu nie przyniosą nikomu niczego dobrego.

– Tak po prostu pana zostawiła?

– Nie chciała zabrać Dee, a ja nie chciałem jej zostawić. – Rozłożył ręce. – No i tyle. Oprócz was nie widziałem, żeby wędrowali tędy młodzi ludzie. Ale przecież jacyś musieli gdzieś zostać. Zbyt wiele było wariantów, kto się zmieniał i kiedy.

– Czy ktoś wie, dlaczego w ogóle do tego doszło? – zapytał Tom.

– Uczę biologii w szkole średniej, ale na sto procent nie wiem. Może to chemia mózgu albo coś z hormonami. – Spojrzenie Larry’ego znów ześlizgnęło się na bok, jednak Alex zdążyła pochwycić kolejną falę szczypiącej woni rozpuszczalnika.

I już wiedziała, co ten mężczyzna ukrywa.

– Larry, gdzie jest pana córka?

Przez chwilę myślała, że będzie próbował kłamać. Ale wyglądał na pokonanego.

– Tędy. – Skinął głową w kierunku toalet. – Chyba powinniście sprawdzić, czy wasza mała na pewno nie ruszy się z miejsca.

No cóż, pomyślała Alex, kiedy jej wzrok błąkał się po kabinie dla niepełnosprawnych, przynajmniej wiemy, kto gwizdnął tamte linki do wciągania flag na maszt.

Larry użył kabiny dla niepełnosprawnych z przyczyn zupełnie oczywistych. Była większa i wyposażona w poręcze, bardzo przydatne, żeby ograniczyć komuś ruchy. Dziewczynka spała albo – co bardziej prawdopodobne, sądząc po zaschniętej skorupie krwi na lewej części głowy – leżała nieprzytomna. Ręce miała związane za plecami, a w pasie pętlę ze sznura, którego końce zostały przywiązane do poręczy.

Teraz obrzydliwy, trupi fetor czuć było bardzo wyraźnie.

– To Deidre – powiedział Larry. Wargi mu drżały. Otarł je trzęsącą się ręką. – Ma dopiero trzynaście lat. Nie winię Marlene, naprawdę. Nie po tym wszystkim, co widzieliśmy. Ale nie mogłem zostawić Dee. Uderzyłem ją tylko ten jeden raz, kiedy mnie zaatakowała. To wystarczyło. Wiem, że nie potrafię... – Jego głos zabrzmiał mocniej. – Ta zmiana może nie być trwała.

Tom dotknął ramienia starszego pana.

– Jak długo ona jest w takim stanie?

– Od kiedy nad sobą nie panuje? To tylko ostatnie cztery, pięć dni, ale mam wrażenie, że zmiany trwają od jakichś dwóch, trzech tygodni. Zaczęła się skarżyć na złe samopoczucie. Straciła apetyt, miała huśtawkę nastrojów, a potem... hm, ona jest pod pewnymi względami trochę opóźniona. Myślałem, że to dlatego.

Tom miał kompletnie zdezorientowaną minę, ale Alex zrozumiała. Trochę opóźniona. Oczywiście dziewczyny odnalazły na ścianie zdewastowany automat z podpaskami. Spod otwartej pokrywy widać było stertę małych, szarych tekturowych pudełeczek. Larry musiał się tu włamać.

– Dostała okresu?

– Pierwszy raz. Po trzech dniach poczuła się gorzej. To było może tydzień temu. – Łzy powoli ściekały mu strumyczkami po obu stronach nosa. – Teraz jest z dnia na dzień coraz słabsza. Pije, ale jakiegokolwiek jedzenie wkładam jej do ust, wypluwa. Ostatnio, kiedy się zbliżam, próbuje mnie ugryźć... – Otarł łzy wierzchem dłoni. – Łamie mi serce, rozumiecie? Pod pewnymi względami nadal jest typową nastolatką. Nadal ożywia się akurat wtedy, gdy jestem gotów iść spać. Może czuwać całą noc i zdrzemnąć się na parę godzin dopiero po wschodzie słońca.

Zmiany hormonalne. Okres dojrzewania? Alex wpatrywała się z góry w nieprzytomną dziewczynkę. Jej miesiączki ostatecznie zatrzymały się ponad rok temu. Efekt uboczny wielu serii chemioterapii albo samego

potwora – Barrett nie potrafił powiedzieć.

Ale jak wytłumaczyć sprawę Toma? Dawno był po okresie dojrzewania. I w ogóle co się działo z chłopcami? Obie płcie różnią się na tyle, że hormony nie mogły być jedyną przyczyną. A jeśli tak?

– Przykro mi – odezwał się Tom – nie możemy jej zabrać. – Nie był okrutny, tylko rzeczowy. – Nawet jeśli istnieje ewentualność, że to się cofnie, nie mamy żadnej pewności.

– Wiem. Nie zamierzałem o to prosić. Ktokolwiek się tu zjawi, wystarczy, że raz spojrzy i... – Larry machnął dłonią w powietrzu – *adiós, muchachos*.

– Pan mógłby z nami pojechać – powiedziała Alex.

– Nie zostawię mojej córki. Najgorsze w tym wszystkim, że gdybym ją wypuścił, może by nie umarła, ale to oznacza, że próbowałyby dopaść... – Z trudem przełknął ślinę. – Na to też nie mogę pozwolić.

– Larry, czego pan od nas chce? – zapytał Tom.

– Nie potrafię... – Larry wziął nieznacznym zamach kijem do baseballu. – Nie potrafię tego zrobić. A wy macie broń. Nie proszę o to ciebie, rozumiesz, ale potrzebne mi dwa.

– Dwa co? – zdziwiła się Alex.

– Larry – powiedział Tom – nie musi pan. Ja mógłbym...

– Dwa co? – powtórzyła i wtedy do niej dotarło. – Nie, Tom, nie możesz mu dać...

– Nie. – Starszy pan położył dłoń na ramieniu Toma i

lekko uściskał. – Wydajesz się wspaniałym chłopakiem i doceniam twoją propozycję, naprawdę. Ale są rzeczy, na które jednak jesteś zbyt młody. To moja córka. Jeśli ktoś ma to zrobić, powinienem to być ja. – Po krótkim milczeniu dodał: – Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym błagał.

Tom jeszcze przez chwilę wpatrywał się w twarz Larry’ego, potem sięgnął po SIG-a i wydobył go z kabury.

– Tom – jęknęła Alex.

Nie odpowiedział. Zamiast tego szybko wyciągnął magazynek, opróżnił ze wszystkich pocisków oprócz jednego i z powrotem włożył do pistoletu.

– Co ty robisz?

Sprawdził bezpiecznik, po czym podał broń rękojęścią do przodu.

– Ostrożnie. W komorze już jeden jest.

– Dziękuję. – Larry zacisnął palce na kolbie. – Teraz ja biorę za niego odpowiedzialność.

Tom nie puścił broni.

– Nie musi pan tego robić. Ten jeden całkiem wystarczy.

– Ale ja bym zawsze pamiętał. Żaden rodzic nie powinien żyć z takim wspomnieniem. – Zdobył się na słaby, smutny uśmiech. – Jeszcze tylko rada. Wy dwoje i mała dziewczynka. Traficie tam na mnóstwo gniewu i strachu. Ludzie będą do was strzelać albo uznają, że jesteście na wagę złota.

– Co pan ma na myśli?

– To, że jesteście zagrożonym gatunkiem. Nie wiem, jak jest gdzie indziej, ale kiedy żeśmy wyruszali, mieliśmy w naszej grupie ośmioro dzieciaków. I żadne nie przetrwało. Więc bądźcie bardzo ostrożni. – Larry znów poklepał Toma po ramieniu. – A teraz już idźcie. Poczekam, aż odjedziecie.

– Strasznie długo was nie było – powiedziała Ellie, kiedy wgramolili się do ciężarówki. – On z nami nie jedzie?

– Nie, skarbie. – Tom uruchomił rozrusznik. Silnik zakaszłał i zawył. – Zdecydował, że zostaje.

– Dlaczego? – Jej wzrok spoczął na pasie Toma i mała podejrzliwie zmrużyła oczy. – Gdzie twój pistolet?

– Lepiej już jedźmy – wtrąciła się Alex.

Ellie przeniosła spojrzenie z Toma na nią, potem znowu na Toma i Alex ujrzała moment, kiedy żarówka zgasła. Zdezorientowaną minę zastąpił wyraz zawodu. Dolna warga zaczęła drżeć.

– Mój tatuś nigdy by tego nie zrobił.

Alex położyła dziewczynce dłoń na ramieniu.

– Ellie, to niesprawiedliwe.

Mała strząsnęła jej rękę.

– Nie broń go tylko dlatego, że jest twoim chłopakiem.

Alex spurpurowiała.

– Wcale nie...

– Powinieneś innym pomagać – wrzasnęła Ellie do Toma. – Powinieneś ich ratować. Taką masz pracę.

– Właśnie mu pomogłem, Ellie – odparł Tom z wysiłkiem. – To nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Wszystko się zmieniło. I nic już nie będzie proste.

– Nieprawda. Dobrzy ludzie nie pomagają komuś umrzeć. Mój tatuś nigdy by...

Chłopak stracił cierpliwość.

– Nie jestem twoim ojcem, w porządku? Twój tata nie żyje, a ja staram się najlepiej, jak mogę. Bardzo mi przykro, jeśli to dla ciebie nie dość dobre, ale daj mi wreszcie święty spokój! Nie prosiłem się o to wszystko, nie prosiłem o ciebie... – Zacisnął usta, jednak szkoda już się stała.

Zastygła buzia Ellie przypominała polerowany marmur.

– Rozumiem. – Dziewczynka nie rozplakała się ani nie podniosła głosu. Jej słowa cięły powietrze precyzyjnie jak brzytwą. – Świetnie.

Twarz Toma była szara.

– Skarbie, bardzo prze...

– Nie nazywaj mnie tak – powiedziała Ellie swoim nowym, beznamiętnym tonem. – Nigdy więcej nie mów do mnie „skarbie”. Tylko tatuś tak do mnie mówił, a jak powiedziałeś, ty nie jesteś moim tatą.

Alex niemal bała się odetchnąć. Patrzyła, jak mała odwraca się i wlepia wzrok przed siebie.

Tom bez słowa wrzucił pierwszy bieg i ruszyli.

Na skutek ostrzeżenia Larry’ego postanowili trzymać się mało uczęszczanych tras. Oznaczało to, że nie mogli



jechać bardzo szybko. Boczne szosy nie były w najlepszym stanie, a poza tym wykazywały tendencję do ostrych zakrętów, więc nie zdołali dotrzeć zbyt daleko. Jedyne co dobre, że jeszcze nie spadł śnieg. Alex prowadziła, podczas gdy Tom na siedzeniu pasażera dosłownie nie wypuszczał strzelby z ręki, [[ang.] *ride shotgun* - gra słów oznaczająca nie spuszczenie kogoś z czegoś z oka, ale też jazdę na siedzeniu pasażera obok kierowcy; *shotgun* - strzelba (przyp. tłum.)] gotów rozprawić się z każdym, kto wyskoczy na nich z lasu, żeby ukraść ciężarówkę albo ich zabić – albo jedno i drugie. Ale nikt się nie pojawiał. Nie widzieli też odmóżdżonych dzieciaków. Po swojej stronie Alex zostawiła szparę w oknie – dla świeżego powietrza, jak twierdziła – jednak nie czuła żadnych alarmujących zapachów. Minęli kilka skrzynek pocztowych przy wylotach wąskich gruntowych dróg. Prawdopodobnie w głębi znajdowały się jakieś zabudowania, ale z szosy żadnych nie zauważyli.

Wreszcie dotarli do samotnej farmy. Dom był ciemny i wyglądał na kompletnie opuszczony. W powietrzu krążyły duże, czarne ptaki. Ten obraz wywołał w piersiach Alex nieprzyjemne trzepotanie. Nozdrza wypełnił jej smród rozkładu. Jednak tym razem był to autentyczny rozkład. Na błotnistym, zamkniętym wybiegu leżały bryły rozmięklej wełny – owce, które zdechły z głodu. Kiedy przejeżdżali koło ogrodzonej łąki, warkot ciężarówki wystraszył kruki. Wzbiły się w górę wirującą

chmarą, ale po chwili znów zasiadły do uczyty na krowich trupach, w większości tak wzdętych, że wyglądały jak bliskie pęknięcia balony. Sępy kłóciły się o padlinę, a Alex dostrzegła, jak dwa lśniące szare lisy zabawiają się kłębem jelit w przeciąganie liny. Jedyнным gospodarskim zwierzęciem, nadal żywym, był wynędzniały, stary koń pociągowy spokojnie przeżuwiający jakąś kępkę chwastów. Na ich widok łeb zwierzęcia podniósł się czujnie.

– Zatrzymaj się. – Wyskoczywszy z samochodu, Tom otworzył bramę w płocie i z powrotem wspiął się do kabiny. – To w razie gdyby zabrakło mu trawy. Teraz da sobie radę.

– Czemu go po prostu nie zastrzeżyłeś? – mruknęła Ellie, ale jej nie odpowiedział.

Nim zapadła noc, zdołali przejechać prawie dziewięćdziesiąt mil, z czego ostatnich dwadzieścia krętym, ziemnym traktem, nie szerszym niż ciężarówka. Rangerska mapa okazała się bezużyteczna. Cienki, czerwony zygzak oznaczający drogę pożarową zmienił się w kreseczki, uprzejmą topograficzną informację o powierzchni nieutwardzonej. Jeśliby wierzyć wysokim źdźbłom suchej trawy, sterczącym jak oklapłe irokezy na środku drogi – a faktycznie polnej ścieżki – niczyja noga nie powstała tu od lat. Ciężarówka podskakiwała i trzęsła się wśród zgrzytu wysłużonych resorów. Jej prędkość spadała do trzydziestu mil na godzinę, potem do dwudziestu, potem do dziesięciu, aż wreszcie noc

przesiąkła w gęste chmury, zabarwiając je atramentową czernią.

– Musimy się zatrzymać – powiedziała Alex. – Nawet z przednimi światłami nie damy rady.

– Wiem. Może tam. – Tom machnął ręką w prawo. – Wygląda jak kawałek starego ogrodzenia.

W przyćmionym świetle reflektorów Alex dostrzegła wyszczerbiony słupek, krzywy jak wieża w Pizie. Dalej teren był płaski, otwarty i zarośnięty – pewnie jakieś dawno zaniedbane pastwisko. Zahamowała, ustawiła dźwignię zmiany biegów na luz i zgasła silnik.

– Myślę, że to przenosi powiedzenie zejść z utartego szlaku na całkiem nowy poziom.

– Tak. – Tom zamaszystym ruchem pchnął drzwi po swojej stronie. – Chodźcie, rozbijemy namiot. Ellie, trzeba wypuścić Minę.

Ellie się nie odezwała. Kiedy jednak Alex wyślizgnęła się z samochodu, pomknęła za nią jak strzała, zaczekała, aż Tom opuści tylną klapę, i wdrapała się na platformę.

– Uważaj pod nogi. – Tom wyciągnął latarkę. – Tu mogło być ogrodzenie z kolczastego drutu.

– Z tobą nie rozmawiam – odparła Ellie, grzebiąc w swoim plecaczku Hello Kitty. – I mam własną latarkę.

– Najlepiej zostawmy ją w spokoju. – Alex obserwowała podskakujący promień światła. Pies to zniknął, to pojawiał się w jego zasięgu, węsząc nosem przy ziemi.

– Tak. – Tom podparł się pod boki i nie odrywał oczu

od małej, która brnęła przez łąkę. – Naprawdę schrzaniłem sprawę.

– Hej, zawsze powtarzasz, żebym trochę wyluzowała. A co z tobą? To po prostu dzieciak. Chodź, rozbijemy obóz, rozpalimy ognisko. Jak coś zjemy, wszystkim zrobi się lepiej.

Kiedy montowali namiot, dodała:

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać i że tam nie bardzo ci pomogłam, ale teraz myślę, że wobec Larryego postąpiłeś, jak należy.

Tom wbijał kolejny kołek, więc nie widziała jego twarzy.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Czy nigdy... znaczy, tam, w Afganistanie, nigdy... ?

– Nie zabiłem kogoś, bo mnie o to prosił? Taka eutanazja? – Teraz podniósł głowę. – Nie. Wiem, że zabrzmiałoby głupio, ale czym innym jest zabić wroga, a czym innym tak po prostu kogoś zamordować. Był taki facet w moim oddziale, nazywał się Crowe. Strasznie go poszarpało. Pocisk EFP – z rdzeniem formowanym przez wybuch – rozsadził mu humvee [*Humvee [High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle*- wielozadaniowy pojazd kołowy o wysokiej mobilności] - samochód terenowy armii amerykańskiej (przyp. dum.)] i hełm. Wyrwał większą część twarzy i połowę czaszki. Ale go nie zabił. Kiedy do niego dotarłem, Crowe był przytomny. Więc trzymałem go za rękę, no wiesz, mówiłem, żeby wytrzymał, że jeszcze chwilę, a on spojrzał prosto na mnie tym

jedynym okiem, które mu zostało, i powiedział bardzo wyraźnie: Zabij mnie. Doskonale go słyszałem, ale udałem, że nie, więc powiedział to jeszcze raz, a potem powtarzał, dopóki nie zemdlał. Jeden z jego kumpli poszedł się z nim potem zobaczyć, a Crowe mówi mu: „Powiedz temu skurwysynowi Edenowi, że spieprzył sprawę”.

– Przeżył?

– O tak. Nie słyszałaś? Wojna to wspaniałe szkolenie dla chirurgów mózgu. Plusem jest, że żyjesz. Minusem, że nie zechcesz spędzać wiele czasu przed lustrem. Zakładając, że w ogóle nie jesteś warzywem. Jak sądzisz, dlaczego on chciał, żebym go zabił?

– Ale żyje. I może już tak nie myśli.

– Alex, facet był w naszym wieku. – Tom zadał kołkowi ostatni, brutalny cios. – Jeśli Larry miał rację, zgaduj do trzech razy, co się z Crowe’em teraz dzieje.

Ellie nie chciała jeść i unikała ich obojga. Kiedy Tom próbował ją zagadywać, uparcie wpatrywała się w ziemię i przytulała Minę, dopóki nie zrezygnował. Niedługo potem zabrała psa i dała nura do namiotu. Przez następną godzinę pozostała dwójka ślęczała nad atlasem samochodowym, który kiedyś znaleźli w strażnicy.

– Może powinniśmy zawrócić? – powiedziała Alex.

– Bardzo bym nie chciał. To tylko strata paliwa i czasu. Popatrz, według mapy ta ścieżka już się wyrównuje, a wiemy, że to tereny uprawne, prawda?

Więc powinniśmy trafić na kolejne domy, co oznacza, że drogi też muszą się poprawić. Jeśli pojedziemy tędy, w końcu dotrzemy do drogi pożarowej, a ta poprowadzi nas na północny zachód, w pobliże Orenu.

– Spore miasto.

– Tak i mnóstwo ludzi.

– Jak daleko?

– Czterdzieści, pięćdziesiąt mil, plus minus.

– Co jeszcze mamy do wyboru?

– Skierować się na południowy zachód, a potem na skrót na zachód. Tu jest stara kopalnia i jakieś trzydzieści mil na północ od niej dość małe miasteczko. Prawdę mówiąc, wygląda raczej na osadę. – Zmrużył oczy, żeby przeczytać nazwę. – Rule.[ Nazwa miasteczka oznacza: regułę, zasadę, normę, co nie jest bez znaczenia dla dalszej części powieści (przyp. tłum.).]

– To chyba lepsze. W każdym razie mniejszy tłok.

– Może. Szkoda, że nie zatrzymaliśmy się na tamtej farmie. Mogli mieć furgonetkę albo inny samochód i trochę paliwa. – Pokręcił głową, z ust unosiła mu się para.  
– Rany, nie myślę logicznie.

– Radzisz sobie o wiele lepiej niż ja. Nie umiałabym zastrzelić kogoś, kogo znam, a ciebie przecież Jim obchodził.

– Nie. – Wpatrując się w ogień, Tom westchnął i zwiesił ręce między kolanami. – To znaczy, tak, obchodził, ale to nie takie proste. Pamiętasz, mówiłem ci, że go tropiłem? Cóż, znalazłem go przedtem dwukrotnie.

Mogłem go zabić i pewnie powinienem był to zrobić. Ale nie zrobiłem. Zupełnie jak z Crowe'em. Wszystko od początku. Przypominałem Larry'ego. Ciągle myślałem, że może się mylę, może Jim się z tego otrząśnie i będzie znowu sobą. Po prostu nie potrafiłem się na to zdecydować. A potem o mało nie było za późno. Gdyby Ellie nie krzyknęła...

– Ale krzyknęła, a ty nas uratowałeś.

Ich spojrzenia połączyły się. Tom wyciągnął dłoń i ujął jej twarz.

– Może uratowaliśmy się nawzajem – powiedział.

Alex objęła wartość.

– Idź już. Zawołam cię koło pierwszej, obiecuję.

– Uhm. – Tom zerknął w stronę namiotu, w którym godzinę czy dwie wcześniej zniknęła Ellie. – Chyba wolałbym nie ryzykować, że ją obudzę. Rozstawię przy ciężarówce mały namiocik i tam się prześpię.

Nadeszła północ. Nie było widać gwiazd ani księżyca, co Alex przyjęła z wdzięcznością. Dorzuciwszy do ognia, dumiała sennie, ile czasu minie, zanim księżyc powróci do poprzedniego stanu. Lata? Ziewnęła. Ciepło płomieni ogrzewało jej twarz i ręce. Plecy marzły, ale ziąb pomagał zachowywać czujność.

Rozmyślała również o Tomie. Nie wiedziała, co się dzieje ani co to wszystko znaczy. Całe jej ciało tętniło, złąknione jego dotyku. Tu nie chodziło o pożądanie. Pragnęła, żeby był blisko i żeby ją trzymał.

Nigdy nie miała chłopaka, nigdy się nie całowała. Kiedyś podobał się jej jeden przystojniak, marzycielski drugoklasista z długimi rzęsami, o imieniu Shane. Należeli do tej samej paczki, wymieniali nieśmiałe spojrzenia, ale jakoś nie zaczęli się umawiać. Potem umarli rodzice i zrobiło się tak, jakby była radioaktywna. Przyjaciele nie mieli pewności, czy może się dobrze bawić, więc na wszelki wypadek się odsunęli. A potem przeprowadziła się do cici, zmieniła szkołę, została nową, która doszła w połowie drogi. Aż wreszcie postawiono jej diagnozę i świat Alex ewoluował w niekończącą się serię terapii, szpitali, lekarzy.

Zerknęła na mały namiocik. Czy Tom myślał o niej przed snem? Właściwie, znając Toma, mogła przypuszczać, że w ogóle nie zasnął. A co by się stało, gdyby wślizgnęła się do niego?

A jeśli nic?

Boże, świetnie potrafiła to sobie wyobrazić: chłopak próbuje osłodzić jej zawód, tłumaczy, że przeżywają silny stres, więc lepiej w taki sposób nie rozpoczynać związku...

Odpuść sobie, zdecydowała. Już nie chciała wiedzieć.

Rękawice Myszki Miki na zegarku Ellie wskazały pierwszą. Alex uznała, że pozwoli Tomowi pospać jeszcze godzinkę – która zmieniła się w dwie, niepostrzeżenie obsunęła w trzy, a potem...

Kuksaniec w plecy.

– Alex?



– Co? – Z trudem się ocknęła, zeszywniała i kompletnie przemarznięta. Gmerając przy mossbergu i jednocześnie próbując się odwrócić, o mało nie zleciała ze swego siedziska.

– Hej, to tylko ja – powiedziała Ellie. U jej boku Mina szczyrzyła zęby w psim uśmiechu i młóciła ogonem lodowate powietrze. Noc zbliżała się ku końcowi. Świt majaczył na horyzoncie spłowiałą grafitową smugą. Pierwszy śnieg oprószył ziemię jak miazga sól.

– Ellie – fuknęła z ulgą. Jej oddech zamienił się w obłok pary. – Nigdy tak nie rób.

– Przepraszam, ale nie chciałaś się obudzić. – Ellie wskazała palcem. – Zgasło. Rozpaliłabym, tylko bałam się, że cię poparzę.

– Aha. – Dopiero teraz dostrzegła, że dziewczynka trzyma w objęciach naręczce drewna. Zerknęła na zegarek: siódma. NamIOCik koło ciężarówKI nadal był szczelnie zamknięty: jak na Toma, niezwykle. – Musiałam być strasznie zmęczona.

– Mogę już zacząć i...

– Pewnie. – Przykucnęła koło ogniska, kiedy Elhe zsunęła swój ładunek na oszronioną trawę. Mina podeszła do Alex, żeby się przytulić, i zaskomliła, kiedy dziewczynka poczochnęła jej uszy. – Pomóc ci?

– Nie, dam radę – odparła Ellie. Pracowała w milczeniu, odgarniając zimny popiół, a potem układając podpałkę w stos.

Alex obserwowała, jak dzieciak dotyka zapalkę

połamanych kawałków drewna i czegoś, co wyglądało na trojęść.

– Gdzie znalazłaś ten mechaty?

– Tam, pod lasem – odparła Ellie, nie podnosząc oczu. Dmuchała lekko, równomiernie, aż wreszcie rozjarzył się malutki, pomarańczowy kwiatusek, a po chwili drewno zajęło się z trzaskiem. Ellie ostrożnie podsyciała płomień cienkimi gałązkami. – Nie poszłam sama. Zabrałam ze sobą Minę. I gwizdek.

– Nie krytykuję cię. Świetnie się spisałaś.

– Hm. – Nie odrywając wzroku od ognia, Ellie zagryzła dolną wargę. – Przepraszam za wczoraj. Nie powinnam była wrzeszczeć.

Kucyki małej były przekrzywione, włosy wysuwały się z nich niesfornymi grajcarkami. Wyciągnąwszy rękę, Alex zatknęła zbłąkany jasny lok za lewe ucho dziewczynki.

– Zdenerwowałaś się na Toma. Ja też.

Ellie rzuciła jej szybkie, ukradkowe spojrzenie.

– Też?

– Tak. Uważałam, że źle zrobił.

– A teraz?

– Teraz go rozumiem. Myślę, że Tom stara się najlepiej, jak potrafi. Wszyscy się staramy.

– Nie chcę, żeby mnie znienawidził. – Oczy Ellie napełniły się łzami. – Nie chcę, żeby coś się wam stało.

Alex pragnęła obiecać, że nic złego się nie przydarzy. Zamiast tego otworzyła ramiona.

– Chodź do mnie.

Z rysami skurczonymi od szlochu Ellie wsunęła się w objęcia i przywarła buzią do jej szyi. Alex mocno przytuliła małą. Mina, skomląc, odsunęła się w płasach, jednak chwilę później wróciła na swoje miejsce u boku dziewczyny. Po kilku sekundach Alex poczuła, że Ellie odpręża się, jej mięśnie miękną, a zapach staje się pełniejszy: gałka muszkatołowa i ciepła wanilia. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał, tylko pies westchnął i wsadził nos we włosy swojej panienki.

Zza pomarańczowej róży ognia Alex dostrzegła, jak namiocik koło ciężarówki zadygotał. Potem rozległ się płynny świst rozsuwanego zamka. Uchyliło się jedno skrzydło i Tom przecisnął się na zewnątrz. Gęste włosy miał zmierzwione, a twarz jeszcze poodgniataną od snu.

– Alex, dlaczego... – Na ich widok przystanął niepewnie.

Ellie bez słowa puściła Alex i ruszyła pędem. Chłopak uklęknął, żeby ją złapać, kiedy rzuciła mu się w ramiona.

– Przepraszam. – Głos małej stłumiła jego koszula. – Proszę, nie nienawidź mnie.

– Nie mógłbym cię nienawidzić, skarbie – odparł Tom. Obejmował Ellie, ale nie spuszczał oczu z Alex. – Tak mi przykro. Naprawdę postaram się nigdy więcej cię nie zranić.

– Ja też. – Ocierając ręką łzy, Ellie posłała mu niepewny uśmiech. – Rozpaliłam ognisko.

– Sama?

– Całkiem sama. – Czując nagły ucisk w gardle, Alex przełknęła ślinę. – Może byś się ogarnął, a ja zacznę robić śniadanie.

– Mogę wziąć Minę na spacer? – zapytała Ellie. Kiedy Tom się wahał, dodała: – Będę uważać. Wczoraj z nią poszłam i nic się nie stało. A rano i tak musiałam przynieść coś na podpałkę.

– Oczywiście. – Ujął ją pod brodę. – Ale nie odchodź za daleko, dobra?

– Dobra. – Ellie błyskawicznie się przysunęła i zaskoczyła Toma szybkim, mocnym całusem w policzek. – Mina, idziemy! – zawołała, oddalając się w podskokach.

Pies zrobił trzy kroki, przystanął i merdając ogonem, obejrzał się na Alex.

– Na mnie nie patrz – odpowiedziała mu. – Muszę robić śniadanie.

– Mina! – Ellie stała w gąszczu zbrązowiałych traw, tak wysokich, że sięgały dziewczynce do pasa. Płatki śniegu wirowały wokół niej jak miękka, lekka zasłona. – Chodź!

– No idź, piesku. – Alex poczuła się zaintrygowana, kiedy pies spojrział na nią z – wyrzutem, zanim oddalił się wielkimi susami. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Toma, który właśnie stanął obok niej. – To dziwne. Mam na myśli Minę.

– Pewnie jest głodna – odparł roztargnionym tonem i dalej wpatrywał się w dwie sylwetki, częściowo przesłonięte śnieżnym woalem.

– Jej naprawdę na tobie zależy.

– A mnie zależy na was obu. – Nadal patrzył w ślad za Ellie, chociaż teraz nie było już widać nic oprócz śniegu.

– Powiedziałem szczerze: nigdy jej nie skrzywdzę. Ani ciebie. Wolałbym... – Pokręcił głową.

– Hej. – Tuż obok widziała zaczerwienione policzki Toma, czuła ciepły, upajający zapach. Żałowała, że nie może tak jak Ellie po prostu przytulić się bez zbędnych pytań. – Ja też.

Spojrzał na nią z góry. Delikatne, idealne płatki śniegu wczepiały się jej we włosy.

– Mówisz serio?

Stali tak blisko siebie, że dostrzegła uderzenia pulsu na jego szyi.

– Tak – odpowiedziała. – Mówię serio.

– Więc musisz mi coś obiecać.

Słyszała szalone, mocne dudnienie własnego serca.

– Co?

– Obiecuj – poprosił Tom – że jeśli się zmienię, zabijesz mnie.

## 32

Co? – Gapiła się na niego z otwartymi ustami. – Zwariowałeś? Nie zamierzam niczego takiego obiecywać!

– Alex, musisz. – Oczy mu błyszczały. – To nie zabawa. Nie wiemy, co się jeszcze zdarzy. Gdybym się

zmienił, mógłbym skrzywdzić ciebie albo Ellie, mógłbym nie być w stanie się powstrzymać. Więc nie wolno ci się wahać. Jeśli zacznę się zmieniać, musisz to zrobić.

– Dlaczego w ogóle o tym gadamy? – Potknęła się, cofając o pół kroku. – Nie zamierzam ciągnąć tej rozmowy.

Dłoń Toma błyskawicznie pochwyciła ją za ramię.

– Ucieczka w niczym nie pomoże. Musimy ustalić wszystko teraz, dopóki jeszcze możemy.

– Tom, minęły już całe tygodnie.

– Co wcale nie oznacza, że jesteśmy bezpieczni.

Wiedziała, że miał rację.

– Ale dlaczego zakładasz, że akurat ty? To może być każde z nas. Ja albo Ellie.

Pokręcił głową.

– Nie, Ellie nie. Myślę, że jest za młoda. Sama mówiłaś: córka Larry’ego dostała okresu. Jej hormony...

– Wiem, co mówiłam. – Wyrwała rękę z jego uścisku.  
– Ale nie może chodzić tylko o hormony. Dziewczeta i chłopcy różnią się pod tym względem. A poza tym jest jeszcze sprawa Jima. Zmienił się, ale dopiero po paru dniach. Tymczasem dzieciaki, które widziałyśmy z Ellie, zachowywały się tak już po sześciu czy siedmiu godzinach. Pamiętasz, Larry powiedział, że niektórzy uczniowie zmienili się od razu. Więc to musi być znacznie bardziej skomplikowane niż hormony albo wiek. – Widząc wyraz jego twarzy, dodała jeszcze: – Tom, a gdybym to ja się zmieniła, zastrzeliłbyś mnie? Nie mając

pewności, czy ta zmiana jest trwała?

W jego oczach mignął błysk niezdecydowania i natychmiast znikł, ale od skóry biła ostra, szczypiąca woń, ta sama, którą z początku wydzielał Larry – przemieszane zapachy rozpuszczalnika i oleju do czyszczenia broni. Tom się wyprostował.

– Tak, zastrzeliłbym. Nie twierdzę, że byłoby mi łatwo, ale...

Nawet bez zdradzieckiego zapachu Alex wiedziała.

– Kłamca. Twój przyjaciel błagał cię, a ty nie umiałeś tego zrobić. Wiem, że jesteś żołnierzem, Tom, ale nie mordercą. Ja też nie.

– Zabiłem Jima.

– To co innego.

– Nieprawda. Wszystko sprowadzało się do decyzji, kto ma umrzeć. – Jego ton był surowy, niemal groźny. – Nigdy mi nie mów, że nie potrafię zrobić tego, co musi zostać zrobione.

– Nic takiego nie powiedziałam – odparła już z mniejszym ferworem. – Ale czy sam nie mówiłeś, że to było przeznaczenie? Że nie zgodziłeś się poddać?

– Wcale się nie poddaję. Staram się tylko myśleć z wyprzedzeniem. Posłuchaj, gdybyś ty się zmieniła – gdyby było choć najmniejsze ryzyko, że skrzywdzisz mnie albo Ellie – wołałabyś, żebym w ogóle nie zareagował? Po prostu... niech się dzieje?

– Nie. – Cała wola walki wyciekła z niej, ramiona opadły. – Nie chcę nikogo skrzywdzić. – A już

szczególnie ciebie.

– Cóż, ja też. Więc przyrzeknijmy sobie nawzajem. – Zbliżył się i sięgnąwszy po jej rękę, utulił je w dłoniach. – Proszę cię, Alex, muszę mieć pewność, że zrobisz cokolwiek będzie trzeba, żeby ochronić siebie i Ellie.

Chciała mu obiecać, naprawdę. Ale powstrzymała ją coś, co powiedział poprzedniego wieczoru: „Może uratowaliśmy się nawzajem”. Dlaczego Tom potrzebował ratunku? Przed czym? Przed kim? Pomyślała o tych wszystkich niekończących się nocach, kiedy on – taki odważny i teraz gotów poświęcić własne życie – nie mógł zasnąć. A jednak ostatniej nocy już mógł i całą ją przespał. Co uległo zmianie?

„Może uratowaliśmy się nawzajem”.

O to chodziło? Przed czym ona mogła go uratować? Przed powrotem na wojnę? Może. Przyszła mu do głowy Kanada, chociaż wiedział, jak daleko jest do granicy. O to chodziło? A może przyjechał tu w poszukiwaniu jakiegoś znaku? Swojego przeznaczenia?

Czyżby uratowała go przed sobą samym?

– Tom, dlaczego tu przyjechałeś? Nie mieszkasz w tych okolicach, to nie twoje miejsce. Powiedziałeś, że ocaliłeś mnie i Ellie, że znalazłeś się tam, gdzie akurat byłeś najbardziej potrzebny, bo tak chciało przeznaczenie. Szukałeś swego przeznaczenia? Czy czegoś innego? – Sięgnęła do jego twarzy. Palce miała lodowate, ale skóra chłopaka była gorąca. – Tom... przyjechałeś tu, żeby umrzeć?



To były pytania, które mogła zadać samej sobie. Zapach zmienił się, po chwili usłyszała gwałtowny wdech, wyczuła wstrząs – i już wiedziała, że jej słowa trafiły do celu. Twarz Toma skrzywiła się pod wpływem jakichś silnych emocji. A potem chłopak przycisnął dłoń Alex do swego policzka.

– Posłuchaj – odezwał się ochryple – nawet nie masz pojęcia, co ja... co ja zro...

Przenikliwy pisk, ostry i czysty, przeszył powietrze. Alex wydała stłumiony okrzyk, oddech uwiązał jej w gardle. Znała ten dźwięk. To gwizdek, który ofiarowała Ellie: „Wystarczy, że w niego dmuchniesz, a usłyszą cię w sąsiednim stanie”.

– Tom – wyszeptała ponagłajaco. – Ellie...

– Wiem. – Chłopak już pędził do swego namiotu i po chwili wypadł na zewnątrz z winchesterem.

Znowu rozległ się gwizdek. Jego głos był tak mocny i wyraźny jak snop jasnego światła w zaciemnionym pokoju. Teraz Alex usłyszała szczekanie – słabe, ale niewątpliwe. Tom rzucił się biegiem przez zachwaszczoną łąkę.

– Szybko!

Z mossbergiem uniesionym wyżej głowy przedzierała się przez wybujale chaszczce, usiłując nadążyć za Tomem. Był wyższy i miał dłuższe nogi, więc zdystansowałby ją nawet na równym gruncie. Bieg po asfalcie czy bitej drodze to zupełnie co innego niż brodzenie w wysokiej trawie. Buty ciążyły Alex i niezdarnie wzięły w

chwastach, które zdawały się wyciągać długie, żylaste palce, żeby ją pętać, szarpać za kostki. Daleko przed nią, pod lasem, chłopak zatrzymał się i obejrzał.

– Leć! – Pomachała mu, znowu słysząc Minę. – Zaraz cię dogonię!

Kiwnął głową, odwrócił się i zniknął między drzewami. Chwilę później dobrnęła do skraju łąki, jednak Toma nie było już nigdzie widać. Granica między łąką a lasem pojawiła się raptownie. Trawa od razu ustąpiła miejsca gąszczowi zarośli, które obrzeżały linię drzew, a dalej miękkiemu dywanowi z sosnowych igieł, przysypanemu warstewką śniegu. Gdzieś z przodu rozlegało się szczekanie.

– Ellie? – Alex ruszyła biegiem. W lesie panował półmrok; o tak wczesnej porze światło jeszcze dobrze się tu nie przebiło. W powietrzu, wilgotnym i zimnym, unosiło się zbyt wiele różnorodnych woni, żeby z tej mieszaniny Alex mogła wychwycić zapachy Ellie, Toma czy nawet psa. Znowu usłyszała gwizdek. Teraz Mina ujadała już jak szalona, przeraźliwie, niemal bez przerwy.

Coś się stało. Podeszwy butów łomotały o zamarznąłą ziemię. Coś się stało, coś jest nie tak, myślała w panice Alex.

Na wprost, pomiędzy drzewami, dostrzegła skrawek nieba – polana. A potem, odrobinę dalej, mignęło coś rdzawoczerwonego. Rozpoznała kurtkę Toma. Wokół jego nóg płasała ciemna, niewyraźna plama. Po chwili pies znowu rzucił się w głąb lasu. Alex już otwierała usta,

żeby krzyknąć, jednak zachowanie chłopaka sprawiło, że głos zamarł jej w gardle. Tom przywołał Minę i próbował złapać ją za obrożę. Dlaczego? Alex zwolniła kroku...

I nagle zmarszczyła nos od smrodu stęchłej mieszanki. Smażona cebula, brudne skarpety i zepsute zęby.

Gdzieś z tyłu.

Ze stłumionym okrzykiem odwróciła się. Kciuk już naciskał na bezpiecznik...

Kobieta była wychudzona, miała ziemistą cerę i kędzierzawe, siwe włosy. Może w innym życiu, zanim wydarzył się ten koszmar, wypiekała czekoladowe ciasteczka dla wnuków. Ale nie teraz.

Teraz celowała z karabinu prosto w pierś Alex.

– Nie rób tego.

## 33

Ona nie żyje? – zapytała Ellie.

– Nie umiem ci powiedzieć. – Napastnicy odprowadzili Alex i Ellie kawałek od ciężarówki, więc dziewczyna musiała dobrze wyciągać szyję, żeby zajrzeć w gąszcz wysokich traw. Mogła tylko dostrzec, że pies leży rozciągnięty na zaśnieżonej ziemi, i żałować, że nie знаła skutecznej komendy na „zamknij się”. Ale niestety nie znała i kiedy szczekanie nie ustawało, jeden z dwóch mężczyzn – obaj byli dość leciwi; sądziła, że mniej więcej w wieku Larry’ego – postanowił zmienić karabin w wielki

kij baseballowy. Może to i dobrze. Cios w głowę dawał zwierzęciu jeszcze jakąś szansę. Kula by je wykończyła. Alex ujrzała, jak klatka piersiowa Miny unosi się z wysiłkiem, potem opada i znów się unosi. – Spokojnie, oddycha. Tylko straciła przytomność.

– Zmusili mnie, żebym gwizdała. – Ellie popatrzyła gniewnie na starą kobietę. – Ona powiedziała, że albo to zrobię, albo zastrzelą Minę.

Zza osłony swego karabinu nieznajoma warknęła:

– I nadal mogę, jeśli się nie zamkniesz.

– W porządku, kochanie. – Alex skupiła uwagę na Tomie, który składał duży namiot. Starszy z mężczyzn przez cały czas mierzył chłopakowi w plecy. Drugi, ten co ogłuszył Minę, już spakował mały namiocik, a teraz grzebał w rzeczach na platformie ciężarówki. Napastnicy znaleźli cały ich arsenał, oprócz noża w bucie i glocka, nadal tkwiącego w kaburze przy pasie, pod rangerskim kożuszkim. Modliła się, żeby nikomu nie przyszło do głowy kazać jej rozpiąć kurtkę. Większa część zapasów amunicji znajdowała się w oddzielnej miękkiej torbie, którą zabrali z sejfu. Alex obserwowała, jak młodszy z emerytów przekopuje zawartość pakunku.

– Znalazłem! – Facet wyglądał, jakby ktoś w dzieciństwie przejechał mu twarz żelazkiem. – Mam, kaliber czterdzieści pięć. Mam, dziewiątki. Mam, dwudziestki dwójki do buck-marka.

– A do karabinu i strzelby? – zawołała kobieta przez ramię.

– Wszystko jest. – Uprasowana Twarz zasunął zamek torby. – Ja biorę winchestera. Nie mogę już patrzeć na tę cholerną dwudziestkędwójkę. Z radością bym ją wywalił.

– Niczego nie wywalamy – burknął starszy. Był łysy, okrągły i rumiany. Obwisłe policzki pokrywała gęsta, siwa szczecina i mapa drogowa popękanych naczynek krwionośnych. – Nigdy nie wiadomo, co się kiedy przyda. Zabieramy i nasze, i ich.

– Wykończycie nas – odezwał się Tom, wpychając namiot do worka. – Zabieracie nam wszystko: jedzenie, broń, ciężarówkę. Równie dobrze moglibyście od razu nas zastrzelić.

– Jeśli sobie życzysz, proszę bardzo – warknął Uprasowana Twarz. – Byłoby znacznie lepiej, gdyby tacy jak wy wyginęli.

Tom puścił to mimo uszu.

– Proszę, zostawcie nam strzelbę albo łuk i jeden z naszych plecaków – zwrócił się do łysego. – Człowieku, myślisz, że podziurawię wam opony strzałą? Zabierzcie wszystko pozostałe. Dajcie nam przynajmniej szansę.

Na obliczu starszego z napastników Alex dostrzegła niezdecydowanie. Uprasowana Twarz też musiał to wyczuć, bo natychmiast się włączył:

– Zamknij się, do cholery. Nie słuchaj go, Brett.

– Proszę – powtórzył Tom.

– Mówię, zamknij się.

– Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc – odezwał się Brett. – Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie mogę. Jest

nas troje i przed nami długa podróż na południe. Słyszałem, że jest tam wojskowy obóz dla uchodźców. Jeśli macie trochę oleju w głowie, to powinniście spróbować do niego dotrzeć.

– Czym? Wszystko nam zabieracie, wóz też.

– Więc zasuwaszcie piechotą, tak jak my szliśmy – odparł Uprasowana Twarz. – Mnóstwo farm, mnóstwo trupów, a wszystko dzięki takim jak wy.

Policzki Ellie zapłonęły.

– Nie zrobiliśmy nic złego. Mój dziadzio umarł. A wy jesteście uzbrojonymi łobuzami!

W oczach Bretta mignął wstyd, co Tom też musiał zauważyć, bo powiedział:

– Ojciec tej małej był żołnierzem. Poległ w Iraku. Służył ojczyźnie, a teraz pan chce zabić jego dziecko?

– Brett – odezwała się ostrzegawczym tonem kobieta.

– Nie może jej pan tu zostawić – ciągnął Tom. – Nie jest pan człowiekiem tego pokroju.

Brett zawahał się.

– Moglibyśmy ją zabrać. To dobry pomysł. Pamiętajcie, ci faceci mówili, że wojsko chętniej przyjmuje z dziećmi, o ile się nie zmieniły?

– Zawsze jest jeszcze Rule – odparł Uprasowana Twarz. – Tam podobno biorą, obojętnie czy się ma dzieciaka, czy nie. Chociaż fakt, że dzieciaki znacznie ułatwiają sprawę.

– Co? – krzyknęła Ellie.

– Nie – powiedział Tom, przesuwasz się powoli o

krok. – Pan wie, że to nieuczciwe, Brett. Chcecie wóz, to bierzcie. Ale zostawcie nam trochę prowiantu. Poza ciężarówką nie będziemy ani w lepszym, ani w gorszym położeniu niż wy teraz. W końcu wcześniej czy później wszystkim wyczerpią się zapasy.

Brett pokręcił głową.

– Słyszałem co innego. Słyszałem, że rząd zakłada obozy. Dostarczają tam zaopatrzenie, tak jak robili w Nowym Orleanie.[ Mowa o potężnym huraganie Katrina, który w 2005 r. częściowo zniszczył miasto i spowodował liczne ofiary (przyp. tłum.).]

– Jakim cudem? Słyszał pan całą masę rzeczy, ale my też. Nie ma żadnego rządu. Człowieku, Wschodnie Wybrzeże już nie istnieje. Nic nie działa.

– Wasza ciężarówka jeździ.

– Bo to stary model. Wiem, że wojsko mogło uodpornić część swego wyposażenia na tego rodzaju atak, ale nie zostało to przetestowane i jeśli mam być szczery, nie sądzę, żeby się udało. W najbliższym czasie nic nie powróci do normy.

– Nie mów mi tego, co i tak wiem. – Twarz Bretta spochmurniała. – Kiedy to rąbnęło, żona Harlana padła na miejscu. A następnego dnia ja straciłem moją Jenny przez jednego z takich jak wy.

– Współczuję panom – powiedział Tom. – Ale my się nie zmieniliśmy.

– Jeszcze. Ale kiedy się zmienicie, nic z tego całego majdanu i tak się wam nie przyda.

– A może się nie zmienimy? Minęło już kilka tygodni. Jeśli to prawda, że do obozów wpuszczają ludzi z dziećmi, znaczy wiadomo, że nie każdy dzieciak się zmienia.

– Słyszysz, Brett, to właśnie ci mówię – odezwała się kobieta o babciovatym wyglądzie. – Masz dziecko, to muszą cię wpuścić. Tych dwoje się nie nadaje, z nimi będą tylko kłopoty, ale dziewczynka...

– Nie – zaprotestowała Alex. Ellie kulila się przy niej, a z głębi pamięci nadpływały słowa Larry’ego: „Jesteście na wagę złota”. – Nie możecie jej zabrać.

– Brett – powiedział Tom – ja reprezentuję wojsko i mówię panu, że pierwszoplanowa sprawa dla armii to zadbać o własnych ludzi. Nie o żadne dzieci ani o nikogo, kto nie jest jednym z nich.

Brett spojrzał na niego niepewnie.

– Żołnierz? Byłeś w Iraku?

– W Afganistanie.

– Więc co tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś tam?

– Dostałem urlop.

– Tak? – warknął Uprasowana Twarz-Harlan. – Twój urlop został chyba anulowany, żołnierzyku. Nie jest przypadkiem tak, że kiedy wszystko idzie w diabły, powinieneś ratować innych? Na północy nie ma armii. – I do Bretta: – On zwiewa, ot, co robi.

– Staram się chronić moją rodzinę – odparł Tom, jednak Alex dosłyszała w jego głosie nową nutę, której nie potrafiła rozszyfrować. A po chwili poczuła ten



piekący, ostry, chemiczny zapach i pomyślała: Tom jest nie tylko wystraszony. On kłamie.

– Proszę pana – chłopak zwrócił się do Bretta – południe i wschód nie są bezpieczne. Na południe od nas jest tylko jedna baza, więc z pewnością musi być przeładowana uchodźcami. Widziałem już, jak tłum wymyka się spod kontroli. Człowieku, nie chciałby się pan znaleźć w czymś takim.

– On się po prostu boi – stwierdził Harlan. – Cholerny dezterter, oto kim jest.

– Nie!

Jednak Alex usłyszała – wywachała – Tak.

– A skąd wiesz, że na wschodzie jest niebezpiecznie?  
– zapytał Brett.

– Radio. – Tom przedstawił pospieszne streszczenie, po czym dodał: – Jazda na wschód to najgorszy możliwy wybór. Księżyc jest niebieski. Był zielony. Tak dzieje się tylko przy skażonym powietrzu.

– Kiedy ostatnim razem coś słyszałeś?

– Około dwóch tygodni temu.

– Tam do diabła – wtrącił się Harlan – mało co mogło się zdarzyć przez dwa tygodnie. Mówisz, że słyszałeś ludzi z Europy? Skąd w jakiejś cholernej Francji mogą wiedzieć, co się tutaj dzieje? Przypomnij sobie, jak się te sukinsyny zachowały w związku z Irakiem. Tylko ratowali swoje żałosne tyłki.

– Harlan ma rację – poparła go babciowata kobieta.

– Brett. – Tom zrobił kolejny krok w stronę starszego

mężczyzny. – Proszę, przecież nie jest pan zabój...

Trzask karabinu przeszył gardło Alex strzałą strachu. Ellie wydała stłumiony okrzyk. Tom zastygł w pół kroku. Z wysokości platformy ciężarówki odezwał się Harlan:

– Następnym razem, jak ci powiem, że masz się zamknąć, to się zamkniesz, bo nie zamierzam więcej marnować kul.

Przez chwilę Alex myślała, że Tom jakoś mu się sprzeciwi, ale serce jej zamarło, kiedy chłopak pokręcił głową. Jeśli on nie mógł ich uratować...

– No to ustalone – warknął Harlan. – Dawaj ten cholerny namiot. – Kiedy Tom cisnął namiot na pakę, Uprasowana Twarz wyszczerzył w uśmiechu ściśnięte, poplamione zęby, które czuć było z odległości dwudziestu stóp: lata jima beama i zucia tytoniu. – Kluczyki.

Oni naprawdę chcą nas tu zostawić, pomyślała ze zgrozą Alex. Ze swego rodzaju zobojętniałym niedowierzaniem patrzyła, jak Tom pozwala, by kluczyki z przytłumionym brzękiem upadły w cienką warstwę śniegu. Zdanych tylko na własne siły, zimą, gdzieś na końcu świata. Musimy coś zrobić, stwierdziła w duchu.

– Czyj jest ten pies? – Kiedy Alex nie odpowiedziała, starucha szturchnęła ją lufą w potylicę. – Nie zamierzam powtarzać. Twój?

– Nie, Mina jest moja – odezwała się Ellie. – Była kiedyś taty, a potem dziadka, ale naprawdę jest moja.

– Świetnie. – Kobieta uśmiechnęła się do Harlana. – Dwa w jednym.

Uprasowana Twarz kiwnął głową.

– Tak. Najlepiej zabrać obie.

– No nie wiem, Marjorie.

– Brett, jeśli weźmiemy psa, nie będzie tylu pytań, prawda? Teraz wszyscy biorą psy – odparła Marjorie. – Dzieci i psy są dobrze widziane.

– Dlaczego? – zapytał Tom. – O czym wy mówicie?

Brett się przygarbił.

– Kilka osób, które spotkaliśmy po drodze, mówiło, że psy potrafią wyczuć, kto ma się zmienić.

– Ich też okradliście? – palnęła Ellie.

Brett spurpurowiał i Alex pomyślała, że być może mała trafiła w sedno.

– Nie wiemy, czy to prawda – mówił dalej do Toma. – Ale tak słyszeliśmy. Ludzie gadają różne rzeczy.

– Pies i dzieciak – obstawała uparcie przy swoim Marjorie. – Jeśli będą z nami, na pewno zostaniemy wpuszczeni.

– Nie. – Tom ruszył w stronę Alex i Ellie, która kuliała się u boku dziewczyny. – Nie możecie ich zabrać.

– Zatrzymaj się, Tom – rozkazał Harlan.

– Nie pomogę wam! – wrzasnęła Ellie do Marjorie. – Powiem Minie, żeby was zabiła.

– Świetnie. – Stara wymierzyła z karabinu. – Wobec tego zastrzelę psa, a i tak mamy...

– Nie! – krzyknęli równocześnie Tom i Alex. A potem chłopak rzucił się pędem. Marjorie ujrzała, jak nadbiega, próbowała do niego wymierzyć, ale Tom zanurkował pod

linią strzału, wyciągnął rękę, pochwycił karabin za lufę. I ostro szarpnął. Ze stłumionym okrzykiem Alex runęła na małą, przewracając ją w śnieg, dokładnie w chwili, gdy Marjorie nacisnęła spust. Rozległ się trzask wystrzału, kula świsnęła im nad głowami. Kobieta, tracąc równowagę, zatoczyła się do tyłu. Tom nie puszczał karabinu, ciągnął go do siebie, już nim zakołysał, poderwał do góry i wtedy Alex dostrzegła Harlana. Na pace ciężarówki. Obrócił się...

– Tom! – krzyknęła przeraźliwie.

## 34

W trzy dni później Alex odprężyła się dopiero, gdy jej wzrok pokonał krawędź zasy, okrywającej wysoką stertę drewna. Wiatr dmuchał śniegiem w twarz, oczy piekły i łzawiły. Mrugając, żeby odpędzić łzy, przesunęła badawczym spojrzeniem po rozległym asfaltowym parkingu i trzech dystrybutorach paliwa. Tuż obok jednego z nich stała toyota typu sedan, porzucona, kiedy zasilanie dystrybutora przestało działać, a auto nie dało się uruchomić. Drzwi kierowcy były uchylone, podobnie jak – nie wiadomo dlaczego – oba okna z przodu. Deskę rozdzielczą, fotele kierowcy i pasażera pokrywała warstwa nawianego śniegu. Drugi samochód, dodge caravan, zgasł w chwili, gdy zakręcał, by wjechać na stację. Przednie drzwi po obu stronach sterczały jak

gigantyczne uszy. Ze swego punktu obserwacyjnego widziała, że panele drzwi były poobrywane. W aucie pozostał dziecięcy fotelik. Alex dostrzegła futrzaną czerwoną nogę pluszaka Elmo walającego się pod siedzeniami. Czując ból w piersiach, pomyślała o Ellie.

– Co widzisz?

– Żadnych ciał. – Opuściła wzrok na Toma, który opierał się o stos drewna. Tego ranka wyglądał gorzej: na rozpalonego gorączką, ciężko chorego. Krople wilgoci na jego twarzy to z pewnością nie był topniejący śnieg. Dwudziestkadwójka, na którą tak narzekał Harlan, okazała się naprawdę kompletną nędzą. Kula nie strzaskała kości, ale też nie przeszła na wylot i nadal tkwiła głęboko w prawym udzie Toma. Alex z przerażeniem ujrzała, że kawałek flanelowej koszuli, którym obwiązała ranę, całkiem pociemniał. – Znowu krwawisz.

– Yhm. – Twarz Toma była ściągnięta i blada, a oczy płonęły zbyt jasno. Przesunął językiem po górnej wardze.

– Możemy wejść?

– Myślę, że tak. – Przeskoczyła spojrzeniem od furgonetki do budynku – oklepanej kombinacji stacji benzynowej, samu spożywczego i sklepiku dla wędkarzy. Miał zasypany śniegiem dach z falistej blachy i polaryzujące szyby, tak ciemne, że nie mogła zajrzeć do środka. Drzwi od frontu były starannie zamknięte, a okna całe, co mogło oznaczać, że ktoś jest w domu. Jednak śnieg na parkingu wyglądał nieskazitelnie, pomijając

ślady zwierząt, chyba saren. Alex niepewnie, na próbę pociągnęła nosem. Tylko benzyna i oleje silnikowe.

Zerknęła na lewy nadgarstek. Myszka Miki informowała, że jest za pięć czwarta.

– Niedługo zrobi się ciemno. Chyba nikogo tu nie ma – powiedziała. – Jeszcze tylko rzucę okiem z tyłu.

– Okej. Tylko miej pod ręką glocka. Możemy nie być jedynymi, którzy szukają miejsca na nocleg.

Miał rację. Sięgnęła pod kurtkę, wyciągnęła pistolet z kabury, wyprostowała się i znieruchomiła. Nawet tak niewielki ruch wywołał zawroty głowy. Musiała oprzeć się dłonią o stos drewna, żeby nie stracić równowagi.

– Dobrze się czujesz? – W głosie Toma zabrzmiał niepokój.

– Świetnie – skłamała. Ręce jej się trzęsły, była wycieńczona, czuła mdłości. Żołądek wydawał się obolałą, pustą jamą. Teoretycznie człowiek potrafi przeżyć tydzień o samej wodzie, ale mimo że znaleźli trochę jedzenia, Alex nie była pewna, jak długo jeszcze zdoła przetrwać. Od czasu, gdy stracili Ellie, natrafili na siedem domów i każdy z nich był już ograbiony niemal do czysta. I to włącznie z trupami. W ostatnim mieli szczęście, ale tylko dlatego, że poszli na skróty przez pole i Tom zauważył błysk szkła daleko w lesie. Szkło okazało się jedyną zachowaną szybą w zrujnowanej chacie myśliwskiej. Drzwi były tak stare, że deski się porozsychały, zostawiając szerokie szpary. Przez zniszczone okna nawiało śniegu. W chacie nie było za

dużo mebli – tylko wytarta, nadgryziona przez myszy kanapa i dwa połamane krzesła z prostymi oparciami – ale w jednej z sypialni Alex wygrzebała zniszczony plecak.

Jednak dopiero w kuchni trafili na żyłę złota: kawałek sznurka, ogarek świecy, wysłużony rondel, bańkę paliwa Sterno do kuchenek turystycznych, pojemnik z wybielaczem (prawie pusty), trzy puste butelki na wodę, cztery puszki sardynek, jedną trzecią słoika wymieszanych orzechów, pół słoika kostek rosółowych i cztery torebki suszonej wołowiny, które jakimś cudem umknęły uwadze myszy.

To było dwa dni temu. Teraz zostały im cztery kostki rosółowe, trzy torebki suszonej wołowiny i puszka sardynek. Do słoika po orzechach Alex przelała wybielacz i używała po kropelce, kiedy musieli odkazić więcej wody do picia. Wczoraj uzupełniła ich głodowe racje garścią malutkich płotek, które złowiła w strumieniu, używając podkoszulka Toma jako sieci. Zresztą Tom nie jadł dużo, głównie pił rosół i wodę, a jego twarz, już przedtem szczupła, jeszcze bardziej wychudła. Ich jedyną bronią były nóż i glock, więc Alex nie chciała marnować kul na polowanie. Sytuacja byłaby inna, gdyby zostali gdzieś na dłużej, mieszkali w wygodnej chacie lub namiocie, zastawiali pułapki i, och tak, mieli przynętę na ryby. Ale Tom czuł się coraz gorzej, więc posuwali się bardzo wolno, dużo wolniej niż kiedy wędrowała z Ellie, bo chłopak ledwie kuśtykał i musiał często odpoczywać. Szli na południowy zachód, kierując się własną pamięcią i

wyznaczając dalszą trasę na podstawie obserwacji.

Tom liczył na to, że Brett go posłuchał. Gdyby pojechali na zachód, musieliby mijać Rule. Może Harlan miał rację i miejscowi ich wpuszczą, więc kiedy oni dwoje dotrą do miasteczka, Ellie już tam będzie.

Może. Jedyne, co obchodziło teraz Alex, to znaleźć pomoc dla Toma.

Miała tylko nadzieję, że znajdzie ją na czas.

Ostrożnie skręciła za sklep. Dostrzegła skorodowaną ciężarówkę bez kół i otwarty kontener ze stosem zniszczonych kartonów, oparty o drewnianą budkę. U jego podnóża trzy zardzewiałe puszki po farbie tworzyły małą piramidę, a obok cztery pokryte śniegiem opony leżały na kupie jak rozrzucone przed grą pchełki.

Budynek miał tylne wejście z dodatkowymi siatkowymi drzwiami. Przytrzymał je uchylone śnieg, który nasypał się przez oczka siatki. Alex skrzywiła się, kiedy zawiasy zaprotestowały głośnym, zgrzytliwym piskiem. Sięgnęła do klamki właściwych drzwi, nacisnęła, pchnęła je czubkiem buta i zastygła, czekając na huk wystrzału. Nic się jednak nie działo.

Znalazła się w małym przedsionku. Na jednym z kołków ściennego wieszaka pozostała czyjaś kurtka. Była jasnobłękitna, z ciemniejszymi, niebieskimi ściągaczami i napisem NED, wyszytym czarną nicią nad kieszenią na piersi. Na podłodze stała para butów.

Kolejne drzwi prowadziły do krótkiego, wąskiego



korytarza. Po lewej stronie znajdowała się śmierdząca ubikacja. Sedesu używano już po tym, jak wysiadła elektryczność. Zalany był obrzydliwym, cuchnącym paskudztwem. Dalej, u wylotu korytarza, Alex dostrzegła fragment sklepu, z głównym wejściem i skrzydłem gablotki na pączki Krispy Kreme.

I wtedy uderzył ją zapach silniejszy niż smród kału: musujący jak fetor z rynsztoka i wystarczająco okropny, żeby żołądek podszedł jej do gardła. Już wiedziała, co zaraz znajdzie.

W sklepie panował bałagan: nagie półki, opróżnione pudła, rozerwane kartony z sokiem, zgnieciony pączek, który wypadł z, teraz już pustej, firmowej witryny. Przy nieczynnych chłodziarkach ktoś upuścił pojemnik jajek. Potłuczone skorupki i rozprysnięte żółtka zmieszały się z jeziorem mleka wysuszonego na skorupę koloru smarków. Chłodziarki były puste. Na prawo od głównych drzwi ciągnęły się półki z paskami Winowymi, bańkami oleju silnikowego, pojemnikami z zimowym płynem do spryskiwaczy, które wyglądały na względnie nienaruszone.

Czego nie można było powiedzieć o martwym facecie.

Zwłoki leżały w kałuży zaschniętej krwi z przodu sklepu. Większa część twarzy nie istniała. Przy braku warg i większej części dziąseł zęby – poplamione na żółto od papierosów, niektóre nadpsute – przechylały się jak kołki namiotu, bliskie wyrwania pod naporem wiatru. Tył koszuli i dzinsy miał kompletnie poszarpane, mięśnie i

skórę kończyn starannie ogryzione do kości, jakby był pieczonym kurczakiem.

Trzy tygodnie temu, miesiąc, sześć tygodni... Alex pewnie by zwymiotowała. Albo uciekła z wrzaskiem. Albo jedno i drugie. A teraz uważnie badała podłogę. Znalazła ślady zwierząt – wilki, pomyślała, a może psy – i kilku ludzi. Podłoga była poznaczona rdzawymi odciskami podeszew, wszystkimi starymi, których kontury już nawet się nie lepiły. Ale nagle, przesuważąc wzrokiem po tych tropach, dziewczyna zamarła.

Ktoś tu chodził na bosaka.

W czwartej klasie omawiali *Przypadki Robinsona Crusoe*. Pamiętała, że kiedy bohater znajduje ślady Piętaszka, boi się, bo podejrzewa, że na wyspie zagościł diabeł. Ale potem jeszcze bardziej zdumiony jest odkryciem, jak po tak długim okresie samotności śmiertelnie przeraża go myśl o innych ludziach.

Spoglądając na odciski stóp, Alex przypomniała sobie Robinsona Crusoe. Nie widzieli po drodze żadnych szaleńców ani jakichkolwiek oznak, że grasowali po okolicznych domach czy farmach. Prawdę mówiąc, miała nadzieję, że wszyscy już wymarli. Miała nadzieję, że z tak naruszonymi mózgami młodociani kanibale byli zbyt głupi, by przetrwać zimno.

Pchnęła siedzeniem frontowe drzwi, aż się otwarły, i ruszyła tyłem, ciągnąc martwego mężczyznę za stopy i modląc się, żeby nie odpadły. Nie było tak źle, jak się

obawiała, albo może po prostu zobojętniała już na takie rzeczy. Tak czy inaczej, musiała to zrobić, jeśli nie chciała spędzać nocy pod jednym dachem ze zwłokami. Po chwili względnego wytchnienia od zimna we wnętrzu sklepu mróz na dworze przyprawiał o szok. Wiatr nasilił się, lodowaty śnieg kłuł ją w twarz, ale i tak poczuła ulgę, że oddycha powietrzem, które nie śmierdzi jak rozkładający się Ned. Przyszło jej do głowy, by zanim się ściemni, przynieść służbową koszulę, którą zauważyła na zapleczu, i zakryć nieboszczykowi twarz, jednak po chwili uznała, że dla tego kawałka materiału mogą znaleźć inne zastosowanie. Zapragnęła przeprosić Neda, ale koszuli nie przyniosła.

Kiedy wróciła po Toma, dygotał z zimna. Na poły podtrzymując, na poły ciągnąc, wtaszczyła go do środka i umieściła na podłodze, po czym zabrała się do przeczesywania sklepu. Jedzenia nie było, chociaż znalazła nienaruszoną butelkę wody, która stoczyła się pod gablotkę Krispy Kreme. Natomiast w pobliżu głównych drzwi, za przewróconym stojakiem na prasę, leżała paczka baterii paluszków. Ktokolwiek ograbił to miejsce, najwyraźniej nie przejmował się, że może kiedyś złapać przeziębienie, bo pozostawił garście aspiryny, tylenolu i tabletek na katar w małych foliowych saszetkach, opakowania chusteczek jednorazowych i pudełka pastylek od bólu gardła.

Otwarta szuflada kasy świeciła pustkami. Nic dziwnego, że zniknęły papierosy i puszki tytoniu do żucia,

ale co naprawdę zdumiało Alex, to widok również pustych plastikowych pojemników po losach na loterię. Jakby w najbliższej przyszłości mogły się znaleźć jakieś miliony do wygrania.

Za ladą znajdowało się przejście na zaplecze. Drzwi były zamknięte, ale klucze nadal wisiały na gwoździu przy kasie. W tylnym pokoiku stało proste metalowe biurko i obrotowe krzesło na skrzypiących kółkach. W biurku znalazła kilka długopisów, dwa ołówki, trzy spinacze do papieru, gumki recepturki i – w najniższej szufladzie – butelkę burbona Marker's Mark. Do połowy pełną.

Zostawiwszy pojemniki z płynem do szyb, resztę rzeczy Alex wepchnęła do plecaka. Chwilę zamarudziła nad puszkami smaru WD-40, odmrażaczem i bańkami oleju silnikowego. Z tego wszystkiego tylko olej wydawał się przydatny. Można w nim było namoczyć jakieś szmaty i przechować je w plastikowym worku, na wypadek gdyby akurat nie mieli niczego na podpałkę.

Potem otworzyła opakowanie tylenolu i zmusiła Toma do przełknięcia leku razem z resztką wody. W sklepie panował ziąb, ale twarz chłopaka błyszczała od potu. Wilgotne włosy kleiły mu się do czoła. Kiedy je odgarniała, poczuła pod palcami rozpalone ciało.

– Masz gorączkę – powiedziała.

– Za... za... każenie. – Trząśł się tak bardzo, że słyszała, jak szcękają mu zęby. – Czu... czuję zapach.

Ona też czuła, nawet bez swego wyjątkowego zmysłu

powonienia. Odwinąwszy opatrunek, musiała stłumić jęk. Rana wyglądała fatalnie. Kula weszła trochę na lewo od środka, jakieś sześć cali poniżej biodra. Udo było spuchnięte i napięte, skóra zaczerwieniona, połyskliwa i gorąca w dotyku. Brzegi rany poczerniały. Kiedy Tom się poruszył, wykipiała z niej gruba glista pręgowanej krwi, zielonej ropy i spłynęła po nodze. Bandaże były lepkie, przesiąknięte mieszaniną krwi z ropą.

– Chy... chyba nie dam r... rady dalej iść – wydukał.

– Dzisiaj szedłeś.

– Za w... wolno.

– No to co? Wszystko będzie dobrze. Nie zamierzam cię zostawić.

– Mu... musisz. – Głowa opadła mu do tyłu. Oczy miał przymknięte, wargi popękane i krwawiące.

– Ty nigdy byś nie zostawił ani mnie, ani Ellie. Niósłbyś nas, gdyby było trzeba.

– N... nie bądź te... tego taka p... p... pewna.

– Mogę zrobić nosze.

Tom słabo pokręcił głową.

– T... tylko c... cię spowalniam. W ten spo... sposób nigdzie nie d... dojdziemy. Sama szła... szłabyś o wiele sz... sz... szybciej.

To fakt, dobrze o tym wiedziała. W pojedynek mogłaby pokonać dwa razy dłuższą trasę w o połowę krótszym czasie i gdyby skierowała się na południowy zachód, dotarłaby do Rule. Jeśli Larry miał rację – jeśli informacje Marjorie, Bretta i Harlana były wiarygodne –

ludzie, którzy tam mieszkali, mogli pomóc Tomowi.

Chyba że prawdą okazałyby się inne słowa Larry'ego: „Będą do was strzelać”.

– W tej chwili nie musimy podejmować żadnych decyzji. Daj spokój. – Delikatnie nim potrząsnęła. – Przecież znasz się na medycynie. Myśl. Może, sama nie wiem, powinniśmy wydostać tego gluta ze środka?

Tom niemrawo przytaknął.

– N... nie za... zaszkodziłoby.

– Dobra, tylko daj mi parę minut. Chcę jeszcze przeszukać samochody. W ostateczności możemy użyć dywaników i pokrowców. Zawsze to lepiej niż żebyś miał leżeć na gołej podłodze.

Najbliżej głównych drzwi stała toyota, więc to ona poszła na pierwszy ogień. W środku było pusto i zimno jak w zamrażarce. Oddech zamieniał się w obłoczki pary, kiedy Alex pospiesznie zwałała dywaniki na przednie siedzenie. Nagle pomyślała: bagażnik. Wyciągnawszy rękę, znalazła po omacku odpowiedni guzik, przycisnęła i usłyszała kliknięcie odblokowanego zamka.

Bingo. W bagażniku leżały trzy flary ostrzegawcze i składana łopata. W razie potrzeby mogli użyć flar do rozpalenia ognia. Był jakiś sposób, żeby ponownie wykorzystać zapłonnik? Tom mógł to wiedzieć.

Łopata nadawała się na kemping. Miała trójkątną stalową szufłę i wyjmowany trzonek, który po rozkręceniu zamieniał się w sześciocalową piłkę. Waząc łopatę w rękach, Alex rozsunała ją na pełn<sup>^</sup> długość. Sądząc ze

stanu szufli, uznała, że nikt jej nigdy nie używał.

Kiedy wyciągała z bagażnika wykładzinę, jej wzrok padł na biało-czerwony rożek, wystający spod zapasowego koła. Uwolniwszy ręce, sięgnęła po tę odrobinę koloru. Czyżby... ?

Poczuła mały przyływ adrenaliny, który próbowała stłumić, ale wiedziała, co znajdzie, kiedy tylko drżącymi palcami dotknie tektury. Po chwili ostrożnie podważyła pokrywkę pudełeczka marlboro. Interesujące miejsce na przechowywanie swoich skarbów. Chociaż słyszała o ludziach, którzy chomikowali narkotyki w zapasowych oponach, więc może nie takie dziwaczne, jeśli się nie chce, żeby mąż czy żona odkryli nie do końca porzucony nałóg. Pudełeczko grzechotało i pachniało zimną smołą. Alex nie zależało na papierosach. Ale jeśli ktoś schował sobie tę paczuszkę w bagażniku na deszczowy dzień, potrzebował też ognia.

Niemal bała się zajrzeć do środka, ale w końcu to zrobiła. W pudełku były trzy papierosy i...

Odetchnęła.

Bloczek zapalek. Niegdyś biały, teraz szary. Nadal mogła odczytać słowa umieszczone pod stylizowanym kieliszkiem do martini – EDDIE MARTINI'S – a jeszcze niżej, już znacznie mniejszą czcionką, adres restauracji i numer telefonu. Przez kilka sekund trzymała bloczek w palcach i myślała: „Przyjrzyj się im uważnie. Niedługo nie będzie już żadnych zapalek. Nie będzie”.

Ale jeszcze były: całe pół tuzina.

Wydała okrzyk radości.

– Tom! – Uszczęśliwiona wyjęła głowę z bagażnika, z łopata w jednej ręce i bloczkiem zapalek uniesionym wysoko w drugiej. I wtedy przez zapach stęchłego tytoniu, który miała jeszcze w nozdrzach, przebił się fetor padliny.

Później nieraz myślała, że sprawy mogły się potoczyć inaczej, gdyby nie wdychała intensywnej woni marlboro. Ale to później.

A teraz ujrzała nie jednego nastolatka, nie dwoje.

Była ich trójka.

## 35

Dwóch chłopaków i dziewczyna. Wszyscy potwornie brudni, ubrani w pstrą mieszanicę łachów, które nie mogły stanowić ich własności. Sądząc z liści i różnych śmieci zaplątanych we włosy, musieli przyjść z lasu za stacją benzynową. Znajdowali się bardzo blisko, nie dalej niż dwadzieścia stóp, i w dodatku pomiędzy Alex a frontowymi drzwiami sklepu. Chłopcy byli chyba tuż po dwudziestce.

Starszy – tyczkowaty chudzielec z oklapniętymi, czarnymi włosami – miał na sobie różową damską kurtkę wykończoną futerkiem. Drugi, bardzo gruby, przyodziany był w obszarpane resztki czarnej peleryny, tak gruntownie zużytej, że wyglądał jak tłusty Batman przepuszczony przez niszczarkę.



Dziewczyna jest chyba w moim wieku, pomyślała Alex. Gdzieś zwędziła męskie podarte bojówki i wysmarowaną, szarą kurtkę bosmankę, tak małą, że dała się wciągnąć tylko do połowy ramion. Każdy skrawek skóry nieokryty ubraniem wyglądał jak mieszanina brudu, krwi i czegoś, co było albo olejem silnikowym, albo fekaliami – a zapewne i tym, i tym. Lewy rękaw zwisał w strzępach, jakby nowa właścicielka kurtki zaczepiła ramieniem o gałąź i po prostu szarpała, dopóki wełna nie puściła. Dziewczyna przesunęła się i Alex, rzuciwszy okiem na jej zszargane nogawki, ujrzała samotny trampek na prawej stopie. Lewa stopa była bosa, pomijając skarpetę z krwi. ^ex przypomniały się ślady w sklepie i z nagłym, mdlącym uczuciem zaskoczenia uświadomiła sobie, że odcisk stopy, który zobaczył Robinson Crusoe, wcale nie należał do Piętaszka. Zostawił go ludożerca.

Ten ludożerca miał pałkę: wypolerowany kawał solidnego, ciężkiego drewna, pewnie stylisko od siekiery.

Samochód. Mogła wskoczyć do środka i zablokować zamki. Ale bała się poruszyć. Kolana się pod nią uginały. Uchylone drzwi toyoty wydawały się oddalone o milion mil. Tak czy inaczej, nie mogła tych szaleńców po prostu przeczekać. Główne wejście do sklepu było otwarte, podobnie jak tylne. Gdyby dostali się do środka, znaleźliby Toma...

Dziewczyna pędziła w jej stronę. Poruszała się bezszelestnie i szaleńczo szybko. Obraz jej muskularnych rąk rozmazywał się, kiedy młóciły na oślep powietrze –

lewa dłoń z zakrzywionymi szponami, prawa zaciśnięta na pałce. W ostatniej chwili Alex zrobiła unik. Usłyszała, jak drewno ze świstem tnie powietrze tam, gdzie jeszcze przed sekundą trzymała głowę. A potem zawyła, kiedy przeraźliwy ból zaatakował jej czaszkę. Napastniczka chwyciła Alex za włosy, szarpnęła i powlokła. Tracąc równowagę, z płaczącymi się nogami, Alex potknęła się na oblodzonym asfalcie. Nadal kurczowo trzymała szpadel, ale kiedy runęła na plecy, zapalki wyfrunęły jej spomiędzy palców. Kanibalka podniosła zgiętą w łokciu rękę, znów mignęła rozmazana pałka. Alex szarpnęła się w lewo, pałka opadła i walnęła w beton z donośnym łuup, tak mocno, że aż pękła. Jakiś potężny, rozdzierający laser sparzył żywym ogniem skalp dziewczyny. Poczła palące szarpnięcie – i wolna odpełzła na czworakach.

Pozostawszy z zakrwawioną kępką włosów w ręku i wykałaczką zamiast pałki, kanibalka obwieściła swój zawód dzikim wrzaskiem. Chłopcy ani drgnęli. Alex nie miała czasu rozważyć, czy działali na zmianę, czy po prostu uważali, że ich towarzyszka sobie z nią poradzi. Właśnie gramoliła się z kolan na nogi, kiedy ta znowu ruszyła do ataku.

To, co stało się później, było przejawem czystego instynktu. Jeszcze przykucnięta, dostrzegła szarżującą napastniczkę, usłyszała plaskanie bosej stopy o ziemię, poczuła własne palce zaciskające się na trzonku łopaty. Mózg się odseparował, ciało przejęło kontrolę. W jednej chwili Alex wyprostowała się, skoczyła przed siebie,

zniwelowała odległość.

Udała, że uderza nisko, po czym wycelowała wysoko. Szpadel przeciął powietrze: ostrzem do przodu, bezwzględnym cięciem. Twarda metalowa krawędź zatopiła się w miękkiej, odsłoniętej szyi. Strumień buchającej krwi zapłonął na śniegu jak czerwona posypka na białym lukrze. Kanibalka zatoczyła się, siła rozpędu wyrwała łopatę z rąk Alex. Ranna upadła. Spod zaciśniętych wokół gardła palców z bulgotem tryskała krew. Łopata brzęknęła o asfalt.

Własny impet okręcił Alex niemal całkiem dookoła. Zdezorientowana podniosła wzrok, uświadomiła sobie, że gapi się na dodge'a, unieruchomionego w połowie podjazdu na stację i pomyślała: O Boże, oni są za mną...

Pochwyciła suchy szelest, tupot kroków na grubym śniegu, a kiedy się odwróciła, falująca, niewyraźna plama czerni pędziła na nią z prawej strony.

Pistolet, przypomniało się nagle Alex. Przerazona atakiem nieznamym kompletnie o nim zapomniała. Trzęsącą się dłonią rozpięła kozuch i zacisnęła palce na kolbie. Pistolet, pistolet, pistolet, pistolet...

Tłuscioch staranował ją. Glock wyleciał jej z ręki. Widziała, jak fikołkuje w powietrzu, usłyszała łup, kiedy uderzył o toyotę, a potem znów znalazła się na ziemi, przygwożdżona ciężarem napastnika. Poszarpany plastik peleryny pętał jej ruchy jak macki. Alex miotała się, usiłując wyplątać ręce. Ciężko dysząc, podniosła wzrok i ujrzała, jak wargi chłopaka ściągają się i obnażają zęby,

poplamione, lepkie od krwi.

– Nie! – Zęby błysnęły tuż przy...

I wtedy Tom runął na wroga. Siła uderzenia zbiła Tłuściocha z nóg. Upadł na plecy i po chwili obaj tarzali się po ziemi wśród razów i stękania. Chłopak kłapał zębami, usiłując ukąsić twarz przeciwnika. Nasadą dłoni Tom rąbnął go w dolną szczękę. Kiedy zęby przebiły miękką tkankę języka, Tłuścioch zabulgotał i ryknął. Wyprostował się, krew kapiała mu z ust. Brutalny cios z bekhendu spadł na zuchwę Toma z trzaskiem głośnym niczym wystrzał pistoletu. Tylko na moment Tom rozluźnił uchwyt, a już zakrwawione zęby wgryzły mu się w szyję, tuż nad prawym ramieniem.

Przeraźliwie wrzasnął.

Nie, nie, nie, nie! Alex gorączkowo wygramoliła się na kolana. Walka nadal trwała, ale nawet gdyby Tom nie był chory i osłabiony, to i tak Tłuścioch przerastał go wagą. Siedząc okrakiem na Tomie, którego koszula nasiąkała krwią, opuścił z góry pięść. Kiedy uderzenie dosięgło nosa, rozległ się dźwięk, jakby jakiś ciężki but miażdżył skorupki jajek. Tom zwiotczał.

Nawet nie uświadamiając sobie, że poderwała się z ziemi i krzyczy, Alex chwyciła łopatę, uniosła do góry, zamachnęła się z całych sił. Łopata uderzyła, coś głucho łupnęło. Alex poczuła szarpnięcie, dłonie zapiekły ją od metalu, a siła wstrząsu wprawiała w drżenie ręce aż po ramiona. Tłuścioch ryknął i rozciągnął się jak długi, ale nie stracił przytomności i już po chwili gramolił się na

kolana.

Wtedy właśnie dostrzegła kolbę glocka wystającą zza tylnej opony toyoty. Widząc kątem oka, jak Tłuścioch na czworakach po psiemu potrząsa głową, błyskawicznie odwróciła się i sięgnęła po broń...

Drugi chłopak, o którym w ogóle zapomniała, staranował Alex z rozpędu. Uderzenie rzuciło nią o twardej metal. Poczowała falę przeszywającego bólu, kiedy tylny zderzak toyoty walnął ją w kręgosłup. Nie mogąc złapać tchu, osunęła się i po chwili leżała już na plecach, a chłopak siekł gdzie popadnie szponiastymi pięściami. Twarz zapłonęła jej żywym ogniem, kiedy pazury napastnika przeorały ciało od kącika lewego oka aż po nasadę szczęki. Alex spróbowała się przekręcić, ale kanibal opuścił zaciśnięty kułak, uderzając ją jak młotem tuż powyżej ucha. Walnęła potylicą o asfalt, miedziana wilgoć gwałtownie wypełniła jej usta – i Alex wypuściła łopatę.

Niewyraźnie, bo czaszka pękała jej z bólu, znowu usłyszała wrzask, poczuła na gardle silne dłonie, a potem uszło z niej powietrze. Usiłowała odrywać jego palce, ale trzymał ją mocno i potrząsał, uderzając jej głową o zaśnierzony asfalt. Czerwień, a potem czerń pojawiły się na krawędzi pola widzenia, które kurczyło się, malało, zacieśniało. Płuca pękały, tętno huczało w spragnionej tlenu głowie. Alex walczyła, jednak uścisk narastał. Kciuki napastnika miażdżyły jej krtań. Ból był ogromny: nie tylko palił, ale także niósł odczucie, że coś w niej

pękło niczym sucha gałązka. Nogi i ręce już jej nie słuchały, dłonie rozluźniały chwyt, w miarę jak powoli ześlizgiwała się w nieświadomość. Ciało miała coraz bardziej zdrętwiałe, siły uchodziły z niego jak krew. Ból też. Teraz przenikliwe zimno wydawało się bardziej ulotne od dymu, wzrok prawie niczego nie ogarniał, świadomość gasła. Nic już nie pozostało do zrobienia...

I wtedy jej umysł tchnął jedną myśl, tak rzeczowo i wyraźnie, jakby to był wyraz wycięty z czarnego papieru: nóż.

Wbrew wszelkiemu instynktowi zmusiła się, żeby puścić ręce wroga, i sięgnęła do buta. Palce musnęły tkaninę spodni, po czym zgięły się w nagłym konwulsyjnym spazmie, podciągając nogawkę. Jednak nie dlatego, że Alex wymyśliła jakiś plan, ale dlatego że umierała.

Jej dłoń zamknęła się na twardym plastiku.

Ostatkiem sił dziewczyna wyszarpnęła nóż z pochwy i wbiła w lewy bok napastnika. Nóż był bardzo ostry. Przez sekundę czuła niepewność, kiedy jego czubek dotknął materiału, a potem już nic, gdy precyzyjnie przeciął kurtkę i pod nią koszulę, po czym zatopił się aż po rękojeść w ciele wroga.

Chłopak wygiął się w łuk i wrzasnął. Oderwał ręce od jej szyi, a ona, rozdziawiwszy usta jak ryba, wielkimi, świszczącymi haustami wciągała powietrze, które kaleczyło jej gardło. Staczając się z niej ze skowytem, kanibal zacisnął palce na rączce noża i szarpiąc, usiłował

uwolnić ostrze.

Wstawaj, zmobilizowała się. Tuman spowijający jej umysł zaczynał rzednąć. Charcząc, przeturlała się na brzuch – i dostrzegła glocka. Na wyciągnięcie ręki.

Porwawszy pistolet, obróciła się, przewracając znów na plecy. Wtedy zobaczyła chłopaka. Klęczał dwie stopy od niej z usmarowanym krwią nożem w dłoni. Oszałamym wzrokiem spojrział jej w oczy i zawył...

Nacisnęła spust.

Strzał zabrzmiał bardzo głośno. Poczowała szarpnięcie. Pierś chłopaka rozkwitła czerwienią i ciepła, wilgotna krew opryskała twarz Alex. Trup bezszelestnie osunął się do tyłu.

Ale nie starczyło jej czasu na nic, nawet żeby odetchnąć z ulgą. W następnej chwili usłyszała znajomy szelest plastiku. Odwróciła się i ujrzała biegnącego Tłuściocha. Krew Toma, rozmazana wokół ust, nadawała jego twarzy wyraz obscenicznej pożądliwości. Zbliżał się, wielki i przerażający. Już był pięć stóp od niej, już był obok, już tutaj!

Wpakowała mu lufę w twarz i strzeliła.

## 36

Tom krwawił przez długi czas. Zanim krwawienie wreszcie osłabło, kompletnie przemokły obie koszule – cudza, zwinięta w kłęb i flanelowa koszula Toma. Wtedy

poprosił, żeby Alex użyła burbona. Nie chciała – wiedziała, że będzie paliło jak diabli – ale zrobiła, czego sobie życzył. Gdy tylko alkohol dotknął żywej, zmacerowanej tkanki, całe ciało Toma zeszywniało, na szyi wystąpiły żyły jak postronki, usta wykrzywiły się, odsłaniając zęby.

– Przepraszam, przepraszam – jęknęła bezradnie. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, to zadawanie mu większego cierpienia. Z natury ciemnobursztynowy, burbon zmieszany z krwią przybrał błotnistą, brunatno-fioletową barwę. Oddartym kawałkiem koszuli Alex wytarła Tomowi spoconą twarz.

– Nic, nic – odezwał się głosem ochryłym z bólu. Pod przetrąconym nosem miał zakrzepłą krew, oczy zaczynały mu podchodzić opuchlizną. – Świetnie ci idzie.

– Sama nie wiem, co robię. – Mdliło ją nie ze zwykłego strachu czy głodu, ale z przerażenia. Rana była dostatecznie głęboka, by ukazać ścięgna, mięśnie i błysk kości. Zbierająca się krew nie tryskała z niej, więc Alex ośmieliła się żywić nadzieję, że Tom nie będzie się już wykrwawiał. Jednak zdawała sobie sprawę, że teraz nie może go stąd ruszyć. Był zbyt słaby, zbyt wycieńczony. Dostał już zakażenia, a ona nie miała cienia wątpliwości, że pogryzienie przez człowieka jest tak samo poważne jak przez zwierzę, może nawet gorsze. – Co z twoją nogą? Powinnam przemyć... ?

– Tnij.

Zamarła, nie mogąc – nie chcąc – uwierzyć własnym



uszm.

– Co?

– Tnij – szepnął Tom takim samym chrapliwym głosem. – Z... za dużo ropy... trzeba dre... drenować.

– Nie potrafię – powiedziała wstrząśnięta. – Tom, nie potrafię...

– Proszę, Alex... sam... sam nie d... dam rady. – Przerwał, ciężko dysząc, z twarzą tłustą od potu. Po chwili znów się odezwał. Słowa rwały się, kiedy z trudem łapał powietrze: – Nóż... użyj f... flary... wy... wysterylizuj...

– Ale ja cię poparzę.

Tom naprawdę się roześmiał. Słabe parsknięcie szybko ucichło.

– Najmniejszy z m... moich prob... blemów. S... skóra i tak jest martwa, ale tka... tkanka pod spodem... m... może być w po... w porządku. Ale musisz... musisz ją wyd... drenować. A... Alex... Alex, z... zrób to, proszę. – Błyszczące gorączką oczy przytrzymały jej spojrzenie. Odczytała w nich rozpacz i strach. – Zanim stracę odwagę...

To było jak historia Crowe'a. Bo Tom, prosząc ją o coś podobnego, musiał wiedzieć, że nie ma ani wyboru, ani czasu. Ale jeśli się mylił? Jeśli ona bardziej mu zaszkodzi, niż pomoże?

Wyszła na dwór i odzyskała swój nóż, wyciągając go spomiędzy zaciśniętych palców martwego chłopaka. Potem zanurzając ostrze w głębokim śniegu, pozbyła się znacznej części śladów krwi. Resztę zmyła wodą i

burbonem. Stanąwszy w drzwiach sklepu, odkręciła nasadkę jednej z flar i potarła draską zapłonnik. Flara buchnęła szkarłatnym płomieniem. Czarna rękojeść noża została wykonana z twardego sztucznego tworzywa, więc Alex była w stanie trzymać za nią, nie parząc się, kiedy opalała ostrze. Obserwowała, jak kolor metalu zmienia się od srebra przez matowe złoto w jasną czerwień lawy.

– Tom. – Alex ukłękła nad rannym. Nóż ostygł już do barwy bladopomarańczowej, ale czuła promieniujące falami ciepło i wiedziała, że stal nadal jest bardzo gorąca. – Jesteś absolutnie pewien, że nie ma innego sposobu?

– T... tnij tak szybko, jak m... możesz. Po... postaram się nie ruszać. Kiedy przejdiesz przez skórę, może... może będzie t... trzeba ciąć głębiej. Cie... ciepło zatamuje kr... rwawienie. Przestań, jak zacznie lecieć ropa. Będziesz... będziesz w... wiedziała kiedy – wydyszał. Odwracając twarz, ze szlochom wciągnął powietrze. Mocno zacisnął powieki i dłonie w pięści, ale silne dreszcze przebiegały mu ciało, drżenie, którego nie potrafił opanować. – P... postaram się wytrzymać... ale c... cokolwiek bym mówił... nie przerywaj. M... musisz do... dokończyć...

O Boże, proszę, pomyślała, wpatrując się w udo Toma i czerniejące, złe oko rany. Proszę, ocal go. Proszę, pomóż mi.

Widziała to na filmach: sceny, gdy ktoś gołymi rękami wygrzebywał kulę. Na filmach ludzie mdleli, kiedy ból stawał się zbyt silny.

Ale to nie był film ani książka.

Prawdę mówiąc, było to coś o wiele, wiele gorszego. Bo Tom nie zemdlął i wytrzymał tylko trzy sekundy, zanim zaczął krzyczeć.

– Zrobiłam, co mogłam. – Otarła mu palcami łzy. Wyniszczoną bólem twarz miał trupio bladą, oczy zapadnięte w purpurowo-czarnych jamach. Krawędzie rany rozdziawiały się jak mięsiste wargi, udo było poznaczone cienkimi strumykami jasnoczerwonej krwi, ale ropy wypłynęło chyba niewiele. Powietrze cuchnęło martwym mięsem, zagotowaną ropą, podgrzaną krwią. Samochodowa wykładzina pod jego nogą lepiała się od tego świństwa, więc wyciągnęła ją na dwór i rzuciła w śnieg, po czym ograbiła z dywaników porzucony van. Do poranionego ciała na udzie użyła czystego burbona, a teraz oddartym kawałkiem koszuli, namoczonym w śniegu, wycierała Tomowi czoło z potu. – Pachnie od ciebie jak z knajpy.

– Taak. – Znużonym wzrokiem wpatrywał się w jej szyję. – D... dużo si... siniaków.

Alex nadal czuła się, jakby miała połamaną krtań.

– Powinieneś zobaczyć tamtego gościa.

– To... nie żarty. O... o m... mały włos. Nie... nie mogę cię... s... stracić...

– Nigdzie się nie wybieram – odparła, wiedząc w głębi duszy, że będzie musiała. Zmyła mu zaschniętą krew z klatki piersiowej. Jego tors nosił ślady innych ran,

połyskiwał świeżymi bliznami.

– Sz... szrapnel – szepnął Tom, odgadując pytanie z jej palców. – Ekspłodował. P... pół roku t... temu. Szkoda, że nie wi... widziałaś, jak u... uruchamiam wykrywacze metalu na lot... lotnisku.

– A to? – Dotknęła czegoś, co wyglądało jak znaczki wypalone pod lewą pachą. Przyjrzała się uważniej i przeczytała:

„EDEN Thomas A”.

Szereg cyfr. Numer ubezpieczenia, pomyślała. Pod spodem było napisane o Rh+, a jeszcze niżej „katolik”.

– Tatuaż?

– Tak. Mówimy na nie t... trupie etyk... kietki. Czasami n... niewiele więcej z... zostaje... – Przełknął z trudem. – Rozumiesz.

– Tom. – Wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć mu wilgotne włosy z czoła. Wargi miał blade, przezroczyste jak szkło. – Co my teraz zrobimy?

– Trzy... trzymamy się p... planu. – Zdobył się na uśmiech, który zaraz znikł. – R... rano ruszamy. Muszę t... tylko tr... rochę odpocząć.

Potrzebował o wiele więcej i ona dobrze o tym wiedziała. Spędzili noc na stercie samochodowych dywaników w pokoju na zapleczu sklepu. Kilka godzin przed świtem ranny zemdłał albo zapadł w sen – nie potrafiła powiedzieć. Leżąc przy lewym boku Toma, przytulała chłopaka tak mocno, że słyszała, jak bije mu serce. Była wykończona, ale bała się zasnąć, by po

przebudzeniu nie znaleźć martwego ciała. Jednak w końcu jej myśli zaczęły się rozpląwać, a ona wirując, leciała w dół i...

Znowu ten sen, ten, w którym śmigłowiec z matką i ojcem na pokładzie startuje w śnieżnej zamieci. Helikopter wznosi się jak napęczniony helem balon, coraz wyżej i wyżej, aż do granicy nieba, do krawędzi nocy, a potem zamienia się w kulę ognia.

Naprawdę Alex tego nie widziała. Czekwała w domu, sama, kiedy wśród szalejącej śnieżycy jej mama wypełniała swoje lekarskie obowiązki, towarzysząc pacjentowi podczas ewakuacji z miejsca wypadku. A tata znalazł się tam tylko dlatego, że ratownik medyczny paranoicznie bał się burzy i stchórzył. Jego miejsce zajął ojciec Alex, który przeszedł kurs ACLS, [ ACLS - *Advanced Cardiovascular Life Support* - zaawansowane zabiegi dotyczące układu sercowo-naczyniowego (przyp. tłum.).] bo wszyscy policjanci są tak szkoleni.

I w rzeczywistości helikopter nie zmienił się w ognistą kulę. Po dostarczeniu pacjenta na miejsce odleciał do domu i po prostu zderzył się ze zboczem góry. Bez dramatu i fajerwerków – chociaż ogień był tak silny, że pilota i jej rodziców zidentyfikowano tylko po uzębieniu.

Miała wtedy czternaście lat. Nic nie podpowiedziało jej, że oni właśnie umierają: żadne przeczucie, żadne trzęsienie ziemi, żadna przepaść rozwierająca się pod stopami. Nie spała. Patrzyła, jak wokół latami przy końcu

ulicy wiruje złocista aureola śniegu. Czekala, kiedy samochód patrolowy taty skreci z za rogu. Nawet wyobrazila sobie, jak to bedzie wygladalo: najpierw swiatla, a potem juz sam radiowoz wylanajacy sie z zadymki jak we snie.

A potem rzeczywiscie pojawil sie radiowoz. Od razu poznala, ze to nie jej ojca. Tata mial nowocześniejszy model, bialo-czarny, a ten, który zatrzymal sie na ich podjezdzie, byl stary i czarny calkowicie. A jednak nic nie przyszlo jej do glowy. Nawet kiedy zobaczyła, jak wysiadaja policjanci i brna w strone ganku – nawet kiedy rozpozнала dawnego partnera ojca – nadal nie podejrzewala, co sie dzieje. Nie rozumiala jeszcze, kiedy porzuciwszy swój punkt obserwacyjny, cicho stapajac w kapciach, pobiegła do wejścia. Kiedy odblokowala zasuwę, otworzyła drzwi, poczula powiew zimnego powietrza... jeszcze nie rozumiala. Kompletnie. Nawet jej nie zaswitalo, ze moglo sie wydarzyc cos potwornego, dopoki nie zauwazyła pastora z ich kościoła.

Wtedy do niej dotarło.

Miesiac pozniej po raz pierwszy przyšnil sie jej ten koszmar. Rok pozniej, gdy zaczęła czuć zapach dymu i ciotka Hannah wyslala ja do psychiatry, lekarka opowiadala jakies glodne kawalki o Alex, która jest Dorotką, a jej bliscy odlecieli do Krainy Oz, ble, ble, ble. Jej zdaniem, sen mial związek z fantazjami, ze mama i tata nadal gdzieś zyja.

Alex uznala, ze psychiatra gada bzdury. Rodzice

umarli. Doskonale o tym wiedziała. Sen dotyczył jej własnego życia, wykolejonego, toczącego się niezgodnie z planem, życia, z którego zostały tylko popiół i proch.

A teraz działo się to znowu, z Tomem, wszystko od początku.

Kiedy się obudziła, skóra Toma lepiła się od potu. Gorączka nie odpuszczała, serce trzepotało mu w piersi. Alex zrozumiała, że nie wolno jej czekać ani chwili dłużej. Musi sprowadzić pomoc albo chłopak umrze. Co prawda, mógł umrzeć, zanim ona wróci, ale nie było innego wyjścia.

Tom chciał, żeby zabrała ze sobą pistolet.

– Możesz go potrzebować. – Skórę miał teraz bielszą niż sól i tak przezroczystą, że Alex widziała bladobłękitne, małe żyłki pod jego oczami. Przynajmniej dreszcze ustały, nawet jeśli tylko chwilowo. – Ja się nigdzie nie wybieram.

– Nie o to się martwię. Jeśli ktoś tu wtargnie, pistolet to jedyny ratunek.

– Jeśli ktoś tu wtargnie... i będą to te, hm, istoty... kilka kul nie robi już żadnej różnicy. Ale nie sądzę, że ich na to stać. Są zbyt jednostronni.

Alex wcale nie była pewna, czy odmóżdżonych nastolatków można uznać za aż tak głupich – wiedzieli dostatecznie dużo, żeby nie pozamarzać – ale rozumiała, o co mu chodzi. Przecież mogli bez trudu pokonać ich oboje, gdyby zaplanowali atak i współpracowali. Dziewczyna miała pałkę, tamten chłopak, którego

dźgnęłam, dość szybko załapał, jak się posłużyć nożem, jednak działali osobno. A jeśli to się zmieni? – zastanawiała się.

Tom podniósł rękę i dotknął jej twarzy. Palce miał lodowate.

– Proszę, weź go. Gdyby przytrafiło ci się coś złego, to już bez znaczenia, co się stanie ze mną.

W głębi duszy uważała, że jeśli będzie afiszować się z glockiem, szanse na to, iż ktoś ją zastrzeli, tylko rosną. A w ogóle biorąc pod uwagę jej wiek, mogli do niej strzelać bez ostrzeżenia.

– W porządku – powiedziała. A potem zdumiewając samą siebie, schyliła się i pocałowała go. Zamierzała się cofnąć, ale druga dłoń Toma wślizgnęła się jej we włosy, wtuliła w tył głowy i pocałunek przemienił się w coś, czego Alex nie chciała zakończyć, bo bała się, że nigdy już się nie zdarzy. Serce wezbrało uczuciem, krew się rozgrzała. Zapach Toma – korzenny i dziwny – rozkwitał, niemal pokonując duszący fetor choroby i gnicia. Cokolwiek Tom przed nią ukrywał, teraz nie kłamał.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie, wykrztusił z trudem:

– Nareszcie. Coś, dla czego warto żyć.

Widok jego rysów rozpadł się na migotliwe pryzmaty i Alex zrozumiała, że jeśli zacznie płakać, nie będzie już potrafiła odejść.

– Ani mi się waź teraz umierać.

– Na razie jeszcze żyję. – Ale po chwili na jego twarzy



odmalowała się zmiana uczuć, ukradkowa i przelotna. – Posłuchaj, to co się zdarzyło, zanim straciliśmy Ellie... Muszę ci powiedzieć...

– Nie. – Przycisnęła mu dłoń do warg. Jeśli jej powie, umrze? Czy nie tak działo się w książkach i filmach, kiedy bohaterowie odbywali spowiedź? – Nie mów. Teraz to nie ma znaczenia. Powiesz mi, kiedy znów się zobaczymy.

Złapał ją za rękę.

– Ale to ma znaczenie. Musisz wiedzieć. Proszę, tylko posłuchaj. – Przerwał i zacisnął powieki z jakiegoś innego, ukrytego bólu.

– Jestem tu – odezwała się Alex. – Słucham.

– Miałaś rację. – Pojedyncza łza ściekła mu z kącika oka i znikła we włosach. – W tym, że szukałem swego przeznaczenia. Ja nie... teraz nie mogę wszystkiego ci wyznać. To nie jest odpowiednia pora. Ale chcę, żebyś wiedziała. – Otworzył oczy, szybko objął ją rozgorączkowanym wzrokiem. – Znalazłem. Znalazłem moje przeznaczenie.

– Ja też – odparła. I mówiła poważnie. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu chciała przyszłości i chciała w niej Toma. Znowu go pocałowała, ucząc się na pamięć jego dotyku, smaku, zapachu.

A potem zamknęła drzwi na klucz i poszła.

Nie była idiotką. Gdyby trzymała się głównych szos, natknęłaby się na jakichś ludzi o wiele wcześniej niż dopiero w Rule. Mogłoby to mieć dobre i złe strony: złe, bo ocaleńcy zapewne najpierw strzelali, a dopiero potem zadawali pytania; a dobre, bo wszystkie odmóżdzone nastolatki, które dotąd widziała, grasowały w pobliżu lasów. Tyle że przy sporej dozie czujności potrafiła wywęszyć, kiedy się zbliżają.

Posuwała się bez przerwy na południowy zachód, brnąc w śniegu głębokim na dwie stopy i pilnując, żeby nie zboczyć z drogi. Oczy Alex nieustannie badały okolicę w poszukiwaniu ruchu, młodocianych kanibali i uzbrojonych w karabiny babć, które mogły uznać ją za źródło dochodów. Mijała billboardy promujące stacje benzynowe, zwiedzanie kopalni i sklepy z pamiątkami. Dostrzegła reklamę Zorzy Polarnej – Boże światło w mrocznym okresie życia – i kilka innych, zachęcających do skorzystania z Martha's Diner:[ Martha's Diner - sieć niedrogich restauracji, często przy autostradach (przyp. tłum.).] Śniadania 24/7.

Dzień wstał piękny, słoneczny, bardzo jasny i niezbyt zimny. Gdyby teren był płaski, a droga pusta, przydałyby się biegówki albo rakiety śnieżne. I okulary przeciwsłoneczne. Szczególnie te ostatnie, bo przy takim słońcu lało się z oczu od migotania światła i raził blask

odbity od śniegu.

Ale drogę blokowały auta osobowe, furgonetki i ciężarówki, przycupnięte pod śnieżną pokrywą. W większości były to wraki z rozbitymi szybami lub drzwiami rozdziawionymi jak ziewające usta. Uważnie rozglądała się za ich ciężarówką, na poły z nadzieją, że jej nie znajdzie, bo bała się dowiedzieć, co by to naprawdę znaczyło. Po niebie krążyły chmury ptaków. Kruki obsiadły drzewa i oblodzone przewody elektryczne, skąd w absolutnej ciszy śledziły wędrówkę dziewczyny. Alex czuła się, jakby niechcący zabłądziła na plan filmowy z rodzaju tych, gdzie kamera robi odjazd, żeby ukazać najpierw zniszczenia aż po sam bezkresny horyzont, a potem ją – oprócz ptaków jedyną poruszającą się istotę.

Z dala od lasu powietrze było zwarzone zapachami oleju silnikowego, benzyny, gumy i śmierci. Unosił się smród tak silny i mdlący, że zatkała sobie nos i usta i żałowała, że nie ma czegoś do obwiązania twarzy.

Wokół leżało mnóstwo ciał w różnych stadiach rozkładu. Wielu ludzi zmarło w swoich samochodach. Innych – mężczyzn i kobiety, którzy zdołali wydobyć się na zewnątrz tylko po to, żeby skonać na szosie – okrywały śnieżne całuny. Mimo zimna opóźniającego gnicie zwłoki wyglądały odrażająco, wzdęte jak tamte martwe krowy na farmie. Zauważyła też sporo zwierząt. Tłuste szopy pracze z łapami pełnymi mięsa, wyliniałe lisy i oposy o białych nosach upapranych krwią stawiały czoło dziennemu światłu, żeby móc ucztować. I oczywiście jak zawsze nie

brakowało ptaków, dziobiących, dźgających i oddzierających zamarznęte kęsy aż do kości. Para bardzo wielkich kruków kłóciła się o coś znalezionego w śniegu. Kiedy Alex podeszła bliżej, zatrzepotały skrzydłami i odleciały, a ona ujrzała, jak jej się wydało, obfitą kroplę krwi. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wpatruje się w duży palec, oderwany od czyjejs nogi. Lakier na paznokciu nadal błyszczał jaskrawą, wesołą strażacką czerwienią.

Wszyscy zmarli byli dorośli. Większość wyglądała wystarczająco staro, żeby być rodzicami. Ale nie dziadkami. W samochodach dostrzegła puste foteliki, porzucone pudełka na lunch i szkolne plecaki, ale ani jednego dziecka.

I żadnych ciał kogokolwiek zbliżonego wiekiem do niej albo do Toma.

A potem zobaczyła coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Im dalej szła, tym więcej znajdowała na drodze śladów ludzi, którzy przeżyli: odciski butów, trampek, pantofli. Nawet kłapek.

I ślady stóp.

Bez skarpetek.

Bosych.

To kazało jej się zastanowić.

Jelenie i samy wydeptują szlaki, chodząc tymi samymi ścieżkami nad strumień czy na łąkę. Kaczki i gęsi latają trasą, którą wcześniej obrały. Myśliwy musi tylko przyczaić się i czekać albo podążać w ślad za swoją

zdobyczą.

Ludzie trzymali się dróg. Prawdę mówiąc, równie dobrze mogli nosić krowie dzwonki, bo najwyraźniej odmóżdzone nastolatki już nie grasowały wyłącznie po lasach. Mogły tam mieszkać, ale zrozumiały, że jeśli chcą jeść, muszą iść tam, gdzie znajdą pożywienie.

A potem zauważyła coś jeszcze.

Niektóre ciała należały do osób bardzo leciwych. Zmarli od postrzałów: w plecy, czasem w klatkę piersiową, a wielu w tył głowy. Ich odzież nie została poszarpana czy zdarta przez zwierzęta, ale wyglądało na to, że ktoś ją z trupów po prostu zdjął. Te zwłoki, świeższe od reszty, wały się grupami wśród resztek rozrzuconych pustych plecaków, marynarskich worków i walizek.

Staruszkowie ocaleli tylko po to, żeby stać się łupem i zginąć z rąk przedstawicieli ich własnego gatunku: różnych Harlanów, Brettów, Marjorie.

I wtedy właśnie Alex zrozumiała, że Larry miał rację.

Oszalałe dzieciaki nie były jedynym – a może nawet nie najgroźniejszym – wrogiem.

Kiedy mijała furgonetkę – otwarte drzwi, dwa zdewastowane ciała, prawie szkielety, wywleczone z pasów bezpieczeństwa – gdzieś z dołu dobiegł ją dźwięk, który nie przypominał chrapliwego krakania kruków. Był żaloszny, jękliwy, niemal jak płacz niemowlęcia. Alex rozejrzała się. Koło samochodu, w rozwalisku

ukradzionych bagaży, leżeli stary mężczyzna i nawet jeszcze starsza kobieta. Obydwoje dostali po kuli w potylicę i to niezbyt dawno temu, sądząc z braku śnieżnego całunu. Płaszcz kobiety podciągnął się, więc ponad skrajem uciskowych pończoch Alex mogła dostrzec kawałki pulchnych ud, oszpeconych nabrzmiętymi, zielonymi żyłakami. Zmarła spoczywała twarzą do ziemi, z rozrzuconymi rękami, jakby na brzuchu chciała robić orła. Na jej prawym nadgarstku zaciskała się skórzana pętla. Dalsza część rzemienia zniknęła pod furgonetką.

I wtedy dziewczyna poczuła zapach; coś bardzo znajomego.

– O Boże – powiedziała na głos. Padła na kolana i zaczęła przeszukiwać ciemności.

Przy przednim prawym kole, kuląc się ze strachu, dygotał szary szczeniak.

Nie miała pojęcia, co to za rasa, wyglądał jak skrzyżowanie ogara z labradorem. Na widok Alex zaskomlał, a potem przesunął się na brzuszku w jej stronę. Tylko o cal. Koniuszek ogona poruszył się w pełnym nadziei merdnięciu.

Nagle ratowanie psa wydało jej się bardzo ważne. Gdyby zdołała mu pomóc, byłby to dobry znak, szczęśliwy omen. Jeśli uda się ocalić zwierzę, ocali też Toma. Później mogła to uznać za całkiem nielogiczne, co wcale nie osłabiało siły tamtego odczucia.

Rozdarła opakowanie suszonej wołowiny i jednym kawałkiem poczęstowała szczeniaka. Czując zapach

mięsa, piesek znowu podpełznął odrobinę. Musnął nosem jej palce, łapczywie chapsnął smakołyk i po chwili wypluł. Skomląc żałośnie, potrącał go nosem, a ona zrozumiała, że suszona wołowina jest dla malucha zbyt twarda. Kolejny kawałek wsunęła sobie do ust. Przeżuła na papkę. Bogactwo smaku mocno przyprawionej wędzonki było tak wielkie, aż skręcał się żołądek. Alex musiała użyć całej siły woli, żeby nie przełknąć. Wypluwając mięso, usłyszała własny jęk.

Jednak tym razem piesek od razu pożarł jedzenie, a potem ruszył po więcej. Jeszcze trzy kawałki i wyprysnął spod furgonetki, chrząkając jak prosiaczek, wijąc się i merdając przyciętym, szarym kikutem ogona.

Odpiąwszy mu smycz od obroży, Alex wzięła go na rękę i przytuliła.

– No, jak ci na imię?

Szczeniak zaszczekał. Futerko miał krótkie, srebrzystoszare, bardzo niebieskie oczy i duże łapy. Musiał ważyć dobre dziesięć funtów. Nakarmiła go resztką suszonej wołowiny, po czym wzięła się do przeszukiwania rozsypanych w pobliżu rzeczy. Znalazła trzy mięsne puszki i torbę suchej karmy dla młodych psów oraz małą aluminiową miseczkę, do której z własnej butelki naląła odrobinę wody.

Później wsadziła szczeniaka za pazuchę, zapięła kozuch i zaciągnęła mocno pasek, żeby zwierzątko nie mogło się wyslizgnąć. Po tych przygotowaniach wyglądała jak kobieta w niewielkiej ciąży albo

potrzebująca wielkiego biustonosza. Piesek był bardzo ciepły. Kiedy wytknął łebek na zewnątrz i rozejrzał się, wybuchnęła śmiechem. Maluch zaczął się wiercić i polizał jej palce.

– Trzymam cię – powiedziała. – Trzymam cię. Nic się nie bój...

I właśnie wtedy poczuła wilki.

## 38

Nie, nie myliła się. Podążały za nią. To, że nie musiała ich zobaczyć, żeby rozpoznać, przerażało ją najbardziej. Nie miała pojęcia, ile tych wilków jest, ale pachniały nie do opisanego – zupełnie inaczej niż psy. Jakaś pierwotna część mózgu uruchomiła w całym ciele alarm, który wysuszał usta i napinał mięśnie. Serce Alex zamieniło się w pięść walącą o ścianę klatki piersiowej.

Szczeniak też coś zwęszył. Poczowała, jak sztywnieje, a potem kuli się i dygocząc, próbuje stać się bardzo, bardzo małej. Przytrzymała go od spodu lewą ręką, podczas gdy prawa zsunęła się na biodro. Palce objęły kolbę ojcowskiego glocka.

Potem Alex odwróciła się – powoli, ostrożnie – żeby stawić im czoło.

Zauważyła trzy.

O wilkach wiedziała nie więcej niż każdy pieszy



turysta: żadna przyjemność przypadkiem je spotkać, mimo że powinny równie panicznie bać się ludzi, jak ludzie ich. W lasach Waucamaw czasami je słyszała. Dawniej, kiedy życie toczyło się normalnie, ich żalosny skowyt brzmiał na niesamowity sposób kojąco. Oczywiście, to było wtedy, a teraz nastał koniec świata.

Trzy duże, ciemnoszare wilki wyglądały jak wyjęte żywcem z „National Geographic”. Zbiły się w gromadę na małym pagórku u skraju lasu, oddalonym może o sto stóp. Samiec alfa – poznała go po zapachu, silniejszym i bardziej drażniącym – był bardzo wysoki, o smukłych łapach i szerokiej klatce piersiowej. Oczy miał złocistożółte – obce oczy patrzące na obcy świat. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby teraz wzeszedł czerwony księżyc.

Z takiej odległości nieruchomy cel nie stanowił problemu. Ale wilki były bardzo szybkie. Na pewno nie zdołałaby ich prześcignąć, a gdyby zaatakowały, mogłaby opróżnić cały magazynek, żadnego nie trafiając.

Zostawiła glocka w kaburze. Natomiast wyciągnęła przed siebie prawą rękę, dłonią do góry w nadziei, że wilki rozumieją, że jest pusta. Wymiana spojrzeń z jakimkolwiek zwierzęciem była bardzo złym pomysłem, ale złociste oczy samca alfa przygwoździły jej spojrzenie i nie potrafiła odwrócić wzroku.

Wilki wpatrywały się w nią. Przypomniała sobie, żeby oddychać.

Samiec alfa poruszył się pierwszy. Przysiadł na

zadzie, potem opadł na brzuch – niczym pies układający się do drzemki – i zaczął ziajać. Odniosła wrażenie, że nie czuł się zbyt komfortowo, ale był gotów czekać, aż coś się zmieni. Jak na milczącą komendę, dwa pozostałe wilki też przypadły do ziemi. Najmniejszy podpełznął na brzuchu i polizał pysk przywódcy. Zapach samca alfa, zapachy całego stada też się zmieniły: nadal wilcze, miały teraz domieszkę czegoś mniej cierpkiego. Kolejny z tych dziwnych momentalnych przebłysków rozjaśnił umysł Alex. Mina leży przy ognisku, przytulona do jej uda. Nie dokładnie to samo, ale woń była jakby spokojniejsza, kojarzyła się z... przyjacielem? Napięta sprężyna w jej brzuchu rozluźniła się odrobinę. No, może nie z przyjacielem, ale z brakiem zagrożenia.

– Już odchodzę – oznajmiła. Czy należało powiedzieć coś innego? Jednak nie potrafiła niczego wymyślić. Bo co się mówi do wilka? Cofnęła się o krok i czekała. Samiec alfa leżał jak sfinks. Znów przesunęła stopę do tyłu i poczuła, że obcasem kopie martwe ciało. Wtedy uświadomiła sobie, że musi się odwrócić.

Nie chciała, jednak nie było wyboru. Strach zjeżył jej włoski na ramionach i karku, a skóra mrowiła z nerwowego napięcia tak, że wydawało się, jakby w każdej chwili mogła odedrzeć się od kości i wrzeszcząc, popędzić przed siebie.

Czując łomot serca, Alex zrobiła obrót i zaczęła iść, nie za szybko, nie za wolno. Każdy rozedrgany nerw nakazywał brać nogi za pas, jednak pomyślała, że to

mogłoby skłonić wilki do pogoni, zmienić sygnały jej woni z braku zagrożenia na obiad.

Po przejściu trzydziestu stóp nadal żyła. Zapach wilków był taki jak przedtem. Nikt za nią nie pędził, więc postanowiła zaryzykować. Zerknęła przez ramię do tyłu.

Wilki już się podniosły i teraz, otoczone dymem swoich parujących oddechów, obserwowały, jak odchodzi. Po chwili najmniejszy z powrotem wślizgnął się do lasu. Sekundę później drugi poszedł w jego ślady, pozostawiając samca alfa na pagórku.

Z powodów dla siebie niepojętych Alex zatrzymała się i odwróciła. Wilk stał zbyt daleko, żeby dokładnie widzieć jego pysk, ale czuła na sobie spojrzenie złocistych oczu. Nie był to żaden bezsłowny kontakt, żadne podświadome porozumienie, telepatia czy inne paranormalne zjawisko. Ale kiedy zwierzę uniosło się na tylne łapy jak rozbawiony owczarek, a dopiero potem zniknęło w lesie... kiedy to się wydarzyło, Alex pomyślała, że być może nastąpiła jeszcze jedna zmiana.

W niej samej.

## 39

Zanim nadeszło późne popołudnie, kiedy drogowskaz poinformował ją, że do Rule zostało dwadzieścia mil, zauważyła trzy rzeczy.

Im bardziej zbliżała się do miasteczka, tym mniej

widziała martwych ciał.

Jak dotąd nie natrafiła na żadnego człowieka, który byłby żywy.

A poza tym wywęszyła dym.

Zapach wydawał się bardzo dziwny i bardzo znajomy. Sprawił, że serce uderzyło jej mocniej. Czuła już taki dym dawno temu, ale wtedy to było urojenie, pierwszy sygnał obecności potwora.

Boże, nie, nie teraz. Nie pozwól, żebym tutaj umarła. Proszę, o jeszcze trochę. Pomóż mi dotrzeć do Rule. Niech tylko uratują Toma, a potem, jeśli muszę... modliła się.

Szczeniak kichnął, podrapał się po nosie i znowu kichnął.

Jej ulga była jak pluśnięcie do basenu w upalny dzień. Skoro piesek też coś zwęszył, nie miała halucynacji. To nie był objaw choroby. Dym istniał naprawdę.

Mocno pociągnęła nosem, starając się ustalić składniki: węgiel drzewny zmieszany z chemią szczypiącą jak płyn, którego tata używał do spryskiwania brykietów na opał. I jeszcze z czymś słodkawym, soczystym jak wieprzowa pieczeń, którą mama podawała w niedzielę. A jednak było w tym zapachu coś okopconego i niepokojącego, co sprawiało, że wcale nie ciekła jej ślinka.

Oślaniając oczy przed ostrym światłem, zmrużyła powieki i zerknęła w niebo. Najpierw nie zobaczyła nic – tylko wrażenie bieli od słońca palącego siatkówkę – ale

po chwili dostrzegła nikłą, wiotką smugę, cienki dred bardzo ciemnego dymu. Nie z płonących liści – wiedziała, że wtedy byłby biały albo szary – ani z drewna. Jakaś substancja chemiczna?

Wlepiwszy spojrzenie w śnieg, odnalazła teraz już dobrze jej znane ślady butów, pantofli, kłapek, bosych stóp, a potem zobaczyła głębokie koleiny i odciski końskich kopyt: wozy.

Ciekawe. Na północy, w rejonie Orenu, leżała kraina amiszów. Wnioskując po bliskości kopalni, Alex nie sądziła, żeby mieszkali też w Rule, ale może nawet amiszycy zdecydowali się powędrować na południe. Albo...

Oczywiście. Ktoś przyjechał tu wozem, żeby pozbierać te wszystkie ciała. Widocznie ludzie z Rule musieli utworzyć coś w rodzaju strefy granicznej. To wydawało się całkiem logiczne. Nikt nie chciałby mieć stosów gnijących zwłok zwalonych tuż pod miastem.

Ale dlaczego nie było nikogo na szosie? Gdzie się wszyscy podzieli? Ukryli się? Czekać do zmroku w nadziei, że unikną odmóżdżonych nastolatków? Nie, to się nie trzymało kupy. Każde jej spotkanie z tymi szaleńcami miało miejsce albo nad ranem, albo o zmierzchu. Jeśli dobrze pamiętała, nigdy nie zauważyła żadnego z nich w biały dzień. Wpadło jej do głowy coś, co powiedział Larry o Deidre: „Pod pewnymi względami nadal jest typową nastolatką. Ożywia się, akurat wtedy, kiedy jestem gotów iść spać”.

Hm, to było interesujące. Przed czasami potwora,

kiedy jeszcze żyli rodzice, z nią działo się tak samo. Przetrawanie porannych lekcji wymagało silnej woli. Wszyscy w jej wieku chodzili chronicznie niedospani, opijając się red bullem, mountain dew's i kawą, żeby nie zasypiać.

Potwór to usunął. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że ten urojony dym nie był pierwszym sygnałem, ale drugim. Pierwszym była zmiana jej wzorców snu: częste przebudzenia w środku nocy, dziwaczne, pokawałkowane marzenia sennie, uczucie niepokoju jak po dwóch dzbankach kawy. Potwór sprawił, że bardzo różniła się od swoich przyjaciół. I pewnie od innych nastolatków też. Zanim ukradł jej zmysł węchu i smaku, zanim pożarł wspomnienia, pozbawił ją snu. I oczywiście mieli w tym udział rodzice, ten powracający nocny koszmar, trauma, którą w kółko przeżywała.

Tom również niewiele sypiał. Kiedy udało mu się zdrzemnąć, zawsze już po kilku godzinach budził się gwałtownie i czuwał przez całą noc. Z biologii wiedziała, że większość osób wchodzi w fazę REM – tę z marzeniami sennymi – parę godzin po zaśnięciu i normalni ludzie każdej nocy przeżywają trzy, cztery takie cykle. Z wyjątkiem jednej nocy – kiedy o mało nie wyznał Alex, co mu tak bardzo ciąży – Tom nigdy nie przespał dłuższych odcinków czasu i zapewne nie mógł nic na to poradzić. Możliwe że odmienił go Afganistan, jakoś zmodyfikował mu mózg. Zastanowiła się nad pourazowymi stresami i nocnymi koszmarami szalejącymi

w technikolorze po czarnym ekranie umysłu chłopaka: horrorami z przeszłości, od której nie potrafił uciec.

Horrory, nocne koszmary. Może właśnie one go uratowały.

I może nie tylko dzięki spapranym hormonom Alex dotąd się nie zmieniła. Może, tak jak w przypadku Toma, zaburzenia snu też były ważne. Jednym słowem, może to ten cały jej pochrzaniony mózg.

Może życie ocalił jej potwór.

## 40

O zmierzchu pochwyciła ich zapach: wypłowiąły i stęchły. Większość starszych osób czuć było zużytą bielizną. Sądząc z obfitości dławiącego odoru, w jednym miejscu zgromadziło się mnóstwo ludzi. Szła z wiatrem. Wydawało się jej, że są nadal dość daleko, ale odbierała ich zmęczenie i ostry smród paniki. To miało sens. Musieli wiedzieć, że odmóżdżone nastolatki aktywizują się, kiedy zapada zmrok, i chcieli znaleźć się z dala od szosy, w jakimś bezpiecznym miejscu. Mogła sobie wyobrazić drogę przed nią: zbita cizba ciągnąca się całymi milami od granic Rule.

Alex poczuła ukłucie niepokoju. Czym innym było trafić do miasteczka, a całkiem czym innym przedrzeć się przez tłum uchodźców, żeby uzyskać pomoc dla jednego człowieka, nawet młodego. Jak ci ludzie zareagują na jej

widok?

Po fetorze zapuszczonej sierści rozpoznała psy i... Zamknęła oczy, skoncentrowała się: woń słońca, ciepłego siana. Konie.

Ale to nie wszystko. Znowu wciągnęła powietrze i zmarszczyła nos od zapachu smaru i osmalonego metalu.

Broń. Cała masa broni.

Na początku, kiedy wsadziła szczeniaczka za pazuchę, przełożyła glocka z kabury do prawej kieszeni kurtki, nie dlatego że chciała wszczynać bijatyki. Brała pod uwagę łatwy dostęp do pistoletu bardziej jako środek odstraszający. Jednak potem zmieniła zdanie. Gdyby ktoś zaczął strzelać, sprawy potoczyłyby się błyskawicznie, a ona była zdana tylko na siebie. Więc zostawiła pistolet w kieszeni.

Z prawej strony błysnął w mroku mały, zielony drogowskaz:

## RULE 6

Dalej stał kolejny billboard hospicjum i tablica nakłaniająca, by zawitać do Kościoła Żniwa: ZAUF AJ UZDRAWIAJĄCEJ RĘCE BOGA.

Jeszcze kilka godzin, pomyślała. Proszę cię, Tom, wytrzymaj. Tylko kilka.

Dwie godziny później usłyszała ich: przytłumiony gwar pomieszanych głosów. Potem dostrzegła



podskakujące, żółte światełka latarek i srebrzyste sylwetki. Nie jakaś straszna chmara, ale lekko licząc kilkaset osób skąpanych w bladozielonym blasku surrealistycznego księżyca. Teraz czuła o wiele wyraźniej: wielki, cuchnący kłęb woni starych ludzi u kresu sił i sporej liczby psów. Strumień mężczyzn, kobiet i zwierząt napływał i tłoczył się wokół niej, jednak albo nikt jej w mroku nie zauważył, albo było im wszystko jedno.

Zapachy i hałasy obudziły szczeniaka. Poczowała, że drży ze strachu.

– Spokojnie – szepnęła, przytulając go mocniej i modląc się, by nie zaczął szczekać. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było stać się ośrodkiem zainteresowania. Już przedtem zaplotła włosy w długi warkocz, który wepchnęła pod wełnianą czapkę, ale nadal czuła się za bardzo odsłonięta. Jedno uważne spojrzenie i każdy od razu pozna, że jest nastolatką. Więc wcisnęła na głowę jeszcze baseballówkę, którą znalazła po drodze. Na ile się dało, ukryła twarz pod daszkiem i podniosła kołnierz kożuszka w nadziei, że trochę się zamaskuje.

Rzecz w tym, że tłum nie posuwał się do przodu. Kłębił się niepewnie przed ogromnym osiemnastokołowcem leżącym na boku jak wyciągnięta na brzeg orka. Po obu stronach szosy ciągnął się las, ale nikt nie próbował tamtędy wymijać blokady. Po chwili zobaczyła dlaczego. Wśród drzew, dookoła przewróconej ciężarówce i na jej szczycie, roiło się od innych ludzi i psów. Zza przyczepy dobiegł ją głuchy stukot,

pobrzękiwanie uprzęży. Już wiedziała, że nie myliła się co do koni.

Daleko z przodu jeden z mężczyzn pilnujących blokady krzyczał przez staroświecki megafon:

– Dotrzemy do każdego. Wiemy, że chcecie odpocząć, ale musicie czekać na swoją kolej. Proszę wszystkich o spokój, jesteście bezpieczni. Odmienieni nie zbliżają się do tej drogi.

Odmienieni. Więc tak się ich teraz nazywa? Ale skąd ci ludzie są tacy pewni, że odmóżdzone dzieciaki nie pojawią się tutaj? Zwolniła kroku. Trzymając się na uboczu, balansując na samym skraju ludzkiej cizby, usiłowała zdecydować, co powinna zrobić. Bała się wślizgnąć do lasu, a poza tym ci faceci na ciężarówce mieli karabiny. Dać nura w tłum i próbować się przemknąć? Strasznie ryzykowne. Gdyby na kogoś wpadła, gdyby ktoś się jej uważnie przyjrzał...

Przed nią grupka złożona z trzech osób, mężczyzny i dwóch kobiet, prowadziła labradora, który włókł się niechętnie z tyłu z opuszczonym ogonem. Pachniał psem i solą, i jeszcze czymś, co w nagłym przebłysku przywołało w jej pamięci obraz miski z oślizgłą, wystygniętą owsianką, którą ciocia próbowała jej wmusić następnego dnia po katastrofie śmigłowca. Smutny, pomyślała. Ten pies jest smutny.

I wtedy labrador zastrzygł uszami. Zwietrzyła jego nagłe zdumienie – jak trzask elektrycznego gniazdka, skwierczący syk spaleniźny – a potem pies odwrócił się i

naciągając do ostateczności smycz, tłukąc na wszystkie strony ogonem, zaczął szczekać.

Na Alex.

## 41

Zamknij się, pomyślała, ale pies nie przestawał szczekać. Kolana zaczęły się pod nią trząść, czuła, że nogi ma jak z gumy. Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

– Watson. – Tyczkowaty starszy mężczyzna w kurtce ozdobionej futrem sprawiał wrażenie zdesperowanego i wykończonego. – Spokój! Co ty... – Odwrócił się. Promień latarki przeciął ciemności, przesuwał się po jej ciele, zanim powędrował dalej. Pochyliła się, usiłując zniknąć, ale wtedy zawrócił jak snop światła latarni morskiej i pochwycił ją. Usłyszała zdławiony okrzyk: – O Jezu.

– Co się stało? – zapytała jedna z towarzyszek Tyczkowatego. Czuć było od niej czymś bardzo kwaśnym, kombinacją wielodniowego brudu i mdłego zaduchu wylewającej się złości. Kobieta obrzuciła uważnym spojrzeniem Alex, przyszpiloną światłem jak robak do tekturki. – Cholera – zakląła, a potem rozległ się metaliczny szczęk półautomatycznej strzelby.

– Chwileczkę – zawołała Alex. Teraz szczeniak już żałośnie skowytał. Przytulając pieska jedną ręką, wyciągnęła drugą, otwartą dłonią do góry. – Nie jestem

jedną z nich.

– Jeszcze nie jesteś – odpowiedziała kobieta. Na lewo od niej druga, o wiele starsza, z nosem jak ptasi dziób, wyciągnęła antycznego lugera. – Albo może właśnie wspinasz się po pieprzonej drabinie ewolucji.

– Proszę. – Alex niepostrzeżenie przesunęła się o krok do tyłu. – Ja tylko staram się dotrzeć do...

– Nie z nami te numery, panienko. Nie ma mowy. – Jastrzębionosa odciągnęła zamek, a potem puściła, pozwalając mu z trzaskiem powrócić do przodu.

– Wstrzymaj się, Em – zaprotestował mężczyzna. – Wygląda na to, że ona jest w porządku. Zobacz, ma psa. Zastanówmy się przez sekundę.

– Niech pan spojrzy na swego psa – powiedziała Alex. Labrador nadal szczekał, ale jego ogon tłukł powietrze jak oszalały semafor. Kolejne psy zaczęły ujadać. Głowy obracały się, promienie latarek przebijały mrok. Kałuża światła wokół niej rozszerzała się i rozjaśniała, kiedy coraz więcej osób kierowało w jej stronę latarki. – Pana pies się nie boi.

– Bo jeszcze się nie zmieniłaś – odparła kobieta ze strzelbą.

– Mówię, załatwić ją od razu. – Dama z lugerem zerknęła znad lufy pistoletu. Kościste dłonie zacisnęły się w szpony. – Raz, dwa i po krzyku. A jeszcze lepiej, powieśmy małą dziwkę.

– Zaczekaj. Ona nam się przyda. Z nią na pewno nas wpuszczą – nie ustępował mężczyzna.

– Obejdzie się bez takich. Pamiętacie tę ostatnią, na którą żeśmy się natknęli? Zasnął słodki aniołek, obudziło się zwierzę.

– Ale psy wiedzą, prawda? – przerwała jej Alex. Labrador Watson szarpał smycz. Ze wszystkich stron dobiegało ją skomlenie i zbiorowy pomruk szeptów, niosący się coraz dalej, w miarę jak coraz więcej osób zdawało sobie sprawę z jej obecności. Rozległy się odgłosy wydobywania pistoletów, ściągania karabinów i strzelb. – Czy nie dlatego je trzymacie?

– Ona ma rację – powiedział mężczyzna. – Inaczej nie bralibyśmy Watsona.

– To tylko cholerny pies – warknęła Dama z lugerem. – Co on, do diabła, może wiedzieć? Rozpoznał tę małą dziwkę, która dopadła mojego Cody’ego? Mówiłam mu, żeby ją zabił, ale to było tylko dziecko, tylko słodki, mały, niewinny potwór.

– Cholera, jak jej nie chcecie, to ja ją biorę – włączył się inny mężczyzna w myśliwskim ubraniu moro. W rękę trzymał coś, co wyglądało jak krótki pistolet maszynowy, może uzi, na klatce piersiowej krzyżowały się dwa pasy na amunicję. W obłąkańczym, groźnym uśmiechu szczyrzył bardzo białe i bardzo kwadratowe zęby, zbyt doskonałe i zapewne sztuczne. – Chciałbym zobaczyć, jak któreś z nich mnie atakuje. Niech tylko spróbują.

– Nikt mnie nigdzie nie zabierze. – Alex usiłowała mówić pewnym tonem, ale serce waliło jej tak, jakby chciało się wyrwać na zewnątrz. Szczeniak ucichł i

przytulony starał się w nią wtopić. Zobaczyła, że Uzi przepycha się w jej kierunku. Dała krok do tyłu, potem następny. – Proszę, ja tylko...

– Hej, momencik! – rozległ się w tłumie kolejny głos. Pełen gniewu. – Kto powiedział, że ona jest wasza?

– Ja mówię, że jest moja! – Uzi zacisnął silną dłoń na jej lewym nadgarstku, gdy tymczasem ktoś inny – nie widziała kto – złapał ją za prawy. Poczowała, jak szczeniak drapie jej koszulę. A potem psy zaczęły szczekać. Nie warczały, nie toczyły piany z pysków, ale ujadały w jakimś rozbrykanym szale. Wydawało się, że ludzie dookoła zniknęli. Były tylko szarpiące, łapczywe ręce, wykrzywione gniewnym grymasem usta, zniszczone, stare twarze pełne desperacji, nienawiści i rozpacz. W rzeczywistości wcale nie widzieli jej, Alex, a jedynie to, co dla nich symbolizowała: przyczynę katastrofy – objaw i samą chorobę.

Szczeniak kwilił, usiłując wyrwać się spod jej kożucha.

– Ostrożnie! – błagała. – Przestańcie, bo zrobicie mi krzywdę, przes...

– Spokój! – Mężczyzna stojący przed tłumem krzyczał z daleka przez megafon: – Co tam się dzieje? Wszyscy, proszę o spokój, proszę o spokój!

Trzask pocisków – jakby się coś pruło – i chwiejny snop światła rozdarły noc.

– Mówię, cofnąć się! – Uzi wymachiwał bronią. – Cofnąć się, do ku...

Kolejny strzał, tym razem z tyłu. Uzim szarpnęło. Na twarzy odmalował mu się wyraz osłupiałego zdumienia i mężczyzna ze stukotem runął na ziemię.

– Brać ją!

Rzucili się biegiem. Tłum wrzał wokół niej, popychając ją to do tyłu, to do przodu niczym przy zawodach w przeciąganiu liny. Czyjeś dłonie rwały jej odzież, szarpały za włosy. Kurtka rozchyliła się i szczeniaczek nagle zniknął w ścisku, chociaż Alex słyszała jego skowyt. Mężczyzna z megafonem krzychał, rozległy się kolejne strzały, a potem ona wrzasnęła, bo ktoś ściągnął z niej kożuch.

Jakiś głos wyśpiewywał:

– Ma pistolet, ma pistolet!

W kompletnym chaosie psy miały się i szarpały na smyczach, szczekały i wyły, wzmagając ogólny zgiełk. Teraz wszyscy dookoła krzyczeli:

– Zabić ją! Brać ją! Brać...

Nagle znalazła się w powietrzu, stopy wysunęły się spod niej. Znowu wrzasnęła, kiedy nocne niebo – i ten złowieszczy księżyc – zakreśliły się w pijanym wirze. Podawali ją sobie z rąk do rąk jak tłum tańczący pod gigantyczną sceną. Alex nie miała pojęcia, dokąd ją taszcza, co zamierzają z nią zrobić, a po chwili już leżała przygwożdżona do ziemi, wpatrując się w nich jakby z dna bardzo głębokiej studni.

– Mała dziwka! – Sękaty, rozczapierzone palce właścicielki lugera pomknęły ku twarzy dziewczyny. Z

przeraźliwym krzykiem Alex uwolniła prawą stopę i kopnęła. Poczowała w nodze aż po kolano siłę uderzenia i moment, kiedy kobiecie trzasnął wielki nos. Starucha zatoczyła się, młócąc rękami w powietrzu. Twarz zalała jej spieniona krew.

Alex kopnęła jeszcze raz, ale teraz pochwyciło ją więcej dłoni. Ktoś odciągnął jej głowę do tyłu, odsłaniając gardło. Pomyślała: O Boże, oni chcą poderżnąć...

Zamiast ostrza w skórę wcisnął się szorstki sznur. Krzyk dziewczyny umilkł. Chwilę później powlekli ją za szyję po zimnej, twardej ziemi. Zupełnie jakby powtarzał się koszmar z poprzedniego wieczoru, ale teraz napastników było tak wielu, że nie miała szans. Mimo to walczyła, wijąc się, ryjąc grunt obcasami. Wbiła palce w sznur i poczuła, jak łamią jej się paznokcie, kiedy drapała, żeby mocniej go uchwycić, ale wtedy podciągnęli ją do góry, podtrzymując przed upadkiem, lina napięła się i powietrze przestało dopływać.

Dama z lugerem, której złamała nos, stała tuż za nią. Z szeroko otwartych ust wydobyło się krwawe, drapieżne warknięcie. Tym razem kobieta ścisnęła nóż.

– Pora obciąć ci tę małą główkę! – zajazgotała, wydychając obłok pary, który śmierdział żelazem i furją.  
– Pora obciąć ci...

Niespodziewana kanonada zabrzmiała rześko, ostro, gładko. A później przez zgiełk i łomot krwi w uszach Alex przedarł się bardzo wyraźny głos.

– Biegnij, Dżet, biegnij!



Ktoś krzyknął, kiedy z tłumu wypadł jak pocisk kruczoczarny, ogromny owczarek niemiecki. Dał susa, zanim Dama z lugerem zdążyła się całkiem odwrócić. Miała tylko tyle czasu, żeby podnieść ręce, potem wilczur się na nią wtoczył. Nóż śmignął w powietrze. Kobieta upadła i zaczęła wrzeszczeć:

– Zabierzcie tego psa, zabierzcie tego psa!

– Jezu Chryste – ktoś jęknął.

– Nie strzelać! – krzyczał jakiś mężczyzna. – To jeden z ich, nie strzelać!

Sznur przestał się wbijać w szyję Alex. Po chwili dziewczyna podniosła się na kolana. Płuca ją paliły, gardło bolało, jakby ktoś przeciął je żyłką. Ciężko dysząc, zastygła na czworakach i usiłowała opanować mdłości.

Dama z lugerem nadal wzywała pomocy, ale nikt się nie ruszył ani też – zdumiewające – nikt nie próbował zastrzelić wilczura. Alex nie za bardzo widziała, co się dzieje, kiedy znowu usłyszała, tym razem bliżej:

– Dżet! Puść, piesku, puść!

Oszłomiła ją myśl: Ten głos... ten mężczyzna nie jest stary!

Wilczur natychmiast posłuchał, w płasach porzucił swoją zdobycz, ale nie odbiegł daleko. Ściągając czarne wargi i szczerząc kły, skierował się prosto do Alex. Czekwała bezradnie na kłapnięcie zębów, które rozedrą jej skórę.

Tymczasem pies szturchnął ją nosem: jeden

żartobliwy kuksaniec. Zapach bijący od zwierzęcia był jak bryzg chłodnej wody w upalny dzień. Alex przypomniała sobie ranek, kiedy Mina wyskoczyła z lasu, pędząc im na ratunek, i intensywne uczucie ulgi, które wtedy roztopiło w żyłach lodowaty osad strachu. Przypomniała sobie, jak dziwnie niechętnie opuszczała ją Mina, żeby pójść za Ellie.

Przypomniała sobie wilka: brak zagrożenia.

Naokoło psy jeżyły się i szczyrzyły zęby, ale nie na nią.

Warczały na swoich właścicieli.

Tłum natychmiast ucichł, zapadła grobowa cisza. Ludzie wypuszczali z rąk smycze. Nadbiegłszy pędem, zwierzęta utworzyły wokół Alex ciasny, ochronny krąg. Niektóre lizały ją po twarzy. Inne szturchały nosami, podczas gdy ściągała sobie sznur z szyi. Kiedy czarny wilczur przyłgął do boku dziewczyny, wyraźnie rzucając wyzwanie, żeby ktoś spróbował mu się sprzeciwić, jakieś małe stworzenie skoczyło prosto w jej objęcia. Szczeniak kręcił się i wiercił, tak szalał z ulgi, że próbował wspiąć się Alex na głowę.

– Dobry chłopczyk – wykrztusiła, nadal ogłupiała ze zdumienia.

Właśnie wtedy tłum zafalował i pękł. Zobaczyła starszych mężczyzn z karabinami i strzelbami, przed którymi ludzka ciżba rozstępowała się niczym wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem. Brnęli w stronę gromady psów.

Popatrzywszy w górę, Dżet cicho zaskomlał. Czarny ogon powitalnie młócił powietrze. Podążając wzrokiem za spojrzeniem psa, Alex zdławiła okrzyk zdumienia.

– Nic ci się nie stało? – Chłopak przyklęknął na jedno kolano i sięgnął, żeby ją podtrzymać. Oczy miał barwy dżetu, tak czarne jak jego wilczur, i bardzo wysokie kości policzkowe, zarysowane wyraźnie jak ostrza toporów. Pachniał skomplikowaną mieszanką samej ciemności: zimnej mgły i czarnych cieni.

Z radosnym poszczekiwaniami szczeniak skoczył, żeby polizać go w rękę.

– Hej. – Chłopak uśmiechnął się, czochrając psie uszy.  
– Dobry piesek.

## 42

Ciemnooki nazywał się Chris Prentiss, a jego przyjaciel, Peter, dowodził grupą mężczyzn, którzy – poza kilkoma wyjątkami – byli wystarczająco starzy, żeby ich uznać za dziadków.

– Mam gdzieś te cholerne psy. Nie wiemy, czy to nie pułapka. – Peter nie wyglądał na wiele starszego od Toma. Rozwichrzone, złocistobrązowe włosy opadały mu na muskularne ramiona. – Człowieku, ona może być przynętą.

– Nie jestem – powiedziała. Zaprowadzili ją pod strażą za przewrócony osiemnastokołowiec i teraz siedziała po

turecku w wozie. Odebrali jej plecak, a poza tym któryś z nich mógł mieć glocka, ale tego nie była pewna. Szczeniaczek zwinął się u niej na kolanach i nerwowo strzygł uszami, słuchając kłótni chłopaków. Kiedy wepchnięto Alex do wozu, wilczur wskoczył za nią, po czym spokojnie ułożył się obok, tak jak zawsze robiła to Mina. – Czy psy nie powinny wiedzieć?

Na twarzy Petera błysnęła irytacja.

– Może być jeszcze za wcześnie. Nadal istnieje ewentualność, że się zmienisz. Zresztą psy nie poznają, czy mówisz prawdę o tym facecie. Pojedziemy tam, wpakujemy się w zasadzkę i już po wozie, koniach, broni...

– Myślę, że warto zaryzykować – odezwał się Chris. Małomówny, typ obserwatora. Alex uznała, że jest chyba w jej wieku, może o rok starszy. – Potrzebujemy kogoś takiego jak on. To żołnierz, zna się na materiałach wybuchowych. Zawsze mówisz...

– Wiem, co zawsze mówię. – Kipiąc ze złości, Peter oparł dłonie na biodrach. – Okej. Ale zaczekamy do rana.

– To za długo – zaprotestowała.

Chłopak rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie wydaje mi się, żebym cię o coś pytał. Ale skoro chcesz stąd iść, jak dla mnie, nie ma sprawy.

– Peter – powiedział Chris w swój spokojny, cierpliwy sposób. – Wiesz, że nie możemy jej wypuścić.

Alex nie była pewna, czy podoba jej się to, co słyszy. Z drugiej strony, nieszczególnie pragnęła znów stawić

czoło tłumowi.

– Posłuchaj – zwróciła się do Petera. – Spędziłam tam cały dzień. Nie mówimy o hordach zombie.

– Przykro mi, ale to ty nie wiesz, o czym mówisz – odezwał się Chris. Jego ton nie uległ zmianie, jednak Alex dosłyszała w nim przyganę. – Masz szczęście, że żyjesz. Zaatakowała cię trójka, w dodatku jedno uzbrojone w pałkę. To coś nowego. Nawet jeśli nie skoordynowali działań. Dotąd naprawdę nigdy nie polowali razem. – Chris spojrzał na Petera. – To może być pierwszy krok do zorganizowania się.

– Tym bardziej trzeba szybko jechać po Toma.

– O ile jeszcze nie umarł – powiedział Peter.

– W kółko powtarzasz, że on umrze. Tego właśnie byś chciał?

Chłopak skrzywił się gniewnie.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem takim durniem. Mówię tylko, że naprawdę miałaś fart. Gdyby cię dopadli po ciemku z dala od miasta, mogłabyś tu teraz z nami nie siedzieć.

Jakby nie zauważyli, że właśnie o mało nie zlinczowała jej banda staruszków. W pobliżu Rule też nie było zbyt bezpiecznie.

– To dlatego ustawiliście na drogach blokady? Żeby powstrzymać te odmóżdzone dzieciaki?

– Odmóżdzone dzieciaki. – Peter parsknął niewesołym śmiechem. – Podoba mi się. My ich nazywamy Odmienionymi. Ale owszem, ta granica jest jednym z

powodów, że nie spacerują jeszcze po Main Street.

Ale z pewnością nie jedynym, uznała Alex. Jak można zabezpieczyć całe miasteczko, nie wznosząc ogrodzenia?

– Tylko kiepsko – ciągnął Peter – że znaleźli sposób na przetrwanie. Potrafią się ogrzać, potrafią znaleźć schronienie. Naśladują ludzi. A z tego, co mówisz, wygląda, że uczą się naprawdę polować.

– Więc może nawzajem się powybijają – powiedziała. Pokręcił głową.

– Na razie jeszcze nie są wystarczająco zorganizowani, żeby najechać miasteczko. Ale mogą się tam przedostać, a wtedy już po nas. Jest ich o wiele więcej, niż mamy kul.

Jednak Alex nie dała się odwieść od zasadniczego tematu.

– Macie tylu ludzi. Macie karabiny i strzelby. Z tymi końmi możemy dotrzeć do Toma w ciągu paru godzin. Gdyby któryś z was był ranny, próbowalibyście go ratować, prawda?

– Nie rozmawiamy hipotetycznie – odparł Peter. – Posłuchaj, rozumiem. Zależy ci na nim. To widać. Wygląda, że chłopak był naprawdę w porządku.

– Jest – poprawiła go. Oczy napęłniły jej się łzami. – Jest w porządku.

– Peter – powiedział cicho Chris – jedźmy po niego. Nie zostało nas zbyt wielu. Jeśli nie my będziemy walczyć o siebie, to kto? Skoro on należy do Oszczędzonych, sprawa jest warta ryzyka.

Alex wychwyciła nacisk na: Oszczędzonych. Jak Odmienionych. Oni nie widzieli w Tomie ani w niej, ani nawet w samych sobie tych, co przeżyli. Byli Oszczędzonymi, niczym ludzie, którzy uniknęli Bożego gniewu.

– A niech to szlag – burknął Peter. Obcasem buta przejechał po śniegu i Alex poczuła ostrą woń słabnącego oporu. – W porządku. Ale ty zostajesz, Chris.

Ten pomysł niezbyt jej się spodobał – nie dlatego, że miała w Chrisie sprzymierzeńca, ale Peter wyraźnie jej nie lubił. Więc gdyby zdarzył się jakiś wypadek...

Widocznie Chrisowi przyszło do głowy to samo.

– Nie myślę, żeby to miało sens.

– Jasne, jasne, właśnie w tym rzecz. Nie myślisz – warknął Peter. – Ale ja myślę i nie chcę się potem tłumaczyć przed Wielebnym albo Radą, czemu do diabła ty zginąłeś, a ja nie.

Odłamek lodu przeszył ciemną mgłą woni Chrisa. Na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad gniewu; nie zdradzało go nic oprócz zapachu. Chłopak mógł być tylko odrobinę starszy od Alex, jednak potrafił zachować idealny spokój. W pewnym sensie przypominał jej Toma. Pomyślała, że już rozumie, dlaczego jego zapach jest taki... jak miała to określić? Ciemny. Nie zły, ale zagadkowy, jakby Chris potrafił dobrze się maskować. Może przez całe życie pertraktował z ludźmi, żeby przetrwać?

– Mojego dziadka tu nie ma – odparł, nie podnosząc

głosu. – Rady Pięciu tu nie ma. Jesteśmy tylko my, Peter, a umowa była taka, że mamy się wzajemnie strzec. Więc jadę.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Peter oschle skinął głową.

– Świetnie. Jeśli się nam poszczęści, dotrzemy tam parę godzin przed świtem. A teraz wybaczcie, muszę przekonać pozostałych do tego obłąkanego planu.

Kiedy oddalił się ciężkim krokiem, Alex zwróciła się do Chrisa:

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odparł, ale nie uśmiechnął się, a jego zapach zgęstniał, znowu spowijając go mrokiem. – Nie zrobiłem tego dla ciebie.

– A gdyby Peter kazał ci wpakować mi kulkę w głowę?

– Nie sądzę, żebyś chciała się w to zagłębiać.

## 43

Było ich razem ośmioro. Dwóch konnych trzymało straż z obu stron wozu, Peter jechał na przodzie, a jeszcze jeden mężczyzna pilnował tyłów. Chris powoził. Alex siedziała między nim a Dżetem ze szczeniakiem zwiniętym w kłębek na kolanach.

– Miły piesek – odezwał się Chris.

– Co? – Wszystko brzmiało tak głośno: skrzypienie



wozu, brzęk uprzęży, głuchy stukot końskich kopyt. Po dniach czajenia się, ukrywania po lasach, kiedy przy każdym trzaśnięciu gałązki o mało nie wyskakiwała ze skóry, Alex miała już lekkiego bzika na punkcie hałasu.

– Twój piesek. W tej okolicy nie widuje się zbyt wielu weimarów.

– Weimarów?

– Wyżłów weimarskich. Kiedy wyrośnie, będzie naprawdę duży. Jeśli się nie mylę, to srebrny duch. – Na widok jej zmieszanej miny uniósł kącik ust w półuśmiechu. – Nie za dużo wiesz o psach, prawda?

Poza tym że niespodziewanie mnie polubiły? – pomyślała.

– W życiu nie miałam żadnego.

– Chodzi o kolor sierści. Na wyżły tego rodzaju mówi się srebrne duchy. Jak się wabi?

– Nie było czasu, żeby go nazwać. – Spojrzała z góry na szczeniaka. – Podoba mi się Duch.

– Imię dobre jak każde. Ale zanim będziemy mogli pozwolić ci go zatrzymać, nasz weterynarz musi rzucić na niego okiem.

– W miasteczku jest weterynarz?

– Tak. I przydałoby się jeszcze kilku. Mamy sporo żywego inwentarza i oczywiście wszystkie te psy. Mnóstwo ludzi tędy przechodzi, więc w końcu trafi się i weterynarz.

Przypomniała sobie kłótnię o Toma: „Potrzebujemy kogoś takiego jak on”.

– To właśnie robiliście przy blokadzie? Odławialiście tych przydatnych?

– Yhm.

– Nie wygląda, żeby ci było przykro.

Nawet przy tym dziwacznym świetle księżycy oczy i włosy Chrisa były tak ciemne jak jego zapach.

– To konieczne.

– Jak możecie ludzi odprawiać?

– Robimy, co musimy. Nie dysponujemy nieograniczonymi zapasami. Czy masz szansę zostać, zależy od tego, co przynosisz na wspólny stół.

– To dosyć okrutne.

– Tak, masz rację. Ale jedzenia nie starczy dla wszystkich, więc musimy zrównoważyć, kogo bierzemy z tym, czego potrzeba. Teraz brakuje nam siły roboczej, ludzi do doglądania zwierząt i ogólnie prac gospodarczych. I mężczyzn do obsadzenia granicy. Przyjdzie wiosna, trzeba będzie siać, sadzić, uprawiać. Wtedy może wpuszczymy więcej osób – to znaczy, jeśli nadal będą napływać.

– Kto o tym decyduje? Peter?

– Nie. Rada Pięciu.

– Coś w rodzaju – zmarszczyła brwi – rady miejskiej? Pokręcił głową.

– Raczej starszyzny.

O mało się nie roześmiała.

– Teraz prawie wszyscy są starsi.

– Oprócz nas, to prawda. Ale więzi rodzinne tych

ludzi sięgają daleko, daleko wstecz. Przodkowie Wielebnego – Yeagerowie – budowali Rule praktycznie od podstaw i któryś Yeager zawsze stał na czele Rady. O ile wiem, Rada Pięciu od dawna zarządza miasteczkiem.

Ostrzegawczy dzwoneczek.

– Przecież Peter powiedział, że Wielebny jest twoim dziadkiem. A ty masz na nazwisko Prentiss.

– To prawda. Zanim dorosłem, nigdy nie widziałem dziadka.

– Więc nie mieszkałeś tu przedtem?

Wyczuła nagłą rezerwę, powściągliwość, która pachniała ostro sekretami i wstydem. Jego woń jeszcze pociemniała.

– Nie. Pochodzę z Merton. Stąd to jakieś sześćdziesiąt mil na południowy wschód. A ty?

– Evanston w Illinois. O rzut beretem od uniwersytetu Northwestern.

Jakby błysk rozbawienia.

– Właśnie złożyłem podanie do Northwestern. Nie był moim pierwszym wyborem.

Okej, więc był w ostatniej klasie. Siedemnaście lat albo, co bardziej prawdopodobne, osiemnaście.

– A co było?

– Naprawdę teraz to ma jakieś znaczenie?

Uch. Poczwała, jak szlaban się zatrząskuje. Uznała, że na to nie da się odpowiedzieć, więc wlepiła wzrok w gromadę chmur przepływających przez tarczę obcego księżyca. Szczeniaczek, posapując, przytulił się jeszcze

mocniej.

– Przepraszam – powiedział Chris. – Po prostu nie lubię patrzeć wstecz. To bezcelowe. Tak czy tak, wszystko przepadło.

– Skąd wiesz?

– Znaleźliśmy gdzieś stare radio, z tych co nadal działają.

Tętno zabiło jej mocniej. Harlan i Brett zabrali radio rangersów, kiedy ukradli ciężarówkę.

– Gdzie je znaleźliście?

Być może usłyszał coś w tonie Alex, bo rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

– Na farmie, dziesięć mil od miasta.

– Och. – Starła się ukryć rozczarowanie w głosie. – Dużo programów udało wam się złapać?

– Niezbyt, a w miarę upływu czasu coraz mniej. Ale wystarczająco, żeby się dowiedzieć, jaki panuje chaos. – Przerwał. – Gdzie byłaś, kiedy to się stało?

Podawała mu absolutne minimum: góra, Jack, Ellie. Nie zapytał, co robiła w Waucamaw ani o jej rodziców, więc nie widziała powodu, żeby wyrywać się na ochotnika z tymi informacjami.

– A ty? – zapytała. – Gdzie byłeś?

– W szkole. Czy raczej przed szkołą. Pomagałem nauczycielce chemii zdetonować bombę dymną dla drugoklasistów. Kobieta po prostu upadła. W pierwszej chwili myślałem, że zemdlą, ale ona już nie żyła.

– I jak sobie poradziłeś?

– Przed czy po tym, jak samolot rąbnął w boisko do piłki nożnej?

– Po.

– O mało nie zatłukłem podręcznikiem na śmierć jakiegoś małolata. Inaczej pozbawiłby mnie twarzy. W tej grupie była dziewczyna. Nic się z nią nie stało, tylko spanikowała i popędziła na drugie boisko, do innych dzieciaków. Większość się nie zmieniła. Ale niektórzy tak i ścigali pozostałych.

– O Boże. – Alex nawet nie chciała sobie tego wyobrazić.

– Wtedy zauważyło ją takich pięciu mięśniaków z drużyny futbolowej. Wdarli się na boisko i rozszarpali tę dziewczynę na kawałki, a potem zaczęli rzucać się na najmłodszych. – Znowu przerwał. – Nadal czasami to widzę, kiedy zamykam oczy. I słyszę. Cały ten obłąkany chaos.

– Co zrobiłeś?

– Nie to, co myślałem, że zrobię – odparł. – Uciekłem.

Przez chwilę jechali w milczeniu, aż wreszcie Alex zapytała:

– Jak to się stało, że znalazłeś się w Rule? Z powodu dziadka?

Pokręcił głową.

– Samochód nie chciał mi zapalić. Do domu miałem dwadzieścia pięć mil. W dodatku Merton to spore miasto. Po tym, co widziałem w szkole, uznałem, że tam będzie

pięćset razy gorzej. Wszyscy ci ludzie – martwi, mordowani albo wpadający w obłąd. Nie było sensu wracać.

– Ale mimo wszystko to dom.

– Mieszkałem tylko z tatą. – Cienie w jego zapachu zgęstniały i Alex pomyślała, że ojciec nie jest osobą, o której Chris lubi myśleć. – Teraz, kiedy wiemy więcej – w jakim wieku ludzie z miejsca padali trupem – tym bardziej widzę, że byłoby to bezcelowe. On miał pięćdziesiątkę.

– Ale wtedy nie mogłeś tego wiedzieć. A poza tym muszą być wyjątki. Popatrz na nas.

– My tylko potwierdzamy regułę. Na ile można stwierdzić, większość normalnych ludzi w tych okolicach jest albo naprawdę młoda, albo w wieku sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt i więcej.

– Och. – Gwałtownie szukała stosownych słów. – Cóż, ojciec na pewno chciał, żebyś się uratował. A nie żebyś zginął.

Kącik ust Chrisa znowu się uniósł.

– Nie znałaś mojego taty.

Tym razem naprawdę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ilu nas jest?

– W Rule? Hm, łącznie-mamy pięćset osób. Z czego sześćdziesiąt trzy to Oszczędzeni.

– Sześćdziesiąt trzy dzieciaki na pół tysiąca ludzi?

– Dokładnie. I tylko dwadzieścioro pięcioro w naszym wieku: dwunastu chłopaków, trzynaście dziewczyn. – Zmierzył ją spojrzeniem. – Teraz już czternaście.

– Dwadzieścioro pięcioro?

– Uhm. Peter jest najstarszy. Ma dwadzieścia cztery lata. – Zawahał się. – W gruncie rzeczy to całkiem porządny facet, jak się go już lepiej pozna.

Alex wstrzymała się z oceną.

– Skąd można wiedzieć, że się jeszcze nie zmienimy? Może to tylko kwestia czasu, jak powiedział Peter. – Przypomniała jej się córka Larry’ego. – Czy od momentu Elektrouderzenia któreś z młodszych dzieciaków się zmieniło?

– Nigdy nie aż tak dalece.

Nie zrozumiała.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie pozwalamy sprawom zajść aż tak daleko. – W świetle księżyca jego twarz majaczyła niewyraźnie. – Jak myślisz, po co trzymamy psy?

System wczesnego ostrzegania, uświadomiła sobie. Jak kanarki w kopalni, psy potrafią wyczuć zmianę, zanim jeszcze do niej dojdzie. Nadal jednak nie mogła w to uwierzyć.

– Decydujecie o czyimś losie na podstawie tego, co uważa pies?

– Dotychczas jeszcze nigdy się nie pomyliły.

A więc mieli już w tym doświadczenie. Boże, czyżby trzymali te dzieciaki pod kluczem i obserwowali przemianę? Jak jakiś eksperyment, żeby się upewnić? Musieli tak robić, bo inaczej nie wierzyliby do tego stopnia psom.

Zalała ją fala nierealności. Kiedy ustąpiła, Alex czuła się roztrzęsiona i chora. Psy wskazują dzieciaki, a wtedy ci ludzie... co oni wtedy robią? Wyrzucają podejrzanych z miasteczka? Zabijają? Wróciła myślą do tamtych trojga: dziewczyny z pałką i dwóch chłopaków. Dotąd specjalnie się nad nimi nie zastanawiała. Była zbyt zaabsorbowana szukaniem ratunku dla Toma, a potem odpieraniem ataków tłumu. Poza tym to bezcelowe, używając powiedzonka Chrisa. Przecież tylko się broniła. Nie miała wyboru.

– Robimy, co musimy, żeby przetrwać – odezwał się cicho Chris. – Kiedy trochę tu pomieszkasz, zrozumiesz. Najgorsze, że w pewnym sensie już rozumiała.

## 44

Ciała nastolatków nadal leżały tam, gdzie upadły – tam, gdzie ich zabiła – na parkingu przed sklepem. Co od razu nasuwało kolejne interesujące pytanie: dlaczego na trupach Odmienionych nie ucztowali zwyczajni padlinożercy? Chociaż najwyraźniej odwiedzili to miejsce. Zwłoki Neda były już pozbawione głowy, jakieś stworzenie odwlokło jego lewą rękę. Jednak tamtych trojga nikt nie tknął.

A jednak ktoś jeszcze tu grasował.

Tylne drzwi sklepu zostały otwarte siłą. W pokoju na zapleczu wałała się sterta samochodowych dywaników,



cuchnęło burbonem i zakażeniem. I to wszystko.  
Tom zniknął.

# **Część IV**

## **Rule**

Trzask odległej strzelaniny wyrwał Alex z jeszcze jednego niespokojnego snu. Jej mózg zarejestrował ukośną kreskę porannego słońca w i tak zbyt jasnym i bardzo zimnym pokoju, miękkie łóżko, krzepiące – jakże normalne – zapachy kiełbasy, jajek, smażonych ziemniaków i... tak... kawy. Mimo to nie odczuwała głodu ani wdzięczności. Wydawało jej się, że tonie, jak wtedy, kiedy człowiek zasypia z nadzieją, że po przebudzeniu świat się zmieni, a potem odkrywa, że tak się nie stało. Owszem, po raz pierwszy od opuszczenia strażnicy była bezpieczna, ogrzana, nakarmiona i czysta, ale Tom zniknął. Zawaliła sprawę.

Kolejne strzały. Niezbyt liczne. Po trzech dniach – zbliżało się już Święto Dziękczynienia – przywykła do tych odgłosów, których było czasami więcej, czasami mniej.

Naciągnęła poduszkę na głowę, żeby stłumić hałas i światło. Nie miała za co dziękować. Wszystko schrzaniła. Tom nigdy by jej nie zawiódł. Nie powinna była go opuszczać. Boże, to takie niesprawiedliwe. Najpierw rodzice, potwór, jej życie, szkoła przyjaciele, potem ciocia Hannah, Ellie, Mina, a teraz Tom...

Wiedziała, że musi się stąd wydostać, musi odnaleźć Toma i Ellie. Należało zgromadzić zapasy, zdobyć plecak, mapę, broń. Ale co potem?

Rozległo się energiczne stukanie do drzwi – bardziej formalność niż cokolwiek innego. Gałka obróciła się i do pokoju wetknęła głowę Jess.

– Wydawało mi się, że słyszę, jak się ruszasz – powiedziała. – Pora zejść na dół. Przyszedł Matt zabrać cię na spotkanie z Wielebnym.

– Po co? – Minęły trzy dni, a jej ciało nadal było jednym wielkim sińcem; plecy ją bolały, gardło miała zdarte, ręce pokrywała stebnówka gojących się skaleczeń i zadrapań. – To i tak niczego nie zmieni.

– No już, dziewczyno, dosyć rozczulania się nad sobą. – Jess przypominała bibliotekarkę-starą pannę: oschła i kompetentna, ze stalowoszarymi włosami upiętymi w kok. Brakowało jej tylko ołówka za uchem i dyndających na łańcuszku okularów kocie oczy. – List do Koryntian mówi: *Wiemy jest Bóg i nie dozwoli was kusić ponad to, co potraficie znieść, lecz zsyłając pokusę, równocześnie wskaże sposób jej pokonania, abyście mogli przetrwać.* [list do Koryntian 10:13]

– Tak?

– Tak. To znaczy, że trzeba przestać się nad sobą użalać. Bóg cię wystawia na próbę.

– Skąd pani to wie? – odparła Alex, czując się właśnie bardzo rozzalona.

– A jak myślisz? – Jess zaczęła odliczać na palcach. – Zobaczmy. Przetrwałaś atak. Nie zmieniłaś się. Uratowałaś dziecko. O mało nie zostałaś pożarta przez dzikie psy.

O mało nie zostałam pożarta przez Odmienionych. Wreszcie o mało nie zostałam zlinczowana. I jeszcze jedno, psy cię lubią. Czy coś pominęłam?

Tak, pomyślała z goryczą. Zawiodłam jedyne go człowieka, który prędzej by umarł, niż mnie skrzywdził.

– Nie rozumiem, dlaczego to miały być próby. Po prostu tak się wydarzyło.

– Zatem jesteś kompletnie ślepa i najwyższy czas, żebyś się ocknęła. Nie ty jedna masz problemy. Tutaj, w Rule, każdy stracił kogoś bliskiego, niektórzy nawet więcej niż jedną osobę. Widziałam, jak konały moje córki, ale dziękuję Bogu, że mój wnuk został oszczędzony. Nasze życie legło w gruzach, jednak nie zobaczysz, żeby ktoś się snuł z ponurą miną i rozczulał nad sobą. Wszyscy pracują. To dotyczy też ciebie, młoda damo. A teraz zabieraj się z łóżka, zanim sama cię ściągnę.

– Nie jest pani moją matką – burknęła Alex i zaraz pomyślała: Rany, czy to nie teksty Ellie?

– I dziękuj za to Bogu – odparowała Jess. – Nie jestem tyranem, ale ani ty, ani ja, ani nikt inny nie ma tutaj czasu na wielkie żale. Na dole wariuje szczeniak, bo tak bardzo chce cię zobaczyć. I czeka praca do zrobienia.

– Nie muszę pani słuchać.

– Pod moim dachem musisz. – Kiedy dziewczyna nie odpowiedziała, Jess z westchnieniem usiadła na łóżku. – Alex, nie sprawia mi to przyjemności. Wołałabym, żebyśmy się dobrze dogadywały.

Alex pomyślała, że to pewnie prawda, jednak starszą

panią trudno było rozszyfrować. Przy całym wrażeniu szczerości, jakie sprawiała, jej zapach był... hm, wyobrażała sobie, że tak pachnie biel. Żadnej mgły; nic zagadkowego jak u Chrisa. Zapach Jess był pustym miejscem.

– Zacznijmy od tego, że zostawi mnie pani w spokoju.

– Nie. Wiem, że to zabrzmie banalnie, ale jeśli Tom tyle dla ciebie znaczył, to nie chciałby cię widzieć w takim stanie.

Z tego, co mówiłaś, był bardzo dobry i bardzo odważny.

I właśnie taki młody człowiek zobaczył w tobie coś wartego uratowania – nie jeden raz, a kilka. Możesz sobie wmawiać, że to tylko odruch, że Tom zrobiłby to samo dla każdego, że nie miał wyboru. Ale pamiętaj o jednym: ostatecznie, skarbie, wybrał ciebie, a nie swego przyjaciela. Ciebie. – Jess odgarnęła dziewczynie z czoła pasmo włosów. – Biblia powiada: *Przez wiarę Abel złożył Bogu ofiarę cenniejszą od Kaina [...], toteż choć umarł, przez nią jeszcze mówi.* [List do Hebrajczyków 11:4.]

– Co to znaczy? – spytała Alex żałośnie.

– To, że musisz uszanować ofiarę Toma. Jego uszanować. On chciał, żebyś żyła.

– Czuję się, jakby życie było jakąś karą. – Łzy ściekły jej po policzkach. – Wszyscy, na których mi zależało, odeszli.

– Póki życia, póty nadziei – powiedziała Jess. – A nadzieja mówi, że przede mną kolejny dzień i to też jest

błogosławieństwo.

– Z czego to?

– Księża Jess – odparła starsza pani. – A teraz wstawaj. Spraw, żeby cierpienie Toma nie okazało się daremne.

W kuchni Jess krzątała się nad patelnią, podczas gdy współlokatorki Alex – Lena, arogancka brunetka w jej wieku i okrągłutka, wesola szesnastolatka, Tori – zmywały i wycierały naczynia. Starszy mężczyzna o pobrużdżonej, ogorzałej jak u kowboja twarzy siedział zgarbiony nad białym wiejskim stołem. Przeżuwając, podniósł wzrok znad kubka kawy i nadgryzionej muffinki, przełknął i dopiero wtedy się odezwał:

– Witaj, słoneczko. Jak się spało?

– Dobrze, dziękuję, doktorze – odparła Alex. Pierwszego dnia Kincaid powiedział, żeby nazywała go Mattem albo doktorem, do wyboru. Jednak ona po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby mówić po imieniu facetowi dobiegającemu siedemdziesiątkipiątki. Po jej lodowatym pokoju kuchnia – ogrzana przez staroświecki żeliwny piec, upojnie pachnąca cynamonem, gałką muszkatołową i jabłkami – przynosiła ukojenie. Alex poczuła, że burczy jej w żołądku, a ślina napływa do ust.

Otworzyły się boczne drzwi i do środka wpadł Duch. Na widok swojej pani szczeniak radośnie zaszczekał, przybiegł pędem i w ogóle narobił zamieszania. Z

uśmiechem schyliła się, żeby poczochnąć tarzającego się pieska po brzuszku.

– Jak się miewasz, dużutki chłopczyku?

– Raczej, grubiutki chłopczyku – skomentowała dziewczyna, która właśnie weszła z Duchem. Sarah była maleńka, ciemnooka i tak delikatna jak porcelanowa lalka. Ściągnawszy różową wełnianą czapkę, potrząsnęła jasnymi kędziorami. – Praktycznie stacza się po schodach.

– Jak już skończysz stroić fochy, może sama byś dla odmiany wyszła na to zimno – burknęła do Alex Lena.

– Mnie to nie przeszkadza, mogę z nim spacerować. – Sarah uklękła, podrapała Ducha po brzuszku i zachichotała, kiedy szczeniaczek wił się nieporadnie na grzbiecie. Potem jej twarz posmutniała. – Mój brat miał psa, takiego naprawdę ślicznego, małego spaniela. Ale zabił go samochód.

– Teraz już nie ma samochodów, więc nie musisz się o nic martwić – znowu wtrąciła się Lena.

– Bardzo ci jestem wdzięczna za pomoc, Sarah – powiedziała Alex, ignorując złośliwą brunetkę, która wymownie przewróciła oczami.

– Alex, umyłam ci talerz. – Tori, wycierając ręce w ściereczkę, odwróciła się od zlewu. Policzki miała zarumienione, włosy skręcały jej się w loczki od pary. – Usiądź, podam ci...

– Wiesz, ona nie jest kaleką. – Lena z brzękiem odłożyła wytarty talerz na stos naczyń. – Przestań być takim lizusem.



Alex poderwała się na nogi.

– Dzięki, Tori. Wezmę sobie.

Brwi Tori zmarszczyły się, a usta ułożyły w małe, zranione „o”.

– Nie podlizuję się – powiedziała do Leny.

Lena pogardliwie prychnęła.

– Jasne, oczywiście. To, że Chris się tu ciągle pałęta, jeszcze nie znaczy, że Peter...

– Dostyc – przerwała jej ostrzegawczym tonem Jess.

– Co? Tylko mówię. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy traktujecie ją, jakby była inna niż my.

– Bo wiesz – zaczęła nieśmiało Sarah – słyszałam, że psy...

– Psy, psy, psy. – Lena znów w przesadny sposób wywróciła oczami. – One nie są takie znowu mądre. A jeśli zwierzęta też się zmieniają? Czy ktoś w ogóle o tym pomyślał? Przecież tamtego dnia wszystkie równo dostawały świra.

– Dziękujemy ci za te oszałamiająco precyzyjne naukowe spostrzeżenia – odparła Jess, fachowo przewracając na patelni sadzone jajko. – Jak już będziesz dyplomowanym weterynarzem, z pewnością poproszę cię o opinię. No już, kiedy ostatnio spojrzałam, naczynia same się nie wycierały.

Lena bez większego przekonania walnęła odstawanym kubkiem.

– A kiedy ona zacznie? Nam by pani nigdy nie pozwoliła migać się od tego gówna.

– O, moje uszy – odezwał się Kincaid.

– Leno Christino Stoltz. – Jess odkroiła dwie grube pajdy ciemnego chleba. – Nie zamierzam tolerować chamstwa w moim domu. Jeszcze jedno rynsztokowe słowo i będę zmuszona porozmawiać z Wielebnym.

– Blef. – Lena rzuciła ścierkę. – Nie zrobi pani tego i Rada mnie nie wyrzuci, bo nas potrzebujecie. Jesteśmy ci Oszczędzeni, jesteście cenni.

– Lena, oni po prostu chcą nas chronić – powiedziała Tori.

– Chronić? Siedzimy w więzieniu. Nigdy nie pozwolą nam odejść.

– Ale to dla naszego dobra.

– Fakt, że mówią tak dorośli, jeszcze nie oznacza, że to prawda. – Lena gniewnie spojrzała na Jess. – Możecie mnie tu trzymać nawet milion lat, ale nigdy mnie pani nie zmusi, żebym się z panią zgadzała.

– Nie obchodzi mnie, czy się ze mną zgadzasz. – Jess spokojnie nalewała kawę do srebrzystego termosu. – Ale żeby była jasność. Kiedy zostaniesz Wybraną...

– Prędzej się zabiję.

– Kiedy zostaniesz Wybraną, możesz sobie robić, co ci się żywnie podoba, pod swoim własnym dachem. A dopóki mieszkasz tutaj, będziesz stosować się do zasad albo poproszę Wielebnego o ponowne rozważenie twojej sprawy. Nie sądzę, żebyś chciała testować moją cierpliwość. – Jess zakręciła termos. – Zrozumiano?

W kuchni zaległa cisza. Nawet Duch się uspokoił. Tori

wyglądała, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem, Sarah zrobiła się mlecznobiała. Wzrok Alex ześlizgnął się z pobladłej twarzy Leny i utkwiał w podłodze, ale myśli nie przestawały wirować.

Wybrana? – zastanawiała się. Co to znaczy? Lena próbowała odejść, ale jej nie puścili? Chwileczkę...

– Tak, proszę pani. – Głos brzmiał cicho, jednak Alex mogła w nim wyczuć gorące, ostre żądło furii.

– Świetnie. – Jess wetknęła termos pod pachę i wzięła zapakowaną kanapkę. – A teraz proszę mi wybaczyć, ale biedny strażnik już wystarczająco długo czeka w tym zimnie na śniadanie. – Drzwi zamknęły się za nią ze stanowczym kliknięciem.

Przez chwilę nikt się nie ruszał. Potem Sarah podeszła do Leny i dotknęła jej ramienia.

– Jakoś to będzie – powiedziała. – Też tęsknię za swoją mamą.

Lena strząsnęła jej rękę.

– Wcale za tą suką nie tęsknię – syknęła i wypadła z kuchni. Po chwili Alex usłyszała tupot nóg na schodach.

Milczenie przerwał doktor Kincaid:

– Tori, jeśli można, bardzo chętnie zjadłbym jeszcze jedną muffinkę.

## 46

Kincaid przyprowadził dla niej łagodną, srokatą klacz

o imieniu Pszczółka, jednak Alex stawiała opór.

– Nigdy nie jeździłam konno – protestowała, ignorując opartego o bramę strażnika, który wyglądał na szczerze ubawionego. Jego pies, płowy pitbull, w podskokach domagał się, żeby Alex go głaskała. – Dlaczego nie możemy pójść piechotą?

– Bo szybciej jest pojechać – odparł doktor. – Uwierz mi, jeśli przydzielą cię do którejś z farm, będziesz szczęśliwa, mając konia.

– Ta – powiedział przeciągle strażnik, popijając parującą kawę. – Inaczej będziesz wstawać, jeszcze zanim pójdziesz spać.

– No dalej, Alex – ponaglił Kincaid. – I zostaw już tego psa.

– Idę, idę – odparła z uśmiechem. Czując, że traci jej uwagę, pitbull przewrócił się na grzbiet, po czym zaczął rozpaczliwie pedałować w powietrzu. Alex schyliła się i podrapała go pod brodą, aż zastękał z zadowolenia. – To nie moja wina.

– Wygląda, że teraz mamy własną zaklinaczkę psów. – Strażnik pokręcił głową. – Lucy nikogo nie lubi, ale jak mówią, zobaczyć to uwierzyć. Lucy, chodź tu natychmiast, do nogi!

Z niemal ludzkim westchnieniem pitbull stanął na łapy, rzucając dziewczynie pełne wyrzutu spojrzenie: Zrób coś. Potem, zwiesiwszy łeb, powlókł się z powrotem do swego pana i powarkując, usiadł.

Dopiero po kilku próbach Alex udało się wylądować

w siodle, a jeszcze trochę czasu zajęło Kincaidowi zamieszanie ze strzemionami i krótka lekcja, do czego służą cugle, jak siedzieć, co robić. Potem ruszyli w stronę miasta zachęceni poszczekiwaniami Lucy.

– Bardzo dobrze. Szybko chwytasz – pochwalił doktor, który dosiadał szczupłej, cętkowanej klaczy, Appaloosy. – Parę dni i będziesz galopować.

– Uhm. – Jednocześnie pomyślała: Tak, i może pogalopuję stąd w świat. Niestety, wyglądało na to, że Pszczółka najchętniej podąża przez życie krokiem spacerowym.

Pomimo tego spokojny ruch zwierzęcia był przyjemny. Każdy pies, którego mijali – a spotkali ich niemało – radośnie szczekał i szarpał smycz, szaleńczo merdając ogonem.

Kincaid zmierzył Alex uważnym spojrzeniem.

– Psy zawsze tak się chciały przyjaźnić?

– Nie ze mną.

– Yhm. – Przyglądał się, jak strażnik próbuje zmusić czekoladowego labradora, żeby usiadł. – Cóż, trzymaj tak dalej, a nigdy nie będziesz samotna.

Dom Jess stał nieco na zachód od centrum, oddalony od niego pewnie mniej niż pół mili. Po drodze doktor w kilku słowach przedstawił Alex sytuację miasteczka. Zawsze było małą, praktycznie zamkniętą społecznością; przystankiem pomiędzy nieczynną od lat kopalnią a innymi ośrodkami, które niegdyś stanowiły jej zaplecze. Jednak po ataku Rule rozrosło się, biorąc pod ochronę

pobliskie tereny wraz z majątkiem, głównie las, farmy i żywy inwentarz. Poczynając od piątej mili za miasteczkiem, wszystkie większe drogi były barykadowane z jednomilowymi odstępami i strzeżone dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeszcze więcej pieszych patroli z psami krążyło po lesie. Jedyna szosa prowadząca do Rule wiodła z północnego wschodu. Osoby, którym nie pozwolono pozostać, eskortowano na południowo-zachodni kraniec osady, trzydzieści mil na północ od kopalni.

– W mieście właściwie masz wolną rękę, chociaż nie możesz bez obstawy wyjechać poza centrum – opowiadał Kincaid. – Jeśli chodzi o Oszczędzonych, nastroje nadal są trochę napięte. Nie chcemy, żeby coś ci się stało.

Sposób, w jaki nie tylko doktor, ale i inni wymawiali słowa Oszczędzeni czy Odmienieni, wprawiał ją w duże zakłopotanie. I te Wybrane też. O co tu chodziło? W ogóle cała sceneria wydawała się Alex o wiele za bardzo religijna, na czele z pastorem i jego Radą Pięciu. Może wszyscy ci ludzie należeli do jakiejś sekty, jak w Jonestown albo Waco? Wystarczyło spojrzeć na Jess sypiącą biblijnymi cytatami. Wyglądali też na dobrze zorganizowanych, jakby mieli na podorędziu zestaw reguł z życia w czasach przed atakiem.

– To dlatego muszę się spotkać z tym pastorem i Radą? Żeby ustalili, co ze mną będzie?

– Tak jakby. Wielebny jest bardzo praktyczny, a Rada wszystkim kieruje i na podstawie aktualnych potrzeb

decyduje, kto dokąd pójdzie i co ma robić.

– Wybraliście ich czy coś w tym rodzaju?

Kincaid pokręcił głową.

– Pięć Rodów zarządza miasteczkiem od chwili jego powstania. Ród Wielebnego – Yeagerowie – ma największe wpływy. Są najbogatsi i jako pierwsi budowali Rule, które liczy sobie już ponad sto pięćdziesiąt lat. Byli właścicielami kopalni, wzniesli kościół. Po śmierci ojca Wielebny i jego brat przejęli kopalnię. Padła mniej więcej dwadzieścia lat temu, ale dotąd mieszkają tu tacy, którzy przepracowali w niej całe życie. Ten rodzaj lojalności i poczucia więzi pomaga przetrwać ciężkie czasy. Yeagerowie przedtem opiekowali się mieszkańcami Rule i ludzie liczą, że tak będzie nadal.

– Więc wszyscy słuchają pastora Yeagera?

– Wielebnego. Tak. Można powiedzieć, że on jest ostateczną instancją.

– A gdyby pozostali członkowie Rady w jakiejś sprawie mieli inne zdanie?

– Nigdy do czegoś takiego nie doszło.

Wszyscy zawsze się zgadzali, zawsze byli przekonani co do słuszności opinii jednego człowieka? To nie brzmiało dobrze. Chyba nie mogli zawsze być jednomyślni?

– A jeśli zechcę stąd odejść? Tam zostali Ellie i Tom...

– Hm, o ile dobrze zrozumiałem, nie wiesz, gdzie oni są. Prawda?

– Prawda, ale to nie znaczy, że nie powinnam ich

szukać.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, od czego zacząć?

Alex przełknęła kąśliwą ripostę.

– Nie.

– Więc póki nie będziesz miała, może lepiej, jeśli znajdziesz sposób, żeby się tutaj dopasować.

– Ale Rule nie jest moim domem – odparła. Przez myśl przemknęły jej słowa Leny i ogarnęło ją złe przeczucie. – Nie jesteście moją rodziną.

– Hm, zobaczymy, co się da w tej sprawie zrobić – odparł.

Centrum miasteczka nie było duże. Północno-zachodni narożnik głównego placu zajmowały wielki, biały kościół i plebania. Po zachodniej stronie rozsiadł się, wzniesiony z tradycyjnego czerwono-brunatnego piaskowca, piętrowy ratusz o wysokich, łukowato sklepionych oknach i wieży zegarowej. Od południa plac otaczały: staroświecki skład tanich artykułów, piekarnia sąsiadująca z małym sklepikiem spożywczym Murphy’ego, a dalej restauracja sieci Martha’s Diner (Śniadania 24/7) i wreszcie na samym końcu połączenie chrześcijańskiej księgami z kafejką o nazwie Wyższe Rejony. Dokładnie naprzeciwko kafejki, po drugiej stronie placu, znajdował się bar z zamkniętymi okiennicami, który – sądząc z wyglądu zdobiących ceglana fasadę starych reklam piwa Blatz i Ballantine – zawiesił działalność już w erze dinozaurów. Strażnicy patrolowali chodnik przed tanimi artykułami,



spożywczym i kawiarnią. Martha's Diner musiała być też czynna, bo z wnętrza dobiegała koronkowa woń parzonej kawy, syropu klonowego i naleśników. Pod zaparowanym oknem pochyleni nad stołem siedzieli jacyś mężczyźni w moro. Ich psy, zauważywszy Alex, poderwały się na równe nogi.

Zdecydowanie coraz gorzej, pomyślała. Zauważyła więcej zwierzaków przyciskających nosy do szyb i poczuła, jak na jej widok psie zapachy stają się bujniejsze. Z Miną nie było aż tak, a minęło zaledwie – ile – siedem, dziesięć dni?

Poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się i zobaczyła, że Kincaid badawczo się jej przygląda. Prawie go nie знаła, ale nie emanował niczym złym. Pachniał wygodną skórzaną kurtką, jaką mógłby nosić jej tata, z odrobiną czegoś lekko roślinnego. Proszek?

– Czy pan wie, dlaczego one to robią? Słyszałam, że psy nie lubią ludzi, którzy mają... nieważne. Ale mnie... – zapytała.

– Ale ciebie kochają. – Doktor nieznacznie wzruszył ramionami. – Jeszcze nie wiem. Daj mi czas na zastanowienie.

Frontowe drzwi kościoła otwarły się i na plac wybiegła gromadka dzieci. Wszystkie były małe – żadne nie przekroczyło dziesiątego, jedenastego roku życia. Popychając się, popędziły na teren zabaw, tuż koło plebanii. Widok tych dzieciaków, dźwięk ich krzyków, śmiechu, wesołego poszczekiwania psów sprawił, że

piersi Alex przygniótł niespodziewany smutek, aż musiała odwrócić wzrok.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że ściągnęła wodze. Teraz Pszczółka stała i wydmuchując kłęby pary, cierpliwie czekała na podjęcie decyzji. Doktor też się zatrzymał. Kiedy jego oczy napotkały spojrzenie Alex, powiedział:

– Mnie to nadal przygnębia.

– Wydaje się takie zwyczajne – odparła.

– Bo jest. Staramy się, żeby życie toczyło się tak normalnie, jak tylko się da.

Jasne, zupełna normalka – codzienna pukanina i strażnicy na każdym kroku. Od momentu, kiedy się obudziła, nie słyszała więcej strzałów, ale zastanawiała się, kto strzelał i gdzie. I dlaczego.

– Nie chcemy też, żeby wyrastały na nieuków – ciągnął Kincaid. – Szkoła to jedyna rzecz, która je wszystkie łączy. Daje im rutynę. Mamy tu dawnego dyrektora podstawówki w Merton. Poznasz go, kiedy jutro zaczniesz zajęcia.

– Mam chodzić do szkoły?

– Och tak. Koniec świata to jeszcze nie powód, żeby się objąć.

– To niesprawiedliwe.

– Rozchmurz się. W Rule jest kilku dobrych nauczycieli, którzy powrócili z emerytury. Ironia losu, jeśli się nad tym zastanowić. Odbyliśmy, co nam sądzone, i wysłano nas na zielone pastwiska, a teraz jesteśmy

jedynymi, którzy zostali, żeby to wszystko pozbierać do kupy.

Na zielone pastwiska? Już miała coś powiedzieć, ale odwróciła się, słysząc wartki stukot końskich kopyt. Krętą, pochyłą drogą na skróty przez las zjeżdżała fura. Tym razem powoził Peter. Miejsce obok woźnicy zajmował Dżet, a Chris kłusował z tyłu na muskularnym pełnej krwi gniadoszu. Zamiast sianem wóz wyładowany był ludźmi. Wszyscy mieli zawiązane oczy. Kolejni uciekinierzy, którzy mogą okazać się wystarczająco cenni, żeby ich zatrzymać, zrozumiała. Dżet zwęszył ją i radośnie zaszczekał. Chris odwrócił się i zanim pojechał dalej, podniósł rękę na powitanie. Alex obserwowała, jak wóz toczy się, żeby w końcu stanąć przed ratuszem.

– Co się tam dzieje?

– Tego, młoda damo – odparł Kincaid – już za chwilę się dowiesz.

## 47

Wzdłuż głównego korytarza ratusza ciągnęły się pokoje biurowe, niektóre otwarte, inne zamknięte na głucho. Powietrze ścinał strach. Pełno strażników i jeszcze więcej psów pilnowało długiej kolejki starszych ludzi w opłakanym stanie. Alex nie odrywała wzroku od pleców Kincaida, ale kiedy przepychali się przez tłum, słyszała pełne nienawiści szept. Jakiś mężczyzna

powiedział całkiem wyraźnie:

– Zostawcie mnie z nią sam na sam, a pokażę wam, jak to się robi.

Złośliwy, ochryply rechot. Psy zaskomlały niespokojnie. Alex poniekąd oczekiwała, że Kincaid coś odpowie, ale doktor szedł dalej.

Z tyłu rozległ się szcęk naczyń. Odwróciła się i zobaczyła dwie kobiety pchające metalowy wózek, taki jakich używa się w szpitalach do rozwożenia pacjentom posiłków. Dodatkowy zmysł nie był tu potrzebny: bekon to bekon.

Na ten zapach ktoś w kolejce jęknął. Wszyscy uciekinierzy patrzyli zapadniętymi oczami, jak wózek toczy się pod masywne drewniane drzwi zaopatrzone w dźwignię antypaniczną i szybę ze zbrojonego szkła. Jedna z kobiet zapukała. Po kilku sekundach drzwi uchyliły się, Alex dostrzegła plecy kolejnego strażnika i kiedy wózek zniknął, pochwyciła ze środka słabiutki powiew. Ale nie smród padliny. To wyczułaby natychmiast, od wejścia. Ten zapach był inny, chociaż znajomy. Coś, z czym zetknęła się już przedtem: tytoń, zepsute zęby i stara whiskey.

Znam go. Kto...

Z końca korytarza dobiegł głośny, przeszywający krzyk. Alex gwałtownie wciągnęła powietrze, jej myśli natychmiast zboczyły z toru. Wśród uciekinierów zapadła cisza, ale psy zaczęły skowyczeć, a kilka się rozszczękało. Krzyk rozległ się znowu. Zza rogu wyłoniło się dwóch

strażników. Wlekli pomiędzy sobą szlochającego, opierającego się mężczyznę.

– Nie, nie, nie możecie! – zawodził. Był bardzo leciwy, niemal zasuszony, z rękami jak patyki. Zawiązany w pasie sznur przytrzymał mu spodnie, żeby nie opadły. W nagłym przypiływie sił staruszek wyrwał się strażnikom i ruszył biegiem w stronę jednego z biurowych pokoi. Psy naprężyły smycze, szczekając i drapiąc powietrze przednimi łapami. Staruszek złapał za klamkę, szarpnął, ale drzwi były zamknięte. Na sędziwej twarzy pojawił się wyraz bezdennej rozpacz i kiedy strażnicy podeszli, mężczyzna zaczął płakać. Padł na kolana, ale sękaty palce nadal czepiały się nieustępliwego metalu.

– Nie wyrzucajcie mnie stąd! Zostałem sam, nie mam dokąd pójść! – błagał, kiedy próbowali oderwać go od klamki. Trzymał się jej kurczowo z zawziętym uporem pijawki. Przerazenie użyczyło mu szaleńczej siły, zniszczone mięśnie ramion napięły się jak gumki recepturki. – Jeszcze mogę pracować. Jeszcze do czegoś się nadaję... proszę, nie!

Przy wtórce podnieconego jazgotu psów przybył na pomoc kolejny strażnik. We trzech podważyli zaciśnięte palce, a potem potaszczyli staruszka korytarzem, nadal wśród miotania się i krzyków, aż wreszcie szczęśliwie zniknęli z widoku.

– Jezu. – Mężczyzna, który poprzednio obwieścił, że nie miałby nic przeciwko zaprezentowaniu, co mógłby z nią zrobić, teraz obrzucił Alex wrogim spojrzeniem, a do

Kincaida warknęła: – Powinniście się wstydzić. On jest jednym z nas, a wy ratujecie tamtych. Co, do diabła, jest w niej takiego wyjątkowego?

– Hm, na przykład – odparł łagodnie doktor – potrafi trzymać język za zębami.

Na końcu korytarza, który miał kształt litery T, skręcili w prawo. Tutaj okna wychodziły na południe i było o wiele jaśniej. Wokół krążyło jeszcze więcej strażników – zaczynała się już przyzwyczajać do widoku starszych mężczyzn w moro i z karabinami. Kincaid podprowadził ją do zamkniętych dwuskrzydłowych drzwi. Tabliczka po ich lewej stronie głosiła: Sala rozpraw.

– Zaczekamy tu parę minut – powiedział i lekko westchnąwszy, opadł na krzesło z prostym oparciem.

Alex nie usiadła. Usta miała wysuszone, dłonie wilgotne.

– Dlaczego to takie ważne, żebym spotkała się z Radą i Wielebnym? Przecież oni nie mogą decydować o każdym, gdzie kto pójdzie. Za dużo jest tych ludzi.

– Pięć setek, plus minus, tak. I nie, oni nie przyglądają się każdemu. Tym zajmują się zarządcy – ci, którym przekazano klucze.

– Klucze? Ma pan na myśli takie do otwierania drzwi?

– Nie w sensie materialnym. To, hm, odwołanie biblijne. Mateusz: *I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie*

*rozwiązane w niebie*".[Ewangelia wg Sw. Mateusza 16:19] Ta sama koncepcja co w sprawie kapłaństwa u mormonów,[ Mormoni (Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich) nie mają stanu kapłańskiego. Na czele Kościoła stoi Prezydent wraz z dwoma doradcami, Radą Prezydenta Kościoła. Opiekę nad sprawami administracji i duszpasterstwa sprawują też Rada Dwunastu Apostołów i pięć Kworów Siedemdziesiątych (przyp. tłum.)] chociaż nie jesteśmy mormonami. Rzecz sprowadza się do tego, że Rada przyznaje pewnym osobom moc podejmowania decyzji w określonych dziedzinach, takich jak: gospodarstwa rolne, uzbrojenie, zaopatrzenie, warunki sanitarne. Peter – on jest Ernstem, a to jeden z Pięciu Rodów – zarządza rezerwistami. Od niego zależy, które misje zostaną zrealizowane, ilu ludzi potrzeba. Tego rodzaju sprawy. On też spotyka się z nowo przybyłymi, decyduje, czy nadają się do pełnienia straży albo są dobrzy w walce.

– Więc ci ludzie w holu czekają na spotkanie z zarządcami?

– Albo ich przedstawicielami i asystentami. Takimi jak Chris.

Brwi Alex zbiegły się w jedną kreskę.

– Przecież Chris jest wnukiem Wielebnego, prawda? Dlaczego nie dostał klucza? Jak to się stało, że nie jest zarządcą?

Doktor ściągnął wargi.

– Cóż – zaczął ostrożnie – Chris nie jest rodowitym

mieszkańcem Rule, urodzonym i wychowanym w miasteczku. Pochodzi z tej linii, ale jego rodzice, hm, nie byli stąd. Wyjechali, a ich historia wydaje się trochę... niejasna. Peter jest tutejszy, starszy, ma więcej doświadczenia w tych sprawach. Istnieją jeszcze jakieś powody, ale te są dobre jak każde inne.

Wychowany w Rule? Z tej linii? Miasteczko wyglądało na o wiele bardziej hermetyczne i poddane dyscyplinie, niż na początku myślała.

– Więc kogo Rada sprawdza osobiście?

– Oszczędzonych – dzieciaki takie jak ty – i przypadki graniczne: ludzi, którzy pewnie mogliby sobie tu radzić, ale zarządcy nie są do końca przekonani. Wtedy odsyłają ich po ostateczny werdykt. Przed obliczem Rady stają też osoby, hm, niezdolne się przystosować.

Alex przypomniała się groźba Jess.

– Czy to miała na myśli Jess, kiedy mówiła, że poprosi Wielebnego, żeby ponownie rozważył sprawę?

Kincaid pokiwał głową.

– Wielebny zawsze ma ostatnie słowo, jeśli chodzi o banicję.

– Banicję? – Palce chłodu przesunęły się wzdłuż kręgosłupa. – Znaczy, wygnanie?

– Coś w tym rodzaju. – Doktor położył jej dłoń na ramieniu. – Posłuchaj, akurat teraz to nie twoje zmartwienie. Skoncentruj się na tym, żeby się zaprezentować od najlepszej strony. I nie kłam. Wielebny od razu będzie wiedział.



Okej, to stawało się interesujące.

– Za kłamstwo też grozi banicja?

– Nie jako pierwszy wybór, nie. Ale niektóre dzieciaki nie potrafią się przystosować. Nie adaptują się.

– Jak Lena?

– Jest krnąbrna, to na pewno.

– To czemu nie pozwalacie jej odejść?

– My, och... staramy się zatrzymać Oszczędzonych. Dla bezpieczeństwa, na wszystkie sposoby.

– Czy to nie powinien być wybór? – Mój wybór? – dodała w myślach. – A co z wolną wolą?

– Wolna wola jest w porządku – odparł Kincaid – ale popatrz, gdzie doprowadziła Adama.

Jedno skrzydło drzwi sali rozpraw uchyliło się i rachityczny staruszek, wyglądający na jakieś sto dziewięćdziesiąt lat, wytknął głowę na korytarz.

– Teraz Wielebny was przyjmie – wymamlał.

– Właśnie wygodnie sobie usiadłem – gderał doktor, krzywiąc się, bo przy wstawaniu strzyknęło mu w kolanach. – Powinienem był je wymienić, kiedy jeszcze była taka szansa.

– Nie mów mi o swoich cholernych stawach – odciął się staruszek. Poruszył szczęką i Alex usłyszała klekot protezy. – Bardzo jestem ciekaw, kogo mamy zmusić, żeby zreperował moje cholerne zęby?

Sala rozpraw wyglądała jak z programu *Sędzia Judy*, mała, drewniane boazerie, trzyczędowa galeria dla widzów, ława oskarżonych z balustradą i wahadłową bramką, i dwa prostokątne stoły, po jednym z każdej strony bramki. Pod prawą ścianą znajdowała się łoża przysięgłych. Nad salą górował sędziowski stół, za którym siedziało pięciu mężczyzn: wszyscy w czarnych togach, wszyscy o pooranych zmarszczkami, statecznych twarzach. Dwóch, którzy otwierali i zamykali rząd niczym dopasowane podpórki na półce z książkami, wyglądało na tak leciwych, tak wyschniętych, że mocniejszy wiatr mógł ich przewrócić. Alex nie potrafiła odgadnąć wieku pozostałych. Stary to... stary.

Jednak od razu rozpoznała Yeagera. Doktor mówił, że Wielebny zawsze zasiada pośrodku, więc teraz uważnie mu się przyglądała. Był całkiem łysy, z nosem przypominającym rozgnieciony pomidor i obwisłym podgardlem, które kiedy się poruszał, dygotało jak fałdy skóry sępnika różowogłowego. Ciemne oczy miał żywe i bystre. Wlepił w nią zimne, badawcze spojrzenie, jakim kruk wpatruje się w padlinę, decydując, czy jest warta wysiłku.

– Więc to ty jesteś Alexandrą. – Głos Yeagera, idealny do wygłaszania kazań, brzmiał zadziwiająco gładko i głęboko, niemal huczał. – Chodź. Nie wstydź się. Przejdź

za barierkę.

Alex rzuciła szybkie, ukradkowe spojrzenie na pozostałych mężczyzn, ale wszyscy czterej milczeli z twarzami kompletnie bez wyrazu. Jaką pełnili tu funkcję? Mieli obserwować? Zadawać pytania? Ich skóra wydzielala mieszanke wyziewow, ktore zaczely jej sie kojarzyc ze staroscia: miętówki, papierowa skóra, brudne skarpety, stare pierdniecia i ogólna zatęchła zgrzybiałość. Ale przynajmniej nic groźnego.

Yeager był inny. Pachniał czymś mętym i chłodnym jak przydymione szkło albo mgła. I trochę podobnie do Jess: pustką. Alex w ogóle nie potrafiła odczytać jego zamiarów. Ani uczuć.

– Świetnie. – Wielebny przyglądał się jej badawczo zza sędziowskiego stołu. Kiedy patrzyła na niego pod tym kątem, jeszcze bardziej przypominał sępnika. – Nareszcie się spotykamy. Mój wnuk opowiadał mi o tobie.

Co Chris powiedział? – zastanawiała się – Tak, proszę pana.

– Lubię poznawać wszystkich Oszczędzonych. Jesteście naszą przyszłością, więc muszę mieć pewność, kiedy nadejdzie czas, że wybraliśmy dobrze. Podejdź tu. Chcę ci się przyjrzeć z bliska. – Yeager przywołał ją skinieniem. Dopiero teraz Alex dostrzegła małe schodki ustawione przed sędziowską ławą. Wspiąwszy się na nie, przesunęła spojrzeniem po wąskich mosiężnych tabliczkach, umieszczonych przed każdym z członków Rady. Na dwóch pierwszych od lewej wygrawerowano

nazwiska Born i Ernst. Na środkowej widniało Yeager, dalej Stiemke i wreszcie na ostatniej Prigge.

Zobaczyła też coś, na co przedtem nie zwróciła uwagi: szóste – puste – krzesło po drugiej stronie Prigge'a. Żadna tabliczka, w ogóle nic nie wskazywało, do kogo to miejsce należy. Oczywiście, krzesło mogło być zapasowe, ale Alex wydawało się, że tak nie jest. Przyjrzała się stołowi sędziowskiemu i po raz pierwszy rzuciło jej się w oczy, że układ Rady sprawiał wrażenie... zachwianej równowagi. Jakby czegoś brakowało.

Sześć krzeseł, ale tylko pięciu mężczyzn, bo przecież to Rada Pięciu... chyba że nie zawsze tak było.

Yeager wyciągnął do niej rękę.

– Jeśli mogę prosić.

Zawahała się, skołowana, jednak po chwili przypomniało jej się żartobliwe stwierdzenie doktora: „Jest bardzo praktyczny”. [ *hands-on* [ang.] oznacza zarówno praktyczny, jak i kontaktowy, bezpośredni (przyp. tłum.) ] Podała Wielebnemu dłonie i poczuła mrowienie, kiedy jej dotknął. Palce miał powykęcane, ze spuchniętymi kłykciami, skórę suchą jak stary pergamin, ale chwyt mocny.

– Ciepłe ręce.

– Tak, proszę pana. – Spodziewała się, że od razu ją puści. Nie zrobił tego. Chociaż miała ochotę wyrwać dłonie z jego uścisku, zmusiła się, żeby stać spokojnie. Czowała na sobie spojrzenia pozostałych, ale nie ośmieliła się odwrócić oczu.

– Chciałbym zrozumieć jedną rzecz, Alex – powiedział Yeager. – Nie jest dla mnie jasne, jak to się stało, że znalazłaś się w Waucamaw. Opowiedz mi o tym.

– Ja... hm... zerwałam się ze szkoły. – Tak naprawdę uważała, że to już nie ma znaczenia, ale postanowiła udzielać odpowiedzi krótkich i do rzeczy.

Natychmiast zagrzemiał mężczyzna siedzący na prawo od Wielebnego:

– Czy to był twój stały zwyczaj?

Zaskoczona zerknęła w jego stronę i przeczytała: Stiemke.

– Nie – odparła.

Yeager nic na to nie powiedział, tylko potarł jej dłonie wykoślawionymi kciukami, ale Stiemke drażył temat.

– Dlaczego akurat wtedy?

– Chciałam przemyśleć sobie pewne sprawy. – Starszy pan dalej się w nią wpatrywał, więc dodała: – College i różne takie.

– Aha – odezwał się Wielebny. – Przyszłość? Co robić dalej ze swoim życiem?

Mniej więcej, dodała w myślach, a głośno powiedziała.

– Tak.

Jeden z zaszuszonych staruszków, Bom, zapytał drżącym, piskliwym głosem:

– I jaką decyzję podjęłaś?

– Nie miałam szansy, proszę pana. – Tak się składało, że była to prawda. Jednak po chwili, czując, jak zmienia

się uścisk dłoni Yeagera, Alex doznała nagłego przebłysku intuicji. Co powiedział doktor?

„Nie kłam. Wielebny od razu będzie wiedział”.

I jeszcze: kontaktowy... Boże, czyżby podobnie do niej? Nigdy nie przyszło jej do głowy, że inni ludzie mogli się zmienić tak jak ona. Larry, chociaż widział więcej niedobitków niż Tom czy ona, o niczym takim nie wspominał. Może dlatego, że ten rodzaj zmiany nie był powszechny albo też ludzie, u których rozwinął się jakiś zmysł, trzymali to w tajemnicy. Przecież ona tak właśnie zrobiła, nie przyznała się nawet Tomowi. Inna sprawa, że miała więcej sekretów. Jednak biorąc pod uwagę, jak paranoicznie wszyscy się teraz zachowywali, mądrzej było milczeć.

Czy Yeager potrafił wyczuć, kiedy ktoś nie mówi prawdy – nie węchem, ale za pomocą dotyku? Taki człowiek-wariograf?

Jak to się mogło dzieć? Wiadomo że ludzie czerwienią się, kiedy są zdenerwowani, a więc zmienia się temperatura. Skóra człowieka jest nosicielem ładunków elektrycznych; na tej zasadzie przed atakiem działały w komputerach touchpady, wyczuwając pojemność elektryczną palca. Właśnie dlatego reagowały na dotyk opuszków, a już na ołówek, który nie zawierał ładunków – nie.

Yeager mógł mieć do tego dryg. Ostatecznie był pastorem. Przypomniała sobie hasło Kościoła Żniwa; „Zaufaj uzdrawiającej ręce Boga”. Może coś w tym jest.

Wielebny nie musiał leczyć, ale pewnie potrafił wyczuwać. Taka wrodzona zdolność, zintensyfikowana na skutek Elektrowstrząsu. Tylko dlaczego akurat on, a nie ktokolwiek inny z ocalonych, wśród których zdarzały się osoby naprawdę bardzo stare?

Dlaczego ona?

– Pensa za twoje myśli – odezwał się Yeager. Uśmiechnął się, jeszcze bardziej podobny do sępnika, ale uścisk dłoni nie zelżał.

– Mój ojciec zawsze mówił, że nie są aż tyle warte. – Uznała, że nie zaszkodzi wspomnieć o ojcu. Wszyscy rodzice nie żyli albo prawie wszyscy, więc pod tym względem nie różniła się od swoich rówieśników. Gdyby mogła pokierować rozmową...

Siedzący po prawej ręce Wielebnego Ernst – dziadek Petera? pradziadek? – zapytał:

– Czym się zajmował twój ojciec?

– Był gliną.

– Och. – To najwyraźniej usatysfakcjonowało Prigge'a, jedną z podpórek na półce z książkami. Naprawdę zatarł ręce wyglądające jak gruzłowate gałązki. – Człowiek, który odróżniał dobro od nikczemności.

Nigdy nie słyszała, żeby tata, mówiąc o jakichś pijakach, damskich bokserach czy kanciarzach, nazywał ich nikczemnikami, ale odparła:

– Tak, proszę pana. Myślę, że tak.

– Cóż, tutaj również to robimy. Wyjaśnij mi – Yeager przechylił głowę na bok – dlaczego psy cię faworyzują?

Jakim cudem cię... rozpoznają?

– Nie wiem – powiedziała szczerze. – Nie jestem psem.

– Ale musisz mieć na ten temat jakiś pogląd – wtrącił się Emst.

Przytaknęła.

– Prawdopodobnie w ten sam sposób, w jaki ja rozpoznaję je. – Ale już nie Wielebnego ani nie Jess. I czemu? – zastanowiła się.

– Tak? – nie odpuszczał Yeager.

Postanowiła zaryzykować.

– Sądzę, że w ten sam sposób, w jaki pan jest w stanie dostrzegać różne rzeczy.

Usłyszała, jak Emst mimo woli gwałtownie wciąga powietrze. Ptasie oczy Yeagera zamieniły się w szparki.

– To znaczy? – zapytał.

Zgadła. I tu go miała. Na pustce, na przydymionym szkle pojawiło się maleńkie pęknięcie. Bardzo mokry, odrobinę metaliczny zapach przywiódł jej na myśl dzień, kiedy psy o mało nie zabiły jej i Ellie.

Woda? Rzeka? Nie, to nie całkiem to. Raczej... deszcz, doznała olśnienia.

Deszcz? Przypomniała sobie ranek, kiedy to wszystko się zaczęło, i tamte burzowe chmury na południowym zachodzie, i szare ukośne kreski ulewy.

Dlatego Yeager pachnie jak zawilgocone szkło? Bo patrzył przez okno na deszcz, kiedy to się stało?

– To znaczy?



Czuła na sobie spojrzenia pozostałych mężczyzn. Wypalały dziury w jej mózgu, ale nie pozwoliła oczom umknąć w bok.

– To znaczy, że potrafi pan stwierdzić, czy to, co mówię, jest prawdą, ponieważ pan to wyczuwa, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wyczuwa rękami.

Trafiony, zatopiony. Nikt się nie odezwał. Yeager przesunął wzrokiem po jej twarzy, po czym gwałtownie cofnął ręce. Jego spojrzenie przeskoczyło ponad ramieniem Alex.

– Matt, poczekaj chwilkę na korytarzu, dobrze?

Zupełnie zapomniała o obecności Kincaida.

– Hm – mruknął wyraźnie zdumiony doktor – okej.

Ukłucie strachu.

– Czemu doktor nie może zostać?

Wielebny kompletnie ją zignorował.

– Matt?

– Jasne. Jestem na zewnątrz, Alex. Wszystko będzie dobrze.

Yeager milczał, dopóki za Kincaidem nie zamknęły się drzwi, a potem znów obrócił na nią badawcze spojrzenie.

– U ciebie to nie dotyk.

– Dlaczego doktor nie mógł zostać?

– Bo są sprawy, które lepiej utrzymać w tajemnicy – odpowiedział jej Emst. Spośród wszystkich członków Rady wydawał się być najbliżej Wielebnego pod względem pozycji. Zasiada po jego prawicy, uświadomiła

sobie Alex. Bardzo biblijnie. Była ciekawa, czy Emst ma na imię Michael.[ aluzja do Archanioła Michała (przyp. tłum.).] – Im mniej osób wie, tym bezpieczniej dla wszystkich – dodał.

– Co wyczuwasz? – zapytał dziadek Chrisa, przeszywając ją wzrokiem. – Jednak przez dotyk?

– Nie. Ale dostrzegam różne rzeczy tak jak pan.

– Na przykład?

– Czasami wiem, co inni ludzie czują. – Umilkła na chwilę. – I wiem, kiedy oni – kiedy Odmienieni – są gdzieś w pobliżu.

– Co? – zdumiał się Emst. – Potrafisz coś takiego?

– Tak – odparła, nie spuszczając oczu z Yeagera.

– W jaki sposób? – zapytał Wielebny.

– W taki sam, w jaki poznaję, że w tym budynku jest morderca – powiedziała. – Czuję jego zapach.

## 49

Stracił na wadze i zapuścił brodę. Włosy miał też dłuższe, sięgające poza ramiona. Tym niemniej woń, którą pochwyliła w głównym holu, kiedy otwarto drzwi dla kobiet z kelnerskim wózkiem, była ta sama co tamtego dnia, kiedy strzelał do Toma: stęchły tytoń, zepsute zęby i jim beam.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Obrzucając ją wściekłym spojrzeniem, Harlan miętosił w dłoni brudną

szmatę. Oprócz właściwego mu smrodu czuć było dodatkowo wybielacz i amoniak, których używał do szorowania podłóg aresztu. Jako ratuszowy woźny, uznała Alex, Harlan odkrył swoje prawdziwe powołanie. – W życiu nie widziałem tej dziewczyny – warknął i wepchnął szmatę do niechlujnej tylnej kieszeni.

– Dlaczego miałyby kłamać? – spytał Yeager. Pozostali członkowie Rady nadal zajmowali swoje miejsca za stołem, ale Wielebny wstał i podszedł do Alex. Był mniejszy, niż jej się początkowo zdawało, prawie pół głowy niższy od niej.

Jednak nie ujął Harlana za rękę, co też musiało być swego rodzaju sprawdzianem.

Nie dla oskarżonego, pomyślała. Yeager sprawdzał ją. Harlan spojrzał spode łba.

– Bo to małolata i ma w tym jakiś osobisty interes. Ale ja mówię prawdę. Nigdy przedtem jej nie widziałem.

– Kłamca. Co się stało z Ellie? – krzyknęła Alex.

– Przepraszam, a kto to? Twoja krewna? A może piesek?

Zza stołu odezwa się Ernst:

– To nas nigdzie nie doprowadzi.

– Poczekajmy, aż... – Yeager przerwał, bo drzwi otwarły się i do sali rozpraw wpadł Peter, trzymając w objęciach wypchany plecak. Chris i Dżet podążali tuż za Peterem.

– Przepraszam. – Włosy młodego Ernsta były rozwiane, a policzki zarumienione z zimna. Cisnął plecak

na jeden z długich bocznych stołów, a obok Chris pozbył się swego ładunku. – Było mnóstwo bambetli do zabrania.

– Hej – zdenerwował się Harlan – to moje rzeczy. Nie macie prawa grzebać w moich rzeczach.

– Wręcz przeciwnie – oznajmił Wielebny i skinął ręką na chłopaków. – Otwórzcie to.

Na stół posypały się głównie ubrania: bielizna, dzinsy, swetry, flanelowe koszule, kalesony i skarpety. Peter wygarnął kosmetyki, buty, dwie czapki, parę rękawiczek, kilka poszarpanych czasopism.

– I Biblia – powiedział, wyciągając z plecaka oprawiony w skórę tom.

– Rozpoznajesz coś? – zapytał Yeager.

Pokręciła głową. Na moment błysnęła jej nadzieja, ale jeden rzut oka wystarczył, by się przekonać, że to nie Biblia cioci Hannah.

– Widzicie? – Harlan skrzyżował ręce na piersi. – Dorwaliście nie tego faceta.

– Nie, niczego nie rozpoznaję – odpowiedziała Wielebnemu Alex. Spojrzała na Chrisa. – Nie ma niczego więcej?

– Tylko to. – Peter sięgnął do z bocznych kieszeni plecaka. – Ciężkie cholerstwo.

Musiała zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć.

– To moja torba biodrówka.

– Bzdury – wrzasnął Harlan, jednak teraz Alex wyczuwała ostrą woń skwaśniałego mleka. Harlan się bał. – Mam to od lat.

– Nie, sama ją pakowałam.

– Biodrówka to biodrówka. Dziewczyna na pewno część rzeczy zgadnie.

– Tak. – Peter rozpiął suwak torby. – Właśnie dlatego pozwolimy ci mówić pierwszemu. Co jest w środku?

Harlan wyraźnie się odprężył i Alex pomyślała z niepokojem: Opróżnił ją.

– Dobra – zaczął. – Zobaczmy no: paczka chusteczek, stara guma, nóż... – szybko recytował z pamięci listę drobiazgów, a Peter wyciągał każdy po kolei.

– Tak – powiedział, kiedy Harlan skończył. – Już wszystko, oprócz tego. – Wydobył z biodrówki mięką, czarną torbę. – Waży dobre dziesięć funtów. Co jest w środku?

Harlan już otwierał usta, ale Yeager mu przerwał:

– Chwileczkę. – Wziął od Petera opakowanie, zajrzał i podniósł na Alex dociekliwe, ptasio-bystre oczy. – Powiedz nam, co to jest.

– Hej, to moja paczka – zaprotestował Harlan.

– Więc dziewczyna nie będzie miała pojęcia, prawda?

– Wielebny skinął na Alex. – No dalej. Mów. Co to jest?

Później zastanawiała się, dlaczego Harlan ich zatrzymał. Torbę, to mogła zrozumieć, ale resztę? Może kiedy zobaczył Biblię, uświadomił sobie, co zrobił, i był na tyle przesądny, by pomyśleć, że zatrzymanie ich w jakiś sposób anuluje przeszłość. Koniec końców liczyło się tylko jedno: jeśli pakunek nadal był ciężki, dokładnie wiedziała co – kto – jest w środku.

– Moi rodzice – odparła.

## 50

Prochy jej rodziców były tu, ale Biblia cioci Hannah i list mamy zniknęły.

– Ta mała musiała to zrobić – powiedział Harlan żałośnie. Siedział skulony na krześle z twardym oparciem i wyglądał jak przekłuty balon. Odkąd doktor Kincaid przejrzał torebki i potwierdził, że zawierają skremowane szczątki – zęby przetrzymują kremację – Harlan porzucił udawaną pozę twardziela. Zapatrzył się w swoje dłonie i westchnął. – Twierdziła, że te rzeczy są dla niej ważne. – Gwałtownie odwrócił głowę w stronę dziewczyny. – Kiedy Marjorie została zabita, miałem pełne ręce roboty, żeby utrzymać nas przy życiu. Nie mogłem bez przerwy pilnować dzieciaka.

– Gdzie ona jest? – zażądała informacji Alex. Starła się ze wszystkich sił pohamować chęć krzyku i wydrapania facetowi oczu.

Harlan jeszcze bardziej się przygarbił.

– Nie wiem. Już powiedziałem, uciekła, jak byliśmy jakiś dzień na południe stąd. – Chrząknął z niesmakiem. – Brett był pewny, że wojsko nas przyjmie... tylko że nigdy tam nie dotarliśmy. Mówiłem mu, żeby trzymać się z daleka od autostrady, a Marjorie chciała jechać na zachód. Dostać się tu, to był jej pomysł. Ale Brett koniecznie

musiał sprawdzić, co się stało z jego siostrą, która mieszkała w Watersmeet... W każdym razie tam straciliśmy wóz... no wiecie, w zasadzce. Gromada facetów strzegących miasteczka, liczniejsza od nas o jakichś dwudziestu chłopów. Zastrzelili Marjorie, zanim spostrzegła, co się dzieje.

– Tak – wtrąciła Alex. – Wiem, jak się człowiek czuje, kiedy wpadnie w zasadzkę i do niego strzelają. – Chris ostrzegawczo położył jej dłoń na ramieniu, więc ugryzła się w język.

– I co się potem stało? – zapytał Peter.

Harlan wzruszył ramionami.

– A jak, cholera, myślisz? Nie mogliśmy iść na południe, bo usłyszeliśmy, że zamknęli granicę do Wisconsin, a było jasne jak słońce, że nie zostaniemy w Watersmeet. Tamtejsi nawet nie dają szansy na wyjaśnienia, nie tak jak tutaj. Z miejsca zaczynają strzelać. Więc poszliśmy.

– Nadal mieliście dziewczynkę i psa? – zapytał Yeager.

Harlan pokiwał głową.

– Masę razy ratował nam skórę. Dużo wcześniej wiedział, jeśli w pobliżu czaiły się te stwory. Pies razem z małą byli z nami aż do takiego miejsca na wschód od kopalni.

I tam zwariował. Po prostu uparł się nie ruszyć ani kroku dalej. Nawet dziewczynka nie rozumiała, o co mu chodzi. Cały czas chciał uciekać. I pewnie trzeba było tak

zrobić, bo w nocy dorwała nas piątka tych małych... no wiecie, tych Odmienionych.

– Nie ostrzegł was? – zdziwił się Peter.

– Hm, chyba próbował, ale nie słuchaliśmy. Człowieku, sam nie wiem. Brett stał na straży. Śpię sobie, a tu pies... on ciągle był niespokojny, przez całą noc łaził i skomlał. A wtedy nagle zaczął szaleć. Zanim się obejrzałem, Brett posłał serię. Ale karabin mu się zaciął, a ja nie potrafiłem tak szybko wycelować.

Nie, Harlan kłamał. Alex była tego pewna. Jednak czy spał albo czy przypadkowo zastrzelił Bretta, nie miało żadnego znaczenia. Wielebny też musiał coś wyczuć, bo powiedział:

– Ciekawe, czemu wydaje mi się, że to nieprawda?

Na szyi Harlana wystąpiły szkarłatne plamy.

– Co zamierzacie ze mną zrobić?

– Zostawiłeś małą dziewczynkę na pewną śmierć – odezwał się ostro Peter. Jego głos smagał niczym bat. – Więc jak myślisz?

Harlanowi podskoczyło jabłko Adama. Błyskawicznie przebiegł wzrokiem od rozgniewanego chłopaka przez pozbawione wyrazu oblicza członków Rady, aż wreszcie wlepił oczy w Yeagera.

– Przecież nie możecie mnie zastrzelić.

– To prawda, ale nie masz prawa tu zostać – odparł Wielebny. – Twój grzech plami nas wszystkich.

Od strony sędziowskiego stołu rozległy się pomruki akceptacji. Peter pokiwał głową, tylko twarz Chrisa



pozostała niewzruszona, a zapach jego ciemności bardzo mocny.

– Będę wygnany? – Oczy Harlana wypełniły się łzami.  
– Ludzie, proszę, nie każcie mi tam wracać. Te stwory...

Peter, dla którego widocznie większość rozwiązań wymagała użycia broni, warknął:

– Ej, jakoś mnie to nie rusza. Z przyjemnością od razu wpakuję ci kulę w łeb.

Yeager uniósł rękę gestem nakazującym spokój.

– Nie będziesz w gorszej sytuacji niż ta mała dziewczynka, a nawet w dużo lepszej. Dostaniesz taką samą trzydniową rację żywności jak każdy, komu odmawiamy azylu.

– Ale przecież dobrze pracowałem – zawodził Harlan.  
– Odkąd tu jestem, nie zrobiłem nic złego.

– *Nie bierz udziału w grzechach cudzych. Siebie samego zachowaj czystym!* [List do Tymoteusza 5: 22,23]

– wyrecytował Yeager. – Nosisz znamię Azazela. Nie zdołamy się oczyścić, dopóki nie odejdiesz. Od tej chwili jesteś Wykluczony.

– Nie. Proszę. Przynajmniej pozwólcie mi zostać na noc – błagał ochryple Harlan. – Na litość boską, już jest dobrze po południu. Zaraz zrobi się ciemno!

– Więc sugeruję – odparł Wielebny – żebyś się pospieszył.

## 51

Musimy ją odnaleźć – oświadczyła kategorycznie Alex. Doktor i Chris siedzieli razem z nią w kuchni Jess, gdzie złociste światło popołudniowego słońca przecinało ukosem szyby. Nie odzywając się ani słowem, starsza pani naląła im gorącej herbaty. Pozostałe dziewczyny jeszcze nie wróciły od swoich zajęć, co Alex przyjęła z ulgą. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to niewyparzony język Leny. I bez tego była już wystarczająco zdenerwowana.

Peter postanowił osobiście eskortować Harlana do granic miasteczka. Zerknąwszy na twarz chłopaka, Alex pomyślała, że Harlan będzie miał dużo szczęścia, jeśli uda mu się przetrwać następną godzinę. Chciałaby móc mu współczuć, ale nie potrafiła.

– Słyszałeś go, Chris. Byli o dzień na południe stąd. To jakieś... dwadzieścia, trzydzieści mil?

– O dzień na południe dwa tygodnie temu. Pamiętasz, że nie mieliśmy wystarczającej liczby ludzi, żeby szukać Toma, a to była mniej więcej taka sama odległość. Nie można jej liczyć w linii prostej, Alex. Dwadzieścia mil, tylko kto wie, w którą stronę – odparł Chris.

– Przecież ciągle jeździcie w teren.

– Tak, ale z myślą o konkretnych miejscach docelowych. Wiemy, gdzie się kierować. Poszukiwania to

zupełnie co innego.

– Ale ona ma dopiero osiem lat.

– Przykro mi, Alex – odpowiedział Chris. – Nie możemy.

– Powiedz raczej: nie chcemy. Ona należy do Oszczędzonych, ale nie jest dla was wystarczająco cenna.

Chłopak już otwierał usta, jednak w tym momencie wtrącił się Kincaid.

– Alex, Chris jest po twojej stronie. To on uparł się, żeby jechać po twego przyjaciela. Nie może zmieniać decyzji dziadka albo Petera. W ten sposób tu się nie da.

– Co sprawia, że Wielebny zawsze ma rację? Mówi pan o nim, jakby był Bóg wie kim. A w ogóle, dlaczego on tu rządzi? Czy wy nigdy o niczym nie decydujecie sami?

Jej słowa zraniły Chrisa. Wyczuła, jak lodowa drzazga przebija jego ciemność.

– Posłuchaj – powiedział. – Nie wiesz wszystkiego. Właśnie...

– Chris. – Ostrzegawczym ruchem Kincaid ujął chłopaka za nadgarstek. – Nie wyrywaj się przed szereg, dobrze? Może będzie lepiej, jeśli teraz pojedziesz do domu.

Chris chciał się kłócić, poznała to po jego zaciśniętej szczęce. Ale jedynie szorstko skinął głową i ześlizgnął się z krzesła. Wkładając kurtkę, powiedział:

– Wpadnę po ciebie jutro.

– Co? Dlaczego? – zdziwiła się Alex.

– Musisz mieć eskortę.

Zanim opuściła ratusz, Yeager zasugerował, że mogłaby pracować z Kincaidem w hospicjum, a sugestie Wielebnego równały się rozkazom. Pewnie po to, by mieć mnie na oku, pomyślała teraz.

– Sama mogę się eskortować.

– Tutaj w ten sposób się tego nie załatwia, moja droga – odezwała się Jess.

– Ale ja go nie potrzebuję.

– Czasami człowiek nie wie, czego potrzebuje, a potem jest już za późno – powiedział doktor.

Alex poczuła ukłucie niepokoju. Chris nie wydawał się złym chłopakiem, ale wszystkie te głupie reguły, strażnik przed domem i teraz ta eskorta? Zamierzali pilnować jej przez całą dobę na okrągło?

– Słuchaj, nie ma w tym nic osobistego – zwróciła się do Chrisa. – Chodzi tylko o to...

– W porządku. – Skóra wokół ust mu pobieliała. – Przyślę kogoś innego. I tak nie mógłbym tego robić codziennie.

– Ale ja nie chcę nikogo.

– Nie ja o tym decyduję – odparł Chris.

– Tak, ale Wielebny jest twoim dziadkiem. Porozmawiaj z nim.

– To nie takie proste. Zasady to zasady. Trzeba ich przestrzegać.

– Bo co? Wywalicie mnie stąd? – Poderwała się od stołu. – Świetnie. Zresztą właśnie tego chcę. Najlepiej od

razu odejdę. Tylko oddajcie mi pistolet i plecak i już mnie nie ma.

– Och, na litość, zatkaj się już, Alex – jęknęła Jess. – Od samego słuchania przybyło mi pięć lat.

Alex poczuła falę gorąca na karku.

– Ja tylko mówię...

– Jeżeli... – odezwał się w tym samym momencie Chris – jeżeli ona mnie nie chce...

– Cisza, oboje! Słowo daję, jesteście jak koty w worku. Alex sama nie wie, czego chce.

– Chwileczkę – wybuchnęła Alex.

– Chcesz tylko wszczynać awantury. Chcesz walczyć. Walka daje ci złudzenie, że możesz zmienić przeszłość. Mimo że przeszłość umarła i wszystko obróciło się w proch – powiedziała Jess.

W głębi piersi Alex poczuła palący żar. Niech to diabli, tak właśnie było. Opór został jej wpojony od początku, od pierwszych diagnoz. Dla niej akceptacja potwora oznaczała poddanie się, uleganie. Kto nie walczy, umiera. Czy cokolwiek się zmieniło, kiedy uciekła, poszła na wagary i pojechała do Waucamaw? Ani trochę. Zmagala się w inny sposób, to wszystko: rezygnując z lekarzy, badań i leczenia na rzecz samodzielnego dyktowania warunków. Potem, od momentu katastrofy, dzień w dzień walczyła, żeby przetrwać.

A teraz? Miała godzić się z tym, co się działo? Nie. Nie wybierała sobie tego życia. To nie jej dom. Nie jej rodzina. Odnosili się do niej dosyć miło, ale mieli swoje

powody, żeby ją tu zatrzymać – tego była pewna – i na Boga, nie zamierzała właśnie teraz rezygnować z oporu. Wydostanie się stąd, odnajdzie Toma i Ellie. Musiała tylko wymyślić sposób.

Na głos zadowolila się czymś, co też było prawdą:

– Po prostu jestem wściekła na... no wiecie. Na wszystko.

– Rozumiem – odparła Jess. – Jesteś tylko człowiekiem, ale powinnaś zacząć myśleć o wyższym dobru. A ty, Christopherze, powinieneś wziąć się w garść i rozchmurzyć. Jesteś młody, zostałeś zmuszony do podjęcia odpowiedzialnych zadań znacznie przed czasem, więc czujesz się przestraszony. Musisz się nauczyć, kiedy zasady należy złamać.

– Tak, proszę pani – odrzekł Chris. Jeśli to możliwe, jego ciemny zapach jeszcze poczerniał. Nie z gniewu, pomyślała Alex, to zakłopotanie. Chłopak przeskoczył spojrzeniem od Jess do dziewczyny, a potem wlepił wzrok w stół. – Eskorta jest chyba przesadą.

Tak. Alex zdusiła wewnętrzny wybuch triumfu w obawie, że mógłby się odmalować na jej twarzy. Jeśli uda mi się ich skłonić, żeby trochę poluzowali...

Ale Kincaid pokręcił głową.

– Skoro jej pozwalasz zrezygnować z eskorty, musisz zmienić reguły dla wszystkich. Nie jestem pewien, czy należy się w to pakować bez porządnego namysłu. Będziesz musiał przeciwstawić się Peterowi i pewnie Radzie. Nie wiem, czy wygrasz.

Chris rozłożył ręce.

– Nie sposób was zadowolić. Najpierw Alex mnie zwalcza, potem słyszę, że powinienem łamać zasady, aż wreszcie pan, doktorze, obraca kota ogonem i mówi, że nie powinienem. Jezu.

– Język, młody człowieku – skarciła go Jess. – Matt ma rację. Jeśli chcesz zrobić wyjątek, będziesz potrzebował dobrego uzasadnienia. Wytyczać własny kierunek to nie to samo, co działać popędliwie. Alex po prostu narzeka. Mogłaby być nową Leną.

– Hej – warknęła Alex. Fakt, że też próbowała obmyślić sposób ucieczki, nie czynił opinii Jess ani trochę mniej wkurzającą. Bo Alex zupełnie nie przypominała Leny.

– Więc załatwimy to tak – ciągnęła starsza pani. – Christopherze, będziesz zabierał ją, kiedy tylko dasz radę i o ile obowiązki cię nie zatrzymają. Poznasz Alex lepiej.

Jeśli uznasz, że można jej zaufać, żeby jeździła i wracała sama, wówczas się zgodzisz. I wyjaśnisz Peterowi dlaczego. Doprawdy, skoro to tylko kwestia ochrony, pozwól dziewczynie udowodnić, że potrafi sama sobą się zaopiekować.

– A niby jak mam to zrobić? – Błada skóra Chrisa stanowiła teraz mieszaninę białych i czerwonych plam. W ciemnych oczach błyszczał gniew. – Dać jej karabin? Pozwolić ćwiczyć na strzelnicy? Zabierać ją z nami?

– Tak – wypaliła Alex. – Mogę się założyć, że strzelam równie dobrze jak twoi ludzie.

– *Taka bowiem jest wola Boża, abyście przez dobre uczynki zmusili do milczenia niewiedzę ludzi głupich.* [List św. Piotra 2:15 (przyp. tłum.).] – Jess spojrzała wymownie na Alex. – W tym głupich dziewcząt. Dopóki nie wiesz, o czym mówisz, trzymaj język za zębami. – A do Chrisa powiedziała: – Jesteś bardzo bystry. Wymyśl najlepsze rozwiązanie, a potem wprowadź je w życie.

– To nie takie łatwe – odparł Chris.

– Nonsens. Chcesz być mężczyzną? To zacznij postępować jak mężczyzna.

– Jess – wtrącił się doktor. – Chłopak robi, co w jego mocy...

– Sam się potrafię bronić – warknął Chris. Teraz lodowe ostrze jeszcze wyraźniej rozszczepiało jego ciemności na dwoje. Alex poczuła przypływ współczucia. Mogła manipulować Chrisem, ale naprawdę nie chciała patrzeć, jak dowala mu kobieta, która mogłaby być jego babką.

Jess powiedziała:

– Chris, przetrwałeś tak długo, bo miałeś dużo szczęścia i dużo rozumu, ale w końcu musisz pójść własną drogą, nieważne jaka by była zatrwazająca.

– Robię to – odparł Chris. Twarz mu spopieliała. – Właśnie to robię.

– Nie, wcale nie. Wypełnianie rozkazów tylko dla wypełniania to oznaka, że człowiek przestał myśleć samodzielnie. Pamiętaj, lepiej jest cierpieć dla czegoś słusznego niż dla złego. Nie oszukuj samego siebie,



Christopherze. Spokój ma swoją cenę.

Co się tu działo? Alex miała uczucie, że wszyscy oni – Jess, Chris i nawet Kincaid – rozmawiają o czymś nad jej głową. Nie chodziło o Chrisa w roli ochroniarza. Spór toczył się o pytanie, którego jeszcze nie zadała. Myślała, że Chris coś odpowie, ale tylko zacisnął pięści i przełknął cokolwiek miał już na końcu języka. Potem sztywno wymaszerował z kuchni, zatrzaskując drzwi z takim impetem, że aż zabrzęczało szkło.

– Dobrze poszło – powiedział doktor.

– Siejcie ziarna prawości – mruknęła pod nosem Jess.

– To właśnie robiłaś? Miałem wrażenie, że wypruwałaś mu flaki.

– Uważaj, co mówisz. Matt. – Starsza pani obrzuciła Alex gniewnym wzrokiem. – Chris nie jest jedyną młodą osobą, która wyrzekła się wolnej woli.

– Chwileczkę – nie wytrzymała dziewczyna. – Dlaczego mnie się pani czepia? Ja chcę być wolna.

– Wolność też ma swoją cenę, moja droga. Przy całej swojej odwadze, nie... – Przerwała, bo kuchenne drzwi znowu się otwarły i stanęła w nich Sarah, strząsając z włosów śnieżny pył.

– Co się dzieje z Chrisem? – zapytała. – Nic mu nie jest?

– Nie mieszaj się w to – odparła Jess, po czym zwróciła się do Alex: – Jesteś niewdzięczna i bardzo nierozsądna. Dopóki tu mieszkasz, masz trzymać język za zębami i przestrzegać zasad.

Co? Przestrzegać zasad? Szok Alex przeszedł w gniew.

– Pięć sekund temu mówiła pani...

– Nie waż się mnie poprawiać! – ucięła Jess z surowym machnięciem dłoni. – Zamilkniesz, młoda damo. Koniec z wymądrzaniem się na tematy, o których nie masz pojęcia. Czy to jasne?

Oczy Sarah były okrągłe jak spodeczki. Alex poczuła się upokorzona. Chciała, żeby podłoga się pod nią rozstąpiła i ją pochłonęła.

– Tak, proszę pani.

– Świetnie. – Jess nagrodziła Alex lodowatym spojrzeniem. – Bardzo się cieszę, że wyjaśniłyśmy to sobie. Cóż, na pewno znajdziemy ci jakieś pożyteczne zajęcie. – I z godnością wyszła.

– No, no! – odezwał się po chwili doktor. – Zakład, że naprawdę dałoby się usłyszeć, jak spada szpilka.

## 52

Doktor odmówił Sarah kolejnej filiżanki herbaty.

– Nie, dziękuję. Muszę już wracać. Alex, chodź ze mną na sekundę, dobrze?

Nie odezwała się, dopóki nie wyszli na dwór. Kiedy ruszyli główną alejką, podniosła oczy na Kincaida.

– Co to wszystko...

– Ćśś. – Doktor ostrzegawczo podniósł rękę i wtedy

Alex zauważyła ich strażnika, który właśnie się wyprostował. Kincaid przez ramię wskazał mu kciukiem drzwi. – Ja z nią jestem, Greg. Jeśli chcesz, w kuchni czeka gorąca herbata. Jess albo Sarah podadzą ci.

– A Tori? – Greg niczym lokomotywa wysapywał kłęby pary. Młodszy od Alex – może czternastolatek – miał aureolę brunatnych loków okalających brzeg czapki i policzki czerwone jak buraki od ostrego wiatru. – Już wróciła?

– Nie, ale niedługo powinna być. Na pewno ucieszy się na twój widok. – Kincaid poklepał chłopaka po ramieniu. – Zakład, że zdołasz wycyganić kanapkę albo dwie.

– Och, byłoby fajnie. Jeśli pan uważa, że to w porządku. I jeśli pan uważa, że Chris nie wróci. Wyglądał na strasznie wkurzonego.

– Myślę, że na dziś tutaj już skończył.

– Okej. – Greg wskazał swego goldena, którego puszysty ogon i gęsty kołnierz oblepiały bryłki lodu i śniegu, w Tak czy inaczej, Daisy potrzebuje chwilkę, żeby się rozmrozić.

– Więc biegiem do domu, zanim pozaziębiacie się na śmierć – rozkazał doktor. Już wcześniej odprowadzili Pszczółkę do trzymiejscowego garażu na końcu uliczki, który został zamieniony w stajnię. Koń Kincaida stał przy krawężniku przywiązany do drzewa. Odczepiwszy wodze, doktor zerknął przez ramię, stwierdził, że Greg z Daisy zniknęli za drzwiami i dopiero wtedy zagadnął

dziewczynę: – Wszystko w porządku?

– Owszem – odparła. – Ale to było strasznie żenujące.

– Takie są skutki, kiedy człowiek zachowuje się jak osioł.

– Dzięki.

– Przejdzie ci.

– Ale o co w ogóle chodziło? Najpierw Jess beszta Chrisa za to, że nie łamie zasad, a chwilę później krzyczy na mnie, że mam się do nich stosować.

Doktor znów zerknął przez ramię.

– Posłuchaj, zbyt wiele musiałbym ci wyjaśniać, ale na twoim miejscu w domu pilnowałbym języka.

– Dlaczego?

– Krótko mówiąc, są pewne... podziały. Ludzie opowiadają się za różnymi frakcjami. Nie wszyscy czują się zadowoleni ze sposobu, w jaki rozwiązywane są określone kwestie, a przecież nie chcesz, żeby ktoś niewłaściwy powtórzył coś innym niewłaściwym osobom.

Frakcje? Niewłaściwe osoby?

– Co to za miejsce? Jesteście jakąś sektą czy, no wie pan, jedną z tych naprawdę pobożnych... – Gwałtownie szukała odpowiedniego słowa. – Powiedział pan, że nie jesteście mormonami. Więc może amiszami? Czy inną dziwną grupą religijną? Wydaje się, że wszystko tu jest takie bezdyskusyjne. – Nie to dokładnie chciała powiedzieć. A po chwili, zbyt późno, uświadomiła sobie, że jeśli Kincaid jest wyznawcą, z pewnością sprawiła mu przykrość. Już miała zacząć przeproszać, jednak uznała,

że w niczym nie poprawi sytuacji.

Przez kilka długich sekund doktor przyglądał się jej badawczo.

– Biorąc pod uwagę, że część moich najlepszych przyjaciół to amisze, mógłbym się poczuć urażony. Oni nie są dziwacznymi. Ani nie są sektą. To spokojni, dobrzy ludzie.

– Pan wie, o co mi chodziło.

– Tak, wiem. – Ale się nie uśmiechnął. – Nie udaję, że wszystko rozumiem. Chociaż jako lekarz nieraz widziałem, co się dzieje z ludźmi pod wpływem bardzo silnego stresu. Nie zawsze pokazują się od najlepszej strony. Przerażeni reagują gniewem. Zrobią rzeczy, o jakich przedtem nawet by nie pomyśleli. Pójdą na układy i kompromisy, żeby tylko przetrwać. Będą gonić za cudownymi lekarstwami i wierzyć w cokolwiek tak długo, dopóki daje im to nadzieję. A kiedy nadzieja gaśnie, trzeba bardzo uważać. Niektóre osoby stają się brutalne. Będą się nawzajem atakować, dla samych siebie staną się najgorszymi wrogami.

Równie dobrze mógł mówić o jej życiu. Przy ilu specjalistach upierała się ciocia Hannah? Czym były pebble, te maleńkie kamyczki w mózgu, jeśli nie ostatnią, rozpaczliwą próbą? Kiedy zginęli rodzice, Alex nie mogła w to uwierzyć, dopóki nie zobaczyła ich ciał. Ciocia nie chciała na to pozwolić, co było całkiem zrozumiałe: pomiędzy zderzeniem a ognistą kulą rodzice zostali zredukowani do zwęglonej mieszaniny poczerniałych

kończyn i zbyt. białych zębów. Żal – takie krótkie słówko, a takie ogromne uczucie – wydawał się Alex prawie nie do wytrzymania, więc w jakiejś desperackiej wściekłości skakała każdemu do gardła.

Dokładnie tak, przyznała w duchu, jak powiedziała to Jess: łatwiej było znosić gniew niż rozpacz. Wściekłość zwodziła ją myślą, że ciągle jeszcze można coś zmienić. Że pogodzić się, znaczy zostać pokonaną.

– Więc kiedy nadchodzi koniec świata – mówił dalej Kincaid – ludzie, którzy mieli wszystko w nosie, nagle się nawracają. Jeśli przedtem istniała Wąska grupa wierzących, to wówczas oni przejmują kontrolę. Nasze miasteczko zawsze było... hm, powiedzmy, konserwatywne. Nawet z nadwyżką. Rada to tylko wierzchołek góry lodowej.

– A pan? Znaczy, czy pan wierzy?

– Wierzę w życie, a jestem wystarczająco stary, żeby akceptować je takim, jakie jest. Może tylko szukam usprawiedliwienia, ale lubię myśleć, że robię coś dobrego. I szczerze mówiąc, Rule nie daje dużego wyboru.

– A co z Jess?

– Ona chciałaby – doktor starannie dobierał słowa – zmienić kilka rzeczy. Tak jak mówiła, cena, za jaką zostawiono nas w spokoju, jest trochę wygórowana. Jednak ludzie się boją. Nikt nie chce powodować zakłóceń, zwłaszcza teraz. Jeśli żyjesz wystarczająco długo, przychodzi czas, kiedy łatwiej jest po prostu płynąć z prądem, żeby posuwać się naprzód. W zasadzie

zgadzam się z Jess, ale nie wiem, czy możemy sobie pozwolić na inny wariant.

To oznaczało... właściwie co? Że ci starzy ludzie mieli już dość? Że liczyli na takich jak Chris? Jak ona? Możliwe. Rule znajdowało się w rękach Rady, ale Yeager zawsze był ostateczną wyrocznią. Więc Jess stawiałaaby na Chrisa w nadziei, że chłopak będzie poważany tak jak jego dziadek. Ale żeby co zmienić?

– Dlaczego Jess nie wolno o tym mówić? Może powinna zebrać jakiś komitet czy coś w tym rodzaju?

Kincaid wyglądał, jakby ssał cytrynę.

– Nic z tego. Większość rządu, a większość to zwolennicy Rady i Wielebnego.

Jasne, większość mężczyzn, pomyślała z ironią.

– A pan jest zwolennikiem Wielebnego Yeagera?

– Zasadniczo nie jestem przeciwko niemu. Widzę w tym logikę. Jeżeli zamierzamy przetrwać, musimy utrzymać ład. Nie zgadzam się tylko ze sposobem realizacji.

I dorośli twierdzą, że to my odpowiadamy wymijająco.

– Więc go zmieńcie.

– To nie takie proste, dzieciaku, jak myślisz. Poza tym jedna rzecz krytykować, a inna mieć lepszy pomysł. Nie wiem, czy taki mam. A nawet jeśli, nie jestem odpowiednim człowiekiem.

– Ale Chris jest? – Pokręciła głową. – Lena miała rację. Czemu oczekujecie, że za was posprzątam wasz

bałagan? Jesteście tchórzami.

– Tak – odpowiedział Kincaid. – Słusznie.

– Muszę wiedzieć jedną rzecz. – Doktor przerzucił wodze przez łeb Appałoosy. – Co zaszło pomiędzy tobą a Wielebnym? Po tym jak wyrzucił mnie z sali.

Przypomniała sobie przestrożę starego Ernsta: „Są sprawy, które lepiej utrzymać w tajemnicy”.

– Dlaczego?

– Alex, widziałem u Wielebnego wielu Oszczędzonych, ale po raz pierwszy zobaczyłem, że któryś z nich go przyłapał. Ty wiedziałaś, co się dzieje.

– Po prostu zgadłam.

– Bzdura. Skąd wiedziałaś? Tylko ja, Rada i jeszcze dosłownie parę osób wiemy o Yeagerze i tym... zmyśle dotyku, który mu się uruchomił.

– Hm... chyba tylko takie wytłumaczenie miało sens.

– Nie wciskaj mi kitu. Posłuchaj, nie jestem wrogiem. Po prostu chcę zrozumieć, co się dzieje.

– Czy to nie pan dopiero co mówił, żebym wśród niewłaściwych ludzi trzymała język za zębami?

– Tak, ale na wypadek gdybyś sama nie zauważyła: ja jestem jednym z tych właściwych. – Kincaid przesunął wzrokiem w stronę domu. Podążając za jego spojrzeniem, w jednym z okien Alex dostrzegła Jess. Zauważywszy, że na nią patrzą, starsza pani nieznacznie skinęła głową, po czym gwałtownym ruchem zaciągnęła zasłony. Doktor zapytał: – Wierzysz mi?

Wbrew ostrzeżeniom Ernsta wierzyła doktorowi



Kincaidowi chyba bardziej niż komukolwiek w Rule, może z powodu zapachu, który przypominał jej ojca. W ciągu całej rozmowy ten zapach nie uległ żadnej zmianie; nie wyczuła w nim niczego gryzącego, co kojarzyłoby się z kłamstwem. Najwyraźniej doktor robił co w jego mocy, żeby być dla Alex oparciem. Dlatego odpowiedziała:

– Raczej tak.

– Więc zaufaj mi teraz. Skąd wiedziałaś o jego... hm, ja to nazywam superzmysłem. U niego to dotyk. A u ciebie?

Oblizła wargi.

– Poczułam.

Brwi Kincaida podpełzły aż pod linię włosów.

– Poczulaś? Masz na myśli zapach?

Twierdząco kiwnęła głową.

– W ten sam sposób wykryłam obecność Harlana. On ma... specyficzną woń, którą rozpoznałam.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Yeager ma zapach? Czujesz go węchem?

– W pana ujęciu to brzmi, jakby Wielebny śmierdział, ale... tak. Każdy ma jakiś zapach. U niektórych jest on bardziej ... – szukała odpowiedniego słowa – bardziej zagęszczony niż u innych. Często wydaje mi się, że potrafię wywęszyć, co ktoś czuje. – Opowiedziała doktorowi o swoich nagłych przebłyskach pamięci. – Jakbym łączyła zapach ze wspomnieniem, które budzi konkretne uczucie, i stąd wiem, co czują inni. Chociaż to nie zawsze działa, bo czasem czegoś po prostu nie potrafię

nazwać. Na przykład... hm, zapach wiewiórczy to zapach wiewiórczy.

– A ja też mam jakiś?

– Tak. Pan pachnie wyprawioną skórą i – zastanowiła się – zasypką dla niemowląt.

– Cóż, skóra jest w porządku. Jednak gdybym był bardzo męskim mężczyzną, mógłbym mieć problem z tą zasypką. – Uśmiechnął się szeroko. – A Wielebny?

– Mętnie. Jak naprawdę gęsta mgła. Zaparowane szkło ma ten sam zimny zapach. Najpierw nie mogłam go odczytać, a potem, kiedy odgadłam tę jego, hm, dotykową właściwość, byłam pewna, że go zaskoczyłam, bo nagle jakby coś się otwarło i poczułam deszcz. Myślę, że musiało padać w chwili, gdy to się z Wielebnym stało.

– Owszem – powiedział doktor. – Tamtego dnia faktycznie lał deszcz. Zapach szkła jest też interesujący. Co o tym sądzisz?

– Że Wielebny akurat patrzył przez okno.

Na ustach doktora zaigrał uśmiech.

– Znowu prawda.

– Skąd pan wie?

– Bo kiedy to się stało, siedziałem obok niego.

– Gdzie?

– Tam gdzie obaj mieszkaliśmy razem z innymi Przebudzonymi – odparł Kincaid. – W hospicjum, w skrzydle chorych na alzheimera.

Alex gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Pan był pacjentem? Miał pan alzheimera?

– Tak. A myślisz, że dlaczego nazywają nas Przebudzonymi? Nie byłem jeszcze w stanie terminalnym, ale już blisko. Szósta faza. Uwierz mi, nikt nie czuł się bardziej zaskoczony niż ja, kiedy ocknąłem się z pieluszką. Dzięki Bogu, suchą.

– Jak pan może z czegoś takiego żartować? – Alex nie potrafiła uwolnić się od myśli o Kincaidzie, zaślinionym i robiącym w spodnie. – Nie uważam, żeby to było bardzo śmieszne.

Doktor wzruszył ramionami.

– W moim wieku? Z czasem człowiek uczy się nie traktować wszystkiego tak poważnie. W każdym razie obudziłem się naprzeciw panoramicznego okna, przypięty pasami do inwalidzkiego wózka, a pielęgniarz – młody facet, najwyżej trzydziestoletni – leżał martwy jak głaz. Uwolnij się z takich pasów bez pomocy. To coś w rodzaju geriatrycznych kaftanów bezpieczeństwa. Niechby Houdini spróbował z nich uciec. O mało sam się nie udusiłem. – Spojrzał na Alex i roześmiał się. – Wiesz, jeśli nie zamkniesz buzi, to nalecą ci muchy.

– Ilu was jest?

– Przebudzonych? Zaledwie pięcioro, łącznie ze mną i Wielebnym.

– Więc pan też... czuje pan... ?

– Nie. Ja się nie zmieniłem. Oprócz Yeagera jeszcze tylko jedną osobę dotknęło coś podobnego. Słyszysz na bardzo dużą odległość, myślę, że trochę jak nietoperz, ale z pewnym przydatnym niuanssem. Jednak tylko ty potrafisz ich wyczuwać. Pod tym względem przypominasz psy, które też chwytają zapach Odmienionych. – Zerknął na nią z ukosa. – A one widzą w tobie przyjaciela. Więcej, chcą cię bronić. Więc musiałaś zmienić się też w jakiś inny sposób. To pewnie feromony.

Słowo brzmiało znajomo. Chyba z biologii...

– Co to takiego?

– Substancje chemiczne produkowane przez ciało. Wydzielają pewne wonie, które z kolei wywołują określone reakcje. O ile wiem, wszystkie zwierzęta je produkują. Tak samo wiele owadów. W ten sposób, na przykład, komunikują się pszczoły i mrówki. – Wargi Kincaida wygięły się w pełnym żalu uśmiechu. – Zawsze sądziłem, że moja żona pachnie liliami. Kiedy umarła, jeszcze przez długi czas trzymałem jej ubrania. Każde wejście do garderoby było jak otulające objęcia.

Pamiętała, jak pachniał Tom, ten korzenny kompleks woni, wywołujący zawrót głowy, pragnienie dotyku i głuchy ból w piersi, który rozpoznawała jako żal.

Doktor zauważył wyraz twarzy Alex i mylnie go zinterpretował.

– Dziękuję, dziecko. Nie da się do końca przeboleć

straty ukochanej osoby, ale nic mi nie jest. – Uścisnęła jej ramię. – A wracając do tematu, nie zmienimy tego, że psy uznały cię za swoją nową, najlepszą przyjaciółkę, ale sprawę Harlana możemy bez trudu odkręcić. Będziesz po prostu mówiła, że zauważyłaś go i rozpoznałaś, dobrze? Wielebny ma rację, lepiej ukrywać twój superwęch. Nie wygadaj się nawet przed Chrisem.

– O to nie ma zmartwienia. – Nie kusilo jej, by z czegokolwiek zwierzać się Chrisowi. Jednak sam fakt, że Kincaid zakładał taką ewentualność, był trochę niepokojący. Może oni już widzą w nas parę. Może dlatego Jess tak się upierała, żeby mnie eskortował, kiedy chciał się wymigać, rozmyślała. – Czy tutejsi ludzie naprawdę próbowaliby mnie skrzywdzić?

– To możliwe. Gdyby uznali, że masz jakieś ukryte motywy. Ten dar węchu... jest błogosławieństwem, ale i przekleństwem. Przyda się nam, bo potrafisz wyłapać dzieciaki, których nie wyczują psy, a kilkoro już przegapiły.

Oczyrna wyobraźnia ujrzała dzieci, przyprowadzane przed nią w ramach inspekcji.

– Nie chcę tego robić.

Kincaid rzucił jej surowe spojrzenie.

– Jesteś bystrą dziewczyną, więc nie zmuszaj mnie, żebym ci to wyjaśniał. Musimy korzystać z wszelkiej przewagi, którą dysponujemy. Co obejmuje również twoją osobę. Ale z tym też może być problem, bo będziemy mieli tylko twoje słowo przeciwko ich. Nie da się

zobaczyć ani dotknąć zapachu.

– Yeagerowi zawsze wierzycie.

– Yeager należy do jednego z Pięciu Rodów. I teraz stoi na czele Rady.

Tak, teraz... Nadal nie mogła uwierzyć, że pozwalają jakiemuś zdemenciałemu facetowi podejmować taktyczne decyzje. Ciekawe, kto wydawał rozkazy, zanim Wielebny się przebudził?

– Na pewno bym nie skłamała.

– Ty to wiesz i ja to wiem. Yeager i Rada też. Ale dlaczego mieliby ci zaufać zwyczajni ludzie? Kiedy wyda się, co umiesz robić, natychmiast znajdą się tacy, którzy ogłoszą, że też mają superzmysły. Innymi słowy, będą kłamać. Nawet jeśli Wielebny i Rada zadecydują inaczej, sprawy mogą przybrać dość nieprzyjemny obrót. Rozumiesz, o czym mówię? Moglibyśmy mieć naszą prywatną wersję procesu czarownicy z Salem, [Czarownice z Salem - grupa ok. 80 osób oskarżona o czarnoksiężstwo w Salem Village i Salem Town w 1692 r. (przyp. tłum.)] a brak nam czasu na takie bzdury.

Dotąd się nad tą kwestią nie zastanawiała, ale argumenty doktora wydały jej się logiczne. W szkole reputacja człowieka też opierała się na plotkach.

– Okej.

– Dobrze. Zatem jeżeli cokolwiek takiego wyczujesz, zawiadomisz mnie albo Wielebnego. Koniec. Kropka. Zrozumiałaś?

I żadnego z pozostałych członków Rady...

Interesujące.

– A co zrobicie, jeśli pojawi się jeszcze ktoś z superzmysłem?

– Wtedy będziemy się martwić. Ale nie wydaje mi się, żeby to było powszechne. – Znowu ukradkowe spojrzenie.

– Masz jakiś pomysł, dlaczego akurat tobie coś podobnego mogło się przydarzyć?

Alex poczuła drobne ukłucie niepokoju.

– Nie. – Milczał, więc dodała: – Naprawdę.

– Uhm. – Usta Kincaida skrzywiły się. – Wiesz, że nie jestem jak Yeager, ale sądzę, że właśnie po raz pierwszy mnie okłamałaś, Alex, i zaraz ci powiem dlaczego. Mózgi wszystkich, którzy ocaleli – nas, ludzi starych – różnią się od mózgów czterdziesto-, pięćdziesięciolatków. Na przykład inne są wzorce snu. Nie śnimy tyle, ile młodszy.

Pomyślała o Tomie i jego przerywanym śnie, o swoim potworze i nocnych koszmarach.

– Więc to może zależeć tylko od spania? Od snów?

– Recepta na wszystko? Nie, zapewne jakaś kombinacja różnych elementów przechyla szalę. Mózgi ludzi starych po prostu nie działają tak dziarsko jak przedtem. Nie produkują już tyle substancji neurochemicznych. Chociaż też nie są ujednolicone; zdarzają się bardzo bystry dziewięćdziesięciolatkowie. Znałem takiego jednego, ale, diabelnie dziwne, też od razu padł trupem. Jakby miał czterdziestkę, a nie ponad dwa razy tyle.

– I co to oznacza?

– Zastanówmy się przez sekundę. To... Elektrouderzenie, jak je nazywasz, było całą wiązką impulsów elektromagnetycznych o wysokim natężeniu, prawda? Czym one są, jak nie wyładowaniami elektrycznymi, i czym jest mózg, jak nie narządem, który żeby funkcjonować, bazuje na czymś, co w gruncie rzeczy jest elektrycznością? Mózg przypomina pszczeli ul. Wszystkie komórki muszą być zwalniane w odpowiedniej kolejności, inaczej zapanuje chaos: gromada pszczół poleci w różnych kierunkach i nic z tego nie będzie.

Alex uznała, że chyba wie, do czego doktor zmierza.

– Więc potraktowanie mózgu odpowiednio silnym ładunkiem spowoduje chaos? Zalew substancji neurochemicznych? Dlaczego miałyby to mieć znaczenie?

– Alex, a jak myślisz, co to jest atak padaczki? To znowu chaos: pobudzenie grupy komórek mózgowych w nieskoordynowany sposób. Takie ataki bywają śmiertelne. Mózg może odmówić posłuszeństwa i przestać działać, a wtedy człowiek umiera. Więc rozumiem następująco: starsi ludzie, których mózgi już nie pracują tak dobrze jak w młodości, okazali się w jakiś sposób zabezpieczeni. Elektrouderzenie wytrąciło ich z równowagi, ale nie zabiło. U tych w najgorszym stanie – czyli u Przebudzonych – mózgi były wielkości rodzyнки. Więc nas Elektrouderzenie poniekąd zmusiło do ocknięcia się. Przygotowało nasze mózgi do produkcji substancji chemicznych, których nam brakowało. To na pewno o wiele bardziej skomplikowane, ale masz już ogólny



pogląd.

Miała, ale to nadal nie wyjaśniało, dlaczego Tom ocalał. Albo ona – chyba że jednak się nie myliła i to potwór swoimi zniszczeniami uratował jej życie.

– Ale wobec tego co z dzieciakami?

– Nie wiem. Młodziutkie mózgi jeszcze podlegają zmianom. Nadal rosną i rozwijają się. Wiem na pewno, że dzieci mogą przetrzymać urazy mózgu, na przykład od tonięcia w zimnej wodzie, które zabiłyby lub okaleczyły dorosłego. Im człowiek starszy, tym jego mózg ma mniejszą zdolność do łagodzenia urazów i do adaptacji. Przypuszczam, że istnieje naturalna granica, poza którą nie potrafi już sobie poradzić, bo szkody są zbyt duże. W przypadku Elektrouderzenia większość dorosłych nie potrafiła zamortyzować urazu i z miejsca zmarła.

– A Odmienieni?

– Na podstawie tego, co widzieliśmy, sędzę, że mają tu coś do rzeczy rozwój mózgu i hormony.

– Też się z Tomem nad tym zastanawialiśmy. – Opowiedziała Kincaidowi o spotkaniu z Larrym i Deidre.

Doktor pokiwał głową.

– To by się zgadzało. Hormony wyjaśniałyby również, dlaczego dzieciaki w miarę dorastania nadal przechodzą Odmianę.

Alex nagle przypomniała się Ellie.

– Uważa pan, że każde dziecko z czasem to czeka?

– Może. Jak dotąd, wszystko na to wskazuje. Z drugiej strony, minęły zaledwie dwa miesiące, więc może to, co

zmieniło się w ich mózgach, jeszcze się samo naprawi. Te najmłodsze – niemowlęta, zupełne maluchy, nawet przedszkolaki – mogą mieć szansę. Ale nie wiemy nic pewnego.

Całe pokolenie dzieciaków skazane na Odmianę? Na tę myśl Alex przeszedł dreszcz.

– Więc czemu jedni z nas się zmienili, a inni nie?

– Oszczędzeni? Nie mam pojęcia, jak to z wami jest. Dlaczego ty czy chłopcy tacy jak Chris, Peter albo ten twój Tom nie ulegli Odmianie. Prawdopodobnie wasze mózgi pod jakimiś względami różnią się od pozostałych, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, o co chodzi.

Jeszcze przez chwilę się wahała.

– Powiedział pan, że starzy ludzie inaczej śpią i śnią. Myślę, że Tomowi przytrafiło się coś złego w Afganistanie – tak złego, że... prawie nie sypiał, a jeśli już, to nigdy długo.

Kincaid uniósł brwi.

– Stres pourazowy? Hm. O tym nie pomyślałem. To całkiem możliwe.

– Dlaczego?

– Bo mózgi ludzi z PTSD, czyli z zespołem stresu pourazowego, wykazują trwałe zmiany. Objawy wzmacniają uszkodzenie, a wzmocnione uszkodzenie oznacza więcej objawów. Właśnie dlatego PTSD jest taki trudny do leczenia. Można nauczyć się z tym funkcjonować, ale pod pewnymi względami mózg nie powraca do normy. – Doktor prychnął bezgłośnie

śmiechem jak pies. – Gdybym nie był zwykłym wiejskim lekarzem, gdybym dysponował dostatecznie liczną reprezentatywną grupą dzieciaków i wymyślnym laboratorium, gdybym mógł przeprowadzić różnego rodzaju testy, może bym rozwiązał ten problem. Ale to mi nie grozi. Natomiast jedno wiem na pewno: my, wszyscy Przebudzeni, mieliśmy siłą rzeczy takie czy inne uszkodzenia mózgu. Więc myślę, że niektórzy spośród nastolatków nie zmienili się, chociaż powinni, ponieważ ich mózgi i hormony też odbiegały od normy. – Przerwał. – Rozumiesz, do czego zmierzam, prawda?

Żołądek Alex ścisnął się od nagłego przyływu lęku.

– Nie za bardzo.

– Alex, może nie powalam bystrością, ale jestem lekarzem i potrafię dodać dwa do dwóch. Wielebny cierpiał na poważne uszkodzenie mózgu, a teraz ma nadrozwinęty zmysł dotyku. Inna osoba po przebudzeniu zyskała supersłuch. Ale ty jesteś jedynym dzieciakiem, jakiego znam, który został zarówno Oszczędzony, jak i obdarzony superzmysłem. Więc muszę się dowiedzieć – mówił Kincaid ze swoim najlepszym spojrzeniem z ukosa – co naprawdę zamieszkuje twoją głowę?

## 54

Dobrze się czujesz? – zapytała Sarah. Zatrzymała się, ponieważ Duch węszył wokół drzewa. – Przez cały

wieczór byłaś taka milcząca.

– Jestem padnięta. – Alex skuliła ramiona, kiedy wiatr cisnął garścią lodowatego śniegu, który wirując, kreślił w świetle latarki roziskrzony arabeski. Kilka kroków przed dziewczętami rysowała się zwalista sylwetka strażnika. Migotanie śniegu rozpraszało ostry, biały blask jego lampy sztormowej.

– Naprawdę przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło – powiedziała Sarah.

– Wydarzyło?

– Tak. W ratuszu. Całe miasteczko o tym gada... jak rozpoznałaś tego faceta. Harlana? Peter mówił mi, że Harlan zostawił na pastwę losu małą dziewczynkę.

– Ellie. Tak – odparła Alex trochę zawstydzona, bo wcale nie myślała o Ellie, tylko o doktorze. Kincaid mógł nazywać siebie wiejskim lekarzem, ale był wystarczająco bystry, żeby odgadnąć prawdę. W zasadzie mogła go okłamywać; mimo wszystko nie miał jak zajrzeć do wnętrza cudzego mózgu. Ale zwierzenia sprawiły jej ulgę.

Zresztą to, co doktor powiedział o potworze, też było interesujące: „Nie wiesz, czy ten guz zniknął, został unieszkodliwiony czy jest w stanie uśpienia. Może Elektrouderzenie całkiem go załatwiło. Albo te wszystkie impulsy elektromagnetyczne jakoś sprawiły, że z destrukcyjnego stał się funkcjonalny, jak dodatkowy płat mózgu”.

A może jedno i drugie. Przypomniała sobie, jak było jej niedobrze tuż po ataku. Jak po chemioterapii.

Zakładała, że to przez Elektrouderzenie, ale jej mózg był po brzegi wyładowany nowym eksperymentalnym lekiem. Barrett nie potrafił zmusić kamyczków pebble, żeby pozbyły się swego ładunku; sondy świetlne nie zadziały. Ale światło to tylko widzialna postać promieniowania elektromagnetycznego – inny rodzaj IEM. Więc może Elektrouderzenie, zbiór tych wszystkich impulsów elektromagnetycznych, było wystarczająco silne, żeby uruchomić pebble. Potwór musiał zginąć albo jakoś się zmienić. I ona też.

Żadnym z tych przemyśleń nie mogła podzielić się z Sarah.

– W porządku. To znaczy, nie. Rozumiem, dlaczego Chris nie chciał jechać na poszukiwanie Ellie, ale... – Wypuściła oddech, który natychmiast porwał wiatr. – Wcale przez to nie czuję się lepiej.

Obie w milczeniu czekały, aż Duch skończy.

– Myślę, że oni robią, co mogą – powiedziała wreszcie Sarah. – No wiesz, żeby dać nam dach nad głową i w ogóle.

– To nie to samo co być szczęśliwym albo wolnym.

– Po drodze ludzie próbowali cię zabić – wytknęła jej Sarah. – Idę o zakład, że wielu z nich ukatrupiłoby każdego z nas, gdyby tylko mogło.

Larry: „Jesteście zagrożonym gatunkiem”.

– Tak, ale wówczas kto by został? Lena ma rację. Oni nas potrzebują. Przecież widziałas niektórych z tych staruszków? Są naprawdę leciwi. W końcu każdemu z

nich coś wysiądzie. Jesteśmy potrzebni, żeby ktoś się nimi zaopiekował.

– To prawda – odparła Sarah. – Ale nie wiem, czy tylko...

Nagle gdzieś z daleka dobiegł nieregularny stukot strzałów. Padały tak szybko, że niemal nakładały się na siebie.

Karabiny, pomyślała Alex. Duch wzdrygnął się i próbował umknąć pomiędzy nogi swojej pani, ale tylko oplątał ją smyczą. Przy końcu przecznicy dziewczyna dostrzegła strażnika, który spieszył w ich kierunku.

– Hej, już wszystko załatwione? – spytał. Jego pies – długowłose kundel – śmignął wokół Alex, a potem stał cierpliwie, podczas gdy szczeniak skubał go w szyję i całym miotającym się ciałem informował: jestem taki podekscytowany, że cię spotkałem.

– Do kogo strzelają?

Strażnik jednocześnie wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Może jacyś Odmienieni, ale oni już tak nas nie napastują. Dziesięć do jednego, że to rabusie. Zawsze po nocach próbują przedostać się tu przez las. Głupio, gdyby ktoś mnie pytał.

– Dlaczego? – zdziwiła się Alex.

– Bo tamci też wychodzą nocami – odparła Sarah.

– Podwójne ryzyko, podwójna frajda – stwierdził strażnik, wykonując two-stepa dla zmarzniętych. – Mamy wyznaczony obwód, więc musieliby pokonać Strefę, nie

napatoczyć się na jakiegoś Odmienionego i przemknąć przez granicę, nie wpadając w nasze ręce. Jedyna szansa, żeby się udało, to wyruszyć za dnia, przyczaić się w Strefie i czekać. Dzień jest mądrzejszy od nocy.

Cóż, to rozwiązywało kwestię strzałów, które Alex słyszała rano. Dręczył ją obraz strażników przeczesujących las, żeby odstrzelić przybłądy. Mogła się założyć, że Peter nie miałby z tym problemu. A Chris? Czy teraz też tam był?

Nawet jeśli, to co? Poczwała ukłucie zniecierpliwienia. Kogo obchodzi, co Chris uważa albo gdzie jest?

Jednak ta myśl nie dawała jej spokoju. A jeszcze bardziej złościło Alex to, co czuła, wyobrażając sobie Chrisa ryzykującego życie tam, w ciemnościach.

Niepokój.

Kiedy wróciły do domu, Jess szła coś przy świetle świec i sprawiała wrażenie kompletnie obojętnej. Zapewne, uznała Alex, przywykła do nocnej strzelaniny jeszcze w O. K. Corral.[ Słynna strzelanina z czasów Dzikiego Zachodu, miała miejsce w 1881 r. w miasteczku Tombstone (przyp. tłum.).] Powiedziały dobranoc jej i strażnikowi, który wyglądał na całkiem szczęśliwego, że może odtajać przy piecu.

– Ten pies zostaje – oznajmiła Jess, kiedy Duch próbował podążyć do sypialni. Wręczywszy Alex i Sarah po czerwonym termoforze z gorącą wodą i zapalonej świecy, schyliła się, żeby zgarnąć szczeniaka na ręce. – Och, nie jesteś przypadkiem zwierzęciem? – strofowała

go, a po chwili roześmiała się, kiedy psi język sięgnął do jej podbródka. – Będzie mu dobrze w jego łóżeczku tu, na dole. Dziewczynki, gdybyście zechciały spać razem, byłoby wam ciepłej.

– Yhm – mruknęła Alex i zerknęła na Sarah, która wzruszyła ramionami.

– Jak dla mnie, może być.

– Dobrze. Więc lepiej zostańcie w pokoju Alex, bo jest dokładnie nad kuchnią.

Sforsowanie blokady zimnego powietrza, ciasno ubitego wokół schodów, wymagało silnej woli. Było tak lodowato, że oddechy parowały w świetle jedynej świecy, którą dała dziewczynkom Jess. Sypialnia Tori była zamknięta. Przed drzwiami Leny stała nadal nienaruszona, przykryta ściereczką taca z jedzeniem. Po powrocie z pracy w pralni – Alex nie zazdrościła Lenie tej roboty – buntowniczką poszła prosto do siebie i odmówiła zejścia na dół.

Ukucnąwszy, Sarah zajrzała pod ściereczkę.

– Niczego nie tknęła – powiedziała szeptem.

– Urwie ci za to głowę. Daj spokój, jak zgłodnieje, to zje – syknęła w odpowiedzi Alex, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej zanurkować do łóżka. Nawet z termoforem wetkniętym między stopy nie dawało się zasnąć bez skarpet i kalesonów.

Sarah jeszcze przez moment zwlekała, po czym ruszyła za Alex. Kiedy już się umyły – przy myciu zębów lodowata woda mroziła mózg – szybko przebrały i



wpełzły pod dwie puchowe kołdry, Sarah szepnęła:

– Wiesz, ona wcale nie jest taka zła.

– Co? – Spanie we wspólnym łóżku odgrzebało wspomnienie Ellie, więc Alex musiała się przez chwilę zastanowić, o kim Sarah mówi. – Kto? Lena? Pod warunkiem że ci nie przeszkadza permanentny zespół napięcia przede miesięczkowego.

– Przedtem miała rzeczywiście ciężko. Niewiele o tym mówi.

– To prawda, że stąd uciekła?

– Tak, jakieś trzy tygodnie po tym, jak tu trafiła. Próbowwała wrócić na północ. Myślę, że ma krewnych gdzieś niedaleko Orenu.

Kraina amiszów. Alex przypomniała sobie tablicę, którą widziała dwa miesiące temu koło tamtego Quik-Martu.

– Ojej. W jakim wieku?

– Wystarczająco starych, żeby zginęli, wystarczająco młodych, żeby się zmienili. Jej mama nie żyje, to pewne. Tata chyba zmarł dawno temu. Kiedyś powiedziała, że z mamą i kilkoma braćmi mieszkała u dziadków. Oni mogli ocaleć.

– Więc skąd się wzięła tutaj, skoro nadal ma rodzinę?

– Nigdy nie pytałam, ale wydaje mi się, że niezbyt lubiła swój dom. Tak czy inaczej, kiedy uciekła, przedostała się w głąb Strefy nie dalej niż na milę...

– Strefy? – Strażnik też używał tego określenia.

– To coś w rodzaju strefy buforowej, takie

zabezpieczenie pomiędzy Rule a resztą świata. Lenę złapały psy. Jeszcze jeden powód, dla którego ich nienawidzi.

– I tak doszła całkiem daleko. Znaczy, że musiała jakoś wymknąć się eskorcie.

– Hm, była w dość przyjaznych stosunkach ze strażnikami. Myślę, że któregoś przekupiła, rozumiesz...

– Nie, ja... – Nagle do niej dotarło. – Och, to po prostu obrzydliwe.

– Niektórzy z tych facetów są obrzydliwi – rzeczowo odparła Sarah. – Oni tylko wyglądają jak dziadusiowie. Dlatego Jess zawsze musi być w pobliżu, kiedy przychodzą. A jeśli wpada z wizytą ktoś w naszym wieku, znika, żebyśmy mogli pogadać i w ogóle. Chce dać nam szansę na poznanie się z chłopakami.

– A co się stało z tym strażnikiem od Leny... no wiesz... ?

– Wygnali go jak tego faceta, którego rozpoznałaś.

– I ludzie tak po prostu grzecznie się godzą nie przemykać tu z powrotem?

– Jeśli wiedzą, że zostaną zastrzeleni, to pewnie tak.

– Niemożliwe.

– Możliwe. Wielebny Yeager w tych sprawach jest naprawdę bezwzględny. Jeśli raz zdecyduje, że ktoś ma zostać Wykluczony, nie ma odwrotu. Lasu pilnuje mnóstwo strażników.

– Niby jak? Robią obchód? – Alex nie była pewna, czy chciałyby znaleźć się tam po zmroku, nawet z

karabinem.

Sarah pokręciła głową.

– Posterunki na drzewach. Trzeba wiedzieć, gdzie patrzeć. A nawet jeśli się wie, to i tak się przenoszą, więc nie da się przewidzieć, gdzie akurat będą.

– Masz o tym spore pojęcie.

– Och. Hm... Peter i ja jesteśmy... rozmawiamy. – Sposób, w jaki to powiedziała, nasunął Alex myśl, że być może Sarah z Peterem robią o wiele więcej, niż tylko rozmawiają. W takim przypadku Tori czekało duże rozczarowanie.

– Więc co trzeba zrobić, żeby dostać pozwolenie na odejście?

– Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć odejść?

– No – Alex na moment straciła głowę – na przykład, gdybyś chciała odszukać rodzinę? To znaczy, gdybym ja chciała.

– Och, nigdy nie dostaniemy takiego pozwolenia. Przyjęli nas i zamierzają zatrzymać.

Rule, pomyślała Alex, jest jak reklama środka owadobójczego: karaluchy zameldują się, ale już się nie wymeldują.

– I tobie to nie przeszkadza?

– No cóż – odparła Sarah. – Nie mamy za dużego wyboru.

Ostatnie zdanie przypomniało Alex słowa Leny, które wydawały się nie mieć sensu.

– O co chodzi z tymi Wybranymi? To to samo co

Oszczędzeni?

– Nie. Być Wybraną oznacza, że ktoś cię wybrał.

– Wybrał?

– Tak. – Chwila milczenia. – Chłopak.

– Chłopak?

– Tak. Rozumiesz, chłopak decyduje... że chce... no wiesz...

– Co? – powiedziała Alex o wiele głośniej, niż zamierzała. – Oddają nas jakiemuś facetowi? Żeby z nim żyć?

– Tak, ale nie żadnemu ze starszych – odparła Sarah uspokajającym tonem. – Wyłącznie chłopakom w naszym wieku. Każdy wybiera sobie jedną z nas i jeśli Rada się zgodzi, odchodzimy z nim. Dostajemy wtedy własny dom, o niebo lepszy od tego tutaj. W każdym razie idea jest taka, że mieszkamy razem i poznajemy się. – Przerwała. – Podobnie jak w tradycji amiszów. Wiesz, łączenie par? Tylko że my mamy szansę pobycć wspólnie, nie lądując natychmiast w jednym łóżku.

I tak nie brzmiało to zachęcająco.

– Mówisz poważnie? Owszem, mówisz poważnie. A... jeśli jakiś chłopak nas wybiera, czy oni oczekują, że – no wiesz – będziemy z nim spać?

– Jeśli chcemy, chyba tak. To byłoby normalne. Nie od razu, oczywiście... – Sarah zająknęła się. – Nikt nas nie zmusza. Ale... pewnie tak. Przecież ludzie to robią, kiedy mieszkają ze sobą.

Nie, ludzie to robią, kiedy się kochają. Nawet jeśli cię

zamkną w domu faceta, nie mogą sprawić, żebyś czuła w ten sposób.

– Już jakieś dziewczyny pooddawali? Minęły dopiero dwa miesiące.

W ciemności Sarah twierdząco poruszyła głowę.

– Myślę, że praktykują to już od bardzo dawna. Jedno wiem, nikt dotąd się nie wycofał. Rada mówi, że można, jeśli się chce, ale nikt nie chciał. Bo tylko się zastanów. Dostajesz własny dom. Ustanawiasz własne zasady... hm, w każdym razie wiele z nich. Fakt, że nie możesz odejść dokąd ci się podoba, ale poza Rule i tak nie jest bezpiecznie, więc jaka różnica?

Boże, obojętnie co mówił Kincaid, oni byli sektą.

– Więc żadna nigdy nie odmówiła?

– Chyba Lena bała się, że jeden chłopak ma zamiar o nią poprosić. – Sarah westchnęła. – Chodziło o Petera.

– Myślałam, że Peter podoba się Tori.

– Tori. – Prychnięcie. – Peter kompletnie nie jest nią zainteresowany. Za to Greg zakochał się po uszy. Trochę niezręczna sytuacja, rozumiesz? Siódmoklasista podrywający maturzystkę.

– A co to była za historia z Leną?

– Peter sporo się tu kręcił, zapraszał ją na spacer... no wiesz.

– Randki?

– Na tyle, na ile to możliwe w Rule, tak. Chyba w ten sposób Lena wybadała, gdzie który strażnik pracuje. Kiedy ją złapali i przyprowadzili z powrotem, Peter był

tak wściekły, że żądał dla niej wygnania, ale w naszym przypadku, żeby zostać Wykluczonym, trzeba by pewnie popełnić morderstwo, a i to nie wiem, czy Wielebny by się zdecydował. Jesteśmy naprawdę cenni.

– A jeśli powiemy „nie”?

– Cóż, ja nie powiedziałabym „nie” Peterowi – odparła Sarah. – I jeśli masz odrobinę rozumu, też nie odrzucisz Chrisa.

## 55

Wkrótce potem Sarah zasnęła. Alex wpatrywała się w cienie na suficie, a jej myśli pędziły jak uciekający pociąg.

Była taka głupia. Jakim cudem tego nie widziała? To dlatego ludzie ciągle powtarzali, że one są takie cenne: bo dziewczynę można połączyć z chłopakiem. Do diabła, jeśli tak dalej pójdzie, może skończy się na dobieraniu dla jednej kilku partnerów.

Miały wartość. Bo mogły rodzić dzieci.

To naprawdę koniec świata, takiego jaki znała.

Miasteczko Rule nie było azylem.

Było więzieniem.

Jednak Sarah się myliła. Alex miała do wyboru nie jedną, nie dwie, ale trzy opcje.

Po pierwsze: mogła zaaprobować reguły z nadzieją, że

chłopak, który ją wybierze, nie będzie totalnie obrzydliwy. Jeśli o to chodzi, mógłby być Chris.

Po drugie: mogła narobić trochę zamieszania. Ojciec doskonale ją wyćwiczył. Na sto procent strzelała równie dobrze jak każdy z uczestników patrolu. Od niektórych nawet lepiej. Jazda konna nie wydawała się taka trudna. Więc Alex mogła zgłosić swoją kandydaturę. Ostatecznie miała coś do zaoferowania. Jej superwęż – gdyby, założmy, opowiedziała o nim Chrisowi albo Peterowi – niewątpliwie bardzo by się przydał. Nie była tylko pewna, czy potrafiłaby zastrzelić kogoś, kto nie należał do Odmienionych. Z drugiej strony, gdyby natknęła się na kolejnego Harlana, może problem przestałby istnieć. Tak czy inaczej, chodziło o wydostanie się z Rule. Jeśli po kilku patrolach daliby jej więcej luzu, za którymś razem po prostu już by nie wróciła.

Po trzecie: mogła zabrać prochy rodziców i zmykać, ile sił w nogach. Co – gdyby do tego doszło – oznaczałoby mniej więcej, że koło się zamknęło i powróciła do punktu, w którym przerwała, kiedy rozpoczął się ten koszmar.

Opcja pierwsza była zupełnie nie do przyjęcia. Alex nie chciała zostać komukolwiek oddana. A rodzenie dzieci? Nie potrafiła o tym myśleć bez gęsiej skórki. I na czym to się mogło skończyć? Nie miała żadnej gwarancji, że trafi do kogoś, kogo chociaż polubi. W Rule o wszystkim decydowali mężczyźni. Jess była silną kobietą. O ile Alex wiedziała, istniały pewne sprawy, co do

których starsza pani chciała zmienić nastawienie Chrisa. A jednak, mimo całej swojej buńczuczności, ugiwała się przed wolą mężczyzn.

Tak czy owak, opcja numer jeden kompletnie odpadała.

Za to numer drugi zapowiadał pewne możliwości.

Gdyby dostała przydział do patrolu, miałyby szansę obmyślić najlepszy sposób na wydostanie się z tego cholernego miejsca. Przecież nie mogli bez przerwy kogoś przy niej trzymać. W końcu musieliby jej zaufać. Świetnie potrafiła to sobie wyobrazić – jadą konno i któryś z nich, może Chris, mówi: Ty sprawdzasz tam, a ja tutaj. Zanim przyszedłoby mu do głowy, żeby jej szukać, byłaby już daleko.

Ale jak wyjechać na patrol? Musiała z kimś pogadać. Peter? Tak, Peterowi powinno się spodobać, że ona dobrze strzela. Może nawet powiedziałyby mu o swoim superzmyśle? Tylko w jaki sposób miałyby coś takiego zademonstrować? Doktor uwierzył jej, bo jest jednym z Przebudzonych i wie o superzmyśle Yeagera. Ale jeśli nikt inny o tym nie słyszał... Kincaid twierdził, że to subiektywne: nie ma sposobu, by dowiodła, że mówi prawdę, o ile kogoś nie wskaże.

Chris? Nie była pewna. Mogła nad nim popracować, ale nie miała w tych sprawach żadnego doświadczenia. Poza tym pomysł, by przymilać się do niego, budził w niej zażenowanie. I to nie tylko dlatego, że nie chciała sprzyjać sprawie w stylu Tarzan – Jane. U Petera co



widziałaś, to mogłaś otrzymać. Chris za bardzo chował się w mroku i Alex miała wrażenie, że zawsze ją obserwował – że jej strzegł – i starał się zrozumieć.

I co Chris by zrobił, gdyby wiedział? Już wystarczająco źle, że Kincaid odgadł prawdę o potworze. Nawet Wielebny niczego się nie domyślił. Najwyraźniej zaakceptował zdolność Alex jako rodzaj Bożego daru.

A niech to, momencik. Gdyby Chris albo Peter odkryli jej sekret, mogła się założyć, że któryś – a może jeden i drugi? – wpadłby na pomysł, żeby ją wymienić na kogoś, kto, no cóż, miał szansę żyć. Gdyby dowiedzieli się o potworze, szybko wykopaliby ją z miasteczka... Czy nie o to właśnie chodziło?

Hm, owszem, ale nie w taki sposób. Chciała odejść na własnych warunkach, kiedy będzie już gotowa. A do tego potrzebowała zapasów – na miesiąc, jak wyliczyła, co oznaczało głównie posiłki gotowe do spożycia. Trzydniowa porcja turystycznej mieszanki owocowo-orzechowej i kanapka z jajkiem nie mogły wystarczyć. Potrzebowała też wybielacza do odkazania wody. Albo tabletek. Śpiwora, brezentu, butelek z wodą. Niestrudzony umysł podsuwał kolejne szczegóły: krzemień, zapalki wodoodporne, drut na wnyki, bawełniane kłaczki na podpałkę... Należało zrobić listę.

Pozostał jej nóż do buta, który dostała od Toma. W całym tamtym zamieszaniu przeoczyli go. Z początku wsunęła nóż pod materac, jednak potem pomyślała, że to skrytka zbyt oczywista i zmieniła ją na taką, gdzie nikt nie

powinien szukać: w torbie z psim jedzeniem, na samym dnie. Dopóki miała oko na karmę Ducha, wszystko było w porządku. Ale potrzebowała jeszcze broni palnej. Najlepiej swego glocka, jeśli zdoła go znaleźć. I przydałby się karabin. I amunicja, kilka paczuszek, gdyby odkryła, gdzie to wszystko trzymają. Może jeszcze luk? Nie, za duży. Tak samo karabin. Ale pistolet na pewno tak. Bez dwóch zdań. I jakiś schowek, żeby to wszystko magazynować, zanim zacznie uczestniczyć w patrolach.

Ale którądy uciekać?

Lena.

Lena próbowała. Lena będzie wiedziała. W każdym razie musiała mieć jakieś pojęcie. Tak, tylko że Lena nie była głupia. Jeśli Alex zacznie węszyć i zadawać pytania, Lena szybko doda jedno do drugiego. I zechce się przyłączyć, a to już murowana katastrofa.

Jak długo by jej szukali? Pewnie zależnie o tego, czy uznaliby, że jest dla nich wiele warta... co prowadziło znowu do kwestii ujawnienia potwora, a to nie było dobre.

I do Drzwi Numer Trzy.

Po prostu wziąć nogi za pas. Szybko.

Gdyby zdołała przycząć się na kilka tygodni, zgadzać się na wszystko, a tymczasem zgromadzić niezbędne rzeczy, mogło się udać. Nie było potrzeby przyłączać się do patrolu. Właściwie lepiej, żeby pokręciła się po miasteczku, poznała tutejszy rytm życia, dowiedziała się, kto dokąd chodzi. Wzbudziła zaufanie i pozwoliła miejscowym przywyknąć do swego widoku. Dobrze

znane jest zwykle niewidzialne. Ilu ludzi naprawdę zauważa wszystko, co widzi?

Plus: Rule potrzebowało zaopatrzenia. Do tych wypraw niezbędni byli Chris, Peter i masa innych facetów. Masa koni, masa wozów i jeźdźców do eskorty jak przy dawnych wozach osadników. To mogła być dobra pora, żeby dać drapaką: kiedy tylu mężczyzn wyjeżdżało z miasteczka, cała reszta kryła się po kątach.

Ostrożnie wymknęła się z łóżka, krzywiąc twarz przy każdym skrzypnięciu sprężyn, ale Sarah spała tak mocno, że nawet się nie poruszyła. Zbliżywszy się do okna, Alex wsunęła palec pomiędzy zasłony i wyjrzała. Płatki śniegu cicho, miękko bębniły o szybę, ale nie zobaczyła nic. Noc była nieprzenikniona, ciemna i ogromna. Bez blasku ulicznych latarni, podskakującego światełka latarki lub choćby ognika papierosa mogła tylko zgadywać, gdzie się podział strażnik. Pewnie chodził, żeby nie zamarznąć. Pomyślała, że nawet nie wie, czy oni mają jakieś schronienie, coś w rodzaju strażniczej budki, co byłoby najlogiczniejsze. Włóczenie się po śnieżycy nie mogło służyć nikomu, nawet młodemu facetowi. A zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby biedny idiota kulił się przez całą noc na ganku z karabinem na kolanach. Bardziej prawdopodobne, że po miasteczku jeździły patrole na wzór konnej policji w Nowym Jorku. Należało to sprawdzić.

A co z psami?

Cholera.

Gdyby przypadkiem koło któregoś przechodziła – a musiała, nie było siły – nie chciałby jej opuścić. W końcu była najlepszą przyjaciółką każdego psa. Zabrać ze sobą Ducha to jedno, a wlec całą sforę... Tak, ale może mogła to jakoś wykorzystać? Błysnął jej pomysł zgromadzenia psiej armii: Daj głos, aport, zdechł pies! Nie ma cholerniej mowy, jak powiedziałyby ciocia Hannah.

Przez szybę sączyło się zimno i uderzało ją w twarz. Alex wyobraziła sobie siebie tam, na dworze, samą, przedzierającą się przez zaspy. Nawet w rakietach śnieżnych albo na nartach byłaby to ciężka przeprawa. Szanse malały i to w szybkim tempie. Z dnia na dzień zima stawała się coraz surowsza.

Więc co zrobić, żeby jej nie złapali albo, co gorsza, omyłkowo nie wzięli za rabusia i nie zastrzelili? Może wymknąć się przez południowo-zachodni kraniec miasteczka w stronę starej kopalni, później zakręcić na północ i podążać... dokąd?

Minnesota. Granica. Kanada. Jeśli Tom jeszcze żył, to właśnie tam się kierował. Kawał drogi do pokonania, ponadto to wielki kraj, ale jeśli Tom żył...

Jeśli Tom żył...

– Tom. – Cichy szept wydobył się z ust razem z powietrzem. Patrzyła, jak jej oddech zasnuwa mgłą skrawek szyby, a potem powoli znika, pozostawiając tylko wspomnienie, że w ogóle był.

Wypowiedziane na głos imię znów wywołało ten głuchy ból. Jeśli Tom nie umarł, gdzie się podziewał? Co

się z nim stało? Czy jej szukał? Nie, do tej pory już by tu dotarł; przecież wiedział, że poszła do Rule. Ale jeśli żył i myślał o niej w tym samym momencie, kiedy ona myślała o nim, to może...

Zamknęła oczy. Zmusiła się, żeby zachować spokój, cierpiąc, zmagając się z myślami, a mimo to otworzyła pamięć na jego zapach, tę dziwną korzenną woń, która była Tomem.

Ujrzała i poczuła go w przebłyskach wspomnień: Tom trzymający ją za rękę tego wieczoru, kiedy znaleźli radio; Tom w blasku ogniska; Tom – ciemna sylwetka czuwająca nad nią po nocach. Wargi Toma. Palce Toma w jej włosach. Jego smak...

Nie wiedziała, czy ucisk w gardle albo ciężar w sercu oznaczały, że Tom znalazł się przy niej, że istniała jakaś więź. Może to wszystko było tylko zmysłowym dopełnieniem wspomnień: tym, co pozostaje i jest zaledwie widmem dotyku, szmerem słowa, trwaniem zapachu.

A jednak czuła jego obecność, więc pomyślała: Pewnie dlatego niektórym ludziom nie przeszkadza, kiedy nawiedzają ich duchy.

## 56

Zanim nadszedł ranek, zdecydowała, że na razie dostosuje się do tutejszych reguł. Rozpoznanie – tak

nazwałby to Tom. Będzie pracować z doktorem Kincaidem w hospicjum, które służyło Rule również jako szpital. Dowie się, gdzie kto chadza. Nabierze orientacji, zgromadzi prowiant i kiedy nastanie właściwa pora, zniknie stąd.

Szkoła okazała się jednym wielkim żartem. Alex była o wiele za daleko z programem, żeby nauczyciele mogli się nią zajmować. Jeszcze przed przerwą na lunch pierwszego dnia dyrektor uznał, że dziewczyna równie dobrze może spędzać cały czas u Kincaida.

Na korytarzu, pod drzwiami gabinetu, już czekał Chris, żeby odwieźć ją do hospicjum. Kiedy wymienili z dyrektorem słowa powitania, starszy pan zagadnął:

– Chris, myślisz, że udałoby ci się wykombinować jeszcze kilka egzemplarzy *Przypadków Robinsona Crusoe*? Powiedzmy dziesięć? Och, i może też *Wyspę błękitnych delfinów*, i coś Beverly Cleary albo Roalda Dahla...

Kierując się do głównego wyjścia z kościoła, Alex zapytała:

– Naprawdę jesteś w stanie to wszystko znaleźć?

– Raczej nie. – Chris przytrzymał drzwi, po czym wynurzył się za nią na mroźne powietrze. Dla odmiany dzień był słoneczny. Mrużąc oczy, chłopak pogrzebał w kieszeni na piersi, wyciągnął ciemne aviatory i wsunął na nos. Alex poczuła ukłucie zazdrości. Światło raziło tak mocno, że aż boleśnie, więc podniosła rękę, żeby osłonić się przed blaskiem. Chris natychmiast to zauważył. – Nie

masz okularów?

– Miałam – odparła z lekkim rozdrażnieniem, że traktuje ją jak głupią. – W moim plecaku.

– Przepraszam. Nie chciałem krytykować.

– Nie szkodzi. – Rozpoznanie, pomyślała. – Więc skąd bierzesz te książki?

– Częściowo z miasta, ale najbliższa biblioteka jest trzy, cztery dni drogi stąd, więc tak naprawdę to kiepska opcja. Blokuje zbyt wiele osób i wozów, żeby w ogóle się opłacała. Większość domów w promieniu dwudziestu mil już została wyczyszczona, o ile nie poszły z dymem.

Alex odwiązała wodze Pszczółki i wskoczyła na siodło. Śnieg sięgał koniowi prawie do połowy nadpęci. Niedługo trzeba będzie zamienić klacz na większego wierzchowca. Albo jeździć do hospicjum na nartach. Jeśli się zastanowić, to mógł być sposób, żeby dostać narty i może rakiety śnieżne.

– Tak, też widziałam zwęglone ruiny. Nie rozumiem tego.

Chris brnął obok na swojej kasztance, Nocy. Przecięli błonia i skręcili w boczną uliczkę wiodącą na północ, w stronę hospicjum.

– To głównie rabusie. Zabierają co się da, a resztę podpalają. Nie są tak dobrze zorganizowani ani liczni jak my, bo inaczej już by zdobyli Rule. Ale mają dość interesującą strategię.

– To znaczy?

Przyjrzał się jej zza ciemnych szkieł swoich okularów.

– Zostawiają po sobie zgliszcza. Coraz więcej ludzi kieruje się tutaj. Krążą plotki. Im więcej uciekinierów wpuszczamy, tym dalej musimy się wyprawiać w poszukiwaniu zapasów. Im bardziej się oddalamy od Rule, tym łatwiej nas powystrzelać. Dlatego ograniczamy liczbę przyjmowanych osób, ale i tak wzrasta ryzyko. Teraz czasami podróżujemy kilka dni, zanim znajdziemy to, czego szukamy. Może będzie łatwiej, kiedy znowu zaczniemy uprawiać ziemię, ale do tego czasu jesteśmy uzależnieni, jak wszyscy pozostali, od resztek, które zdołamy wygrzebać.

– Co się działo wczoraj wieczorem? Próbowali wtargnąć rabusie?

Chris skinął głową.

– Straciliśmy trzech ludzi.

– A tamci?

– Dopadliśmy dwóch, ale dwóch zwiąło. Następnym razem pojedę za nimi. Mam w nosie, co mówi Peter. Gdybyśmy dotarli do ich obozu albo miasteczka, moglibyśmy drani wykończyć i odebrać im łupy. O jedną bandę do martwienia się mniej, a dla nas czysty zysk.

– Ale oni nie są Odmienionymi. To po prostu ludzie, którzy usiłują przetrwać.

– Którzy usiłują odebrać nam naszą własność.

– Gdybyś z nimi porozmawiał, może wspólnie...

– Z tymi facetami nie ma rozmowy.

– Skąd wiesz? Próbowalesz? – Kiedy nie odpowiedział, naciskała dalej: – Chris, nie możesz tak po prostu zabijać



ludzi i zabierać ich rzeczy.

– Dlaczego nie? – Trzymał oczy wlepione w ziemię. – Oni zabiliby nas, gdyby tylko mieli szansę.

Hospicjum było małe: cztery skrzydła, sześćdziesiąt łóżek, z czego tylko dwadzieścia zajętych przez prawdziwych pacjentów hospicyjnych. Głównie w ostatnich stadiach raka albo chorób płuc.

– To przede wszystkim górnicy – wyjaśnił Kincaid, kiedy przystanęli przed drzwiami sali dziennej. – Staramy się, żeby było im wygodnie.

Alex przemknęła wzrokiem po garstce pacjentów – starych mężczyzn, w większości z zielonymi przenośnymi zbiornikami tlenu, zapadających się w wyściełanych fotelach. Większość drzemała, chociaż niektórzy grali w warcaby albo w szachy. Kilku tasowało zatłuszczone karty do pasjansa. Widok przygnębił ją, a zapach antyseptycznego mydła przywiódł zbyt wiele wspomnień – wszystkie złe.

Odwróciła się i dostrzegła, że doktor się jej przygląda.

– Tutaj nie będziesz często pracować – powiedział. – Nadal mamy pełen poświęcenia hospicyjny personel.

– W porządku – odparła, chociaż poczuła ulgę. Zbyt łatwo widziała tu oczami wyobraźni samą siebie. Jakiś czas temu, kiedy jej jedynym zmartwieniem był, hm, zbliżający się zgon, Alex odwiedziła parę hospicjów dla osób w swoim wieku i uznała, że oczekiwanie na śmierć w towarzystwie obcych jest jeszcze bardziej pokręcone

niż oczekiwanie na śmierć u cioci Hannah. – Jak zdobywacie zbiorniki z tlenem?

– Tak jak i wszystko inne. – Ruszył przez korytarz, przywołując ją ruchem ręki. – Albo chłopcy, plądrując okolicę, dostarczą je, albo nie. Ostatnio raczej to drugie. Jeśli mają do wyboru: zagarnąć wóz antybiotyków i bandaży czy kilka zbiorników tlenu... sprawa jest przesądzona.

– A co pan zrobi, kiedy zaopatrzenie się skończy? – zapytała Alex. Wszystko to pięknie, ale musiały być granice, do których mogli gromadzić zapasy. Sądząc z wieczornej strzelaniny, Kincaid musiał tu widywać sporo rannych.

– Klasyfikacja – odparł zwięźle, jakby to cokolwiek tłumaczyło. Alex знаła ten termin, jej matka pracowała na oddziale nagłych wypadków. Ale grupowanie rannych według kategorii nie rozwiązywało problemu, chyba że...

Spojrzała na doktora.

– Co się dzieje, kiedy ktoś ma naprawdę, rozumie pan, naprawdę ciężkie obrażenia? – Nie chciała powiedzieć: kiedy kogoś nie można uratować albo kiedy ktoś jest umierający.

Starszy pan przez chwilę patrzył jej w oczy.

– Skoro jesteś wystarczająco bystra, żeby zadać takie pytanie, to już znasz odpowiedź.

Znała. Chris jej powiedział. Kiedy nie starcza dla wszystkich, musisz rachować. Leczyć tych, którzy albo mają większe szanse przeżyć, albo z jakichś względów są

cenniejsi. Reszta? Trzeba mieć nadzieję, że koniec nadejdzie szybko. Zastanawiała się, czy doktor jakoś w tym pomagał. Biorąc pod uwagę sytuację, sądziła, że mógł.

Kincaid miał do pomocy dwóch starszych mężczyzn pod siedemdziesiątkę. Zanim przeszli na emeryturę, pracowali jako pielęgniarze. W hospicjum było też sześciu techników: wyszukane określenie dla takich jak ona, którzy zmywali krew z podłóg, zmieniali prześcieradła, opróżniali baseny, roznosili posiłki. Na widok jej miny Kincaid roześmiał się.

– Nic się nie martw. Kiedy zaczynają wracać patrole, zwykle ktoś jest ranny. Jeszcze będziesz mogła zjeść na tym zęby.

Dotrzymując słowa, Kincaid poprosił, żeby mu towarzyszyła, gdy kilka godzin później przykuśtykał jakiś farmer i zaprezentował udo rozcięte niemal do kolana: „Cholerna piła skoczyła i mnie dziabnęła”. Rana okazała się bardzo głęboka, więc przez cały czas, kiedy Kincaid pracował, jego uczennica była zajęta odciąganiem krwi. W połowie zabiegu, gdy krwawienie zostało już w dużym stopniu opanowane i pierwsze szwy założone, doktor podał Alex zacisk Kelly’ego i pincetę chirurgiczną.

– Patrzyłaś? Dobrze. Teraz chcę, żebyś ty założyła kilka szwów. Nie bój się; po prostu zrób to. – Obserwował, jak wkłuwa i wykluwa igłę, jak wiąże węzeł, po czym skinął głową. – Bardzo dobrze. Robiłaś to kiedyś?

– Moja matka była lekarzem. – W myślach usłyszała głos mamy: „Rozluźnij nadgarstek, kochanie; nie bój się iść na całego”. – Ćwiczyłyśmy z nogą kurczaka. Mama mówiła, że to najbardziej przypomina zszywanie ludzi.

– Przypomnij, żebym nie wpadł do was na obiad – mruknął farmer.

Przez cały dzień deptała Kincaidowi po piętach. Dawno już zapadł zmrok, kiedy wychodziła z hospicjum. Przed budynkiem czekał na nią Chris z Pszczółką, co wydawało się jednak trochę dziwne. Skąd wiedział? Przecież nie było możliwości, żeby po prostu odebrać telefon. Czyżby Chris miał ją na oku? Jeśli tak, to niedobrze.

W porównaniu z porankiem nie rozmawiali wiele, nic ponad: cześć, jak się masz, spoko, to super. I w porządku. Kiedy znaleźli się już w zaułku Jess, Chris zeskoczył z konia, zaczekał, aż Alex zostawi Pszczółkę w stajni-garażu przy końcu uliczki, a potem odprowadził dziewczynę pod same drzwi. Powiedziała mu dobranoc i dziękuję, on skinął głową, nic nie mówiąc. I na tym koniec.

Co było w porządku.

Chris pojawił się znowu drugiego dnia, ale już nie trzeciego, czwartego, piątego ani szóstego. Zamiast niego eskortował ją Greg i przez cały czas podpytywał o Tori. W przeciwieństwie do Chrisa Greg był gadatliwy i niedbały. Dzięki temu dowiedziała się, że zapasy –

plecaki, żywność, ubrania – magazynowano w jakiejś kryjówce w miasteczku.

I że południowo-zachodni kraniec był najslabiej patrolowany.

– Mamy nawet kilka składów benzyny – chwalił się chłopak. – Wypompowaliśmy z aut, ciężarówek i innych pojazdów. Planujemy użyć jej wiosną do traktorów, pił łańcuchowych i różnych takich urządzeń.

– A dlaczego nie teraz? – zapytała. – Nie działają żadne skutery śnieżne?

– Może i teraz, jeśli zajdzie pilna potrzeba. Ale przez długi czas nikt nie będzie produkował benzyny. Kiedy wyjdą nam zapasy, to już koniec. Chyba że wykombinujemy jakiś sposób, żeby wypompować ją ze zbiorników pod stacjami. Ale do tego potrzebny jest inżynier, który by nam pomógł. Nawet gdyby się dostać do tych zbiorników, nadal zostaje problem, że benzyna w końcu się wyczerpie i to trochę przeraża, rozumiesz? Głupio, nie? W każdym razie Rada jest za tym, żebyśmy żyli samowystarczalnie i prościej. Jak amisz. Co w jakimś stopniu było już przed... no wiesz. Dlatego tyle domów ma ręczne pompy i różne sprzęty do wody. Bez tego bylibyśmy kompletnie załatwieni.

Przy takiej logice, pomyślała Alex, Peter, Chris i wszyscy pozostali powinni chodzić w jelenich skórkach i zamienić broń palną na łuki i strzały. Albo na maczugi.

– Co się dzieje z ludźmi, których odprawiacie? Nie wyrzucacie ich chyba z pustymi rękami?

Czoło Grega przecięła zmarszczka niepokoju.

– Och nie, to byłoby... niewłaściwe. Każdy dostaje, wiesz, plecak z porcją prowiantu. Zapas jedzenia i wody na parę dni.

– A broń? Też jej przecież potrzebują.

– Tak, ale... – Greg nerwowo ugniał nos. – Pewnie by nas wtedy powystrzelili, no nie?

– Racja. – Alex pochyliła głowę nad jego karabinem. – Ładny. To Henry, prawda?

Rozpromienił się.

– Tak, cudeńko. Big boy, kaliber . 44 magnum. Absolutnie fantastyczny zasięg. Na patrole dostają jeszcze bushmastera M4. Zgromadziliśmy już cały arsenał.

– Super. Gdzie?

– Każdy z nas ma kilka sztuk w domu, ale większość trzymamy pod kluczem w ratuszu, w piwnicy pod aresztem. Amunicję też. To chyba najbezpieczniejsze miejsce w mieście.

Hm, nie brzmiało to zachęcająco. Alex nie potrafiła wymyślić żadnego godziwego pretekstu, który pozwoliłby jej dostać się do ratuszowej piwnicy – a tym bardziej za zamknięte na klucz drzwi. Co oznaczało, że musiała ukraść broń z czyjegoś domu. Czy Jess miała pistolet? Nie, jako kobieta zapewne nie. Więc pozostawał któryś z chłopaków albo Kincaid...

Coś wykombinuje. Musi.

W niedzielę był kościół. Członkowie Rady zasiadali w

wysokich krzesłach ustawionych koło kazalnicy. Wielebny odprawiał nabożeństwo – jedno wcześniej rano, drugie trochę później – i każdy mieszkaniec Rule w którymś uczestniczył. Oczywiście Jess zmusiła swoje podopieczne do udziału w obu, co było dla Alex straszną nudą. Nabożeństwo wyglądało mniej więcej tak, jak oczekiwała: parę czytań, masa pieśni, kazanie, znowu pieśni i wreszcie idźcie – i – bądźcie – policzeni – pomiędzy – prawych. Wkładem Yeagera były głównie budujące opowieści, o ile ciemniejszy niż ciemność może być świat i jak Bóg mógł pozwolić na takie cierpienia, ble, ble, ble. Oprócz Apokalipsy, nienawiści oraz Gwiazdy Piołun, Wielebny zdawał się darzyć przesadnym upodobaniem historie z życia braci. Jakub i Ezaw, Izmael i Izaak, Kain i Abel. Jego zdaniem Odmienieni nosili piętno Kaina, odznaczali się nikczemnością Izmaela i byli totalnie prymitywni jak Ezaw. Kain stanowił przypadek oczywisty, ale o ile pamiętała Jakub oszukał własnego ojca, a Abraham nie potrafił utrzymać spodni zapiętych. Jak odbiło się to na Ezawie, który był po prostu kudłatym, pracowitym rolnikiem szukającym pożywienia, albo na biednym Izmaelu, którego jedyną zbrodnią było to, że się w ogóle urodził – nie wiedziała. Sądząc z kamiennego spojrzenia, jakim Jess obrzuciła Wielebnego, kiedy zaczął perorować – z tego, jak wzmógł się jej zapach, biały i beznamiętny – coś w tej tyradzie na braterskie tematy też działało starszej pani na nerwy.

W każdym razie Alex wyłączyła się. Religia i Bóg

stracili dla niej znaczenie już dawno temu. Nikt nie musiał jej opowiadać o ciemniejszym niż ciemność. Była tam, zaliczyła, kupiła T-shirt.

Dopiero niemal dwa tygodnie potem, w środę, wychodząc z domu, spostrzegła Chrisa, który czekał na nią z Pszczółką.

– Cześć – powiedziała autentycznie zdziwiona. – Myślałam, że Greg ma być moją eskortą już na stałe. – Za późno uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało, więc szybko dodała: – Znaczy, myślałam, że jesteś bardzo zajęty...

– Byłem – odparł i podał jej wodze Pszczółki. Lekki, powitalny uśmiech odpłynął mu z twarzy. Chłopak wcisnął na nos przeciwsłoneczne okulary i wskoczył na swoją kasztankę, po czym spojrzał na Alex z góry. – A teraz wróciłem. Nie masz nic przeciwko?

– Skąd. – Policzki jej płonęły, chociaż nie była pewna czy to gniew, czy zakłopotanie. Chris nie odezwał się więcej. Dosiadła konia i ruszyli z głuchym stukotem kopyt po świeżym śniegu. Odczekała, aż skęcili z uliczki Jess, i dopiero wtedy znowu spróbowała. – Więc... gdzie byłeś? Jeździłeś po zaopatrzenie?

– Yhm.

– Hm... dokąd?

– Tu i tam. – Przez cały czas wlepiął wzrok w drogę. – W okolicy Orenu.

– Aha. – Gwałtownie myślała, co by powiedzieć. – To chyba dosyć daleko?



Ramiona Chrisa szybko uniosły się i opadły.

– Nie za bardzo. Tylko kilka mil na północ.

Znała Oren i wiedziała, że leży więcej niż kilka mil od Rule.

– Nigdzie bliżej nie można było znaleźć tego, co chcieliście?

Zawahał się, zanim znów się odezwał. Niemal widziała, jak obracają się tryby w jego mózgu.

– Pamiętałem, że Oren miał objazdową bibliotekę.

Na moment zbił ją z tropu. Dopiero po chwili przypomniała sobie rozmowę z dyrektorem szkoły.

– Przejechaliście taki kawał drogi po książki?

– No, nie tylko. Po inne rzeczy też.

– I znaleźliście tę bibliotekę? Bardzo splądrowana?

– Wcale, na ile mogłem stwierdzić. Panował tam – w głosie Chrisa pojawiła się nuta zadumy – taki jakiś spokój.

Alex wyobraziła sobie ładną, przytulną, wielką furgonetkę wypełnioną książkami.

– Dużo przywieźliście?

– Wszystkie.

– Wszystkie? To mnóstwo wozów.

– Nie było tak źle. Peter trochę się wkurzył, ale przed nami długa zima, a więcej książek już nie będzie.

– Tego nie wiesz – odparła. – Może my je napiszemy.

Wtedy na nią spojrział.

– Chciałaś zostać pisarką?

– Niezbyt dużo myślałam o przyszłości. – Nie musiała kłamać. Najpewniejsze, co ją czekało, to data śmierci.

– Doktor chwali cię, że dobrze sobie radzisz. Mówię o pomocy w szpitalu.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, więc milczała.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad medycyną?

– Przez chwilę.

– I dlaczego zmieniłaś zdanie?

– Och, wiesz – odparła mgliście. – Zostawiłam sobie czas na podjęcie decyzji.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Pod drzwiami hospicjum Chris powiedział:

– Zaczekaj sekundę. – Sięgnął za pazuchę i wydobył podłużne, czarne etui. – Pomyślałem, że może zechcesz ich używać.

Otworzyła. Wewnątrz leżały damskie okulary przeciwsłoneczne. Leciutka plastikowa oprawka była szarozielona, a szkła bursztynowe.

Zanim znowu podniosła wzrok, Chris zdążył już swoje okulary zdjąć. Spojrzenie jego czarnych oczu stało się nagle niepewne, zapach zmienił się: nadal ciemny i chłodny, ale z odrobiną czegoś słodkiego i jednocześnie cierpkiego... Jabłko?

– Sportowe – powiedział. – Szkła mają polaryzacyjne i odporne na stłuczenia, więc powinny ci służyć przez długi czas.

Bardzo drogie i bardzo ładne, pomyślała. Należało je przyjąć. Odmowa byłaby podła, małostkowa. Jednak Alex nie chciała go zachęcać. Nie chciała go polubić. Jedyne, czego chciała, to wykombinować, jak się stąd wydostać.

– Dzięki. – Zamknęła etui i wyciągnęła w stronę Chrisa. – Naprawdę niczego nie potrzebuję. – Błysk bólu przemknął mu po twarzy, ale natychmiast zniknął. Woń jabłek osłabła, kiedy chłopak odebrał od Alex czarne pudełeczko.

– Jasne – powiedział. – Nie ma sprawy.

## 57

Kompletna Świnia.

Powinna była wziąć te okulary.

Co z niej za idiotka.

Jeśli się nad tym przez chwilę zastanowić, Chris wyprawiał się w te jatki i chaos poza granice Rule, przejechał całe mile po książki, żeby gromadka dzieci miała co czytać. I wśród tego wszystkiego jeszcze pomyślał o niej. Wyobrażała go sobie, jak wędruje pustymi ulicami, wymijając martwe ciała i martwe samochody. Cały czas wypatruje Odmienionych albo zasadzki, a jednocześnie rozgląda się za idealnymi okularami dla dziewczyny, której prawie nie zna i która ze swoim dorobkiem może mu je rzucić prosto w twarz.

Co też zrobiła. Nawet jeśli nie potrzebowała go jako źródła informacji, podle traktowanie dla podłego traktowania... to było zupełnie nie w jej stylu. Idiotka, skarciła się w myślach.

Kincaid zatrzymał ją do późna, prawie do dziewiątej.

Kiedy pospieszyła do głównego wejścia, Chrisa nie było. Świetnie. Prawdziwa ulga. Jednak po raz pierwszy nie załatwił, żeby kto inny na nią czekał. Może to oznaka zaufania, że sama trafi do domu? Nie, po dzisiejszym poranku było to raczej wielkie „mam cię gdzieś, złotko”.

– Och, Bogu dzięki. – Podbiegła do niej rozdygotana jedna z techników, Loretta. Była to pulchna, pozbawiona talii starsza pani z włosami obciętymi pod garnek. – Chris prosił, żebym miała na ciebie oko i dała mu znać, kiedy Matt cię puści. A ja zajęłam się czymś i zapomniałam.

Alex odczuła mały wstrząs. Ulgę. Kamień spadł jej z serca i to wprowadziło ją w jeszcze większe zakłopotanie. Jedną rzecz czuć się świnia, a całkiem inną uświadomić sobie, że przejęła się gniewem Chrisa.

– On tu jest?

– Tak, ale... – Loretta położyła dłoń na ramieniu Alex i zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu: – Jest w skrzydle hospicyjnym. Poczekał, zaraz go przyprowadzę.

– Pójdę po niego. – Dziewczyna ruszyła korytarzem. – Który pokój?

– Delmara. – Loretta dreptała u jej boku. – Naprawdę, to mi zajmie tylko sekundę. Powinnaś zaczekać przed wejściem.

– Nie ma sprawy. – Alex już studiowała tabliczki z nazwiskami: Holter. James. Mitchell. Zauważyła pokój po prawej stronie. Drzwi – z dużą taflą szkła – były uchylone. Poczowała ciepły wiew od katalitycznego grzejnika. Okej, dobrze, mogła przeprosić za swoje

zachowanie albo... coś wymyślić. – W porządku...

Przerwała, ogarniając spojrzeniem pojedyncze łóżko i leżącego na nim człowieka. Był wyniszczony i chudy jak szkielet. Wyglądał na tak kruchego i suchego, że nie byłaby zdumiona, gdyby nagły silny podmuch wiatru wystarczył, by roztrząść jego kości w proch. Zielone wąsy tlenowe wpęły mu za uszy i pod brodę. Poznała, że mężczyzna jeszcze żyje, wyłącznie po tym, że co kilka sekund mrugał jak żółw: powoli i dokładnie.

Chris siedział plecami do drzwi, ale dostrzegła książkę i dosłyszała szmer jego głosu. Czytał.

Coś kazało jej zachować milczenie, po prostu cichaczem wycofać się, żeby jej nie zauważył. Czekająca parę kroków dalej Loretta skinęła na nią. Kiedy dotarły na palcach do połowy korytarza, pochyliła się i szepnęła:

– Jeśli nie wyjeżdża, czyta co wieczór najciężej chorym. Dzięki temu mają coś, na co mogą czekać. Ale nie powiesz mu, że ci powiedziałam, dobrze? On nie chce, żeby ludzie wiedzieli. To naprawdę bardzo skryty chłopak.

– Jasne – odparła Alex, nadal oszołomiona. Dlatego zawsze tu był, kiedy kończyłam pracę, zrozumiała. Znowu ją uderzyło, że w Chrisie jest o wiele więcej do lubienia – a nawet do podziwiania – niż sobie wyobrażała. – Będziemy udawać, że nic takiego w ogóle nie miało miejsca.

– Dobrze. – Loretta wyglądała, jakby jej ulżyło. – Zrobimy tak. Ty wracaj przed budynek i zachowuj się,

jakbyś dopiero co wyszła, a ja odczekam chwilkę i przyprowadzę Chrisa. On zwykle wymyka się po konie bocznymi drzwiami.

Zrobiła tak, jak prosiła Loretta. Może pięć minut później usłyszała głuchy stukot kopyt i pojawił się Chris na Nocy, prowadząc za wodze Pszczółkę.

– Cześć – powiedział z takim mniej więcej entuzjazmem, jaki Alex mogłaby wykazać wobec karalucha. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – odparła, wskakując na siodło. Milczeli przez dobrych dziesięć minut, zanim wreszcie zdobyła się na odwagę, żeby zapytać: – Hm... co dziś robiłeś?

Było ciemno, więc nie widziała jego twarzy, ale poczuła na sobie spojrzenie.

– Dlaczego w ogóle cię to interesuje?

Cóż, to jej zamknęło usta. Więcej żadne z nich już się nie odzywało. W zaułku Jess Chris pomachał w kierunku lampy sztormowej, która oznaczała strażnika, po czym powiedział:

– Możesz już iść. Ja odprowadzę Pszczółkę do stajni.

– Sama mogę odprowadzić własnego konia.

– Świetnie – burknął. – Jak wolisz.

Kiedy minęli dom Jess, Alex znowu spróbowała:

– Posłuchaj, dziś rano...

– O to się nie martw.

– Nie. – Ściągnęła cugle Pszczółce i odwróciła się do Chrisa. Noc była bezksiężycowa, więc w ogóle nie

widziała jego twarzy.

– Pozwól mi tylko...

– Proszę, możemy tego nie robić? W tym, co musisz powiedzieć, nie ma niczego, co chciałbym usłyszeć.

Jakby wymierzył jej policzek.

– Więc nie słuchaj, ale nie możesz powstrzymać mnie od mówienia – wypaliła.

– A rób sobie co chcesz.

– Boże, nie ułatwiasz mi tych przeprosin.

W jego zapachu nie pojawiła się żadna zmiana. Jeśli już, mrok jeszcze zgęstniał.

– To nie ma znaczenia.

– Owszem, ma – krzyknęła o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzała. Jej słowa widocznie poniosły się daleko, bo zobaczyła białą plamę mocnego światła, którym strażnik machał w ich kierunku. Zniżyła głos. – Zachowałam się jak kompletny dupek. Byłeś dla mnie miły, a ja to odrzuciłam. W ogóle nie musiałeś taszczyć tych książek, ale taszczyłeś. Mogłeś załatwić wszystko migiem i wrócić, ale nie wróciłeś. Znalazłeś sposób, żeby dostarczyć tu całą głupią bibliotekę. I przy tym wszystkim pamiętałeś jeszcze, że nie mam przeciwsłonecznych okularów, i jeździłeś po mieście, szukając ich dla mnie. Wszędzie grasują kanibale i rabusie, i ludzie, którzy chcą pozabijać nas, nastolatki takie jak ty i ja, a mimo to zaryzykowałeś. Więc... przepraszam.

– Dobrze. Przeprosiny przyjęte, w porządku? A teraz, czy możemy już umieścić w stajni Pszczółkę?

Zrobili to przy świetle lampy Colemana. Jednak Chris – wbrew oczekiwaniom dziewczyny – nie zdjął Nocy uzdy ani nie zaprowadził kasztanki do boksu. Zamiast tego znowu jej dosiadł i wyciągnął rękę. Kiedy Alex spojrzała ze zdumieniem, powiedział:

– Chodź. Odwiozę cię.

Bez słowa chwyciła jego dłoń i podciągnęła się na tylny łęk siodła.

– Lepiej się trzymaj. – Woń ciemności Chrisa nie zmieniła się, ale kiedy Alex objęła go w pasie, poczuła na piersiach ciepło jego pleców.

Podczas krótkiej powrotnej jazdy nie zamienili ani słowa. Przed domem Jess dziewczyna zsiadła i powiedziała:

– Może wszedłbyś na chwilę? Nie jadłam obiadu, więc mogę się założyć, że Tori odłożyła dla mnie porcję. Zawsze tak robi.

– Nie chciałbym cię obżerać – odparł.

– Coś ty? Na pewno jest dość dla nas obojga.

Jess otworzyła drzwi w chwili, gdy Alex dotarła na podest schodów przed kuchnią.

– Właśnie mi się wydawało, że was tu słyszę. Wchodźcie oboje, zanim zamarzniecie na śmierć.

Alex dostrzegła, że wszystkie dziewczyny tam są – w szlafrokach i kapciach. Kuchenny stół zaśmiecały kłębki włóczki i garstka drutów do robótek. Duch, który przybiegł w podskokach, zaczął kluczyć wokół nóg swojej pani i skomleniem prosić o uwagę.



– Dobry wieczór – powiedział Chris wciskając się za nią. – Cześć, Tori. Cześć, Sarah.

– Chris? – Alex usłyszała zdumienie w głosie Tori, a potem zobaczyła, jak spojrzenie koleżanki śmiga od niej do Chrisa i z powrotem. – Właśnie uczymy się nabierać oczka.

– Super. – Chłopak skinął głową Lenie. – Cześć.

– Cześć – odparła Lena. Jej zwykle kwaśny zapach nie uległ zmianie.

Tori już wstawała.

– Alex, w piecu czeka twój talerz i...

– Ona wie, co gdzie w kuchni znaleźć – przerwała jej Jess, zbierając ze stołu motki i druty. – Chodźcie, zostawmy tych dwoje, żeby spokojnie zjedli.

– No jasne – mruknęła Lena. – Oczywiście.

– Zawsze musisz być złośliwa? – zapytała Sarah.

– Chris, chciałbyś zabrać do domu trochę chleba? W spiżarni jest kilka bochenków – znowu zaczęła Tori. – Pozwól, że...

– Alex może to zrobić – powiedziała Jess. – Jak lubi zaznaczać Lena, nie jest kaleką. Alex, w czajniku masz gorącą wodę, a Tori upiekła całkiem niezłą szarlotkę z kruszonką.

– Jabłka – dodała Sarah, przyglądając się uważnie Chrisowi. – Zdaje się, że je uwielbiasz?

– Tak – odparł Chris. – Hm, dzięki, Tori.

– Idziemy, wszystkie. Rozpalimy na nowo w bawialni – zakomenderowała starsza pani, przeganiając z kuchni

pozostałe dziewczyny i zamykając za nimi drzwi, zza których dobiegły jeszcze stłumione narzekania Leny i jakaś ostra odpowiedź Jess.

Policzki Alex płonęły.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie przejmuj się tym. Chodź, pora coś przekąsić.

Przyniosła jedzenie – Tori zostawiła porcję wystarczającą do wyżywienia małej armii – a tymczasem Chris wyciągnął drugi talerz i sztucę, po czym zabrał się do zaparzania ziołowej herbaty.

– Chris? – Krojąc chleb, Alex zagadnęła.

– Tak?

– Dziękuję, że pamiętałeś o mnie, kiedy tam byłeś. Ja... to... – Zerknęła i po jego stężałych plecach poznała, że jej słucha. – To bardzo miłe.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem, kiedy odwrócił się do niej, Alex poczuła nikłą woń jabłek.

– Prawdę mówiąc – powiedział – jesteś osobą, o której trudno zapomnieć.

Po raz kolejny miała deja vu.

Dojedli obiad i spałaszowali szarlotkę do ostatniego okruszka, ale jeszcze pili herbatę. Siedzieli tak długo, że w końcu usłyszeli nad głowami jakieś poskrzypywanie. To Jess pogoniła swoje podopieczne na górę. Nie rozmawiali za wiele, co jednocześnie uspokajało i irytowało. Z Tomem rozmowa płynęła sama. Chris prawie się nie odzywał. A jednak Alex czuła w tym coś

przytulnego, intymnego... Znowu był Tom. Nie, nie było go, nie mogło być. Jeśli już, była tylko błada imitacja jak kserokopia powielana setki razy, aż wreszcie staje się tylko wyblakłym odbiciem oryginału. Tom to Tom, a Chris to cień i żadna liczba życzeń nie mogła zmienić Chrisa w Toma. Zresztą ona sobie tego nie życzyła, nawet przez sekundę, nawet za milion lat. Potrzebowała Chrisa i tyle. Chciała, żeby jej zaufał, żeby stał się jej sprzymierzeńcem. Wyłącznie dlatego go zaprosiła, prawda? Prawda?

– Mogę cię o coś zapytać? – W jej rozmyślania wdarł się głos chłopaka.

– Yhm... jasne – odparła, biorąc się w garść. Łapki drzemiącego na jej kolanach Ducha nerwowo zadrgały. – A co?

– Dlaczego masz przy sobie prochy rodziców? – Kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, dodał pośpiesznie: – Nie musisz mi mówić, jeśli to zbyt osobiste.

– Nie, w porządku. – Yeager nawet o to nie zapytał, a Tom w ogóle o nich nie wiedział. – Oni umarli już parę lat temu. Chcieli, żeby ich prochy rozsypać w Jeziorze Górnym, to wszystko.

I jeśli się zastanowić, naprawdę to było wszystko. Nic wielkiego. Czemu, och czemu nie powiedziała Tomowi, kiedy jeszcze mogła? Ale oczywiście wiedziała czemu.

Bo wtedy wyznałabym też swoją tajemnicę, przyznała w myślach. Gdybym zaczęła się zwierzać, nie byłoby już odwrotu, a ja po prostu nie chciałam ryzykować.

Powinnam mu była zaufać; zwlekałam zbyt długo...

– Aha. A dlaczego akurat teraz? Przecież mogłaś to zrobić kiedykolwiek.

– Po prostu uznałam, że nadeszła odpowiednia pora – powiedziała i uświadomiła sobie, że to prawda. Gdyby "ii wróciła do cioci Hannah, znalazłaby się w potrzasku dużego miasta – i najprawdopodobniej już by nie żyła. Było tak, jak mówił Tom: właściwe miejsce dokładnie we właściwej chwili.

Chris musiał dostrzec coś w jej tonie, bo lekko zmrużył oczy, ale jego mroczna woń się nie zmieniła.

– Okej. – Wzruszył ramionami. – Przykro mi, że się nie udało. Może wiosną będziemy mogli tam się wyprawić. Jeśli zechcesz. To znaczy, chciałbym cię zabrać.

Chociaż nie miała zamiaru doczekać w Rule do wiosny, nawet na sekundę się nie zawahała. Jeśli Chris uwierzy, że ona tu jeszcze będzie, może wszyscy wyluzują, a wtedy nadarzy się szansa ucieczki.

– Dzięki. Naprawdę miło z twojej strony.

Zsadziła szczeniaka z kolan i oboje z Chrisem zabrali się do zbierania brudnych naczyń, zmywania i wycierania. Znowu deja vu. Jeszcze tylko potrzebowali dziecka, które kręciłoby się po kuchni.

– Masz szczęście, że coś ci zostało – powiedział Chris.  
– Myślę o ich prochach. Ja mojej mamy nawet nie pamiętam.

Podawała mu talerz.

– Nie?

Chłopak pokręcił głową.

– Jest dla mnie taką wielką niewiadomą. Odeszła niedługo po moim urodzeniu. Miałem dopiero kilka miesięcy. Jeśli wierzyć w psioczenie taty, prysnęłaby już ze szpitala, gdyby tylko jej się udało. Nie wiem, jaka była ani co się z nią stało. Tata nie zatrzymał żadnej fotografii.

– A wiesz, dlaczego odeszła?

– Mój tata pił. – Zerknął niepewnie, żeby sprawdzić reakcję Alex. – Przypuszczam, że ją tłukł.

Cóż, to tłumaczyło ciemność. Mężczyzna wystarczająco podły, żeby bić żonę, z pewnością nie szczędził pięści, kiedy sprawa dotyczyła dzieciaka.

– Dlatego powiedziałeś, że on chciał, żebyś umarł? To znaczy, nie użyłeś dokładnie tych słów, ale...

– Wiem, o co ci chodzi. – Westchnął. – Chyba tak. On miał kilka przyjaciółek. Była taka jedna. Denise. Miałem wtedy dziesięć lat. Odebrała mnie z treningu koszykówki. Nie pamiętam, dlaczego tata po mnie nie przyjechał. Pewnie leżał nieprzytomny czy coś w tym rodzaju. Denise też była kompletnie zalana. Zorientowałem się, kiedy tylko usiadłem z tyłu. Mielibyśmy większe szanse, gdybym to ja prowadził. Mniej więcej milę od domu rozbiła auto. Rąbnęła prosto w drzewo. Nie miała zapiętych pasów. Wyleciała przez przednią szybę. Oczywiście, to też była moja wina. Dotąd widuję tę scenę po nocach.

A więc jednak: koszmary jak u niej i Toma.

– Straszne.

– Tak. Wysłuchiwałem o tym co dzień, śniło mi się co noc. A teraz oboje moi rodzice nie żyją. Rzecz w tym, że nie żałuję żadnego z nich. Tata nienawidził mnie, a mama odeszła. – Usta wykrzywił mu gorzki grymas. – Gdybym tak mógł oczyścić mózg i dostać amnezji. To byłaby ulga.

– Na pewno nie.

## 58

Spadło jeszcze więcej śniegu. Tygodnie topniały jeden po drugim, aż nagle zostały już tylko dwa dni do Bożego Narodzenia. Alex widziała, że jej szanse ciągle maleją tak, jak kurczył się zasięg wzroku i myśli, kiedy już prawie umierała na tamtej stacji benzynowej. Nie zrezygnowała, właściwie nie, ale z każdym dniem, który przemijał, ucieczka wydawała się coraz mniej pilna i coraz bardziej skomplikowana, jakby wola Alex powoli dusiła się pod śnieżnymi zaspami.

Czy naprawdę było jej aż tak źle? Pięćset mil to bardzo dużo, zwłaszcza jeśli nie wiedziała, czego szuka ani kto na nią czeka, a dookoła grasowali Odmienieni i mnóstwo zdesperowanych ludzi. W rzeczywistości nikt jej w Rule nie niepokoił. Właściwie dokąd mogłaby uciec, gdzie byłoby bezpieczniej niż tu?

Jednak jeszcze całkiem się nie poddała. Nadal gromadziła zapasy, chomikując je w starym wiadrze,

które zawiesiła pod stropem w najciemniejszym kącie garażu, gdzie trzymała Pszczółkę. Każdy dodatkowy drobiazg – kawałek szpagatu, bloczek zapalek, słoik masła orzechowego, skalpel wyniesiony z hospicjum pod podszewką kurtki – dawał jej poczucie zwycięstwa, ale tylko na moment. Wszystko to były sukcesy tak chwilowe jak syk rzymskich ogni. Szykując się w tym tempie, musiałyby tu zostać do końca zimy albo do czasu, kiedy potwór w jej mózgu zmęczy się udawaniem, że śpi. Cóż, może należało przeczekać do wiosny? Przecież nie chciała ruszać w drogę przy dużych śniegach, prawda? Prosiłaby się tylko o większe kłopoty, a tego nie potrzebowała.

Jej życie nabrało ustalonego rytmu: praca z doktorem Kincaidem, obowiązki w domu, przejażdżki z Chrisem. Czuli się ze sobą swobodnie. Może nawet łączyły ich przyjazne stosunki, chociaż nie byli przyjaciółmi. Po tamtym wieczorze Chris powrócił do swojej skorupy, okrywając się mrokiem, jakby wstydził się i obawiał, że powiedział zbyt dużo. Jak dla niej było to w porządku. Też miała kilka sekretów, a poza tym wcale nie chciała poznawać go lepiej.

I nawet rozumiała dlaczego. Tom też by zrozumiał. Bo to zupełnie, jakby nadać wrogowi twarz. Zrób tak, a nigdy nie naciśniesz spustu.

Była naprawdę przerażona. Zaczynała zapominać Ellie i Toma.

W nocy, kiedy Sarah spała, Alex leżała nieruchomo. Próbowwała odizolować się od dalekiego trzasku karabinów

i przywołać twarz Toma, jego zapach, chwilę przebłysku... cokolwiek. Ale im usilniej starała się pochwycić wspomnienia, tym bardziej przypominały bańki mydlane, pękające z każdym kolejnym wystrzałem. Miałyby więcej szczęścia, ściskając w dłoniach garstkę mgły. Ellie była już tylko różowym, niewyraźnym kształtem.

Po tych daremnych wysiłkach osłabiona, roztrzęsiona gryzła wewnątrz policzka, dopóki w ustach nie poczuła rdzawego smaku. Stało się z nią coś złego, co nie miało związku z potworem. Gdzie się podziała dziewczyna, która zabrała prochy rodziców i wyjechała? Tamta, która oznajmiła doktorowi Barrettowi: „Teraz ja dyktuję warunki”. Tego za cholerę Alex nie potrafiła powiedzieć.

Więc może naprawdę Rule zabijało ją obietnicami bezpieczeństwa? Kulila się w kącie jak wystraszony królik z nadzieją, że nikt nie zwróci na nią uwagi. A może pozwoliła, żeby Rule ją zatruwało: dławilo jej wolę, to, czym Alex jest i była, czego oczekiwała.

Nigdy nie dopuściłaby, żeby potworowi uszła podobna rzecz na sucho. Istniało wiele sposobów walki. Więc dlaczego nie walczyła?

Bo coś się zmieniło. Znowu. Wewnątrz niej. Wiedziała o tym, czując, jak powoli pogrąża się w stanie otępiełej akceptacji.

Zupełnie jak wtedy – myślała – kiedy zdiagnozowali u mnie guza. Były stadia gniewu. Szok. Potem byłam wkurzona, jeszcze potem walczyłam jak diabli... aż w



końcu odrętwiałam. Nazywali ten stan akceptacją. Całkiem niesłusznie. Tak się dzieje, kiedy człowiek ma wyłącznie dwa wyjścia: żyć z potworem albo się zabić.

Tylko że nikt nie pozwoliłby jej się zabić. Bo to przestępstwo. Co za głupota. Doktorzy nie mogliby w tym pomóc, bo by wylądowali w więzieniu. Znała dziewczynę, też nieuleczalnie chorą, która próbowała popełnić samobójstwo. Pigułki i jack daniel's. Po pompowaniu żołądka wsadzili ją na oddział psychiatryczny, bo uznali, że jest w depresji.

Super. Spróbujcie żyć z potworem w mózgu. Zobaczymy, czy nie popadniecie w, och, całkiem leciutką depresję.

Więc Alex nie miała wyboru, żadnego. Mogła żyć z potworem albo zrobić to, co zrobiła: *carpe diem* i w nogi.

Teraz też powinna była uciec. Zima czy nie, należało się stąd wydostać, zanim będzie za późno. Oczywiście, sama, poza miasteczkiem narażała się na pewną śmierć. Jednak Alex wiedziała, że czekając zbyt długo, w końcu uwierzy, że wszystko – Rule, życie, które dla niej zaplanowano, Chris – to najlepsza opcja. I zadowolili się tym, czego oni chcą.

Faktycznie, jeśli się zastanowić, były dwa potwory: jeden – dziki lokator w jej mózgu; drugi – Rule.

Tak czy inaczej, miała być martwa.

Uciekaj, powiedziała sobie. Uciekaj, idiotko, uciekaj.

Ale nie uciekła. Nie mogła. Po prostu... nie mogła.

W Wigilię rabusie wdarli się do Strefy. Kimkolwiek byli, mogli sądzić, że wszyscy w miasteczku popijają ajerkoniak i pieką kasztany (nic z tych rzeczy), ale – Peter nie byłby sobą, gdyby wiecznie nie rwał się do walki – patrole czekały gotowe. Strażnicy zamknęli podopieczne Jess w domu. Przesiedziały większą część nocy stłoczone przy żelaznym piecyku, słuchając odgłosów wielkiej bitwy: stukotu i pukaniny wystrzałów, rozdzierającego trzasku, który brzmiał jak serie z karabinów automatycznych. Pozostałe dziewczyny drzemały, tylko Alex czuwała z piekącymi oczami, tak niespokojna, że po skórze przebiegały jej ciarki. Myśli kłębiły się i wirowały, każdy nowy lęk sycił kolejny. Przedtem snuła niedopracowane plany, żeby wymknąć się właśnie w takiej chwili chaosu, ale teraz potrafiła myśleć tylko o Chrisie, który gdzieś tam walczył, do którego strzelali. Czy był bezpieczny? Co się działo? Boże, gdyby tylko zgodzili się na jej pomoc.

Kiedy słabe światło mroźnego zimowego świtu wreszcie wydobyło drzewa z mroku, w lesie zapanowała cisza i nadeszła wieść, że bitwa już skończona.

– Ilu ludzi straciliśmy, Nathanie? – Jess zwróciła się do strażnika, który dostarczył wiadomość. Tak mocno ścisnęła szal pod szyją, aż pobiełały jej kłykcie.

– Dziesięciu nie żyje. Mniej więcej tylu rannych, w

tym trzech bardzo ciężko – odparł Nathan, szpakowaty, przysadzisty mężczyzna o zadziwiająco łagodnym, niemal melodyjnym głosie. – Mogło być gorzej.

Alex poczuła, jak powietrze uchodzi jej z piersi. Oczy Leny zwęziły się w czujne szparki, krew odpłynęła z policzków Sarah.

– Co z chłopcami? – chciała wiedzieć Jess. – Co z Chrisem?

– Peterowi nic się nie stało? – w tym samym momencie zapytała Sarah. – Czy... ?

– Wszystko z nim w porządku – powiedział Nathan, po czym przeniósł wzrok na Alex. – Z Chrisem też.

Nie była przygotowana na taką falę ulgi, wielki przyływ, który wypełnił jej żyły i osłabił kolana. Zbyt późno dostrzegła szybkie, oceniające spojrzenie Jess.

– A Greg? – odezwała się Tori. Twarz miała ściągniętą z niepokoju.

– Hm. – Szare oczy Nathana umknęły w bok. – Greg dostał.

– Och! – Ze stłumionym okrzykiem Tori przycisnęła rękę do ust. – Jak bardzo? Czy on... czy... ?

– Doktor mówi, że nic mu nie będzie. Stracił trochę krwi, to wszystko.

– Mogę go zobaczyć?

– Zgodnie z rozkazem macie tu zostać.

– Nie martw się, Tori, ja pojedę. Tak czy inaczej, doktor będzie potrzebował pomocy – powiedziała Alex, ale Nathan potrząsnął głową. – Dlaczego nie?

– Rozkaz – powtórzył beznamiętnie. – Tutaj jest dla was najbezpieczniej. Jeśli doktor zechce, żeby cię przywieźć, da mi znać.

Z wyrazu jego twarzy Alex zrozumiała, że wyklócanie się niczego nie zmieni. Ale dlaczego Kincaid miałby nie pozwolić na jej przyjazd? Bo nie chciał, żeby widziała kogo sobie odpuści? Komu pozwoli umrzeć?

Bożonarodzeniowy ranek stanowił bladą kopię świąt: żadnych prezentów oprócz pary skarpet, które Jess własnoręcznie zrobiła na drutach dla każdej z nich. Wszystko inne byłoby rozrzutnością, a starsza pani uważała, że jej podopieczne powinny być wdzięczne, że w ogóle żyją. Jednym słowem do kitu, chociaż Alex właściwie się ucieszyła, bo co można podarować komuś takiemu jak Lena? Może tylko kaganiec...

W całym tym zamieszaniu modlitwa została przesunięta na popołudnie: jedno duże nabożeństwo odprawiane na głównym placu miasteczka. Alex rozglądała się za Kincaidem, ale doktora nigdzie nie było. Stojąc na stopniach kościoła, Yeager zapuścił się w meandry długiego kazania o walecznych mężach z Rule, zupełnie jakby byli krzyżowcami pełniącymi jakąś świętą misję.

– I nasz Pan wezwał was, o wy, wybrani – grzmiał, a obłoczki jego oddechu unosiły się w zimowym powietrzu. Wpatrywał się w pierwsze rzędy składanych krzeseł, które zajmowali uczestnicy nocnej potyczki. Dopiero teraz Alex dostrzegła Chrisa, Petera, Grega – z okazałym

opatrunkiem na lewym ramieniu – i resztę chłopaków, tak łatwych do wyłowienia spośród otaczających ich starszych mężczyzn. – *Ja dałem rozkaz moim poświęconym; z powodu mego gniewu zwołałem moich wojowników, radujących się z mej wspaniałości.* [Księga Izajasza 13:3.] Czy to nie opis walecznych mężów z Rule? Bronimy słusznej sprawy! Stronnicy szatana są jak bestie naznaczone piętnem Kaina i klątwą Izmaela, a mimo to przetrwamy, bo jesteśmy Pańską Prawicą!

Znawali się w Michigan, nie rozległo się żadne alleluja, ale ujrzała, jak głowy pochylają się w geście potwierdzenia. Wielebny zaczął wywoływać mężczyzn do błogosławieństwa. Kiedy zacisnął dłonie na ramionach Chrisa, krew popłynęła jej szybciej w żyłach, jakby Alex miała jakieś prawa własności. Czowała, że w pewnym sensie ten chłopak należy do niej i do niej też należy to zwycięstwo. A potem Chris wstał i się odwrócił. Jego spojrzenie omiotło tłum, odnalazło jej oczy – i nie cofnęło się.

Na chwilę stało się tak, jakby świat zamarł; ludzie wokół niej po prostu znikli, rozplynęła się ciemność spowijająca Chrisa i pozostała tylko jego twarz, ich wspólne spojrzenie. I czy to wyłącznie gra wyobraźni, czy rzeczywiście zapach słodkich, chrupiących jabłek tak się nasilił, nabrał mocy, że wszystko ogarnął?

Oderwanie wzroku od jego oczu było trudnym, niemal bolesnym aktem woli. Bo Alex bardzo nie chciała się patrzeć w inną stronę. Twarz jej nagle spłynęła potem, na

szyi trzepotało tętno. Co się działo? Przecież nie mogła tego czuć. To fakt, Chris był przystojny, był w porządku, był miłym chłopakiem – ale nie był Tomem. Nie mógł się jej podobać, nie mogło jej na nim zależeć. Bo wtedy Tom stałby się przeszłością, naprawdę by odszedł. A ona nie czuła się jeszcze gotowa, żeby go puścić.

– Proszę – szepnęła. – Proszę, Tom, proszę, nie zostawiaj mnie. Proszę. – Jej słowa były zaledwie tchnieniem, tak ulotnym jak mgielka unosząca się spomiędzy warg i prawie niesłyszalnym nawet dla samej Alex. Jednak znowu poczuła na sobie czyjeś spojrzenie – tym razem nie Chrisa. Zerknęła w lewo i napotkała wzrok Jess.

Zesztywniała zaalarmowana. Czyżby Jess usłyszała? Nie, niemożliwe, to był ledwie szept. Jednak przyglądała się badawczo, w ten sam wyrachowany sposób co rano. Woń starszej kobiety niczego nie zdradzała i Alex po raz kolejny pomyślała, że pod tym względem Jess jest trochę jak Wielebny. Jednak jej zapach nie przypominał zaparowanego szkła: po prostu... nie istniał. Zero, nuli, niczym biała plama, która kojarzyła się Chrisowi z matką.

– Hej. – Sarah szarpnęła ją za rękaw. – Dobrze się czujesz?

W tym samym momencie Jess przestała się gapić i znów odwróciła twarz w stronę Yeagera. Alex ukradkiem zerknęła na Sarah.

– Wszystko dobrze – odpowiedziała, zmuszając się do przelotnego uśmiechu. – Po prostu jestem trochę

zmęczona.

Na to już nic nie usłyszała. Powtarzała bezgłośnie słowa hymnów, ale Jess więcej na nią nie popatrzyła. Tym niemniej Alex wiedziała, że oczy jej nie myliły. Zapach mógł być białą pustką, ale uczucie, które przemknęło po twarzy starszej pani, kiedy odwracała wzrok, dawało się odczytać, jasno i wyraźnie.

Satysfakcja.

A potem pozostał już tylko jeden dzień do Nowego Roku.

– Dziś rano wyjeżdżam. Pewnie... – Chris przerwał, kiedy Tori umieściła na stole talerz jajecznicy i bułeczki. Praktycznie skończyły się zapasy proszku do pieczenia, więc bułeczki były tak oklapnięte, że wyglądały jak miniaturowe krążki do hokeja. – Dzięki.

– Dokąd jedziesz? – zapytała Alex.

– Kawy? – Tori wskazała dzbanek.

– Yhm, pewnie – odparł Chris. Przyglądając się, jak dziewczyna nalewa mętną, czarną ciecz, która zdaniem Alex podejrzanie pachniała smołą, uniósł brwi. – Co w tym jest?

– Cykoria. – Jess wyłoniła się z piwnicy, w pobliżu spiżarni. Sarah deptała starszej pani po piętach. Obie wrzuciły po fartuchu ziemniaków do zlewu. – W Nowym Orleanie to przysmak.

Chłopak wydał niezobowiązujący pomruk.

– Można trochę masła?

– Obawiam się, że nie. Ta odrobina, którą miałyśmy, poszła na świąteczne wypieki – powiedziała Jess. – Krowy muszą być lepiej karmione.

– Wiem. – Chris przełamał bułeczkę na pół. – To jest na liście.

– Dokąd jedziesz? – ponownie zapytała Alex.

– O wiele dalej niżbym chciał – odparł, odgryzając kawałek. Przełknął, pociągnął łyk pseudokawy i skrzywił się.

– Przepraszam. – Tori położyła mu rękę na ramieniu. – Musiałam dodać trochę mąki kukurydzianej. Wiem, że są ciężkie. Jeśli chcesz, poszukam miodu.

– Nie, nie, tak jest dobrze – powstrzymał ją. A do Alex powiedział: – Tym razem wyprawimy się o wiele dalej, jak sędzę. Większość pobliskich miast jest już kompletnie wyczyszczona, praktycznie nie zostało nic. Peter uważa, że powinniśmy jechać do Wisconsin.

Tori gwałtownie wciągnęła powietrze.

– A nie pilnują granicy?

– Niedługo się dowiemy. Tydzień w tę i z powrotem, łatwizna. I wcale nie jest powiedziane, że naprawdę coś znajdziemy.

– Więc wróćcie dopiero po Nowym Roku. – W głosie Sarah brzmiało rozczarowanie.

– Tak. – Chris podniósł wzrok na Lenę, która pchnąwszy biodrem drzwi, wkroczyła do kuchni z naręczem drewna na opał. – Pewnie tak.

– Co pewnie tak? – zapytała Lena.



– Chrisa i Petera nie będzie tu na Nowy Rok – powiadomiła ją Tori. – Muszą jechać po zaopatrzenie aż do Wisconsin, jeśli uda im się przekroczyć granicę. To niesprawiedliwe, że w Wigilię walczyli, a teraz znowu.

Lena jak zwykle przewróciła oczami, ale tym razem Alex się z nią zgadzała. Życie raczej nie było sprawiedliwe – w razie gdyby Tori dotąd tego nie zauważyła.

Chris powiedział:

– Jeśli chcecie coś specjalnego, zróbcie listę. Nie mogę niczego obiecać, ale...

– Prawdziwą kawę – wpadła mu w słowo Lena. – A w przypadku jej braku, miły byłby bilet stąd w jedną stronę.

– Znowu się zaczyna – mruknęła Sarah.

Alex czuła się już zmęczona tym tematem.

– Nie rozumiem, Chris. Mówiłeś, że są inne miasta, prawda? I są różne grupy rabusiów, z którymi ciągle walczyacie, czy tak? Więc dlaczego by się z nimi, powiedzmy, nie sprzymierzyć? Albo nie zacząć handlować? Albo po prostu nie dzielić się po równo? W ten sposób odpadłoby zmartwienie, że ktoś was zastrzeli i nie musielibyście tłuc się tak daleko. – Przypomniała jej się dyskusja, którą miała na ten temat z Tomem. – To, co robicie, jest w pewnym sensie nieefektywne.

– Ona ma rację – poparła ją Jess, nie odrywając oczu od obieranego ziemniaka.

Chris sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Nie ja o tym decyduję.

– Dlaczego? – nalegała Alex.

– Po pierwsze, musielibyśmy mieć coś wartościowego na wymianę – zauważyła Sarah.

– Mamy prowiant. Mamy narzędzia, broń...

– Nie będziemy handlować bronią ani narzędziami – odpowiedział stanowczo. – To tak, jakby komuś wręczyć klucze do frontowych drzwi.

– Dobrze, a na przykład odzież? – nie ustępowała Alex. – Albo mydło, albo świece, albo lampy sztormowe, albo...

– Albo my – dokończyła Lena i z donośnym stukotem upuściła drewno. – Jak myślisz, Chris, ile jestem warta?

Chłopak wyglądał, jakby dała mu w twarz.

– Leno, to nie...

– Och, bzdury. Jesteśmy waszymi drogocennymi maszynkami do rodzenia dzieci. Więc jak myślisz, co mógłbyś za mnie nabyć? Przypuszczam, że to zależy od tego, kiedy facet zaczyna mieć dosyć...

– Wiesz – przeszkodziła jej Jess – potrzebujemy więcej opału.

– Jasne. Zapomniałam. Pani dom, pani zasady – odparła Lena i wyszła, waląc drzwiami.

Tori pierwsza przerwała milczenie:

– Jeszcze kawy, Chris?

– Nie. – Na policzkach miał szkarłatne plamy. Nie patrzył Alex w oczy. – Nie, już chyba nie mogę.

– Chris – powiedziała łagodnie Sarah. – Ona wcale tak nie myśli. Nie jest na ciebie zła.

A Alex pomyślała: Nieprawda, oczywiście, że jest. Lena była arogancka; była okropna; ale Chrisa drażniła celowo, naprawdę kusiała los.

Pytanie tylko: dlaczego?

Kwadrans później Alex wsunęła ramiona w kurtkę i powlokła się na dwór. Znowu padało; duże, puszyste płatki powoli wirowały w powietrzu jak pierze. Śnieg, głęboki co najmniej na dwie i pół stopy, był kłopotliwy dla Pszczółki. Przez kilka ostatnich dni Chris woził Alex do hospicjum i z powrotem ciemnoniebieskimi konnymi saniami. Wyszedł z domu parę minut przed nią, więc spodziewała się go zobaczyć, ale zastała tylko Nathana trzymającego lejce siwego perszerona.

– Gdzie jest Chris? – zapytała, kiedy owczarek szkocki Nathana rzucił się do niej w podskokach po pieśczoły.

Mężczyzna wskazał podbródkiem w kierunku tylnego podwórza.

– Poszedł gdzieś tam. Powiedział, że zaraz będzie.

Zaciekawiona Alex zawróciła po własnych śladach i dała nura za dom. Podwórze było ogromne, prawie akr ziemi, przechodzący na końcu w lasek. Dostrzegła Chrisa w odległym lewym kącie, koło stosu drewna. Z Leną.

Cokolwiek miała właśnie zawołać, zamarło jej na końcu języka. Tamci stali naprzeciwko siebie. Ręce dziewczyny szarpały Chrisa w jakiejś wymownej, wściekłej gestykulacji. Biła się z nim? Znając ją,

wydawało się to całkiem możliwe. Jednak dlaczego po scenie w kuchni, zamiast trzymać się na dystans, chłopak w ogóle poszedł z Leną rozmawiać? Alex była zbyt daleko, żeby dosłyszeć słowa, ale widziała, jak potrząsnął głową, po czym zebrał się do odejścia. W następnej sekundzie Lena złapała go za rękę i rzuciła się na niego z taką siłą, że aż się zachwiał. A potem oplotła mu ramionami szyję, przytuliła się...

Nie chcę tego widzieć, pomyślała. Alex, kompletnie ogłuszona, zatoczyła się do tyłu. Nogi jej się zaplątały i nie zdołała powstrzymać mimowolnego okrzyku zaskoczenia. Chris gwałtownym ruchem odwrócił głowę. Próbując się uwolnić, zaczął odrywać od siebie rękę Leny. Chyba nawet zawołał Alex po imieniu, ale ona już dłużej nie czekała. Z piekącymi oczami brnęła ścieżką w stronę uliczki. Nie mogła oddychać. W piersiach czuła ucisk, jakby ktoś ciosem pięści wybił jej całe powietrze z płuc. Byle dotrzeć do Pszczółki i w drogę. Ale nie, nic z tego: Nathan zatrzymałby ją, bo Alex nie wolno było jeździć bez eskorty. Dobrze, wszystko w porządku, nic się nie stało. Przecież nie obchodziło jej, co się dzieje między Chrisem i Leną, wcale jej nie obchodziło...

– Znalazłaś go? – zapytał Nathan, kiedy wdrapała się do sań.

– Tak. – Sadowiąc się na swoim miejscu, dostrzegła Chrisa, który właśnie wyłonił się zza rogu domu. Szedł szybko, czuła go coraz bliżej: tym razem nie jabłka i nie ciemność, tylko naładowaną gniewem burzową chmurę.

Odwróciła oczy, kiedy wspinał się na kozioł. Po chwili z rześkim poskrzypywaniem lejców nakłonił perszerona do przejścia w kłus i sanie pomknęły po śniegu. Chłopak milczał. Alex wydawało się, że powietrze spomiędzy nich wyparł czarny, wrzący mur. Serce jej waliło, żołądek skręcał się i zaciskał jak dłonie.

– To nie to, co myślisz – wydusił wreszcie Chris.

– Wszystko mi jedno – odparła, nie ośmielając się na niego spojrzeć. – Nie moja sprawa.

Na to nie odpowiedział nic. Sanie minęły ratusz, do którego grupka mężczyzn z Rule właśnie wprowadzała gromadę uchodźców, i skierowały się na północny wschód, na drogę wiodącą prosto do hospicjum. Otoczył ich las. Stukot końskich kopyt odbijał się echem. Alex patrzyła na wirujące płatki śniegu, czuła, jak topnieją na jej policzkach – jak łyzy.

Chris odchrząknął.

– Alex...

– To nie ma znaczenia, Chris.

– Nieprawda – odparł. – Ma. Ja po prostu... nie mogę...

– Nie możesz czego? Wyjaśnić? – Szybkim spojrzeniem obrzuciła jego twarz. Skórę miał ściągniętą i śnieżnobiałą, oprócz dwóch gorączkowych plam wzdłuż kości policzkowych. Zapach ciemności stawał się coraz silniejszy, jakby zamykały się wokół niego, próbując go chronić. – Co tu jest do wyjaśniania? W szóstej klasie mieliśmy wychowanie seksualne, więc jeśli potrzebujesz jakichś wskazówek... – Usłyszała okrucieństwo w swoim

głosie i ugryzła się w język. Co ona najlepszego robiła? Przecież było jej wszystko jedno.

– Nie rozumiesz – powiedział.

– Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć.

– Żałuję, że nie mogę – odparł. Dostrzegając jego cierpienie i coś jeszcze: niesmak. – Boże, to takie popaprane.

– Tak myślisz? – Gorąca para bezsilnego gniewu uderzyła jej do głowy, grożąc, że za chwilę wysadzi czubek czaszki jak korek z butelki. – Teraz zdajesz sobie z tego sprawę?

– Proszę, nie chcę się z tobą kłócić.

– Wiesz, to super, Chris, naprawdę super. Jesteś we własnym mieście. Jeśli chcesz przelecieć Lenę, wybierz ją do zabawy w dom, zrób to.

– Przestań. – Zacisnął powieki, mięśnie szczęki drgały nerwowo. – Proszę. Nie zależy mi na Lenie. Nigdy nie zależało.

– Tak? To lepiej jej to uświadom.

– Zamkniesz się wreszcie? – Nagłym szarpnięciem ściągnął lejce. Saniami zarzuciło i Alex musiała chwycić się burty, żeby nie wylecieć, ale wtedy Chris złapał ją za ramiona i zaczął potrząsać. – Myślisz, że tego chcę? Myślisz, że chcę Lenę?

– A nie? Nie, nie odpowiadaj. Nic mnie nie obchodzi, co chcesz albo kogo! – warknęła, a potem wymierzyła mu policzek, szybki i mocny. Zabrzmiało rześko jak trzask suchych kości. Ten dźwięk zerwał coś w niej. Chłopak

cofnął rękę, gwałtownie łapiąc oddech, a ją ogarnął przyływ palącego wstydu. Dłoń piekła jak polana kwasem. – Chris. Chris, przepraszam, ja...

– Dlaczego nie możesz mnie polubić? – powiedział łamiącym się głosem. A potem uniósł się jego zapach, gorący i gwałtowny, z natłokiem sprzeczności: woni jabłek, ognia i wyładowań elektrycznych w tych zimnych, czarnych ciemnościach. – Dlaczego nie możesz mnie polubić choć trochę?

Nigdy się nie dowiedziała, co mogła odpowiedzieć, bo nie dopuścił jej do głosu.

Za to ją pocałował.

## 60

Było zupełnie inaczej niż z Tomem.

To przypominało raczej wybuch bomby.

Poczuła, że ciało sztywnieje jej ze zdumienia, a potem serce zamarło i nagle straciła dech. Przez chwilę, tylko jedną chwilę, mogła go odepchnąć. Ale nie zrobiła tego. Oszłamiający biały żar natychmiast spopielił tę myśl. A potem Chris przywarł do Alex, a jej przebiegły ciarki po skórze. Czowała jego pożądanie, niedosyt. Kurczowo pochwyciła go za klapy kurtki, bo pragnęła jego dotyku. Żadna bliskość nie była wystarczająco bliska, a ostra woń jabłek przyprawiała ją o gorączkę i zawrót głowy.

Pocałunek był nieskończonością. I trwał sekundę.

Alex nie wiedziała, kto go przerwał. Może oboje zrobili to w tej samej chwili albo żadne z nich.

Chris ją puścił.

– Przepraszam, Boże. Tak bardzo przepraszam. – Głos mu się rwał. – Proszę, nie znienawidź mnie. Ja...

– Wszystko jest dobrze – odparła. Czerwony ślad palców odznaczał się na jego policzku jak piętno. Miała wrażenie, że jej wargi są poobijane i spuchnięte. – Nie powinnam była cię podpuszczać. Zupełnie mi odbiło.

– Chyba... – Chris odchylił się do tyłu, pierś nadal unosił mu ciężki oddech. – Chyba po powrocie lepiej, żebym nie kręcił się w pobliżu. Nie mogę zebrać myśli. Kiedy jestem tam, jedyne o czym potrafię myśleć to tutaj i... żeby być z tobą. Ja tylko... Boże, Alex, tylko próbuję cię chronić.

Automatyczna odpowiedź – nie ma potrzeby – zamarała jej w ustach. On mówił prawdę; Alex czuła to. Było jak wtedy, gdy ofiarował jej okulary, tylko że tym razem trzymała w dłoniach jego uczucia.

– Wiesz, czym się niepokoję? Że zanim wrócę, znajdziesz jakąś dziurę w płocie, coś co przegapiliśmy, i znikniesz, a nie sądzę, żebym... – Chris zamknął oczy. – Proszę, powiedz coś.

– Tak mi przykro. – Sięgnęła do śladu, który odcisnęła na jego twarzy. – Nie nienawidzę cię, Chris.

Roześmiał się smutno.

– Ale mnie nie lubisz.

– Oddałam ci pocałunek.



– Bo cię zaskoczyłem, zmusiłem...

– Nie. Nie zmusiłeś mnie. Ja chyba... – Wciągnęła rozedrgany oddech. – Chyba boję się ciebie polubić.

Zdumienie, a po chwili nadzieja w oczach Chrisa były niemal bolesne. Alex musiała zagryźć wargi, żeby się nie rozpląkać. Jej palce nadal dotykały jego policzka, a teraz przykrył je swoją dłonią.

– Dlaczego? – zapytał.

Szloch próbował wyrwać się jej z ust.

– Bo to by oznaczało, że się poddałam. Że załatałeś wszystkie dziury w płocie i że nie mam już dokąd pójść.

– Alex, posłuchaj, Te reguły istnieją nie bez powodu. Są po to, żebyś była bezpieczna.

– Więc dlaczego Jess uważa, że należy je zmienić?

– Alex. – Chris przysunął się bliżej i kiedy ją przytulił, nie stawiała oporu. – Chcę cię chronić. Chcę się tobą opiekować. Gdybyś została, czy byłoby ci tak źle?

Jej dłonie pochwyciły jego kurtkę i mocno przytrzymały.

– Nie.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Alex pozostała blisko Chrisa. Ich uda stykały się, jej ręka spoczywała w zgięciu jego łokcia. Zanim dotarli do hospicjum, śnieg zgęstniał i zaczął się kłębić. Sanie sunęły coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymały się, jednak nie wysiadła. Widziała, jak przez szybę w drzwiach gapi się na nich strażnik, z ręką na dźwigni antypanicznej, żeby im otworzyć.

Odwróciła się do Chrisa.

– Jak myślisz, długo cię nie będzie?

– Może być, że chwilę. Parę tygodni. – Usta drgnęły mu w nerwowym, niepewnym uśmiešku. Płatki śniegu lepiły się do czarnych włosów. – Nie martw się. Załatwię ci eskortę.

– Nie martwię się o siebie. – Ujęła go za rękę; ich palce splotły się. – Kiedy wrócisz...

– Tak – powiedział.

Tym razem, kiedy się całowali, była tylko woń jabłek: słodka, rześka i dobra.

Tego popołudnia jeden z pielęgniarzy wybiegł po coś z gabinetu zabiegowego, zostawiając garść chirurgicznych narzędzi rozłożonych na tacy. Jednym z nich była piłka Gigiego, skręcony drut, którym da się przetrząść kość – albo drzewo, albo ludzką szyję. Piłka miała szesnaście cali długości i dwa uchwyty. Zwinięta mieściła się w kieszeni dzinsów. Mogła okazać się przydatna dla uciekinierki.

Alex zostawiła ją tam, gdzie leżała.

## 61

Nowy rok trwał już od ponad dwóch tygodni, kiedy do gabinetu zabiegowego, gdzie doktor z Alex kończyli zaszywać poszarpaną ranę, wetknął głowę pielęgniarz i powiedział:

– Szeffie, właśnie zwiadowca przywiózł wieści. Hank i jego ludzie wracają galopem. Kogoś znaleźli. W jakiejś starej stodole pod Orenem.

– Wiemy, jaki stan? – zapytał Kincaid.

– Chyba septyczny. Zakażenie, wygląda na ugryzienia.

– Przerwał. – Szeffie, mówią, że to Oszczędzony.

W tym momencie Alex omal nie krzyknęła. Jej pierwszą myślą było, że to Tom został pokąsany. Czyżby? Nie, nie mogło chodzić o Toma. Upłynęło zbyt wiele czasu, prawie dwa miesiące.

– Przed wejściem wózek, a tutaj szybko technika – rzucił doktor. A do Alex: – No jazda, kończymy. Nie mamy całego dnia.

– Przepraszam. – Skoncentrowała się na ostatnim szwie, po czym zawiązała węzeł i obcięła nić. Wykonała to wszystko dość spokojnie, chociaż serce usiłowało jej się przebić przez zębra. Sięgnęła po paczuszkę gazy, ale Kincaid już ścigał rękawiczki.

– Zostaw to, zostaw. Będziesz mi potrzebna. – Pstryknął palcami na technika, wskazał pacjenta i już był za drzwiami. Alex deptała mu po piętach.

Zbiegli do holu i sforsowali podwójne drzwi w chwili, kiedy pierwszy jeździec wpadł jak burza na podjazd, a chwilę po nim pojawiły się płaskie konne sanie. Powoził mężczyzna, którego nie znała – zapewne Hank. W środku dostrzegła dwóch chłopaków. Poczowała ukłucie zaskoczenia, bo rozpoznana Grega. Skąd on się tu wziął? Przecież pojechał z Chrisem... Jednak wszystkie myśli

pierzchły, bo zorientowała się, że Greg prowadzi reanimację.

– Prr, prrr! – krzyknął Hank, kiedy sanie wjechały pędem pod wiatę. Ściągnął lejce tak mocno, że jeden z koni w ramach protestu stanął dęba. – Prrr, spokojnie!

Zwierzęta wbiły kopyta w ziemię, szarpnęły i gwałtownie się zatrzymały. Kincaid podbiegł i wspiał się na płożę.

– Co my tu mamy? Jak on się czuje? – Rzucił uważne spojrzenie i szepnął: – O Boże.

Serce podeszło Alex do gardła. Przecisnęła się obok doktora i po chwili nie widziała, czy płakać z ulgi, czy z wściekłości.

To nie był Tom. Oczywiście, to nie mógł być on. Chłopiec miał nie więcej niż osiem, dziewięć lat. Greg rozdarł mu na piersiach kurtkę i koszulę, więc wyraźnie widziała ptasią klatkę jego żeber i gałki drobnych ramion. Oczy dziecka były zamknięte i zapadnięte, skóra trupio blada, wargi prawie sine. Prawa nogawka dżinsów zwisała w wilgotnych strzępach, zapach aż dławił: zgniły, cuchnący. Alex poczuła, że brakuje jej powietrza.

– Znaleźliśmy go samego w stodole. Po drodze nastąpiło zatrzymanie akcji serca – mówił Greg, nie przerywając masowania. Był mokry i zasapany z wysiłku. – Jest w takim stanie około... cztery – sto dwadzieścia jeden, pięć... dalej! – Na ten sygnał chłopak, który jechał przed saniami – wydawało jej się, że ma na imię Evan – ścisnął resuscytator, wpychając powietrze w płuca

nieprzytomnego dziecka. Greg przechylił głowę na ramię, żeby otrzeć pot. – Dziesięć minut.

– O dziesięć za długo – stwierdził Kincaid. Odwrócił się, kiedy Paul, starszy pielęgniarz z brzuchem piwosza, zaturkotał leżanką na kółkach. – Dobra, Paul. Potrzebny mi zestaw IV, duża średnica. I przynieś kaniulę do OCŻ...[ OCŻ [ang. CVP] - ośrodkowe ciśnienie żyłne.]

– Nie wiem, czy jeszcze mamy, szefie. Zostało tak niewiele...

– Znajdź mi tę cholerną kaniulę, Paul! Nie pokazuj się bez niej. Zrozumiałeś? I wózek medyczny z zawartością, cokolwiek uda ci się wykombinować. Galopem! – Kiedy Paul oddalił się pospiesznie, Kincaid przepchnął leżankę wzdłuż sań, dosuwając ją biodrem na miejsce. – W porządku, ludzie, wszystkie bajery gotowe. Bierzemy... – Przerwał i dziwny wyraz przemknął po jego zniszczonej twarzy.

Hank, który już zeskoczył z kozła, żeby pomóc w przenoszeniu rannego, zerknął na Kincaida.

– Doktorze, dobrze się pan czuje?

– Tak. Jedną sekundę. Greg, wstrzymaj się, pozwól mi sprawdzić puls. – Po czym Kincaid utkwiał wzrok w jej oczach i Alex odczytała w jego spojrzeniu pytanie tak wyraźne, jakby zadał je na głos: Czy to bezpieczne?

Wiedziała, że w końcu kiedyś padnie, ale dotąd nikt jej o to nie pytał.

– I jest puls? – odezwał się Greg.

Kincaid nie odpowiedział. Alex wiedziała, że nie

może sobie pozwolić na pomyłkę. Zapach padliny był bardzo wyraźny, ale też trochę inny: musujący i niemal słodki.

– Doktorze? – powtórzył Hank.

Martwe mięso, tak; ale to zakażenie, nie przemiana. Dyskretnie skinęła Kincaidowi głową.

– Nie wyczuwam. Greg, uciskaj dalej – powiedział doktor. – Dohrze, chodźmy. Na trzy podnosimy go. Jeden, dwa...

Siedząc okrakiem na leżance, Greg kontynuował masaż serca przez całą drogę, aż do gabinetu zabiegowego, podczas gdy Evan truchtał przy wózku z resuscytorem w rękach. Pomogła Paulowi uruchomić zestaw IV. Paul jednak znalazł gdzieś kaniulę do OCŻ, którą Kincaid teraz wprowadził do żyły podobojczykowej.

– Ostatnia porcja wodorowęglanu sodu – powiedział Paul, podając doktorowi strzykawkę. – Jest pan pewien, że nie chce...

– Nie wyobrażam sobie lepszego momentu. Naciśnij... Mamy atropinę? W porządku, trzymaj... Greg, przestań masować. – Z przymkniętymi oczami Kincaid słuchał przez stetoskop, po czym powiedział: – Myślę, że chwilę zaczekamy... Paul, daj tę atropinę.

Czekali. Greg sapał, pot strumyczkami spływał mu po szyi. Pielęgniarcz rzucił okiem na stoper.

– Piętnaście minut dwadzieścia sekund, szefie.

– Coś mam – oznajmił Kincaid, popatrując na swój zegarek i licząc pod nosem. – Paul, podaj ciśnienie krwi.

– Sześćdziesiąt na trzydzieści, szefie.

– W porządku, bez fajerwerków, ale nie beznadziejnie. Mimo wszystko, może przeżyje. – Naciągnął rękawiczki.  
– A teraz zobaczmy, co my tu mamy. Alex, potrzebuję twoich rąk. Ubieraj się.

Fetor, który buchnął z uda chłopca, śmierdział zgnilizną tak okropnie, że nawet Kincaid się skrzywił. Ktoś próbował zabandażować ranę, ale opatrunek rozmókł i poplamiony był ropą. Kiedy doktor odwijął kolejne warstwy wilgotnej gazy, Alex poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Ropa, żółto-zielona jak smarki, stała w otwartej ranie, której poszarpane brzegi całkiem czerniały. Cienkie, czerwone pręgi rozchodziły się od kolana przez całą długość uda, aż do krocza.

– Siedemdziesiąt pięć na czterdzieści.

– W porządku – powiedział Kincaid i zaczął zmywać gąbką resztki lepiących się gazików. Kąciki oczu chłopca drgnęły, a potem rozległ się cichy jęk. – Wiem – mruczał doktor, nie przerywając pracy. – Wiem, że jest źle, synku. Przykro mi, wiem. Tylko się trzymaj.

– Ma dobre, prawda, doktorze? Ciśnienie? – zapytał Greg, ocierając przedramieniem pot z czoła.

– Niezłe. A wydebiliście nazwisko, zanim przyjechaliście z nim tutaj?

– Niece. Mówiłem, że był nieprzytomny.

– Okej. Alex, przygotuj parę strzykawek po pięćdziesiąt centymetrów sześciennych roztworu soli fizjologicznej i przepłucz to cholerstwo, dobrze?

Alex była zadowolona, że ma coś do zrobienia. Kiedy wciągała do strzykawki płyn, Greg powiedział:

– Dacie radę go uratować, prawda?

– Z pewnością spróbujemy. Może stracić nogę. Ale po kolei. Greg, przebierz się w coś suchego, zanim zaziębisz się na śmierć. Jak tam twoja ręka? Któryś z was, chłopcy, jest ranny?

– Nie, wszyscy wyszli cało – odparł Greg, prężąc gojące się od trzech tygodni ramię.

– Dobrze, dobrze, nie chciałem cię znów łatać. Co z pozostałymi?

– Są mniej więcej dzień drogi za nami.

– W porządku. A teraz wy dwaj wynoście się stąd i dajcie mi pracować. Paul, podaj narzędzia. Trochę tu potniemy. Podaj mu teraz cyprofloksacynę.

Z niemal pustego wózka medycznego pielęgniarz wyciągnął małą szklaną fiolkę.

– Szefie, to ostatnia...

– Ostatnia cyprofloksacyna, wiem. Zrób to, co powiedziałem, Paul. Alex, możesz już skończyć płukanie. Porozcinaj mu ubrania, żebym coś widział. – Kincaid zerknął na nią znad chirurgicznej maski. – Miejmy nadzieję, że ten biedny dzieciak przetrzyma.

Podczas gdy doktor oczyszczał ranę, Alex solidnymi chirurgicznymi nożyczkami uporała się ze spodniami i zaatakowała to, co zostało z koszuli. Tnąc flanelę, nagle wzdrygnęła się.

– O fuj.



– Co? – zapytał Kincaid.

– Wydaje mi się. – Chłopiec miał jeszcze jedną wielką ranę od ugryzienia, otwartą, sączącą się i wypełnioną jakby białymi ziarnkami ryżu. Tylko że ten ryż się ruszał.

– Wydaje mi się, że to larwy.

– Naprawdę? – Kincaid przyglądał się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym skinął lekko głową. – Doskonale.

– Doskonale? – Alex wytrzeszczyła oczy. – A co jest dobrego w larwach?

– One zjadają martwą tkankę, a zostawiają zdrową – wyjaśnił doktor. – Widzisz te krawędzie? To wszystko żywotna tkanka. Alex, spróbuj zgarnąć kilkadziesiąt tych maleństw na jakąś gazę.

– Oczywiście – odparła słabym głosem, nie do końca pewna, czy aby nie zemdleje. Trudno jej było uwolnić się od obrazu much brzęczących nad ranami chłopca i składających w nich jaja.

A potem pomyślała: Hej, chwileczkę.

– Pomóc ci? – zapytał Paul, chociaż zabrzmiało to tak, jakby z radością miał przyjąć odmowę.

Nie rozczarowała go.

– Dzięki, dam sobie radę.

– Och, urządzimy wam, brzydale, prawdziwą ucztę – oznajmił Kincaid. – Od razu je ogrzej.

– Dla mnie wyglądają na wystarczająco ogrzane – powiedziała Alex. – Cały czas się ruszają.

– Doktor to jedyna osoba, jaką znam, która potrafi się ekscytować na widok miski larw – zauważył Paul,

pompując mankiet do pomiaru ciśnienia. –  
Dziewięćdziesiąt pięć na sześćdziesiąt dwa.

– Lubię ten dźwięk – powiedział Kincaid. – Paul, przynieś nam tu jeszcze jeden grzejnik katalityczny, a potem zobaczymy, czy uda ci się wykombinować plastikowy pojemnik i jabłko.

– Chce pan jeść? – osłupiała Alex. – Teraz?

– Czemu nie? – Mrugnął do niej znad maski. – Jabłko jest dla larw. Stara wędkarska sztuczka. W chłodnym, ciemnym miejscu utrzymają się nawet parę tygodni.

– Możemy założyć własną larwią farmę – mruknął z przekąsem Paul.

– Bardzo dobry pomysł – odparł doktor. – Znajdziemy im coś o odpowiedniej temperaturze. Inaczej muchy wymrą.

– Żartowałem. – Pielęgniarka przewróciła oczami. – Zaraz wracam. Szefie, mam nadzieję, że pan i pana larwy będziecie bardzo zadowoleni.

– Och, będziemy – odparł Kincaid – będziemy.

Super, w najbliższej przyszłości czekało ją niańczenie larw. Alex pomyślała, że wiele czasu minie, zanim spojrzy po dawnemu na ryż.

Zakładając, oczywiście, że jeszcze kiedykolwiek w ogóle go zobaczy.

– To by było na tyle – oznajmił Kincaid, ściągając rękawice. Zdjął maskę i westchnął. – Szkoda, że musiałem wyciąć tyle tkanki, żeby znaleźć zdrowy

mięsień, ale nic nie dało się na to poradzić. Jednak dzięki mnie i larwom te rany mogą zacząć ziaminować. Blizny nie będą wyglądać ładnie, ale jeśli dzieciak ma szczęście, jest nadzieja, że nie straci nogi.

– Więc przeżyje? – zapytała Alex.

Grymas wykrzywił usta Kincaida.

– W sytuacji chociaż częściowo normalnej powiedziałbym, że szanse są pół na pół. Raz już przeszedł zatrzymanie akcji serca i ma zakażenie. Płyn fizjologiczny pomoże, ale zostało nam jeszcze tylko kilka worków, a antybiotyki całkiem się skończyły. Jeśli ciśnienie znowu mu spadnie, nie będzie już czego podać.

– Może nie spadnie – powiedziała. – Może pan zdążył.

– Oby. Byłoby cholernie szkoda, gdyby ten wysiłek i ryzyko poszły na marne. Musimy mieć nadzieję, że się uda. – Spojrzał ponad ramieniem Alex. – Greg, zabierz tę dziewczynę do domu, zanim mi tu zemdleje.

– Czekam na pana, doktorze – odezwał się Greg od drzwi.

Noc zapadła już wiele godzin temu. Myszka Miki na zegarku Ellie informowała, że dochodzi dziesiąta. Rozwiązując maskę, Alex zapytała:

– Byłeś tu przez cały czas?

– Całe – Greg zerknął na swoją staroświecką cebulę – sześć godzin i dwadzieścia minut.

– Moja pora do łóżka już dawno minęła – poskarżył się Kincaid. Wyglądał, jakby miał się przewrócić, a kiedy opadł na krzesło, wydał przeciągły jęk. – Więcej takich

nocy i gotów jestem przedwcześnie się zestarzeć.

– Trzeba odpocząć. – Wielkie motyle plamy barwiły Paulowi górę fartucha; pot błyszczał na różowej łysinie. – Nie jesteśmy już młodzieniaszkami.

– Tak słyszałem.

– Powinien pan złapać trochę snu – powiedziała Alex. Była śmiertelnie zmęczona i czuła własny smród. – Mogę go trochę popilnować. Muszę się tylko umyć. – Doktor już otwierał usta, żeby zaprotestować, więc dodała: – Niech pan da spokój, jeśli coś złego się z panem stanie, będziemy załatwieni.

– Ma rację – poparł ją Paul.

Doktor jeszcze chwilę pozzrzedził, ale w końcu się poddał.

– Prześpię się tutaj. Za cztery godziny przyjdź mnie obudzić – nakazał, podczas gdy Paul usiłował wyprowadzić go z gabinetu. – Nie zapomnij.

– Nie zapomnę – obiecała Alex, a kiedy zniknął za drzwiami, dodała: – Być może.

– Naprawdę robisz wrażenie wykończonej – powiedział Greg, który wyglądał tylko odrobinę lepiej, niż ona się czuła. – Potowarzyszyć ci?

– Świetnie się czuję – powiedziała, po czym zepsuła cały efekt ziewnięciem. – Spójrz na to od jaśniejszej strony. Nie będziesz musiał przyjeżdżać po mnie rano.

– Przywiozę ci ubranie na zmianę. Chociaż są spore szanse, że doktor jutro da ci wolne.

– Dobrze. – Zerknęła na małego pacjenta. Jego skóra

była tylko trochę mniej biała niż pościel, a ciemne włosy wyglądały jak sztuczne, jakby ktoś namalował je magicznym markerem. Zaczęła zbierać pobrudzone narzędzia. Plastikowe worki na śmieci były już po brzegi wypełnione brudną, zakrwawioną gazą i resztkami odzieży chłopca. – Zobaczmy, co będzie. Powinieneś jechać do domu.

– Już mnie nie ma. – Greg pomachał jej. – Tylko nie mów Chrisowi.

Właściwie, zastanowiła się, zaczynając porządkować gabinet, co takiego miałabym powiedzieć Chrisowi? Och, niedobry Greg zostawił mnie samiutką jak palec?

O Chrisie myślała, i to często. Nie obsesyjnie, nie w taki sposób, jak o Tomie, ale tamto było czym innym, prawda? Teraz już nie miała pewności, co czuła do Toma. Wspólnie walczyli, on był ranny, może nawet umierający, a ona za wszelką cenę starała się go uratować.

Tak, i zawiodła.

Zmierzyła chłopcu ciśnienie krwi, zbadała tętno, sprawdziła kroplówkę. Wrzuciła do alkoholu brudne narzędzia, które przedtem zebrała na tacę, po czym ruszyła na drugą stronę korytarza po prowizoryczny sterylizator parowy. Przydźwigawszy go, ustawiła na małej kuchence i zapaliła gaz. Czekając, aż wytworzy się para, umyła narzędzia i umieściła w sterylizatorze. Dezynfekcja parą zajmowała około dwudziestu minut i tylko wysoka temperatura...

Wysoka temperatura.

Zapatrzona w malutki pierścień błękitnego płomienia, kuląc się w swoim fartuchu i cienkiej, żółtej pielęgniarskiej sukience, zmarszczyła brwi. Od paru godzin niepokoiło ją coś, co miało związek z wysoką temperaturą. Ale dlaczego?

Powróciły słowa Kincaida: „Znajdziemy im coś o odpowiedniej temperaturze. Inaczej muchy wymrą”.

To była prawda. Od zimna muchy ginęły. Zostawcie cokolwiek martwego na dworze w chłodzie, muchy plujki i tak nie nadciągną, nie zimą. Nawet już cztery tygodnie temu w stajni Pszczółki nie zauważyła ani jednej. Po drodze do Rule widziała więcej niż kilka trupów, ale żadnych much. I na stacji benzynowej zwłoki Neda...

– Żadnych – wymamrotała. A jednak chłopczyk miał larwy. Larwy mogły pochodzić tylko od much, ale skoro go znaleźli w opuszczonej stodole, jakim cudem nie zamarł? Co mogło ogrzewać budynek na tyle, że mieszkały tam w zimie muchy?

Okej, może chłopiec rozpałił ognisko? Nie, to nie to. Kiedy go przywieźli, dzieciak był nieprzytomny, jedną nogą na tamtym świecie. Do diabła, on już nie żył.

Co oznacza, że ktoś inny rozpałił ogień. Ktoś inny utrzymywał chłopca w cieple. Był jeszcze jakiś ktoś, może nawet więcej niż jedna osoba.

Ale Greg powiedział: „Znaleźliśmy go samego w stodole”.

Nie, Greg. Na pewno nie. I to się stało pod Orenem?

Co oni tam robili? Przecież byli w drodze do Wisconsin. Chyba że nastąpiła zmiana planów. Czy Chris już nie jeździł do Orenu? Tak, to stamtąd przywiózł książki. Więc był tam całkiem niedawno.

Kincaid: „Któryś z was, chłopcy, jest ranny? A wydebiliście nazwisko?”

Jeżeli doktor niepokoił się o nich, musiał uważać, że mogło dojść do walki. Chociaż pytanie o nazwisko sugerowało nie tylko obecność innych ludzi, ale... rozmowę? Albo – o mój Boże – wymianę? Coś gorszego?

Bo Kincaid wiedział: oni nie znaleźli tego małego przypadkiem; nie uratowali go.

Oni go odebrali.

## 62

Niemal każde dziecko, jakie kiedykolwiek znała – łącznie z nią samą – miało zwyczaj chomikować po kieszeniach masę różnych śmieci. Zanim odkryła szwajcarskie scyzoryki, ulubionymi skarbami Alex były kamienie i guma do żucia. Nie wiadomo dlaczego, mama zawsze czepiała się o gumę roztopioną w suszarce.

Ale w kieszeniach tego chłopca nie było nic.

Jaki dzieciak niczego ze sobą nie nosi? Alex wpatrywała się z niedowierzaniem w bezładny stosik zniszczonych ubrań, które wydobyła ze śmieci. Cuchnęły koszmarnie: krwią, ropą i wielomiesięcznym brudem.

Imię i nazwisko chłopca widniały wypisane wewnątrz jego trampek, ale litery zbyt rozmazały się od potu, żeby zdołała rozczytać więcej niż J i N. Albo może M? Jedyne kieszeń flanelowej koszuli była rozpruta, a kieszenie dżinsów usiane dziurami.

Dłonią w rękawicze uniosła sflaczały jeźor oliwkowozielonej kurtki. Miała kaptur obszytym sztucznym futerkiem i zwisającą pikowaną, jaskrawopomarańczową, przypinaną na suwak podszewkę. Alex zważyła kurtkę w rękę. Na tej podstawie nie potrafiła niczego powiedzieć. Jednak taki był urok podszewek na suwak. Od przybycia do Rule ona swoją stale wykorzystywała do przemykania zapasów na Wielką Ucieczkę. Więc odpięła, a potem kompletnie wyciągnęła podszewkę z kurtki chłopca.

Coś metalowego brzęknęło o podłogę. Kiedy ujrzała, co to, przycisnęła dłoń do ust, żeby zdusić krzyk.

Nie nóż. Nie pistolet.

Jej gwizdek.

## 63

Nie obudziła Kincaida.

Zamiast tego z suchymi oczami przycupnęła koło chłopca, usiłując zmusić go, żeby odzyskał przytomność. Nie podziałało. Zmierzyła mu ciśnienie, pomajstrowała przy kropłówe, posłuchała zbyt szybko bijącego serca,



dotknęła czubków dziecięcych palców. Były zimne. Wiedziała, że to niedobrze i że może będzie musiała wkrótce sprowadzić doktora, ale jeszcze nie teraz. Potrzebowała jedynie kilku minut w cztery oczy z chłopcem. Gdyby tylko już mógł się ocknąć...

Wsunęła łańcuszek z gwizdkiem na szyję i wepchnęła pod fartuch, a teraz dotykała ich tylko po to, by się upewnić, że nadal tam są. Oczywiście, że były. Nie śniła. Nie tak jak z rodzicami, którzy wyślizgiwali się jej w mrok. Tym razem chodziło o coś rzeczywistego, namacalnego i powinna umieć połączyć to w całość. Czuła, że ma przed sobą wszystkie kawałki układanki, ale nie widziała, który do którego pasuje.

Myśl.

Opuścili strażnicę rangersów dziesiątego listopada. Ellie została porwana już następnego dnia. Z wyliczeń Harlana wynikało, że widział ją po raz ostatni w tydzień albo dziesięć dni później. Facet został wygnany z Rule przed Świętem Dziękczynienia. Harlana już nie mogła o nic zapytać, jednak czy nie wspomniał, że zostali zaatakowani na południe od Rule? Jak dotąd wszystko się zgadzało. Ale chłopca podobno znaleziono pod Orenem, czyli jakieś pięćdziesiąt mil stąd na północny zachód.

To oznaczało jedną z dwóch możliwości. Albo Ellie dotarła do Orenu, albo ktoś zabrał jej gwizdek – być może, kiedy wciąż jeszcze była w okolicach Rule – i powędrował z nim aż pod Oren. Albo chłopiec faktycznie

spotkał Ellie i ona dała mu gwizdek, albo zrobiła to inna osoba. Jakkolwiek by patrzeć, ktoś widział Ellie może nie dalej niż sześć tygodni temu. A wtedy Chris przywiózł książki i tamte okulary.

Lena. Gniewna, posępna, rozwścieczona Lena pochodziła z Orenu i próbowała wrócić. Dlaczego? Bo została tam jej rodzina? Lena miała braci, którzy mogli jeszcze żyć. Więc... jeszcze jedna enklawa ocalonych? Najwyraźniej tak.

Obraz Leny: gwałtownie tłumaczy coś Chrisowi, a potem chwyta go, rzuca mu się w ramiona...

I Chris: „To nie to, co myślisz”.

Dobrze, teraz już wiedziała. Czuła prawdę w dotyku jego warg, w jego objęciach. Rozpoznawała ją po jego zapachu.

Więc jeśli nie to – jeśli Lena i Chris nie byli parą – to co? Jeszcze raz odtworzyła pasmo wydarzeń. Teraz w języku ciała Leny rozpoznawała nie tylko gniew, ale i desperację. Dziewczyna rozpaczliwie o coś walczyła. Ale o co? Co Chris był w stanie zrobić...

Boże! Z trudem złapała oddech, kiedy kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Rozwiązanie zagadki, które właśnie do Alex dotarło, było tu od samego początku.

Nie, nie desperacja z powodu czegoś.

Desperacja z powodu kogoś.

Sądziła, że mogło to działać w następujący sposób.

Wyjazdy na patrol miały więcej niż jeden cel. Jedną rzeczą to patrole właściwe, polegające na pilnowaniu granicy i trzymaniu na odległość wszelkiego rodzaju złych facetów. A drugą to wyprawy po zaopatrzenie, które oznaczały niemal z pewnością przypadkowe spotkania z innymi ocalałcami. Skoro byli rabusie, Alex wiedziała, że bez wątplenia muszą istnieć inne enklawy, wiele takich miasteczek Rule. W końcu sama sugerowała, żeby połączyć działania. Chris odrzucił ten pomysł, twierdząc, że ona nie rozumie.

A jeśli waleczni mężowie z Rule wcale nie byli Zastępami Światła, tylko Zastępami Ciemności?

Teraz, kiedy już dopuściła tę myśl, uświadomiła sobie, jakie to logiczne. Oczywiście, ich patrole musiały napadać inne osiedla. Co działo się w Nowym Orleanie po przejściu huraganu Katrina, w Bagdadzie, do którego wtargnęły oddziały wojska, albo w dniach, kiedy można jeszcze było pójść do sklepu tuż przed jakąś dużą, dobrze znaną klęską – powiedzmy, śnieżycą. W mgnieniu oka wszystko zniknęło z półek. W sklepowych przejściach ludzie walczyli o butelkowaną wodę i przepychali się w kolejkach do kas. Kradli. Grabili. Czasami nawet zabijali.

Teraz wszystko się zmieniło, chociaż może nie aż tak bardzo. Mnóstwo ludzi zmarło. Za starzy na Oszczędzonych, za młodzi, by ocaleć. Ale było pewne jak w banku, że Odmienieni nie wyprawiali się po bochenek chleba firmy Wonder Bread. Pozostawiali to tłumom ludzi

– w tym być może sporej liczbie Oszczędzonych – włączających się po okolicy w poszukiwaniu podstawowych środków przetrwania: ciepła, wody, jedzenia, dachu nad głową. Mogła się założyć, że sklepy zostały oczyszczone błyskawicznie. Do diabła, wystarczająco dużo widziała po drodze, żeby wiedzieć, że to prawda. Znajdowała całą masę ciał, ale żadnej żywności. Więc dlaczego gładko łykała bajki, że Chris, Peter i cała reszta jakoś trafiali na przyjemne spożywcze sklepiki w miejscach, gdzie nikt dotąd nie pomyślał, żeby szukać?

Bo chciała w to wierzyć. Nie, to nie do końca tak. Nie mogła sobie pozwolić na nic innego. Po prostu nie chciała myśleć, koniec i kropka. Bo czuła się wdzięczna za bezpieczeństwo, ciepło, jedzenie, opiekę. Ale jeśli oni – ona – mieli żywność i leki, to znaczy, że ktoś inny zostawał tego pozbawiony. W taki sposób funkcjonował świat – nowy, wspaniały albo i nie.

Zatem jest się uzbrojonym po zęby Chrisem czy Peterem, najeżdża się i zabiera, co potrzeba. Ale wracając do rzeczy, Marjorie mówiła, że miasteczka przyjmują ludzi z dziećmi, bo dzieci są cenne.

A jeśli ktoś realizuje szczególne zadania, zgodnie z rozkazem, o którym wie tylko garstka wybrańców?

Jess powiedziała: Wypełnianie rozkazów nie zrobi z ciebie mężczyzny.

A jeśli te rozkazy dotyczyły odnajdywania Oszczędzonych?

I nie tylko. Może nowe zasady nakazywały wyszukać, a potem dostarczyć Oszczędzonego do miasteczka, jakimkolwiek kosztem.

I zabić każdego, kto stanie na drodze.

## 64

Godzinę później spadło ciśnienie krwi. Alex obudziła Kincaida. Podali płyny ustrojowe i doktor zużył resztkę dopaminy, próbując przywrócić ciśnienie do poprzedniego stanu. Pod koniec buzia dziecka była już tak spuchnięta jak u jednej z tych figurek Buddy na szczęście.

Chłopiec umarł na długo przed świtem, ani razu nie otworzywszy oczu.

## 65

Musiała się stąd wydostać, Chris czy nie Chris. Cokolwiek między nimi zaszło, nie miało znaczenia. Musiała się stąd wydostać.

Greg powiedział, że pozostali byli o dzień drogi za nim. Zatem Chris miał się już wkrótce pojawić. Wspomnienie nagłego żaru, ich wzajemnego głodu sprawiło, że pożądanie zatrzepotało jej w brzuchu. A jeśli na widok Chrisa straci odwagę? Nie, nie, to szaleństwo.

Byłaby głupia, gdyby nie skorzystała z okazji i nie uciekła. Teraz. Cokolwiek między nimi zaszło... cóż, nie była pewna co to takiego i nie chciała się dowiedzieć.

Uciekaj.

Kincaid był wykończony i nie myślał logicznie, bo inaczej nigdy by jej nie pozwolił wziąć swojego konia i wracać samej do miasta. Do świtu brakowało jeszcze dwóch godzin, noc była głęboka i przeraźliwie zimna, z zielonym sierpem księżyca. Odjeżdżając z hospicjum, Alex wesoło pomachała strażnikowi przycupniętemu w puchu polarnego śpiwora za oszklonymi drzwiami holu. Strażnik, emerytowany górnik, nie aż tak stary i wycieńczony chorobą jak jego koledzy, krzyknął coś, czego nie usłyszała, a co wzięła za do zobaczenia niedługo.

– Na pewno! – odkrzyknęła, dodając w myślach: Nie ma mowy.

Jeśli istniała odpowiednia pora na ucieczkę, to właśnie teraz, dopóki Chris i reszta nie dotarli jeszcze do Rule. Strażnicy zmieniali się na posterunkach o siódmej, ale to nie powinno było stanowić problemu. Koń doktora był znacznie większy i silniejszy od Pszczółki, więc sądziła, że pewnie też o wiele szybszy. Jednak musiała postępować mądrze. Oddalenie się galopem z pustymi rękami byłoby po prostu głupotą. Musiała zabrać ze sobą, co tylko mogła.

Dotknęła kurtki. Pod palcami wyczuła zwój piłki

Gigliego – którą gwizdnęła tuż przedtem, nim poszła po Kincaida – i smukły kształt wytrzymałego skalpela. O ile nie planowała kogoś dusić, piłka nie była najlepszą bronią, ale skalpelem już dałoby się oberznąć nos. I nadal nosiła w bucie nóż Toma. Doktor miał pistolet, ale trzymał go w swoim gabinecie. Dokąd mogła się udać na poszukiwanie broni? Donikąd. Nie zamierzała na próbę włamywać się do aresztu i ani za dobrze nie знаła ulic Rule, ani nie wiedziała, gdzie kto mieszka. Jeśli się nad tym zastanowić, nie wiedziała nawet, gdzie mieszka Chris – i wielka szkoda, skoro wyjechał. Greg mówił, że wszyscy chłopcy mają po kilka sztuk broni, więc może u Chrisa by coś znalazła. Trudno, nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem.

Jazda nocą okazała się łatwiejsza, niż Alex się obawiała. Śnieg migotał jak srebrna wstążka, widmowe światło przenikało w głąb lasu na tyle, że potrafiła odróżnić kształty poszczególnych drzew. Jednak musiała zachować ostrożność. Nie wiadomo, co kryło się pod śniegiem – zwalone pnie, splątane gąszcze jeżyn. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to koń ze złamaną nogą.

Południowo-zachodni kraniec był dla niej najlepszą opcją. Greg twierdził, że nie ma tam zbyt wielu posterunków, chociaż Sarah mówiła, że strażnicy są w lesie, niektórzy na drzewach. Jednak Alex miała nad nimi przewagę. Sądziła, że jest w stanie rozpoznać ich po zapachu i uniknąć niebezpieczeństwa. Gdyby mieli psy, byłby kłopot, ale jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić

pożytku z psa na nadrzewnym stanowisku.

W tej sytuacji być może nie powinna brać konia. Zwierzę robiło wiele hałasu, a ta noc była bardzo cicha, żadnej strzelaniny. Nawet rabusie nie chcieli odmrażać sobie siedzeń.

Musiała jednak pamiętać o Odmienionych, a oni wcale nie byli tacy głupi. Yeager mógł ich do woli nazywać zwierzętami, ale wiedzieli do czego służy ubranie. I byli tam. Zastanawiała się, czy wiedzą już o ogniu. Pewnie, dlaczego nie? Jim, przyjaciel Toma, zapamiętał sposoby uników, a dziewczyna na stacji benzynowej miała pałkę. Więc jeśli któreś z nich wykombinuje, jak używać broni palnej...

Stop, za dużo o tym myślisz. Jedna katastrofa naraz.

Skręciła na plac. Było tam trochę mężczyzn i wszyscy obrzucali ją długimi spojrzeniami, kiedy ich mijała. Przybrała pogodną, rześką minę to-moja-sprawa i jechała dalej...

– Hej, chwileczkę.

Cholera. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie popędzić konia do galopu, ale zatrzymała się i czekała, aż dogoni ją drugi jeździec. Był przysadzisty, z ramionami jak u Popeye'a i bez szyi. Znała go, widywała w pobliżu ratusza, ale nie mogła sobie przypomnieć imienia.

– Nie powinnaś być sama na dworze – powiedział. Nawet głos miał trochę jak Popeye. – To koń doktora.



– Tak, ale proszę, niech pan nikomu nie mówi. – Posłała mu uśmiech, który – miała nadzieję – wyglądał na zmęczony i pełen wdzięczności. – Doktor pozwolił, żebym go pożyczyła. Przez całą noc byliśmy na nogach i po prostu musiałam stamtąd uciec. – Pomagało, że to była prawda.

– Chłopiec, którego znaleźli koło Orenu? – Zerknął na nią zezem, po Popeye’owemu. – Tak, słyszałem. Jak on się ma?

– Umarł. – Była tak wyczerpana, że oczy zaczęły jej wzbierać łzami i po chwili już naprawdę płakała. – Czuwaliśmy całą noc. Był... w bardzo ciężkim stanie.

– Ojoj, już dobrze. – Niezręcznie spróbował poklepać ją po ramieniu, ale najwyraźniej nie chciał jej dotykać, więc skończył na poklepywaniu powietrza. – Dobry z ciebie dzieciak. Już w porządku, jesteś po prostu kompletnie wykończona.

– Naprawdę się zmęczyłam – powiedziała, wierzchem dłoni ocierając mokre policzki. – Chyba po prostu muszę się położyć.

– A pewnie, pewnie. – Poprawił się w siodle, spojrzał przez ramię, a potem znowu na nią. – Posłuchaj, odwiózłbym cię do domu, ale mam wyjechać na spotkanie chłopaków, którzy wracają... Myślisz, że poradzisz sobie dalej sama?

– Tak – odparła. Pociągnęła nosem i użyła własnej kurtki, żeby go wytrzeć. – Nic mi nie jest. Powinnam się przespać.

– Aha, dobry pomysł. Tak właśnie zrób. – Potem zawrócił konia i pozwolił jej ruszyć w swoją drogę.

Pospiesznie zmierzając w stronę domu Jess, rozważała sprawę Leny.

Lena była jedyną znaną jej osobą, która chociaż zbliżyła się do tematu ucieczki z Rule. A w dodatku Lena pochodziła z Orenu. Musiała znać najkrótszą drogę i wiedziała, czego należy unikać. Cholera, wszystko wskazywało na to, że zmarły chłopczyk mógł być z nią spokrewniony.

Ale myśl o zabraniu tej dziewczyny, czy chociażby ii rozmowie z nią, wywoływała mdłości. Nawet gdyby Alex nie zobaczyła Leny z Chrisem – od tego czasu się unikały – iii tak nie znała jej wystarczająco dobrze. Jedyne, co o niej wiedziała to to, że naprawdę jej nie lubi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było towarzystwo kogoś, kogo raczej wolałaby zabić, niż znowu oglądać. A poza tym istniał jeszcze mały problem z zakradnięciem się do domu, na które nie miała żadnych szans...

Duch.

Razem z obłoczkiem oddechu wyrwał się cichy jęk. Musiała zostawić Ducha. Ta myśl sprawiła, że Alex ścisnęło się serce. Na pewno był jakiś sposób, żeby odzyskać psa. To niesprawiedliwe. Dlaczego zawsze traciła...

Gwałtownie wciągnęła powietrze. O cholera, cholera.

Prochy.

Torba z prochami została na górze, na biurku w jej pokoju.

Nie było mowy, żeby się do nich dostać. Nie było mowy, żeby je zabrać.

Nie, nie, nie, nie znowu, nie znowu, nie znowu.

Mamo. Poczowała ucisk w gardle i po chwili jeszcze raz się rozplakała, bezgłośnie jak bardzo malutkie dziecko. Tato... Tatusiu...

Zupełnie zapomniała o tym głupim strażniku.

Pies Nathana powitał ją entuzjastycznie niczym dawno niewidzianą krewną. Zaserwowała Nathanowi tę samą historyjkę o Kincaidzie, po czym oznajmiła, że chce odprowadzić konia do stajni na końcu zaułka, gdzie trzymała Pszczółkę. Jeżeli strażnik cokolwiek podejrzewał, nic nie dał po sobie poznać. Odciągnął swego psa i pomachał jej na pożegnanie.

Na wszelki wypadek przejechała uliczkę, trzymając się chodnika, gdzie śnieg był dość głęboki, żeby stłumić odgłos kopyt Appaloosy. Dom wyglądał na pogrążony we śnie, zasłony były dokładnie zaciągnięte. Zresztą wszystkie sypialnie miały okna od tyłu. Nikt nie powinien być jeszcze na nogach, nawet Jess.

Kiedy wprowadziła Appaloosę do garażu, Pszczółka zarżała cicho na powitanie.

– Też się cieszę, że cię widzę – szepnęła do niej Alex i poklepała klacz po nosie. – Ale ty nie możesz iść, malutka.

Wspiąwszy się na stertę pudeł, wyciągnęła rękę i

zaczęła macać dookoła, aż znalazła worek po obroku i ściągnęła go z belki stropowej. Zgromadzone w kryjówce zapasy były żałośnie ubogie. Nie zdołała znaleźć żadnej żywności oprócz masła orzechowego, kilku energetycznych batoników i czterech zawiniętych w serwetki skamieniałych bułek, które przed tygodniem zwędziła z kuchni. Zgarnęła trochę owsa do sakw, zarzuciła je pod tylny łęk siodła i przywiązała.

Potem jej wzrok spoczął na kołku sterczącym z siana i Alex poczuła przyptyw euforii: Tak! Obracając drewnianą rączkę, wyciągnęła z beli hak. Miał groźny szpic, a samo narzędzie było w dobrym gatunku. Czuła to po zapachu: białym i lodowatym. Walcowana na zimno stal, gruba jak jej kciuk. Biała, czysta woń stali była niemal obezwładniająca i ...

Biała?

Zaczekaj, pomyślała, coś się nie zgadza; stal nie pachnie bielą, tylko metalem. Stal nie pachnie jak oślepiająco biały lód.

Tylko jedna rzecz, jedna osoba kojarzyła jej się z czymś takim.

Nie zamierzała wracać tam bez walki. Palce zacisnęły się na trzonku haka. O powrocie nie było mowy, nie było mowy.

Walcz, nakazała sobie. Odwróciła się z hakiem w dłoni, powtarzając sobie: walcz, walcz.

– Dobrze – powiedziała Jess. Załadowała strzelbę. –

Najwyższy czas.

## 66

Dlaczego – zapytała Alex – pani mi pomaga?

– Cały czas, dziewczyno, usiłowałam ci pomóc – odparła Jess. Pod ciepłą kurtką nadal była ubrana we flanelową nocną koszulę, a kiedy zrzuciła kaptur, rozczochrane włosy spłynęły jej na ramiona jak stalowa rzeka. Przez plecy wisiała ukosem strzelba. Remington. – Chodziło o to, żebyś sama do tego doszła. Poza tym musiałam się upewnić, że... – Przerwała, bo z ciemności wyślizgnął się Nathan, prowadząc dwa konie. – No?

– Może kwadrans, Jess... Nie teraz, Vi, noga! – Nathan dał klapsa psu, który rzucił się witać Alex. – Już są blisko. Jeśli mamy to zrobić, trzeba się pospieszyć.

– Do czego kwadrans? Kto jest blisko?

– W porządku. – Jess gwałtownie odwróciła głowę w stronę dziewczyny. – Jedziemy. Weź konia Matta. Nie mamy za wiele czasu.

– Do czego kwadrans? – powtórzyła Alex, wyprowadzając Appaloosę z prowizorycznej stajni. Noc już gasła. Niebo nad ich głowami było jeszcze ciemnokobaltowe, ale zaczynało blaknąć i szybko przechodzić w szarość. Do świtu zostało pół godziny, może mniej.

– To ci się przyda. – Jess podała jej średniej wielkości

plecak z przymocowaną parą lekkich rakiet śnieżnych. – Prowiant na mniej więcej dwa tygodnie. Ubrania z twojego pokoju i porządny sweter. Przykro mi, nie mogłam zaryzykować większego bagażu ani śpiwora, ale masz tam koc termoizolacyjny, plastikową plandekę, zapalniczki wodoodporne, nóż i krzesiwo.

– Dziękuję – powiedziała Alex. Rozpięła suwak, żeby zerknąć do środka. Jeśli Jess była w jej pokoju, może zabrała też czarną torbę? Ale nie, wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że jej rodziców tam nie było. Właściwie wiedziała o tym już wcześniej – plecak był za lekki. Zamknęła go i zarzuciła na ramiona, a kiedy podniosła wzrok, dostrzegła, że starsza pani badawczo się jej przygląda.

– Dziewczyno, lepiej już strząśnij proch z sandałów[Aluzja do Ewangelii wg św. Mateusza 10:14 [...wychodząc z takiego domu albo miasta, strząśnijcie proch z nóg waszych!].] – powiedziała Jess. – Przeszłość to przeszłość.

Alex nie zapytała jej, w jaki sposób się domyśliła. W każdym razie był to punkt sporny.

– Umiem strzelać. Remington bardzo by mi się przydał.

Starsza pani pokręciła głową.

– Tego nie mogę zrobić. Zresztą nie będziesz go potrzebowała.

– Skąd pani wie?

– Zaufaj mi.

Tego z kolei Alex nie mogła zrobić. Ale czy miała inny wybór? Co by się stało, gdyby odmówiła wyjazdu? Jess zastrzeliłaby ją?

– Dlaczego nie chcecie dać mi broni? – zapytała. – Nie jestem dla was żadnym zagrożeniem. Chcę się stąd wydostać. – Odpowiedzi nie było, więc nalegała dalej: – Przecież pani wie, jak tam jest. Odejdę, ale dajcie mi większe szanse.

Jess przyglądała się jej przez długą chwilę, po czym zwróciła się do Nathana:

– Daj jej swój sztucer.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

– Nie jestem pewien...

– Ale ja jestem. – Odwróciwszy się do niego plecami, starsza pani podciągnęła się na siodło. – Daj go jej.

Nathan zacisnął szczęki. Alex już myślała, że odmówi, ale po chwili niezdarnie ściągnął z ramienia pas.

– Umiesz obchodzić się ze sztucерem powtarzalnym? – zapytał.

– Tak – odparła, starając się ukryć radość. Był to browning x-bolt z celownikiem optycznym, lufą z nierdzewnej stali i kolbą w kolorze ciemnego orzecha: bardzo dobra broń. – Jaka siła spustu?

Nie była w stanie stwierdzić, czy Nathan odpowiedział bardziej z pogardą, czy z rozbawieniem:

– Średnia. Trzy i pół funta, bez przyspiesznika. Ma odłączany pudełkowy magazynek. – Odblokował zatrzask klapki i otworzył. – Zawiera pięć pocisków dwieście

siedemdziesiąt magnum. Jeden już siedzi w komorze, więc jesteś przygotowana na najgorsze. Bezpiecznik masz tutaj, na szyjce kolby. I jest oddzielny przycisk zwalniający blokadę rygla. Możesz bezpiecznie otworzyć sztucer i rozładować, rozumiesz? To naprawdę dobra broń.

Delikatnie powiedziane. Nie tylko zyskała sztucer i celownik optyczny, pocisk magnum oznaczał większą prędkość i siłę przy tej samej ilości huku. Przewiesiła sobie browninga na ukos przez plecy, a pudełko z nabojami, które wręczył jej Nathan, wetknęła do zapinanej kieszeni kurtki – Dziękuję – zwróciła się do obojga.

– Zależy, na co trafisz. Może nie będziesz miała powodu nam dziękować – odparła Jess. Jej zapach nie uległ zmianie, ale nie znaczyło to wiele. Alex pomyślała, że starsza pani jest równie dobra w maskowaniu się jak Chris. Właściwie lepsza. Przez te wszystkie miesiące spędzone pod wspólnym dachem pozostała zagadką. Jednak sztucer był ostatecznym argumentem.

Ona chce, żebym odeszła. Ale dlaczego akurat teraz? – zastanawiała się Zupełnie jakby czytała w jej myślach, Jess oznajmiła:

– Teraz albo nigdy, dziewczyno. To jednorazowa oferta.

Alex bez słowa wskoczyła na grzbiet Appaloosy i ruszyła za Nathanem, który właśnie zniknął między drzewami na końcu ich ślepej uliczki. Dwie minuty



później całą trójką znaleźli się na tyle głęboko w lesie, że dziewczyna nie widziała już żadnych domów.

– A teraz posłuchaj bardzo uważnie – powiedziała Jess. Posuwali się szybko, chociaż konie brodziły w śniegu. – Strefa w tym kierunku rozciąga się na dwie mile. Dalej już nie ma strażników.

Nie ma strażników? Przecież Kincaid wspominał o pięciu milach, a nie dwóch. Chyba że ten teren czymś się wyróżniał?

– Jak mamy...

– Trzymaj język za zębami i słuchaj. Przeprowadzimy cię, ale tylko na skraj Strefy. Dalej już nie zdołam ci pomóc i nie mogę nikogo z tobą wysłać. Trasa jest jasna jak słońce. Mniej więcej po mili droga się rozdziela i od tego miejsca będziesz już musiała iść.

– Dlaczego?

Schylając się pod nisko zwisającymi gałęziami, Jess rzuciła jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Bo to ścieżka dla pieszych, zbyt wąska, żeby tamtędy przejechać. Masz pójść w lewo, rozumiesz? W prawo zawróciłabyś do Rule. Więc na rozdrożu zsiądziesz z konia i odeślesz go do domu. Na pewno trafi.

Bez konia, bez nart, nawet w raketach brnąć po śniegu przez las musiało być bardzo trudno.

– Jak daleko mam stamtąd do jakiejś szosy?

– Dziesięć mil. Potem możesz już iść, dokąd zechcesz. W zasuwanej kieszeni plecaka jest mapa. Tylko pamiętaj, na rozdrożu skrzyć w lewo. Zrozumiałaś?

Dziewczyna skinęła głową.

– Ale dlaczego pani mi pomaga? Mnie, a nie Lenie?

– Peter chciał Lenę – odparła Jess. Ścisnęła konia łydkami, aż ruszył szybszym klusem. – Jednak to nie Peter ma decydować.

Alex też popędziła Appaloosę.

– Decydować? O czym?

– Czy łamać reguły, czy nie.

Wtedy zrozumiała.

– Chodzi o Chrisa?

– Powiedzmy tylko, że korzystam z okazji, by nieco przyspieszyć bieg wydarzeń – odparła Jess. – Ty też musiałaś być gotowa. I teraz jesteś.

– Gotowa na co?

– Na taką samą misję, jaka doprowadziła Izaaka do aktu złożenia w ofierze. Bóg wezwał Abrahama, żeby wybierał. I Abraham wybrał to, co słuszne. Ostatecznie został nagrodzony, a Izaak uratowany.

Super, historia biblijna. Właśnie tego potrzebowała.

– Nie rozumiem. Przecież to był test.

– Teraz też jest – powiedziała Jess. – Christopherowi na tobie zależy. On chce tylko ciebie. A to Wybrany, czy ma tego świadomość, czy nie.

Alex poczuła, jak rumieniec zaczyna oblewać jej szyję.

– Nic o tym nie wiem.

– Młoda damo, mogę być leciwa, ale nie jestem jeszcze dziecinniała. – Wydęła wargi. – Bardzo.

Słyszałam to w jego głosie. I słyszę w twoim.

– Nie może pani czegoś takiego słyszeć – odparła Alex i nagle przypomniała sobie słowa doktora Kincaida: „Słyszysz jak nietoperz, ale z pewnym niuanssem”. I przypomniała sobie też wszystkie te momenty, kiedy przyłapywała Jess na tym, że się jej przygląda: przez okna, w tłumie.

Przyglądała się, bo słyszała każde słowo, nawet jeśli Alex ledwie je szeptała.

Jess była Przebudzoną.

## 67

Teraz znajdowali się już głęboko w lesie. Pies Nathana biegł obok koni, sadząc susami przez śnieg. Było bardzo zimno, ale bezwietrznie. Drzewa grupami przesuwały się z ciemności w szare, nieruchome powietrze nadchodzącego świtu. Alex czuła leciutki powiew dymu, który płynął skądś z daleka przed nimi, pot Nathana, zapach psa i Jess, niezmienną i majestatyczną na swoim koniu jak królowa.

Nathan. W zamyśleniu zmrużyła oczy. Strażnik wyraźnie bez szemrania wypełniał rozkazy Jess. Czy oznaczało to, że byli jeszcze inni mieszkańcy Rule, skłonni się jej podporządkować? Jeśli tak, Jess nie potrzebowała Chrisa do łamania reguł. Łamała je już sama, prawda?

Chyba że istniała granica tego, co mogła robić i ilu ludzi za sobą pociągnąć. Jess i Kincaid byli silni, byli Przebudzonymi podobnie jak Wielebny. Ale tylko Chris był Yeagerem. Chociaż nie całkiem. Na nazwisko miał Prentiss, więc to jego matka pochodziła z rodu Yeagerów, ale stąd uciekła. Jednak w Rule takie pokrewieństwo musiało się liczyć. Szczucie Chrisa przeciwko dziadkowi mogło być jedynym sposobem, żeby wprowadzić zmiany. Ale jakie? Dotyczące odprawiania uchodźców? Swatania dziewczyn? Za czym opowiadała się Jess? Co takiego chciała osiągnąć, co tylko Chris był w stanie zrobić? Czyżby kwestionowanie władzy Yeagera wiązało się z aż takim ryzykiem? Może. Jess najwyraźniej tak sądziła. A Chris ciągle stawiał jej opór, pewnie dlatego że oznaczałoby to również rzucenie wyzwania Peterowi, który był Ernstem, członkiem jednego z Pięciu Rodów. Więc żeby chłopak stanął przeciwko dziadkowi i Peterowi, musiało być coś, czego pragnąłby tak mocno, żeby wszystko zaryzykować.

Jeśli Jess miała rację i Chris pragnął Alex, to ona była przynętą.

Cholera, była nagrodą.

– Chwileczkę. – Alex ściągnęła wodze. Koń doktora z tupotem zahamował. – Pani chce, żeby Chris pojechał mnie szukać.

– Oczywiście – odparła Jess, ale równie dobrze mogła powiedzieć: głupia. – Pragnienie jest słodkie i wzmaga

się, kiedy człowiek nie może dostać tego, czego tak rozpaczliwie pożąda. Jeżeli Christopher cię chce, będzie musiał o ciebie walczyć.

– Ale pani mnie używa – zatrzęsała się w nagłym wybuchu gniewu Alex. Ponad ramieniem kobiety widziała zawracającego Nathana. – Skąd mam wiedzieć, że to nie mydlenie oczu, żebym myślała, że naprawdę mogę odejść?

– Masz broń.

– Pani też.

– Nie zamierzam cię zastrzelić. Musisz mi zaufać.

– Jess – zawołał Nathan. – Jess, pora jechać.

– Zaufać? – Pięści dziewczyny zacisnęły się w bezsilnej wściekłości. Koń pod nią zareagował, parskając i stając dęba. – A niby dlaczego? W pani ustach to wszystko brzmi, jakby chodziło o jakieś wielkie rzeczy, co najmniej wojnę domową.

– Bo tak jest – odparła.

Tak, Kincaid mówił o frakcjach. Ernstowie przeciwko Yeagerom? Może nie tylko? Przypomniała sobie dodatkowe krzesło i jaka niepełna wydała jej się Rada. Bo był ktoś jeszcze? Szósty ród?

– A jeśli Chris zostanie ranny? A jeśli jego dziadek...

– Nie dopuścimy do tego – przerwała jej starsza kobieta. – Wiem, że nie masz powodu mi ufać, ale nie dopuścimy.

Z zapartym tchem wyobraziła sobie, jak Chris wraca do miasteczka i odkrywa, że ona zniknęła. To prawda,

mógł za nią pojechać – Boże, w innym miejscu i czasie, nawet by tego chciała.

– Skoro jest was tylu, dlaczego pani tego nie robi? Dlaczego nie złamie pani kilku reguł?

Głos Jess stał się równie lodowaty jak jej zapach.

– A jak byś to inaczej nazwała, Alex?

– Jess! – krzyknął Nathan – To jest Rule, dziewczyno, i robię, co najlepszego mogę. Jeśli coś ma ulec zmianie – ma zostać podważone – musi być dziełem Chrisa. Jeśli on chce być mężczyzną i krwią z mojej krwi, musi przejść próbę. *Wszystko badajcie, a co szlachetne – zachowujcie!*[List do Tesaloniczan 5:21]

– Krwią z mojej krwi? – powtórzyła zdumiona Alex i wówczas przypomniała sobie słowa, które kiedyś usłyszała, ale nie do końca zrozumiała.

Jess sama jej to powiedziała, jasno i wyraźnie: „Dziękuję Bogu, że mój wnuk został oszczędzony”.

Nie oszczędzony w tym sensie, że nie musiał być świadkiem końca świata czy patrzeć, jak umiera mu matka – ale Oszczędzony.

Jess była babką Chrisa.

Czy on o tym wiedział? Chyba nie. Nigdy nic nie mówił...

Nathan przenikliwie, po ptasiemu zagwizdał, aż Alex drgnęła ze zdumienia.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Tam – odparła Jess. – Przy drodze i na drzewach. Już prawie jesteśmy.

Dziewczyna wyteńczyła wzrok. Może ze trzysta stóp przed nimi po obu stronach ścieżki coś się poruszało. Po chwili dostrzegła dwa śnieżnobiałe konie i jeźdźców w białym kamuflażu, których obecność zdradzały tylko ciemniejsze owale twarzy. Kawałek dalej, wysoko wśród rozłożystych konarów wielkiego dębu, na drewnianej platformie siedział przycupnięty mężczyzna z kuszą.

– W porządku – oznajmiła Jess. – Pamiętaj: na rozdrożu skręcasz w lewo.

Ktoś wołał Alex po imieniu. Dźwięk był nikły, jednak wyraźny. Kiedy odwróciła się w siodle, już wiedziała.

Chris na Nocy, mknący leśną drogą w szalonym pędzie. Nadal był zbyt daleko, żeby mogła rozpoznać rysy jego twarzy, ale słyszała słowa.

– Alex! – krzyczał. – Alex, nie, stój! Stój!

## 68

Jedź! – wrzasnęła jej opiekunka, a kiedy dziewczyna zawahała się, trzasnęła Appaloosę po zadzie. – Wio! Szybciej, szybciej!

Spłoszony koń, zerwawszy się do galopu, sadził przed siebie potężnymi susami. Po chwili dołączyła na swoim wierzchovcu Jess i obie kobiety popędziły ku skrajowi Strefy. Ciężko dysząc, Alex musiała z całej siły powstrzymać się, żeby nie ściągnąć wodzy. Gdyby to zrobiła, natychmiast wylądowałyby na ziemi. Kawałek

dalej ujrzała, jak pies Nathana umyka spod kopyt jego konia, który uskoczył na pobocze, kiedy one z łoskotem przelatowały obok.

– Jedźcie! – krzyczał Nathan, wskazując ręką drogę. – Dalej, da...

– Alex! – krzyczał Chris; panika w jego głosie była już niewątpliwa. – Alex!

– Naprzód! – Jess smagała Appaloosę swoimi wiodzami, doprowadzając zwierzę do szaleństwa. Teraz jedyne, co Alex mogła zrobić, to mocno się trzymać. Skuliła się, kurczowo chwyciła za przedni łęk siodła i zacisnęła uda na końskich bokach, czując, jak przy każdym uderzeniu kopyt siła pędu wstrząsa jej kręgosłupem. Jechały łeb w łeb, ich konie pędziły jak szalone przez las. Drzewa były niewyraźną plamą, błyskami chłoszczących gałęzi, które łapały za ramiona i włosy. Zapiekł ją policzek, kiedy jedna z nich przecięła jej skórę.

– Alex! – Teraz już bliżej. Zaryzykowała i szybko zerknęła do tyłu. Chris zmniejszył odległość pomiędzy nimi. Widziała, że stopniowo tracą przewagę, że może je dogonić, ją dogonić.

– Alex, stój!

– Przepuść ją! – krzyknęła Jess i po raz ostatni wściekle smagnęła Appaloosę.

Appaloosa zarżała przeraźliwie – ze zgrzytliwym rykiem – a potem pocwałowała przez śnieg, nacierając na konnych strażników. I po chwili Alex już tam była,



przemknęła jak błyskawica i zostali w tyle, a ona pędziła dalej. Mijając galopem łuczника na drzewie, pokonała granicę i znalazła się poza Strefą, poza Rule, poza ich zasięgiem i Chris...

Wypaliła broń, huk wystrzału zabrzmiał, jakby ziemia rozpękła się na pół. Alex pomyślała: Boże, Chris, nie!

Z wysokim, donośnym rykiem Appaloosa stanęła dęba. Dziewczyna wrzasnęła i rzuciła się jej na kark, wczepiając się palcami w grzywę. Koń znowu poderwał się na tylne nogi, odrzucając łeb do tyłu. Ugodzona w czoło Alex przez jeden obłądny moment sądziła już, że na pewno spadnie. W ustach czuła krew i świat kołysał się jej przed oczami, kiedy kopyta łupnęły o ziemię. Ale utrzymała się.

Tańcząc pod nią, Appaloosa odwróciła się i teraz dziewczyna patrzyła w stronę Rule. Ujrzała strzelbę w rękach Jess, ujrzała Noc, która nadal stawała dęba, ujrzała, że strażnicy zbiegli się i ściągają Chrisa z konia. Chris runął na ziemię, ale młócił rękami, walczył, usiłując za wszelką cenę podnieść się na nogi. Widziała, jak jeden ze strażników traci równowagę i pada. Po chwili Chris, już wolny, brnął ku niej przez śnieg.

– Alex! – Był na tyle blisko, że mogła odczytać jego rozpacz. Nagle pochwyciła inny, przenikliwszy zapach, który dobrze знаła: woń grozy. Chris krzyknął: – Proszę, Alex, nie wiesz, co ro...

Jess powaliła go ciosem remingtona. Uderzenie było szybkie i precyzyjne, dosięgło Chrisa za prawym uchem.

Chłopak w pół słowa osunął się w śnieg i leżał nieruchomo.

– Nie! – wrzasnęła Alex. Ścisnęła kolanami Appaloosę i ruszyła z powrotem do Rule. – Co pani wyprą...

– Stój. – Jess skierowała w jej stronę lufę strzelby. Na posterunku wśród gałęzi dębu kusznik wycelował, gotów wypuścić strzałę. – Ani kroku dalej.

– Ale Chris...

– *Nic mu nie będzie. Otrząśnij się z prochu i rozwiąż sobie więzy, pojmana Córko Syjonu?* [Księga Izajasza 52:2 [Jess cytuje niekompletny fragment].] Jedź, Alex, i nie oglądaj się za siebie.

Zrobiła tak, jak jej Jess kazała.

# **Część V**

## **Potwór**

Cztery mile dalej była już na nogach. Zsiadła z konia i klepnięciem w zad odesłała go z powrotem. Appaloosa najwyraźniej nie potrzebowała dodatkowej zachęty, od razu pocwałowała w stronę Rule. Właściwa droga, bardzo wąska i kręta, oznaczona została krwistoczerwoną chustką. Alex uznała, że kiedyś musiał to być sarni szlak, coś co wybierali myśliwi, by podchodzić zwierzynę. W pewnym sensie przypominał ścieżkę, która dawno temu – jakby w innym stuleciu – doprowadziła ją i Ellie nad rzekę, do dzikich psów i nieszczęsnego szalonego Jima, i wreszcie do Toma. To wspomnienie sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy jest skazana, by spędzić resztę życia, błakając się po kolejnych ścieżkach w poszukiwaniu Bóg wie czego.

Śnieg był głęboki i tak gęsty, że oblepiał buty. Uda zaczęły ją palić z wysiłku, głowa pękała, w ustach piekł przygryziony język. Kiedy przełykała ślinę, czuła smak zaschniętej krwi. Całe ciało miała obolałe, posiniaczone i wytrzęsione podczas dzikiej, szalonej jazdy przez las, jakby została wsadzona do blendera, a Jess włączyła przycisk *frappe*.

Test. To wszystko był test dla Chrisa. Ona się uwolniła, ale Chris nie mógł, dopóki nie złamał reguł obowiązujących w Rule... czegokolwiek by dotyczyły. Szczerze mówiąc, sądziła, że całe to gadanie Jess było

równie zbzikowane jak mądrości Yeagera.

Zahaczyła wzrokiem o coś niebieskiego, co około dziesięciu stóp przed nią wystawało na jakimś kiju spod śniegu u podnóża patykowatej sosny. Kolor był jaskrawy i bardzo czysty jak plama turkusowej farby na idealnie białym płótnie. W pierwszej chwili pomyślała, że to stary nylonowy znak przecieraczy szlaków, jeden z takich, jakie kluby wędrowców przywiązują do gałęzi drzew.

Ale kiedy podeszła bliżej, zrozumiała swoją pomyłkę. Niebieska szmatka była szczątkiem rękawa.

A kij kością.

Zamarła. W głowie czuła kompletną pustkę. Znieruchomiała w pół kroku i przez chwilę mogła tylko się gapić, czekając, aż biały uścisk paralizującej grozy puści jej mózg.

Pomyślała, że to kość łokciowa, chociaż nie miało to żadnego znaczenia. Małe kostki dłoni i palców zniknęły, więc albo reszta ciała była pogrzebana pod śniegiem, albo ręka została tu przywleczone przez jakiegoś drapieznika, który ją sobie przywłaszczył, zanim obdarł z mięsa.

Okej, tak jak na tamtej szosie, tłumaczyła sobie. Przecież widywałaś już trupy. W okolicy są padlinożercy. Jesteś poza strefą ochronną Rule, więc oczywiście będziesz trafiać na zwłoki. Ludzie padali tam, gdzie stali, pamiętasz?

Ostrożnie pociągnęła nosem, ale nie wyczuła niczego oprócz woni lasu. Żadnych wilków, żadnych szopów.

Kość nie była bardzo stara ani taka biała jak śnieg, ale też nie wyglądała na świeżą.

Wszystko w porządku. Poprawiła zawieszenie sztucera, sprawdziła bezpiecznik, a potem ściągnęła rękawiczkę i przesunęła dłonią po prawym boku. Palce wymacały drewniany uchwyt haka, przytroczonego do paska. Miała sztucer, hak do siana, nóż. Mogła...

Nie była pewna, co dotarło do jej zmysłów najpierw: widok czegoś długiego i obscenicznie różowego, dyndającego na dębie po lewej stronie ścieżki czy zapach gnijącego mięsa.

Fetor zjeżył jej włoski na przedramionach. Czowała smród padliny, ale nie ich, nie Odmienionych. Jednak były tu jakieś zwłoki – całe mnóstwo – więc wiedziała, że sprawa nie zapowiada się dobrze.

Rzecz zwisająca z drzewa okazała się trupem, ale nie ludzkim. Całkiem brakowało mu futra, zerwanego z ciała jak rękawiczka. W przeciwieństwie do skóry z sierścią mięśnie pozostały nietknięte, co bardzo dziwne, zważywszy na całe to mięso. I jeśli się nad tym zastanowić – Alex usiłowała usłyszeć coś przez łomot własnego serca – nie było tu ptaków. Żadnych kruków. Niczego.

Trup dyndał na stryczku, przypominając jakąś dziwną imitację stracha na wróble. Po kształcie głowy i zakrzywieniu zębów rozpoznała co to za zwierzę.

Wilk.

Teraz wilczych zwłok było więcej. Zwisały po obu stronach ścieżki, znacząc szlak niczym flagi wzdłuż alei parad. Po niecałych ośmiu milach Alex dotarła na małą polanę, krąg, gdzie ubity śnieg przypominał płaski talerz. Co okazało się – kiedy się nad tym zastanowiła – całkiem stosowne do okoliczności.

Faktycznie, jeśli się nie wiedziało o trupach, można było pomyśleć, że cała ta odzież została wywalona z kilku bardzo dużych toreb na pranie. W bezładnym stosie leżały pantofle nie do pary i sznurowane buty, niektóre jeszcze z ułamkami kości sterczącymi z odzianych w skarpety stóp, które zgniły – to wyczuwała bardzo wyraźnie, nawet na takim zimnie – jakby rozszarpanie sznurowadeł stanowiło zbyt duży kłopot. Polana była chaosem barw i sflaczałych worków-ubrań wypełnionych kośćmi. Alex dostrzegła nawet czarną tarantulę tupeciku i srebrzystą perukę z mocno skręconymi loczkami. Na pasie błyszczącego, czarnego materiału umościła się złota kałuża łańcucha.

Ponieważ nie jadacie biżuterii, pomyślała trochę obłądnie. Ze śniegu gapiała się na nią ciemnoczerwona oprawka przeciwsłonecznych okularów. Prawe szkło miało gwiazdziste pęknięcie. Nie jadacie okularów.

To nie była po prostu polana.

To było żerowisko.

Zapewne jedno z kilku, bo teraz jej otępiały mózg zarejestrował więcej kolorowych plam wśród drzew na lewo i znów kawałek dalej po prawej stronie. Każdy rejon znaczyły kolejne ścierwa wilków.

Wzrok powoli przesunął się z polany na ścieżkę i Alex ujrzała przed sobą starannie ułożoną piramidę, być może prymitywne oznaczenie szlaku – takie jakie zwykle wznosi się z kamieni.

Tylko że tym razem to nie były kamienie.

To były głowy.

Nie.

Niektóre o stwardniałej skórze, bardzo stare, pozbawione oczu, nosów i uszu. I języków. Inne, nowsze, z nerwami wypełzającymi z oczodołów, nadjedzonymi wargami i zamarznąłą krwią.

Nie.

Kilka wyglądało na całkiem świeże – sine języki, nosy tylko trochę poobgryzane, sennie opadające powieki. Ale żadnych larw, żadnych much, na to było za zimno; czy dopiero co się tego nie dowiedziała?

Zaczęła liczyć. Jej spojrzenie powoli odhaczało kolejne zmaltretowane twarze. Podstawa piramidy była na dwanaście głów długa i na siedem głęboka, wysokość stosu sięgała może czterech stóp...

Nie.

Oddech zamarł jej w piersi. Kompletnie znieruchomiała.

Nie.

Nie potrafiła oderwać oczu.

Nie, proszę, to nie on, błagała w myślach.

Musiała wyteńczyć całą wolę, żeby mrugnąć i potem jeszcze raz – jakby jej mózg był aparatem fotograficznym,



a ona mogła skasować zdjęcie, żeby obraz, który właśnie uchwyciła, został wymazany.

Ale nie. Nic się nie zmieniło.

Harlan nadal tam był: drugi rząd od dołu, czwarta głowa od lewej. Nie umiałaby zapomnieć tej twarzy, tych zębów.

Wnętrznosci podeszły jej do gardła. Z ust buchnął potok niewiarygodnie wstrętnej, bardzo gorzkiej cieczy, rozchlapując się i parując w zimnym powietrzu. Kolana ugięły się pod Alex i po chwili opadła na ziemię; sztucer zatonął w śniegu, kiedy szarpały nią torsje. Zwracała, dopóki żołądek całkiem się nie opróżnił, a potem zwisała na kolanach i dłoniach nad zabrudzonym śniegiem i ciężko dyszała. Nozdrza miała pełne smrodu własnych wymiocin.

I właśnie wtedy napłynęła nowa cuchnąca fala: mdlący fetor padliny, która dusiła się i rozkładała w promieniach gorącego letniego słońca.

Rozkwitająca czarna groza ścisnęła jej płuca, wyduszając z nich resztki oddechu. I Alex wreszcie zrozumiała, dlaczego Jess mówiła o Izaaku i o ofierze.

Być może ją obserwowali. Być może nawet bawiło ich to, co zobaczyli. Jednak bardziej prawdopodobne, że przyszli tu z przyzwyczajenia – myśliwi podążający przypuszczalnym szlakiem dobrej łownej zwierzyny – bo wiedzieli, gdzie znajdą kolejny posiłek.

Było ich pięcioro: trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Mieli na sobie ciepłe kurtki, zimowe buty i

rękawice. Jedna para nosiła skóry, zwierzęce futra zarzucone tak, żeby oczy wyzierały z wilczych paszczy.

Wszyscy byli uzbrojeni. Dziewczyna i dwaj chłopcy – w tym Wilk – posiadali strzelby. Trzeci, w poprzednim życiu chyba gimnazjalista, miał berette, na pewno poręczniejszą dla niedorostka o małych dłoniach.

Jedyna osoba bez broni palnej, Wilczyca, trzymała w ręku maczetę. Ostrze, bardzo długie i bardzo ostre, plamiły rdzawe pajęczki zaschniętej krwi.

I jeszcze jedna rzecz, ostatni drobny szczegół tak bardzo różnił ich od innych nastolatków.

Ci Odmienieni nie byli czyści, ale też nie obrzydliwie brudni.

I prawdę mówiąc, wyglądali na dobrze odżywionych.

Prawda uderzyła ją jak obuchem.

Rule nie walczyło z nimi.

Rule ich żywiło.

Ciąg dalszy nastąpi...

## Podziękowania

*W podziękowaniach świetną rzeczą jest to, że nikt nie ma szansy zmienić w nich ani jednego słowa. Więc – sygnał do maniackiego śmiechu – pffhahahahaha! A poważnie mówiąc, jeśli łatwo się peszycie... lepiej dalej nie czytajcie.*

*Mojemu fantastycznemu redaktorowi, Gregowi Fergusonowi: muszę przyznać, że kiedy po raz pierwszy czytałam tamten list przewodni i wszystkie twoje uwagi redakcyjne, ogarnęła mnie przemożna chęć, żeby się położyć i porządnie upić. Albo może odwrotnie. Naprawdę, byłam w skrajnej depresji. Później, kiedy się ocknęłam, uświadomiłam sobie troskę, która kryła się w każdej bez wyjątku wątpliwości. Sprawiliś, że ta książka stała się o wiele lepsza, bardziej skupiona i zwarta. Nie mam też dość słów podziękowania za twój entuzjazm, wytrwałość i cierpliwość. Zachowaj, chłopie, ten gęsty „pchli” grzebień; mamy więcej gnid do wyczesania. (Och, i tamte paczki? Boże, jesteś genialny).*

*Wielkie dzięki dla mojego sokolookiego czarodzieja-adiustatora, Ryana Sullivana. Zmuszał mnie do większej jasności, a zarazem dokładnie wiedział, które wyrazy zasłużyły na szybką i bezlitosną śmierć.*

*Katie Halacie: podziękowania za to, że odpowiadała na każde pytanie i utrzymywała moje życie władzie. Elizabeth Law, która dostarczyła jedno słowo, kiedy*

*najbardziej go potrzebowałam: dziękuję. Wielkie hura dla całej reszty świetnych ludzi z Egmont w USA: chcę, żebyście wiedzieli, że jestem bardzo wdzięczna za waszą ciężką pracę. Naprzód, drużyno!*

*Po raz kolejny wielkie dzięki dla mojej wspaniałej agentki, Jennifer Laughran, która nigdy nie waha się sprowadzić człowieka na ziemię, kiedy należy: Hola, dzięki; potrzebowałam tego. Kochana, zatrzymałabym cię na zawsze w niezbędnym zestawie „sól i łopaty do odśnieżania”.*

*Deanowi Wesleyowi Smithowi, jeszcze raz za jego wiedzę, przyjaźń i zawsze dostępne ramię: mam szczęście, że cię znam.*

*Erin Coppersmith i pozostałym paniom z naszej małej biblioteki, o której czas zapomniał i kolejne dekady nie mogą jej zmodernizować: dziękuję za wyszukiwanie wszystkich, nawet najdziwaczniejszych, książek, jakich potrzebuję, potrzebowałam i kiedykolwiek będę potrzebować. Poważnie, bez was nie dałabym rady.*

*Moim córkom, Carolyn i Sarah: tak, teraz już można bezpiecznie wchodzić do gabinetu.*

*Ina koniec Davidowi: jesteś święty, jesteś moim wsparciem, moją miłością. Każda kobieta powinna mieć takie szczęście. Naprawdę.*